SŁOWIAŃSZCZYZNA POŁUDNIOWA,

POGLĄD SPOŁECZNY,

skreślił

T. T. Jeż.

Mówić mamy o sprawie, w której nowego do powiedzenia nie ma nic, albo, prawie nic—prawie nic, wyrażamy się w ten ostróżny sposób dla tego, że znaleść się przecię może śmiertelnik, który, w kwestyi wschodniéj, ogadanéj i rozpatrzonéj z punktów i stron wszystkich, coś nowego do powiedzenia znajdzie. Czynimy to przypuszczenie, sami do niego wiary nie przywiązując. Kto wié jednak... „Zdarzają się cuda w niebie i na ziemi, o których się filozofom ani śniło"—powiada Szekspir. Zdarzyć się więc może genialny jakiś fabrykant idei — genialniejszy nawet aniżeli p. Emil Girardin—któremu idea jakaś nowa w głowie strzeli, rzucając nowe na kwestyą wschodnią światło. O światło tu chodzi, nie zaś o rozwiązanie, a raczéj, o światło najprzód i przedewszystkiém. Rozwiązanie, na które, ściśle obliczając, czeka ludzkość wieków, ni mniéj ni więcéj, tylko trzynaście (sic!), może na siebie kazać poczekać jeszcze. Nie zachodzi snadź, we względzie tym potrzeba tak nagła, jak się wydaje komu.

Wypisaliśmy na tytule „Słowiańszczyzna południowa", a mówimy o kwestyi wschodniéj. Nie potrzebujemy szeroko dowodzić, żeśmy, czyniąc to, najmniejszéj nie popełnili niestosowności. Pomiędzy kwestyą wschodnią, a Słowiańszczyzną południową zachodzi związek tak ścisły, że mówiąc o téj ostatniéj, tamta nastręcza się sama. Słowiańszczyzna południowa wchodzi do kwestyi wschodniéj, jako część onéj integralna, albo też, jako dana wiadoma,

konieczna do wynalezienia owego wielkiego politycznego, od wieków szukanego.

Wiadoma ta atoli, jest li wiadomą tak dokładnie, ażebyśmy ją, jako taką, bezwzględnie uważać mieli?

Nie.

Jest jedna mianowicie strona we wiadoméj onéj nie wyjaśniona należycie, a to: stopień uzdolnienia pobratymców naszych do bytu samoistnego. Strona ta pozostaje w cieniu, pomimo że jest ona niesłychanie ważną. Tak się nam zdaje przynajmniéj, a to dla téj przyczyny, że w niéj upatrujemy kwestyi wschodniéj wagę.

Zbytecznėm byłoby zastanawiać się nad tém, co to jest właściwość, uzdolnienie do bytu samoistnego. Rzecz ta zrozumiałą jest mniéj więcéj każdemu. Wiadomo, że na nią składają się żywioły etnograficzne, ekonomiczne, polityczne i historyczne, z których trzy pierwsze odnoszą się do kategoryi warunków, ostatnie zaś stanowią niejako poświadczenie prawa, występując jako precedens w razie danym. Do tego, ażeby zachodziła możliwość bytu samoistnego potrzebnemi są, najprzód, naród, bez którego nie masz tego, co nazywamy państwem, daléj, gniazdo, od którego zależy spoistość narodowa, następnie, względy, stanowiące pożyteczność w odniesieniu tak do siebie samego jako téż do innych, w końcu, suma dostateczna wspomnień z przeszłości, dostarczających materyału do procesu o byt, gdy takowy, w skutek zbiegu okoliczności, zniweczonym został. Wszystko to razem składa się na uzdolnienie, o którém wspomnieliśmy wyżéj, a do którego dołącza się jeszcze warunek jeden, polegający na samopoczuciu, na przekonaniu zbiorowém o słuszności sprawy narodowéj, na niecierpliwości ogólnéj we względzie rychłego osiągnięcia zadośćuczynienia dziejowego. Owóż, jak rzekliśmy wyżéj, strona gromadząca w sobie wyż wymienione znamiona, pozostawianą bywa w cieniu przez rozpatrujących sprawę wschodnią. Postaramy się przeto, z cienia ją wydobyć i na jaw wyprowadzić. Bez zamiaru rozwiązywania kwestyi wschodniéj, uczynimy na nią pogląd w jednéj ze składowych części onéj, obchodzącéj nas żywo z racyi pokrewieństwa, jakie nas z nią łączy.

Słowiańszczyzna południowa obejmuje nie same jeno narody słowiańskie pod tureckiém pozostające panowaniem. Wypadki dziejowe na dwie nierówne rozłamały się połowy, z tych mniejsza podziela losy państwa austryackiego, większa Turcyi się w udziale dostała. Będzie nas zajmowała głównie ta ostatnia, nie pominiem atoli tamtéj milczeniem.

Słowianie tureccy rozpadają się na dwie narodowości: bulgarską i serbską:

I.

Bulgarya obejmuje i wypełnia sobą całe wnętrze półwyspu Bałkańskiego. Pod administracyjnym względem dzieli się na Bulgaryą i Rumelią. Podział ten sprowadza sama natura gruntu. Dunaj i wybrzeża mórz Marmora i Egejskiego, przedłużone linią prostą wychodzącą z Saloniki a sięgającą źródeł Bystrzycy, stanowią dwa dłuższe boki równoległoboku, którego bokami krótszemi są, na wschodzie, wybrzeża morza Czarnego, na zachodzie, linia demarkacyjna, dzieląca Bulgarów od Albańczyków i Serbów. Środkiem równoległoboku tego, w znaczeniu długości onego, przechodzi łańcuch Bałkanów, grzbiet którego służy za granicę podziału administracyjnego. Północna pochyłość bałkańska, staczająca się ku Dunajowi, to Bulgarya południowa, zbiegająca ku morzu Egejskiemu, to Rumelia. Etnografia podziału tego nie uznaje i nie potwierdza. I tu i tam mieszka naród jeden i tenże sam, Bulgarowie, obliczani na milionów od czterech do sześciu. Liczba dokładna znaną nie jest nikomu, z powodu braku podstaw, na którychby się obliczenie dokonać dało. Źródła oficyalne nie istnieją wcale. Turcy robią wprawdzie spisy ludności, lecz, raz, nie ogłaszają takowych, powtóre, operacye ich tego rodzaju odbywają się tak niedbale, że gdyby nawet ogłaszali rezultaty spisów, to te na najmniejszą nie zasługiwałyby wiarę. Byliśmy świadkami obliczeń tureckich, gdy chodziło o rzecz bardzo łatwą, o liczbę wychodźctwa polsko-węgierskiego w roku 1849. Urzędnicy tureccy obliczali na różne sposoby i nigdy cyfry dokładnéj oznaczyć nie umieli. Różnice pomiędzy obliczaniem a sprawdzaniem bywały nieraz zdumiewające. Z dnia jednego na drugi, dziesiątki zmieniały się w setki i naodwrót. Zauważyć należy, że wychodźctwo najmniejszego nie miało interesu we wprowadzaniu w błąd rachmistrzów, podczas kiedy przy spisach ludności idzie nie o proste ciekawości statystycznéj zaspokojenie, a o rzecz wielce dla poddanych Wysokiéj Porty drażliwą: o pogłówne. Trudniéj przytém obliczyć ludność rozsypaną po wsiach i miastach i mieszkającą po domach, stawianych w celu ukrywania się przed okiem władzy, aniżeli gromadę ludzi prezentującą się w kupie jednéj, pozostającéj pod dozorem wojskowym. Obliczani ukrywają się; obliczającym zaś brak zmysłu rachunkowego, za pomocą którego zdołaliby wynaleść cyfry, jeżeli nie dokładne, to przynajmniéj przybliżone. Ztąd to pochodzi

ta różnica olbrzymia milionami się wyrażająca. Bulgarów podają na milionów cztery do sześciu. Podanie to jest domyślném; nie opiéra się na czém innem, jak tylko na stosunku zaludnienia do przestrzeni, wziętym w miejscowości pewnéj i odniesionym do Bulgaryi całéj. Przy metodzie podobnéj błędy są nieuniknione, témbardziéj, że ci właśnie, których cyfra dokładna najmocniéj obchodzić powinna, ci co z pogłównego korzyści ciągną uchylają się od obliczań za pomocą wydzierżawiania podatków. Wysoka Porta pobiéra podatki ryczałtem od dzierżawców, ci przeto obliczają ludność krédką podwójną, jedną dla Wysokiéj Porty, w zmniejszeniu, drugą dla siebie w powiększeniu. A czynią to od oka, rozkładając wypłaty podatkowe na gminy, wedle tego jaki takowe mają pozór. Gminy wyglądające lepiéj płacą więcéj, aniżeli te co się prezentują ubogo. Pomiędzy niedogodnościami przeto, jakie z systemu tego wynikają, jedną z nienajpośledniejszych jest ta, że sama pogłównego wysokość nie daje miary ilości głów wypłacających takowe.

Niedogodności te usunąćby mogły w części jakiéjś spisy kościelne, gdyby i tu nie zachodziły względy, osłabiające wiarogodność podań. Hierarchia kościelna stanowi, we względzie odnoszących się do niéj spraw, *status in statu*, mający w niejednem interes ukrywania przed władzą istotnego stanu rzeczy, mianowicie zaś co się tyczy dochodów, ściąganych w ten sam sposób, w jaki takowe ściąga rząd.

W braku przeto podstaw, na którychby cyfra statystyczna zaludnienia Bulgaryi oprzéć się dała, nie pozostaje nic innego, jak z domysłów wysnuć domysł, dodając *maximum* do *minimum* i sumą ztąd otrzymaną dzieląc na dwa, czyli, wyciągając średnią proporcyonalną. Ilość Bulgarów podać można na milionów pięć mniéj więcéj.

Miliony owe zajmują, jak rzekliśmy wyżéj, wnętrze całe półwyspu Bałkańskiego, spływając po pochyłościach łańcucha Bałkanów, na północ ku Dunajowi, na południe ku morzu Egejskiemu. Część najczystsza zaludnienia bulgarskiego przypada na południowo-zachodnią połać kraju, Macedonią, którą zraszają rzeki Wardar i Strymań. Znajdujemy tam miasta stare bulgarskie, Skopia, Ochryda, Monastyr, Wodena, Prylip. Po miastach obok Bulgarów, zamieszkują panowie kraju Turcy, handlarze z profesyi Grecy, po trosze żydzi hiszpańscy, Cyncarzy i próbki narodowości innych, przechowujących się w Turcyi w postaci rozbitków dziejowych; po wsiach atoli ludność jest czysta, przedstawia się téż bardziéj typowo, aniżeli gdzieindziéj. Przyczynia się do tego znacznie charakter jéj na poły góralski. Góry lepiéj aniżeli równiny przecho-

wują żywioły narodowe. Mieszkańca od Skopii lub Prylipa łatwo oznajomionemu z typami krajowemi rozpoznać po szykowności wzrostu, śmiałości wejrzenia i rysach oblicza zdradzających pomięszanie ras, które, w epokach różnych przewaliwszy się przez te strony, pozostawiały ślady na tle słowiańskiém. Protestujemy atoli przeciwko twierdzeniu, jakoby na obliczu Bulgara wypisaném było świadectwo nazwy jego dziejowéj. Nie ma ono w sobie mongolskiego nic, natomiast dopatrywać się dają rysy greckie w wyrazie ogólnym, zmodyfikowane w wyroście nosa i w czole. Pomięszanie rasy słowiańskiéj z heleńską widoczném jest, z mongolską zaś każe się jeno domyślać wedle historyi. Zdobywcy, którzy nadali narodowi nazwę, nie wleli weń krwi, jeżeli zaś wleli, to w ilości tak małéj, że z upływem wieków ślady onéj zaginęły doszczętnie. Zresztą, i historya sama wpływy greckie w przewadze wykazuje. Bulgarowie z nad Wołgi spełnili jeno funkcyą organizacyjną i rozpłynęli się w masie słowiańskiéj, Grecy zaś, bądź jako naród panujący, bądź téż jako sąsiedzi, ciężyli ustawicznie wieki całe i ciężyć nie przestali wówczas nawet, kiedy wraz z bulgarami, pod tureckie dostali się panowanie. Przypływ krwi heleńskiéj odbywał się i odbywa ciągle z roku na rok, z godziny na godzinę. Ztąd téż i typ bulgarski zbliża się do greckiego bardziéj, aniżeli do każdego innego. Nie jest to tożsamość, ale podobieństwo znaczne,—znacznie się oddalające od typu słowiańskiego. Narodowość bulgarską zdaniem naszém uważać można za przejściową pomiędzy słowiańską a grecką.

Ta część onéj, która zajmuje łożyska rzek Wardar i Strymoń, jest najczystszą. Przypada to na południowo-zachodni wycinek równoległoboku bulgarskiego, obejmując onego część czwartą. Równoległobok ów podzielony na cztery kwadraty za pomocą dwóch linii wyprowadzonych prostopadle ze środka boków dłuższego i krótszego. Linie te przetną się we środku równoległoboku pod kątem prostym, tworząc cztery działy kraju, z których każdy we względzie narodowościowym posiada cechę właściwą, a położenie geograficznemu odpowiednią. Kwadrat od wardarsko-strymońskiego na północ położony przylega bokiem zachodnim do Serbii, północnym do Rumunii. Sąsiedztwo to odbija się na nim. Ludność przedstawia mechaniczne zmięszanie żywiołów. Około Widynia trafiają się wsi czysto serbskie; wzdłuż Dunaju pełno osad rumuńskich; z miast niektóre zamieszkałe są pół na pół przez Bulgarów i Rumunów. Mięszanina ta umniejsza się w miarę jak po przekątnéj oddalamy się od ujścia Timoku ku górom, u podnóża których nie masz jéj już. Nazwaliśmy mięszaninę tę mechaniczną

z téj przyczyny, że narodowości rzeczone trzymają się odrębnie, zachowując każda z osobna wyszczególniający ją charakter, i to tak dalece, że Rumuni np. nie umieją rozmówić się z Bulgarami i Serbami. Bulgarowie z Serbami porozumiewają się dzięki jedynie podobieństwu, jakie pomiędzy językami ich zachodzi. Poturecku wyuczają się wszyscy dla stosunków z władzami, i język ten służy za pośrednika ogólnego w porozumiewaniu się narodowości różnych, które, żyjąc pod jednym niemal dachem, często ze sobą w styczność wchodzą. Rząd turecki różnice te uwzględnia, pozwalając po miastach na tworzenie gmin odrębnych, *mahałami* zwanych. Mahała bulgarska zawiaduje sprawami swojemi osobno, ma swego wójta (*czorbadii*) i swoję radę (*mirlisz*); toż samo rumuńska. Turcy zamieszkują tu po miastach jeno—w Widyniu zajmują twierdzę; wieś turecka rzadkością jest w paszaliku widyńskim. Wszakże, pomimo wyodrębnienia, w jakiém żyją narodowości, jedna na drugą wywiera wpływ. Obojętność absolutna żywiołów, ocierających się o siebie w życiu codzienném, jest nie do przypuszczenia — nie istnieje téż. Na Bulgarów, po miastach zwłaszcza, oddziaływują Rumuni, nadając im cechy, występujące jako właściwości charakteru, o których pomówimy później, gdy charakter narodowy bulgarski kreślić będziemy.

Przylegający od wshodu do kwadratu widyńskiego kwadrat ruszczucko-warneński przedstawia również mięszaninę mechaniczną. Serbów tu nie ma; miejsce ich zajmują Tatarzy, zaludniający kraj objęty ujściowém kolanem Dunaju, a zwany Dobrudżą. Śród Tatarów mieszkają Nekrasowie i Rusini, oraz w małéj liczbie reprezentanci różnych sekt rosyjskich, niemolacy, bezpopowcy, skopcy, mołokanie. Oddziaływanie ich na ludność bulgarską jest żadne—nie dopuszcza takowego duch sekciarski. Osady tureckie spotykają się częściéj aniżeli w połaci poprzedniéj, zwłaszcza w pobliżu Dunaju i morza. Po wielu wsiach połowa ludności jest turecka, połowa bulgarska. Po miastach mięszanie bywa trojakie: turecko-bulgarskie na podgórzach, w Szumli np., w Tyrnowie, w Dżumai; turecko-bulgarsko-rumuńskie nad Dunajem (Nikopoli, Scistów, Ruszczuk, Silistrya); turecko-bulgarsko-greckie nad morzem (Warna). Po miastach pod względem handlowym ważniejszych zamieszkują europejczycy, liczebnie nieznaczni, znaczni jednak wpływem na stronę moralną ludności, zapatrującéj się na nich, jako na modele.

Kwadrat ostatni Tracya, który nazwiemy Konstantynopolsko-Adryanopolskim, akcentuje przewaga grecka. Greków po miastach pełno; i osad wiejskich téż nie mało przez nich zamieszkiwanych. Ludność bulgarska sięga wprawdzie morza Marmora i Archipelagu,

lecz, gęsta na podgórzach południowéj Bałkanów pochyłości, rzednieje w miarę zbliżenia się do wybrzeży, dochodzi do takowych strzępami jeno, to tu, to owdzie. Po wsiach trzyma się w wyodrębnieniu, tak samo jak w trzech kwadratach poprzednich; po miastach atoli, nietylko się miesza, ale i łączy: Greczynki wychodzą za bulgarów, Grecy żenią się z bulgarkami. Greczyzna przemaga tak, że często spotykać się dają rodziny bulgarskie, posługujące się w stosunkach domowych językiem greckim; zdarzają się też i takie co się wynaradawiają zupełnie, pomnażając w ten sposób rok roczny przyczynek, jakim znaczy się wzrost ludności greckiéj. Odnosi się to jednak do miast przeważnie, luboć i w tych widzieć można Bulgarów niewynarodowionych: w Konstantynopolu, w Adryanopolu mają oni mahały swoje i cerkwie odrębne, te atoli nie bronią ich od wpływów greckich, narodowość bowiem trzyma się nie siłami miejscowemi, lecz przybytkami zewnętrznemi. Rodzina bulgarska, zamieszkała na wybrzeżach morskich, greczeje w drugiém, trzeciém pokoleniu; miejsce jéj zajmuje inna z wnętrza kraju przybywająca, która opiéra się wpływowi narodowości potężniejszéj tak długo, aż do łona jéj nie wejdzie element obcy. Dział ten Bulgaryi mieści w sobie żywiołów obcych dużo: żywioł turecki jest tu liczniejszy, aniżeli gdzieindziéj w Turcyi europejskiéj, w drugim rzędzie idą Ormianie, daléj Żydzi i Włosi, w końcu Europejczycy. Konstantynopol przedstawia, pod względem narodowościowym, istną wieżę Babel, różniącą się od zapisanéj w rozdziale IX Genesis tém, że pomięszanie języków, zamiast rozpraszać, ściąga ludzi w ilości ogromnéj. Europejczycy, przebywający dla eksploatowania kraju, żyją z sobą, grupując się w rodzaj kolonij około ambasadorów w stolicy państwa i około konsulów po miastach na prowincyi. We względzie tym wyjątek czynią Włosi w Konstantynopolu, potomkowie Genueńczyków, którzy niegdyś założyli Galatę—stanowią oni narodowość odrębną, znaną pod nazwą Perotów, są poddanymi Wysokiéj Porty i, co się krwi tyczy, przedstawiają amalgamat wytworzony z pierwiastków rozmaitych pod względem gatunkowym. Bulgarzy wsiąkają w nich pod postacią grecką, lecz od nich nie przejmują nic. Peroci odegrywają rolę arystokracyi w konstantynopolskim świecie: biorą bez oddawania.

W opisie powyższym czterech działów kraju, pod względem narodowościowym nie przytoczyliśmy cyfry ani jednéj. W cyfrach jest wymowa—o tém wiémy i chętnie byśmy się byli do wymowy téj odwołali, gdyby było ją zkąd wziąść. Absolutny brak podań statystycznych zmusił nas do szerokich omówień, do uciekania się do słówek: mało, więcéj, znacznie, nieznacznie. Jednakże i słówka

te mówią coś, z téj zaś wymowy ich taka da się wysnuć konkluzya, że w dziale pierwszym, nazwanym przez nas wardaro-strymońskim a zwanym Macedonią, narodowość bulgarska jest najczystsza, w dziale drugim, widyńskim, mniéj czystą, w trzecim, ruszczucko-warneńskim jeszcze mniéj czystą, w czwartym, dawnéj Tracyi najmniéj czystą. W trzech pierwszych dba ona sama o siebie, w ostatnim nie dba, we wszystkich zaś czterech nie dochodzi do granic swoich naturalnych inaczéj jak w strzępach. Od morza Adryatyckiego odpychają ją Albańczycy, na pograniczu serbskiém mięsza się z Serbami, wybrzeża Dunaju obsiadają wspólnie z nią Rumuni, do wybrzeży morza Czarnego, Marmora i Egejskiego nie dopuszczają jéj Grecy. Bulgarowie nie zdołali opanować wylotów handlowych. Fakt ten zaznaczamy, w celu wysnucia z onego wniosku stosownego na swojém miejscu. Dodać tu jeszcze musimy, że pod nazwą Bulgarów rozumimy nie samych jeno wyznawców chrystyanizmu, należących do narodowości téj. Spora ilość przyjęła wyznanie mahometańskie: od oka obliczają odstępców tych na tysięcy sześćdziesiąt, z których część pewna zatraciła mowę ojczystą, i tylko z pozoru, jako téż z tego że przechowała zwyczaje narodowe odróżnia się od Turków. Trafiają się téż tu i owdzie osady pochodzenia niewiadomego poturecku mówiące i wyznające islamizm—z tych niektóre zdają się być potomstwem osiedleńców, sprowadzonych w czasach, kiedy Turcy zabierali tłumami jeńców wojennych; niektóre z tych osad zdradzają pochodzenie ukraińskie. Włóczy się przytém po Bulgaryi ilość niemała Cyganów, pędzących żywot koczowniczy, równie jak Zejbeków, prostych włóczęgów, rekrutujących się po większéj części w Azyi. Na granicy zachodniéj rząd zakolonizował Czerkiesów, którzy wyemigrowali z Kaukazu po wojnie 1853—56 r.

Przystępując do opisu kraju, jako gniazda narodowości bulgarskiéj, znajdujemy się w obec tych samych trudności, jakie towarzyszyły opowiadaniu o narodzie: w obec braku danych, na którychby się oprzeć można. Z krajów europejskich, żaden tak niedokładnie pod względem geograficznym zbadanym nie jest, jak Turcya. Geografowie znają ją w ogólnych jeno zarysach; mapy Turcyi są kopiami map dawniejszych, podającemi miejscowości nieistniejące, nazwy uroczych nadające miastom i naodwrót, opuszczające osad mnóstwo i umieszczające oznaczone niewłaściwości. Ostatniemi dopiero czasy wprowadzać poczęto poprawki częściowe, dzięki którym jaśniejsze mieć można wyobrażenie o konfiguracyi gruntu Turcyi europejskiéj. Wiémy, naprzykład, że orograficzny kształt onéj przedstawia chaos, niepodciągnięty jeszcze

pod regułę ogólną. Szkielet nie odpowiada w zupełności ciału, tak jak to ma miejsce z półwyspami Apenińskim, Pirenejskim i Skandynawskim, w których góry determinują kształt. Na półwyspie Bałkańskim, łańcuchy górskie, odskoki i wyskoki urywają się, plączą i przychodzą nieraz w sposób tak niespodziankowy, że slusznie z uczonych jeden Turcyą europejską nazwał archipelagiem lądowym. System bałkański łączy się z systemem alpejskim i karpackim, z których piérwszy wciska się przez Bośnią i Hercegowinę, drugi przerzuca się przez Dunaj, plącząc się i odpychając wzajemnie na gruncie tureckim i nie przedstawiając takiego proga w odniesieniu do Europy, jakim odgradza się półwysep Pirenejski i Apeniński. Bośnia, Hercegowina i Albania jeżą się górami, idącemi wzdłuż wybrzeży morza Adryatyckiego i dochodzącemi do łańcucha Pindu. Od Pindu, na północ, ciągną się łańcuchy, które, obchodząc płynące ku Archipelagowi rzeki Bystrzycę i Wardar, zaginają się po za źródliskami onych w kabłąk i, zogniskowane pod Sofią w węzeł górski, zwany Witoszan, rozczepiają się pod kątem prostym prawie w dwa łańcuchy. Z tych jeden, idący w kierunku południowym, nosi nazwę gór Rodopskich, drugi, podążający na wschód ku morzu Czarnemu, nazywa się Bałkanami. Góry Rodopskie odgraniczają Macedonią od Tracyi; Bałkany dzielą Bulgaryą na dwie równe prawie połowy, na Bulgaryą właściwą, dunajską, w starożytności Moecia inferior, i na Rumelią. Zauważyć należy, że od witoszskiego węzła odskok górski wpada w Bałkany w ten mniéj więcéj sposób, jak rzeka wpada do rzeki, i towarzyszy im na wschód, podczas kiedy łańcuch onych główny jest przedłużeniem tego, który idzie z zachodu, od Serbii, czepiając się grzbietu przerzucającego się przez Dunaj. Co się tyczy formacyi geologicznéj gór, ta oznaczoną jeszcze nie jest przez uczonych. Góry w ogóle wysokie nie są. Bałkany dochodzą, w przecięciu, 1700 metrów nad poziom morza, i to dla tego że Bulgarya cała przedstawia się jako wyżyna, służąca w odniesieniu do gór za piedestał olbrzymi. Witosz wznosi się na 2462 metr., szczyt Ryło w łańcuchu Rodopskim na 2900 metr. Wierzchołki najwyższe pokrywają lasy bukowe i dębowe; skaliste grzebienie bywają granitowe, niekiedy zaś wapienne. Śród gór pełno dolin rozkosznych, a niezmiernie żyznych; domyślają się, że są to dna jezior, bądź wyschłych, bądź téż przez rzeki wyczerpanych. Góry rzadko gdzie przedstawiają się pod postacią zapór nie do przebycia. Przez główny łańcuch Bałkanów przeprowadzają drogi następujące: jedna z Warny do Aidos, druga na Prawody także do Aidos, trzecia z Szumli do Karnabalu, czwarta z Osmanbacaru lub z Tyrnowy

do Sliwny, piąta z Tyrnowy do Echi-Sahra, szósta z Łowczy do Sofii, siódma doliną Iskiem do tejże Sofii, ósma na Berkowac do Pirotu, dziewiąta z Widynia do Driszu. Obok przejść tych, istnieją liczne pasterzom znane ścieszki, a i przejścia same, nie są to drogi w pojęciu europejskiém, ale z wyjątkiem czterech traktów strategicznych, drożyny, znaczące kierunek w którymby drogi bite przeprowadzić się dały. Trakty strategiczne także drogami bitemi nie są: przejeżdża się niémi z łatwością w pogodę jeno, po suchéj stopie; deszcze wiosenne zmieniają je w rzeki błotniste, po których prowadzenie wozów z ciężarami z wielką odbywa się trudnością. Wié coś o tém artylerya francuska, część któréj przechodziła, 1854 r. na wiosnę, lądem z Konstantynopola do Warny. Po przejściu swojém pozostawiała gęste nad drogą pagórki, pozostałe z oczyszczenia kół z błota. Pod względem łatwości w przebyciu, łańcuch gór Rodopskich przedstawia cechy podobne do bałkańskich. Drogi istniejące są niejako wytycznemi dla dróg murowanych. Oś drożną stanowi trakt, prowadzący z Konstantynopola na Adryanopol, Filipopól, Nisz i Belgrad do Wiednia. Na trakcie tym, niezmiernie pod względem komunikacyi handlowéj ważnym, na linii połączenia gór Rodopskich z Bałkańskiemi, znajduje się punkt strategiczny, zwany Bramą Trajana, znaczenie któréj doniosłém jest szczególnie w wojnach, zagrażających Turcyi ze strony Austryi.

Rozpatrzmy się teraz w stokach bałkańskich, w każdym zosobna, zaczynając od północnego, w którym od pierwszego na mapę oka rzutu uderza osobliwość jedna. Łańcuch gór idzie równolegle do biegu Dunaju, z gór spływające przytoki prawobrzeżne także pomiędzy sobą równoległość zachowują, tak, że kraina cała, objęta w ramach złożonych z łańcucha gór, z granicy serbskiéj, z Dunaju i z wybrzeża morza Czarnego, przedstawia się pod postacią podłużnego równoległoboku, podzielonego na równoległoboki poprzeczne. Nie mniéj jak trzydzieści rzeczek i rzeczułek wysyłają do Dunaju Bałkany na długości dziewięćdziesięciu geograficznych mil. Znaczniejsze pomiędzy niemi są: Dzibrica, Iskier, Wid, Jantra, Łom i Tabań. Z tych, Iskier odznacza się tém, czém Poprad w Karpatach, to jest, ma źródliska swoje po za linią, znaczącą grzbiet łańcucha głównego. Geografowie dawniejsi właściwość tę samę przypisywali i Widowi, pokazało się jednak że był to błąd, którego téż wystrzegają się nowsi kartografowie. W łożysku Iskiem leży Sofia, zaliczająca się do miast, położonych na południowéj Bałkanów pochyłości. Na północnéj, pagórkowatość podgórska przechodzi w rozłogowatość bezleśną i bezwodną. Przetrzenie pomiędzy rzeczkami mają charakter stepowy. Okrywa je

trawa kosą nietykana, w któréj brodzą trzody bydła i bawołów i stada koni. Tu i owdzie spotyka się rola uprawna, która wygląda tak, jakby zabłądziła, i sama własnéj dziwi się obecności wśród tych pól dziewiczych. Jakoż, zabłądziła w rzeczy saméj. Wieśniak, powziąwszy zamiar zorania roli i zasiania zboża, zaprzęga do wozu woły, zabiera na wóz pług i nasienie, rusza w step i jedzie póty, aż mu natchnienie podyktuje stanąć i orać. Orze, zasiewa, obsłania poletek swój znakami, ażeby do niego trafić i do domu wraca. Gospodarstwo tego rodzaju ma powód swój w tém najprzód, że stepy należą do wszystkich i do nikogo, w tém następnie, że uprawiona w ten sposób rola ma szansę ukrycia się przed okiem poborcy dziesięcin, któremu trudno wyszukać zbiorów zamaskowanych bujną trawą stepową. Wsi, prowadzące gospodarstwo takie, trzymają się opodal od drogi, a nieopodal od porzeczy. Ludzie mieszkają w chałupach w ziemi kopanych, zupełnie jak w gubernii Chersońskiéj, z tą atoli różnicą że ci rozbudowują pod ziemią, niby krety, w celu nietylko mieszkania, ale i ukrywania się przed władzą. Wsi téż stepowe smutny mają pozór; domy wyglądają nakształt grobów zielskiem porosłych, a zdarzają się osady w których nad powierzchnią ziemi nie wznosi się budowla ani jedna, drzewko ani jedno, w których przy ziemiankach nie ma zagród, ogrodów, nic słowem, coby o bytności człowieka świadczyło, z wyjątkiem chyba dymów, wydobywających się przez otwory w nasypach, sprawujących funkcyą dachów' a sprawiających wielką zmysłowi powonienia przykrość; dymy bowiem pochodzą z paliwa, które się przyrządza z gnoju bydlęcego. W stepach, jak długa i szeroka Bulgarya podunajska, ani jednego nie znajdziesz miasta większego. Wyjątek we względzie tym czyni Plewna, mieścina nad Nidem położona. Możnaby do wyjątków reguły nienaruszających, zaliczyć jeszcze i Rasgrad, leżący nad Łomem, na połowie drogi z Ruszczuka do Szumli. W ogóle atoli znaczniejsze miasta i dobrze wyglądające sioła znajdują się bądź na podgórzu, bądź téż nad Dunajem. Nie tyczy się to zamożności, albowiem i w najniepozorniejszych wsiach często takowa panuje, napoły w ziemi ukryta pod postacią naczyń miedzianych, sprzętów domowych i gotówki, częścią prezentująca się na niewiastach, strojących się w pieniądze, w części zawarta w licznych trzodach stepowych. Za to nic rozkoszniejszego, jak miejskie i wiejskie osady podgórskie i naddunajskie. Zbliżając się do nich, wjeżdża się pomiędzy winnice i sady fruktowe, otaczające je dokoła szerokim pasem zieloności, przystrajającéj wzgórza, spadki i wąwozy, układające się w pełne wdzięku pejzaże. Z miast

naddunajskich wymienimy: Widyn, Nikopoli, Szistów, Ruszczuk, Silistryą — wszystko warownie większe lub mniejsze; miasta podgórskie: Łowcza, Tyrnowa, Dżumaa, Szumla, Warna—przedostatnie obóz oszańcowany, ważny bardzo punkt strategiczny w wojnie Turcyi z Rossyą, ostatnie, port morski ufortyfikowany.

Rozpatrywana pod względem żyzności gleby Bulgarya naddunajska przedstawia, jak się zdaje, różnice niewielkie. Zboża wszelkiego rodzaju udają się tak na stepach, jak na podgórzach i wybrzeżach. Sądzić o tém zresztą można po bujności traw. Różnice odnoszą się jedynie do staranności w uprawianiu roli, większéj we wschodniéj, aniżeli w zachodniéj połowie. Podczas, kiedy wyjechawszy z Widynia traktem ku Plewni, jechać można dni całe, nie spotykając poletka zoranego, w okolicach Szidowa, Ruszczuka, Rasgradu jedzie się wśród ról, na których widoczna jest praca ludzka, staranna i umiejętna. Tu rolnik Bulgar spółzawodniczy z rolnikiem Turkiem. Nie mają oni potrzeby niewysilonéj ziemi gnoić, przeorywać, rozgniatać i gładzić. Ujmuje im to roboty wiele; pracują powolnie; pracując spoczywają często i gwoli spoczynkom pozasadzali na rolach grusze rozłożyste, dające w upały cień, w jesieni owoc. Sadzenie drzew cienistych na rolach dałoby się zastosować wszędzie: pożyteczném byłoby zwłaszcza na łanach ukraińskich, wystawionych w porze żniw na pełne działanie promieni słonecznych.

Oddzielną część Bulgaryi naddunajskiéj stanowi Dobrudża, kraina położona u ujścia Dunaju, zbiegowisko narodowości rozmaitych. Kraina to lesista i górzysta, a przytém posiadająca trzęsawiska rozległe i jeziora. Przez pół przecina ją podłużne wyżłobienie, idące od kolana dunajskiego do morza, w punkcie, w którym Dunaj przed ujściem swojém najbardziéj ku morzu się zbliża. Powszechnie wyżłobienie to uważa się jako stare Dunaju łożysko, opuszczone przez królową rzek europejskich z powodu zamulenia. Jest to przypuszczenie przez dowody pozytywne nie poparte. Być może, iż było to jedno z ujść, na którém nie opiérała się waga nurtu i dla tego rychléj uległo losowi, zagrażającemu dwom skrajnym ramionom delty dunajskiéj, kilijskiemu i ś-go Jerzego, obejmującym olbrzymio ptastwa wodnego, pijawek i komarów pełne trzęsawiska. Trzęsawiska towarzyszą także i wyżłobieniu, o którém wspomnieliśmy wyżéj, i jezioru Razin, połączonemu z morzem przesmykami a wrzynającemu się w Dobrudżę głęboko. Jezioro, trzęsawiska, liczne dunajskie kanały i zatoki stanowią dla mieszkańców źródło dochodów znacznych, któreby znaczniejszemi o wiele być mogły, gdyby warunki bytu ludności osłaniała pew-

ność jutra. W wodach poławiają się ryby, pomiędzy któremi jesiotr główną odgrywa rolę; trzęsawiska dostarczają pijawek miliony. Kawior dunajski nie ustępuje dońskiemu. Dobrudża posiada od natury jéj dane warunki świetnéj przemysłowo-handlowéj przyszłości i korzysta z takowych, ale w zakresie bardzo szczupłym. Uprawa roli daje rezultaty pomyślne. Chów bydła, koni i owiec wynagradza obficie trudy tych, co się onemu oddają. O miastach powiedziéć nie można, ażeby się nie znajdowały w kwitnącym stanie, ale na stan ów zapatrywać się należy okiem nie europejskiém, to jest, szukać należy zamożności pod kupami śmiecia i gruzów. O zamożności miast Dobrudżskich sądzić można z łatwości zarobków, jakie one dostarczają. W Isakczy, Tulczy i Sulinie, w Kiustendżi i Mangalii, w Babadagu i Bazarczyku, nie zginie z głodu, kto jeno chce ręki do lekkiéj przyłożyć roboty. Dobrudżę spotkał ten los, że ją najpierwszą w Turcyi europejskiéj przerznęła koléj żelazna, zbudowana w wyżłobieniu, poczytywaném za stare ujście Dunaju. Druga kolej równoległa do téj połączyła Ruszczuk z Warną. Obie one mają na celu skrócenie żeglugi tak na Dunaju, jak na morzu, pełniąc w ten sposób użytek podwójny, użytek, którego korzyści idą bardziéj na rzecz handlu zewnętrznego, aniżeli pomyślności okolic przez które koleje przechodzą. Zaprzeczyć nie można, że się przyczyniają one do ożywienia ruchu, a zatém i do podniesienia zamożności w Kiustendżi, w Ruszczuku i Warnie; jednakże, tak ruch ów, jak zamożność, będąc importowanemi, idą na rachunek obcy — znaczą wyzyskiwanie kraju przez cudzoziemców, nie zaś rozwijanie się onego samodzielnie — służą dla handlu transito, który nie jest bez korzyści, lecz nieznacznych, powolnych i przeważnie powierzchownych. Od lat czternastu, jak istnieje kolej Kiustendżska i od lat jedénastu, jak funkcyonuje linia ruszczucko-warneńska, fabryk w kraju nie przybyło, produkcya się nie podniosła.

Kraina na południowym stoku Bałkanów położona, w języku oficyalnym Rumelią zwana, różni się od Bulgaryi właściwéj pod względem niejednym, a najprzód pod handlowym, a to z tego powodu, że leży w kierunku drogi najkrótszéj, łączącéj Anglię z indyjskiemi jéj posiadłościami. Pod względem tym znaczenie handlowe Rumelii ważném jest ogromnie w przyszłości. Pozostająca w budowli droga, co ma Konstantynopol z Wiedniem połączyć, będzie jedną z najgłówniejszych arteryj europejskich, jako taka więc nie może na kraj nie oddziałać, zwłaszcza wkluczając w ruch handlowy miasta takie, jak z jednéj strony Salonika, z drugiéj Filipopol, Adryanopol i Konstantynopol, posiadające

zasoby wzrostu w samych sobie. W odniesieniu do Rumelii, Konstantynopol jest punktem, na którym się jéj ciężkość opiéra. Jest to jéj wylot handlowy, dla którego przemysł przysposobić ma karmię, pod postacią produkcyi, do jakiéj uzdolnienie tkwi w kraju i w ludności.

Do jakiéj że produkcyi tkwi uzdolnienie w kraju?

Powierzchnia Rumelii przedstawia chaotyczne pomięszanie gór i nizin. W górach, Radopskich zwłaszcza, znajdować się mają bogactwa kopalne, w części nietykane, w części zaniedbane. O nietykanych mówić nie ma co, być może, istnieją one jedynie w wyobraźni ludzkiéj; o zaniedbanych to się powiedziéć da, że ślady wyraźne świadczą, jako dawnemi czasy wydobywano w górach żelazo i miedź. Podgórza produkują wino, tytuń i zboże wszelakie, niziny ryż; na podgórzach i nizinach udają się drzewa, wydające owoce będące artykułami handlu, jak kasztany, orzechy i migdały; klimat sprzyja hodowli jedwabników, które téż hodują kobiéty wiejskie, zastosowując do hodowli sposoby pierwotne. Z rzek niektóre, mianowicie zaś Maricę, wygałęzioną przytokami po kraju, możnaby spławnemi uczynić i kanałami wesprzéć do spuszczania ku wielkiemu międzynarodowemu kanałowi, jakim jest morze, drzewa, w ilości i jakości nie lękającemi się konkurencyi z krajami najbardziéj lesistemi. Słowem, bogactwa ogromne oczekują jeszcze na to, ażeby je w ruch wprowadzić w celu uczynienia z nich użytku odpowiedniego.

A ludzie?... Mówimy o Bulgarach; mówiąc atoli o Rumelii pominąć milczeniem nie można Greków, zajmujących kraj wespół z pobratymcami naszymi. Grecy i Bulgarowie rozebrali pomiędzy siebie specyalności wedle naturalnych skłonności: piérwsi pilnują przeważnie handlu, drudzy trzymają się przeważnie roli—i ci i owi jednak snują tkaninę swoję z dziś na jutro, bardziéj na dziś, aniżeli na jutro, ze względu na to, że to ostatnie podlega ciążeniu prawicy tureckiéj, dającéj gwarancye bardzo słabe i zgoła niepewne. Ludzie pojedynczo przychodzą do bogactw ogromnych; ogół zażywa bytu dobrego; z tém wszystkiém kraj nie prosperuje—bogactwa te bowiem i ten byt dobry są, jak manna owa, którą Jehowa żydów w puszczy karmił. Rozumne człowieka usiłowanie nie przejawia się w kierunku żadnym. Robi się to, czego nie robić nie sposób. Ziemia rodzi, więc rodzi; a że wydaje plony obfite, więc pozostaje z roku na rok quantum pewne do odłożenia na stronę: oto źródło dobrobytu rolnika. Co się zaś handlarza tyczy, tego operacye polegają na szacherce zamiennéj, snutéj dorywczo, bez planu, bez systemu, a zatém i bez budzenia popytu, któryby

służył za podnietę do rozwijania produkcyi krajowéj w pewnych wytkniętych kierunkach. Ztąd, ani to w gospodarstwie nie widać usiłowań racyonalnych, ani to w przemyśle nie daje się spostrzegać dążności postępowéj. Jest, co było—nowego nie przybywa nic. Przemysł wyraża się za pomocą rękodzielnictwa, to zaś ma na widoku potrzeby wewnętrzne jedynie. Tkactwo idzie w parze z sukiennictwem, przerabiając na warsztatach domowych przędzę ręczną, jedwabną, lnianą i wełnianą; garbarnię posiada miasto każde prawie: są to fabryki jedyne, jeżeli do nich dodamy jeszcze gorzelnie, które, pod postacią alembików, znajdują się na podwórzu każdego niemal domu i służą do pędzenia *raki* z wycisków jagód winnych. Gorzelnie na większą skalę zakładać poczęto w Bulgaryi północnéj, w r. 1850. Najpierwsza pojawiła się w Szumli, następna w Tulczy. Próbowano téż i browarów po miastach portowych, gdzie napływ cudzoziemców zapewnia zbyt piwa; do tego atoli przedsiębierstwa brali się nie krajowcy. Na podgórzach południowego Bałkanów stoku, znaczną ilość ludzi zatrudnia wyrób olejku różanego, którym to wyrobem odznacza się szczególnie Sliwna. Zaznaczyć jeszcze wypada garncarstwo, znajdujące się na dosyć wysokim doskonałości stopniu, z powodu popytu na naczynia gliniane misternie lepione, jakich Turcy używają. Po garncarstwie następuje kotlarstwo — to atoli stanowi specyalność rzemieślników Turków, również jak jubilerstwo. Kotlarstwo, jubilerstwo, tokarstwo uważają się jako rzemiosła szlachetniejsze, do których Bulgarowie przystępu nie mają. Na dolę ich, oprócz wyżéj wymienionych, przypada jeszcze krawiectwo i kożucharstwo; wszelako krawiectwem wytwornem, przerabiającem na odzież cienkie sukna i okrywającém takowe haftem srebrnym lub złotym, trudnią się Grecy lub Ormianie. Specyalnością kowalską dzielą się Turcy z Cyganami; dla Bulgarów jest ona nieprzystępną, a to dla tego zapewne, że łączy się z nią specyalność lekarska—kowal jest zawsze konowałem, puszcza krew i posiada sekrety lecznicze, które, zastosowując do bydła, zastosowuje téż niekiedy i do ludzi. Gdy zaś któremu uda się razy parę pomódz temu na ból zębów, owemu na chlenie około serca, robi sobie wnet wziętość i nie waha się praktykować na szeroką skalę: przepisuje zioła, kadzenia, maści, rwie zęby, puszcza krew, wycina lub wypieka szczenięta pod językiem etc. Byliśmy raz świadkami wycięcia szczeniąt. Operacya sprowadziła śmierć pacyentki (była to dziewczyna); śmierci jednak nie przypisywano operacyi, a temu, że tak chciało przeznaczenie. Bulgarowie przeto nie trudnią się kowalstwem. Wykluczeni są od takowego, zarówno jak od rymarstwa, siodlar-

stwa, rusznikarstwa, od znajdującego się na bardzo niskim stopniu stolarstwa; nie widzieliśmy Bulgarów stelmachów, powroźników, szmuklerzy, piekarzy, cukierników, rzeźników. Wiele jest rzemiosł obłożonych dla nich interdyktem, który wynika ze zwyczaju w prawo zmienionego. Nie ma na to zakazu wyraźnego. Miałby się jednak Bulgar zpyszna, gdyby mu się zachciało zwyczaj zgwałcić. A najprzód, nie znalazłby miejsca dla siebie, po miastach bowiem rzemieślnicy fachu jednego zajmują miejsca połaciami w pracowniach otwartych. W jednéj połaci siedzą rzędem jeden obok drugiego krawcy, w drugiéj szewcy, w trzeciéj rymarze etc. Wbrew zwyczajowi przeto, obcemu wcisnąć się trudno, otworzyć zaś pracownię w połaci innego fachu nie wolno. To samo stosuje się i do handlu sklepowego, który się rozsiada w tak zwanych bazarach, dzielących się na artykuły. Z tych wiele niedostępnych jest dla Bulgarów, dostępne zaś dostępnemi są o tyle, o ile na tém polu nie ubiegają ich Grecy, Ormianie, Żydzi lub Cyncarzy.

Łatwo więc przeciwko Bulgarom sformułować zarzut, pomawiając ich o pozostawianie odłogiem produktywnych zajęć wielu, uprawianych przez ludzi narodowości innéj. Czemu się nie trudnią tém lub owém? — czemu w kraju własnym, na własnych śmieciach, wydzierać sobie dają źródła dochodów znaczne? Zarzut podobny przedstawia się mniéj więcéj tak, jak inny, któryby sformułować można: czemu Bulgarowie nie podają się do urzędów? Nie podają się, albowiem ich nie dopuszczają. Tu na straży stoi zakaz wyraźny, tam zwyczaj, przełamanie którego nastąpićby mogło na drodze rewolucyjnéj, wymagającéj szczególnéj odwagi ze strony tych, co by się zaryzykowali najpierwsi. Nie dla czego innego przeto, tylko dla nie narażania się na następstwa smutne, trzymają się zajęć dozwolonych, wywiązując się z takowych w sposób, służący za dowód uzdolnienia ich do fachów innych. Bulgarom rolnikom do zarzucenia nie ma wiele. Nie zastosowują do gospodarstwa rolnego sposobów racyonalnych, dla téj prostéj przyczyny, że ziemia takowych nie wymaga; nie rozwijają uprawy roli na szeroką skalę, nie mając ani gdzie, ani jak zbywać produktów, przechodzących miarę zaspokojenia potrzeb wewnętrznych. Ci wszakże co mieszkają w rejonie miast portowych, wzdłuż Dunaju i nad morzem, sprzedają na okręta kukurydzę, pszenicę i artykuły inne produkcyi rolnéj w ilości małéj, mogącéj atoli powiększyć się, gdyby innemi były warunki bytu krajowego. Produkcya zaś sama, przypatrzywszy się jéj zbliska, służy za świadectwo wcale dla Bulgarów pochlebne, pomimo bowiem że nie jest racyonalną, nie jest jednak pozbawioną ułatwień pewnych umieję-

tnych, jak np. żęcie zboża przy pomocy rękawic drewnianych, dozwalających ujmować w garść kłosów ilość większą aniżeli gołą ręką i zabezpieczających rękę przeciwko skaleczeniom sierpem, albo téż, sposób młócenia za pomocą rozcierania kłosów pod narzędziem, kształtem sanie proste przypominającém, którém kierowanie dostępném jest tak dobrze dla mężczyzny jak dla kobiety. Świadectw podobnych znalazłoby się i więcéj jeszcze, najbardziéj atoli rzucającém się w oczy jest to, które przedstawia ogrodnictwo, stanowiące specyalność bulgarską na całym jak długi i szeroki Bałkańskim półwyspie. Jarzyn, w Rumunii nawet nie uprawia nikt inny, tylko oni. Owóż, przypatrzéć się warto używanym przez nich procederom, tyczącym się przysposabiania gruntu pod jarzyny gatunków rozmaitych, zwłaszcza zaś sposobom irygacyi, wymagającéj nieraz podnoszenia wody na znaczną wysokość, w celu rozprowadzenia takowéj na grządki, na rozsadniki, pod inspekta. Przejawia się w tém wszystkiém inteligencya, że tak się wyrazimy, zarodowa.

To téż, o ile w stycznościach naszych z Bulgarami poznać ich byliśmy w stanie, nie brak im inteligencyi, połączonéj z przymiotem jednym wysoko cennym, a w słowiańskim świecie rzadkim, mianowicie, z pracowitością, jaka w ogólności Bulgarów odznacza. Inteligencya ich pracowitą jest. Nie zaleca ich bystrość umysłowa. Pod względem tym ustępują oni wszystkim gałęziom szczepu słowiańskiego, wynadgradzając sowicie brak ten przymiotem wyżéj wymienionym, z którego wynikają oszczędność i potulność. Ta ostatnia, stanowi rys główny charakteru narodowego bulgarskiego. Nie masz pod słońcem narodu potulniejszego, a zatém do rządzenia nim łatwiejszego. Nie masz jednak reguły bez wyjątków. Do wyjątków zaliczyć należy cały niemal dział kraju, ten mianowicie, któryśmy podali za najczystszy pod względem krwi. Wyjątkowo téż, tak w Rumelii, jak w Bulgaryi naddunajskiéj, zdarzają się indywidua bitne a zuchwałe, nad zajęcia spokojne przekładające hajduczenie w górach i lasach. To atoli przeciwko regule nie świadczy. Ogół narodu odznacza się potulnością, zamiłowaniem spokoju i rządnością, dającą ważną we względzie przyszłych losów jego rękojmię. Niewola na charakterze jego ślady wyryła—temu przeczyć nie można; mimo to jednak, właściwości onego gruntowe tego są rodzaju, że możliwém czynią budowanie przyszłości narodowéj niezależnéj. Właściwości te poczynają się na łonie rodziny, związanéj silnym węzłem moralnym. Z rodziny przechodzą one na gminę; w niéj się odbijają i na niéj kończą. Pole szerszéj działalności jest im wzbronione; na tém atoli

ciasném polu ujawniają się dostatecznie, nadając się do oceny w odniesieniu do życia publicznego. Rządność domowa, prywatna, stanowi ważne bardzo poręczenie we względzie rządności publicznéj, a jest, tak w rodzinie, jak w gminie bulgarskiéj, rzec można, wzorową. Prawda, że do tego przyczynia się potężnie stanowisko obronne, jakie naród cały zajmuje względem wszelkich czuwających nad nim władz. Stanowisko to każe się mieć na baczności ustawicznie, potrzeba zaś mienia się na baczności wytwarza porządek, do którego niezbędną jest rządność. Z tego przeto punktu zapatrując się na tę ostatnią, możnaby zarzucić jéj sztuczność, gdyby w samym zarzucie tym nie znajdowała się strona dodatnia, tłómacząca się nawyknieniem. Przypuszczając nawet słuszność, powiedzieć należy, że ta obraca się na korzyść. Ze wzwyczajonéj do rządności gminy wyjść może w razie danym rządna prowincya, z rządnéj prowincyi rządne państwo. Podwalina tego ostatniego spoczywa w gminie, która pod rządem tureckim posiada dozę pewną samorządu, tyczącego się spraw czysto a ściśle wewnętrznych. Nie urabia to dojrzałości politycznéj, daje jednak takowéj podstawę, na któréj ona—i z pewnością oprzéć się i z łatwością urobić może.

(D. c. n.)

SPRAWA KALKSTEINA.

1670—1672.

(Dokończenie).

III.

Zobaczmy teraz, co po spełnionym na Kalksteinie zamachu robiła Rzeczpospolita, co robił elektor, zobaczmy wreszcie, co się działo z ofiarą podobnego gwałtu, żywym dowodem obelgi wyrządzonéj prawu narodów i godności Rzeczypospolitéj Polskiéj. Zapałkowa, prędko przemijająca drażliwość Polski, polskiéj szlachty i polskich dygnitarzy, uczciwszych i lepszych żywiołów, bo Leszczyńscy, Morsztynowie, Grzymułtowscy, Niemiryczowie i Gurowscy starają się na korzyść elektora brandenburgskiego *osłaniać* całą ohydę gorszącego wypadku, a samegoż Brandta *zasłaniać*,—staje tu w jaskrawym świetle obok z owym dziwnie zimnym, machiawelistycznym, wyrachowanym, jakoby ciągle z bezsilnego gniewu polskiego ironicznie śmiejącym się cynizmem brandenburgskiéj polityki. Według depeszy Brandta do elektora, przeminęły trzy dni właśnie, nim się w Warszawie spostrzeżono, że Kalksteina nie ma, nim się wreszcie zbiegły wszelkie poszlaki i doniesienia, by stwierdzić prawdę faktu, że go uprzątnął gwałt i podstęp brandenburgski. W ten sam dzień poniedziałkowy 1 Grudnia, kiedy więzień pod strażą siepaczy Montgommerego, Flemminga i Baumgardta przeprawiał się pod Willenbergiem przez granicę Księstwa Pruskiego, rozeszła się po Warszawie ku ogólnemu rozdrażnieniu i oburzeniu wieść, że Kalkstein porwany i uwieziony. Jakkolwiek dotychczasowe opowiadanie nasze nie dostarcza zapewnie materyału do zarzutu, abyśmy schlebiali ówczesnéj polskiéj społeczności, abyśmy

się w ocenieniu jéj wartości kierowali jakimbądź optymizmem, grzeszylibyśmy jednakże z drugiej strony przeciw prawdzie dziejowéj, gdybyśmy chcieli twierdzić, że wiadomość o porwaniu i uwiezieniu Kalksteina była przyjęta obojętnie, lub że pozostała bez wszelkiego wrażenia. Każdy, z wyjątkiem osobistości wyżéj wskazanych, a oddanych interesowi brandenburgskiemu, zrozumiał ciężką obelgę wyrządzoną prawu narodów i Rzeczypospolitéj Polskiéj przez dawnego jéj lennika, zabolał ze wstydem i obawą nad losem człowieka, który cokolwiekbądź oddał się ufnie pod opiekę polską, a dla upragnionego związku z Polską, głowę poświęcał. Jakkolwiek cały przebieg sprawy pochwycenia Kalksteina nie był jeszcze znany, jakkolwiek chwilowo żadnych wyraźnych dowodów i poszlak nie było,—zwróciły się przecięż od razu, jak bardzo naturalnie, wszelkie podejrzenia i drażliwości przeciw rezydentewi brandenburgskiemu. Brandt, jak się często bardzo w podobnych razach dziać zwykło, uważał za rzecz stosowną nadrabiać miną i pokazał się w poniedziałek d. 1 Grudnia na zamku. Miał jednakże sposobność przekonania się, że liczy trochę za nadto na dobroduszność polską, a przecenia wartość bezczelności własnéj. Otoczył go groźny tłum szlachty i począł się dobierać do jego osoby; zaledwie przedstawienia o nietykalności prawa narodów, o nienaruszalności reprezentanta obcego mocarstwa zdołały go zasłonić od zaczepki i gwałtów. Podkanclerzy koronny Olszowski i biskup poznański Wierzbowski nie należeli, mimo wysokiego w Rzeczypospolitéj stanowiska do liczby najmniéj głośnych i najmniéj zaciętych przeciw rezydentowi brandenburgskiemu z powodu wykonanego na Kalksteina zamachu. Olszowski, powtarzając zresztą tylko radę barona Meiersberga, posła cesarskiego na dworze warszawskim, mówił, iż trzeba się posłużyć prawem odwetu, że trzeba będzie może nawet pomyśléć o głowie Brandta, za tak straszliwą obelgę przeciw godności Rzeczypospolitéj. „Ależ toby było *contra jusgentiam*,“ zauważył miarkująco wierny adwokat osoby i postępku Brandta podskarbi koronny Morsztyn. „A to co on zrobił, czyż nie jest *contra jusgentiam*?“ odparł groźnie Olszowski, zamykając tém samém usta niecnemu rzecznikowi brandenburgskiego gwałtu. Podobne zajście miał Morsztyn z Guińskim wojewodą chełmińskim. Jak zwykle bronił i zasłaniał Brandta powoływaniem się na prawo narodów. „Prawo narodów,“ odpowiedział surowo Guiński, „nie zasłania tych co je gwałcą!“ (1). Wszystko to napędziło rzecz-

(1) Puffendorfa *De Rebus gestis Friderici Guilelmi, Electoris* tom I, str. 861.

nikowi elektorskiemu niemałego strachu o los brandenburskiego rezydenta. Elektor przewidując podobne niebezpieczeństwo kazał się Brandtowi w liście z dnia 28 Listopada wypierać śmiało wszystkiego. „Powiadaj wszędzie, że ci o téj sprawie nic nie wiadomo," pisze dosłownie. W trzy dni późniéj, pozwala mu ocalić się ucieczką, zaprzéć się jednakże poprzednio swego czynu i wytłómaczyć się królowi Michałowi i podkanclerzemu Olszowskiemu. „Co się tyczy arcybiskupa gnieźnieńskiego (Mikołaja Prażmowskiego) i w. kanclerza koronnego (Jana Leszczyńskiego), uważamy za rzecz zbyteczną pisać (jak się względem nich zachować), dodaje elektor. „Uwierzą ci we wszystkiém i bez tego, jako też i Ty ofiaruj się wszystko, co Ci polecą, wiernie nam donosić." Recepta podobna, dana z odległości berlińskiéj, licząca na filary interesu brandenburgskiego w Polsce, nie okazała się w obec wzrastającego z każdym dniem oburzenia szlacheckiego dostateczną. Brandt złożył z przyjacielem swym i doradcą, podskarbim koronnym Andrzejem Morsztynem, poufną konferencyą, któréj rezultatem był potajemny wyjazd rezydenta z Warszawy do Pruss dnia 4 Grudnia. Brandt wyruszył na Szczytno do Królewca, zacierając istnie jak lis za ścigającymi myśliwcami, ślady swéj drogi i udziału w sprawie pochwycenia Kalksteina (1). „Monsieur!" pisze w saméj nieledwie chwili wyjazdu z Warszawy do następcy swego w rezydencyi warszawskiéj Krzysztofa Wicherta. „Proszę urzędownie rozkazać memu słudze Tomaszewskiemu, aby obu gniadych koni, które wóz ciągnęły, pod żadnym warunkiem nie sprowadzał napowrót, lecz je pozostawił na miejscu; również, aby pod utratą życia, nie wydawał się za mego, lecz lepiéj za podpułkownika (zapewne Flemminga) sługę."

Przybywszy do Królewca, przepędził tamże Brandt kilka tygodni w towarzystwie księcia de Croy i Hoverbecka; pod koniec Grudnia wyjechał, by nie kłuć zbytnio w oczy rozdrażniającéj się coraz bardziéj szlachty polskiéj, pocichu do Stołupia na Pomorzu. W przejeździe przez Gdańsk udawał szlachcica kurlandzkiego i miał się, jak donosi, do nasłuchania licznych przekleństw przeciw niegodziwemu Brandtowi, który jako rezydent brandenburgski dopuścił się tak szkaradnego występku przeciw prawu narodów. Przekonamy się niżéj jeszcze, jakich sztuk, środków i sposobów używali tak

---

(1) Monsieur! Ich bitte dienstlich meinem Diener Tomaszewski zu befehlen, dass er die beiden braunen Pferde, so den Wagen gezogen, ja nicht wieder bringe sondern zdarlasse, und sich uterwegens bei Leibe nicht vor meinen, sondern lieber vor des Oberten-Lieutenant Diener ausgebe.

sam Brandt, jak jego pryncypałowie, by zamydlić światu oczy, by przeinaczyć całą sprawę, by zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, a tymczasem zobaczmy, jaki urzędowy i dotykalny wyraz nadała Rzplta Polska panującemu przeciw elektorowi i reprezentantowi jego oburzenia. Jeżeli się mocno nie mylimy, domięszało się reklamacyi z powodu porwania Kalksteina, prócz zimnego, prawnego, a oficyalnego względu na ujmę i krzywdę wyrządzoną prawu narodów i godności Rzeczypospolitéj, w nieskąpéj mierze uczucie osobistego jakoby rozdrażnienia i gniewu ze strony słabego, ale uczciwego króla Michała i sprzyjających Kalksteinowi dygnitarzy, jako to: Olszowskiego podkanclerzego koronnego, Wierzbowskiego biskupa Poznańskiego, Paca w. hetmana litewskiego, Branickiego nadwornego marszałka koronnego. Kalkstein utrzymywał nienadaremno ścisłe stosunki z księciem Dymitrem Wiśniowieckim, bratem stryjecznym królewskim. Już z powyżéj przytoczonego raportu Brandta do elektora, mieliśmy sposobność przekonać się, jak dalece poczciwy król Michał starał się osłaniać *exulanta* pruskiego, jak nie przyznając się wyraźnie do chęci opieki nad jego osobą, odpiérał przecięż brandenburgską pretensyą wydania go w ręce władz elektorskich. Niedość na tém, wykazują akta późniejszego śledztwa Kalksteina, że Król Michał przyjmował nie bez pewnego osobistego współczucia jego skargi i zażalenia przeciw elektorowi, że wyznaczył nawet czterech senatorów: Reja, wojewodę lubelskiego, w. kanclerza litewskiego Paca, podkanclerzego Michała Olszowskiego i marszałka nadwornego Branickiego do odbycia z nim konferencyi w celu należytego rozbioru jego zażaleń przeciw postępowaniu elektora brandenburgskiego z mieszkańcami Księstwa Pruskiego.

Mimo tedy, że w radzie królewskiéj, że w gronie senatorów i dygnitarzy Rzeczypospolitéj, istniał obok owego przychylnego Kalksteinowi, inny prąd, przeciwny, reprezentowany przez w. kanclerza koronnego Jana Leszczyńskiego i podskarbiego koronnego Morsztyna; mimo daléj, że nikczemny Morsztyn mianowicie nie wstydził się już po dokonanym na Kalksteina zamachu i już po ucieczce Brandta z Warszawy, odgrywać roli jego korespondenta donosiciela i tajnego doradcy,—wyszedł przecięż pod dniem 5 Grudnia 1670 r., nazajutrz po zniknieniu Brandta ze stolicy polskiéj, z kancelaryi królewskiéj z podpisem króla Michała groźny tonem i treścią list do regentów (Oberräthe) pruskich, którymi, nawiasowo powiedziawszy, byli naówczas pod kontrolą elektorskiego namiestnika księcia de Croy i kanclerza Księstwa Pruskiego, Somnitza: Ernest von Wallenrodt, Albrecht von Kalnein i von Tettau. List ten królewski do regencyi pruskiéj przedstawiał fakt porwa-

nia Kalksteina jako ciężką zbrodnię przeciw prawu narodów i stosunkom dobrego sąsiedztwa; wskazywał wyraźnie Brandta jako sprawcę zamachu, którego winy dowodzi najniedwuznaczniéj ucieczka z Warszawy; domagał się zwrotu Kalksteina bez żadnéj dlań krzywdy i szkody osobistéj; żądał wreszcie wydania „*łotrów*“ (plagiarii), którzy się zakradli potajemnie z Pruss do Warszawy i do wykonania zamachu byli pomocni, lub przytrzymania ich, uwięzienia i ukarania na miejscu, gdzie się obecnie znajdują, przez władze elektorskie. Energiczne to wezwanie nie odniosło, jak się inaczéj spodziewać nie było można, pożądanego skutku. Nie dla tego naturalnie puszczał się elektor na ryzykowne przedsięwzięcie chwytania Kalksteina na bruku stolicy obcego państwa, z krzyczącą obrazą prawa narodów, aby się pozbywać drogo zyskanéj zdobyczy za pierwszą lepszą papiérową somacyą; aby, co więcéj, podwładnym reprezentantom swéj władzy, jakimi byli książę de Croy, kanclerz Somnitz i regenci pruscy, pozwalać wydawać Polsce obarczonego kajdanami, przykutego do pnia drewnianego, mieszkańca Memelskiéj „*Pfefferstube*.“ Stosownie do tego, odpowiedziała téż więc na wezwanie króla Michała regencya pruska pod d. 19 Grudnia 1670 grzecznie, ale odmownie, składając się wyższemi rozkazami i powagą elektorską. Na tém jednakże, ma się rozumiéć, nie poprzestała drażliwość polska. Podobne, jak do regentów pruskich, wyszły równie energiczne, równém oburzeniem nacechowane listy króla Michała do samegoż elektora, pod d. 20 Grugnia 1670. I tutaj pojawiał się groźny protest przeciw pogwałceniu prawa narodów, i tutaj powtarzało się żądanie zwrotu Kalksteina.

Politykę elektora w téj sprawie, wielce ciekawą i interesującą w swoim rodzaju, będziemy mieli jeszcze sposobność poddać osobnemu i szczegółowemu rozbiorowi. Na tymczasem dość powiedziéć, że dawał wymijające odpowiedzi, wypiérał się postępowania tych co Kalksteina porwali, osłaniając Brandta; że w rezultacie jednakże ostatecznym odmówił zwrotu więźnia. Pod d. 21 Grudnia 1670 wystosował pomienionéj treści pismo do króla Michała, dodając zarazem, iż „jest rzeczą niepewną, czyli list jego dostanie się do rąk polskiego króla, ponieważ nasz kamerjunker Brandt, za którego pośrednictwem przesłać go zamierzaliśmy, z niewiadomych Nam powodów z Polski wyjechał...“

Równocześnie z tą korespondencyą urzędową, rozpoczęto z ramienia Rzeczypospolitéj troskliwe i we wszystkie szczegóły wnikające śledztwo, którego zadaniem miało być stwierdzenie udziału rezydenta brandenburgskiego w porwaniu i uwiezieniu Kalksteina. Śledztwo to prowadzone z wszelką skrupulatnością

wyprowadziło na jaw owe serdeczno-rubaszne stosunki między Brandtem a Kalksteinem, winę wyraźną Tomaszewskiego, Meglina i Lehndorffa, który ostatni, nawiasowo powiedziawszy, widząc się zagrożonym, wolał w Styczniu 1671 porzucić służbę Rzeczypospolitéj i opuścić Polskę, wreszcie, bardzo dwuznaczną, co najmniéj, rolę Szkota Tamsona gospodarza Brandta na Lesznie. Nadto, rozciągnęło się owo śledztwo na szczegóły transportu Kalksteina do Pruss, wskróś kraju Polskiego i stwierdziło licznemi zeznaniami świadków owe przechwałki Tomaszewskiego, owe lekceważące słowa dragonów elektorskich przeciw królowi i Rzeczypospolitéj. Urosły w ten sposób akta Kalsksteinowéj sprawy w grubą plikę dokumentów, z którémi w ręku można było wystąpić w obec Elektora i Polski, razem ze stanowczém a nie dopuszczającém wykrętów oskarżeniem Brandta. Co w szczegółach tego śledztwa jest rzeczą interesującą, to, że Elektor, dzięki swym przyjaciołom w Polsce, był utrzymywanym w ciągłéj wiadomości o jego przebiegu, że się w nie mięszał, że starał się osłaniać skompromitowane w swych usługach osobistości. Tak np. istnieje w aktach list Elektora do Jana Leszczyńskiego, W. Kanclerza Koronnego, z prośbą za gospodarzem Brandta, Tamsonem, „ponieważ go podczas wykonania zamachu na Kalksteina wcale nawet w domu nie było.“ Przygotowawszy tenże materyał, przygotowawszy go nawet bardzo prędko, bo w ciągu miesiąca Grudnia roku 1670, polskie śledztwo było już ukończone, — postanowił, pod dniem 21 Grudnia, król Michał i przychylni Kalksteinowi dygnitarze Rzeczypospolitéj, wśród milczenia nieśmiejących otwarcie podnieść głosu rzeczników i agentów sprawy elektorskiéj, wyprawić z nim w specyalnéj misyi do Berlina osobnego posła. Wybór króla padł na Wojciecha Opackiego, Podkomorzego Warszawskiego Starostę Latowickiego, osobistość pod względem charakteru zacną, przeświadczoną głęboko o całym ciężarze krzywdy, jaką Rzeczpospolitę przez porwanie Kalksteina spotkała, pogniéwaną osobiście z Brandtem, co się tyczy zdolności, nienowicyusza w zawodzie dyplomatycznym, znającego języki, wypróbowanego rzecznika praw polskich na dworach Sztokholmskim i Kopenhagskim w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza. W końcu Grudnia 1670 r., wybrał się Opacki w swéj misyi do Berlina, ku zakłopotaniu Elektora, ku niepokojowi Brandta, ponieważ po za nim wzbiérał coraz wyżéj nurt oburzenia polskiego przeciw Brandenburgii.

Opacki stanął w Berlinie w pierwszych dniach Stycznia 1671 roku i podał do Elektora pismo, w którém charakteryzował Kalksteina, jako „z pochodzenia szlachcica polskiego, noszącego nazwę

Stolińskiego, w służbie wojskowéj dobrze znanego i około Rzeczypospolitéj dobrze zasłużonego", domagając się zarazem wydania go Polsce, żądając surowego wymiaru kary przeciw Brandtowi, Baumgardtowi i Montgommeremu. Jaki był szczegółowy przebieg osobistych konferencyj między Elektorem a wysłańcem polskim, nie umiémy powiedzieć. Akta archiwum berlińskiego nie zawierają w téj mierze żadnéj wzmianki, a sprawozdania Opackiego znajdują się lub znajdowały prawdopodobnie w aktach kanclerskich polskich, których z owego czasu nie posiadamy. Uchylają jednakże nieco zasłonę po nad tajemnicą owych konferencyj listy Brandta ze Stołupskiego schronienia, i następcy czy zastępcy jego Wicherta z Warszawy. Istne to światło cieniowo-charakterystyczne, szydercze śmiechy Szekspirowych trefnisiów wśród głębokich wstrząśnień i wzruszeń krajowéj tragedyi. „Trzeba", pisze Brandt pod dniem 8 Stycznia 1671 r. do elektora, „przeczekać cierpliwie pierwszą polską furyą... Kilku magnatom trzeba będzie jednakże coś zaofiarować..." Ciekawszy pod tym względem może jeszcze, jest list Wicherta do Elektora z dnia 11 Stycznia 1671 r. Wichert radzi dla zyskania czasu odwlekać stanowczą odpowiedź. „Do tego zaś wybiegu", pisze dosłownie daléj, "przyczynić by się mógł wielce niedostatek pieniędzy, ponieważ odebrałem pewną wiadomość, że panu Opackiemu w zamierzoną tę podróż dano na utrzymanie nie więcéj, jak 500 talarów sześciogroszówkami polskiemi, za które w Berlinie długo nie będzie mógł bawić... Tymczasem mogłabyś Wasza Elektorska Mość Posła polskiego w Berlinie zatrzymać, aby go późniéj nibyto z czémś pewném dopiéro odprawić. Aby mu zaś pobyt osłodzić, trzeba Posła jak najuprzejmiéj traktować, dać mu sposobność zwiedzenia np. Spandawy, Kistrzyna i w ogóle tego, co godnego widzenia." Bawić i usypiać tedy Posła polskiego, bawić, łudzić i usypiać szlachtę polską, kiedy więzień Memelski spogląda przez kraty swéj kaźni ku Polsce i roi sobie może w sennych marzeniach nadziei, zbawczą odsiecz dawnych towarzyszów broni, —otóż polityka zimnéj rachuby brandenburgskiéj w obec gorączki i drażliwości polskiéj!

Tymczasem, wyznajmy dla oddania czci prostéj prawdzie historycznéj, nie ustaje pomiędzy szlachtą polską udział dla uwięzionego Kalksteina, nie chłodnieje przez rok 1671 przynajmniéj jeszcze przeświadczenie wyrządzonéj Polsce obelgi. Różni wiadomi i niewiadomi agenci interesu brandenburgskiego w Polsce, nie omieszkują donosić skwapliwie Elektorowi o wszelkich tego rodzaju niebezpiecznych dlań objawach. Widzieliśmy już, jak pod grozą owego pomruku ogólnego oburzenia, Brandt znalazł się w konie-

czności uciekać potajemnie; jak skompromitowany razem z nim pułkownik Lehndorff porzucił służbę i kraj polski, by uchronić zagrożoną głowę, jak Brandt przekradał się przez terytoryum polskie, udając szlachcica kurlandzkiego i słysząc przekleństwa przeciw własnéj osobie. Zobaczymy późniéj, jak Elektor i książę de Croy mimo wszelkiego cynizmu, mimo lekceważenia niemocy polskiéj a zaufania we własną zręczność i siłę, uważali przecięż za rzecz konieczną wśród zachowania najwyszukańszych środków ostrożności „przemycić“ Montgommerego, Baumgardta i Fehra z Pruss przez kraj polski na terytoryum elektorskie. Wszystkie te brandenburgskie obawy i ostrożności są niczém inném, jak barometrem, z jednéj strony, stanu oburzenia polskiego z powodu porwania Kalksteina, z drugiéj, możności praktycznie niebezpiecznych jego następstw. Usposobienie podobne ówczesnéj opinii publicznéj polskiéj, najwidoczniejsze naturalnie i najgroźniejsze w pierwszych miesiącach po dokonanym zamachu, ale objawia się z niemniejszą siłą i późniéj jeszcze. Pod dniem 24 Kwietnia 1671 r., pisze książę de Croy do Elektora. „Jest zresztą rzeczą pewną, że pomiędzy szlachtą w Polsce z powodu osoby Kalksteina wiele rumoru“ i radzi dla ułagodzenia rozdrażnionéj opinii, wyprawić do Polski nadzwyczajnego Posła. Późniéj nieco, pod dniem 16 Maja 1671 r., pisze Wichert do księcia de Croy: „Nadworny Marszałek Koronny Branicki zauważył z wielkiém rozdrażnieniem, że Jego Elektorska Mość winna Jego Królewskiéj Mości z powodu uprowadzenia Kalksteina satysfakcyą, a nie ociągać się z wymiarem takowéj przez wzgląd na trudne położenie tutajszego Królestwa. Rzeczpospolita bowiem nie pozostawiłaby podobnego postępku bez pomsty swego czasu, gdyby Jego Elektorska Mość rzecz tę sobie lekceważyła i nie chciała się zdecydować na odpowiednią satysfakcyą...“ Jeszcze późniéj, pod dniem 19 Sierpnia 1671 roku, doszło plackomendanta miasta Memla, jenerała Görzkego, bezimienne z Polski pismo, w którém niewiadomy przyjaciel ostrzegał go, iż wzburzenie w Polsce z powodu Kalksteina coraz groźniejsze, że lada moment w czyn się obrócić może, a mianowicie, że W. Hetman Litewski Pac zabiéra się z Litwą i Kozakami wpaść w celu oswobodzenia Kalksteina do Pruss, „choćby połowa Polski z tego powodu wniwecz pójść miała.“

Równocześnie poruszono na sejmikach sprawę Kalksteina i starano się dać o tém wiadomość więźniowi za pośrednictwem jego małżonki. Akta Kalksteinowego procesu wskazują nam pod tym względem ciekawy ślad. W miesiącu Wrześniu 1671 r., udał się widocznie z polecenia bądź to szlachty Wielkopolskiéj, bądź

to może nawet królowéj Eleonory, do Malborga Franciszek Gębicki, Starosta Nowodworski, i starał się powziąść języka o uwięzionym pułkowniku. W tym celu wyprawił przez pewnego posłańca do żony jego list brzmiący dosłownie, jak następuje: „Mnie wielce Miłościwa Pani Obersterowa, Moja Miłościwa Pani y Przyjaciółko! Lubo nieznajomy z Moją Miłościwą Panią, jednak z Jmć Panem Małżonkiem bardzo dobrze w braterstwie zostaję. Więc umyślnie posłańca mojego do Wielce Miłościwéj Pani posyłam, dowiadując się o Imci małżonku Pani, albowiem to moje zlecenie od Królowéj Jejmości y innych, żebych gruntownie wiedzieli przed sejmikami Wielkopolskiemi, jeżeli Jejmci małżonek żyje, albo nie, bo na tém wszystkiey Rzeczypospolitéj zależy, o czém szerzey ten posłaniec opowiedzieć może, bo listownie tego konkredować nie chcę. *Franciszek Gębicki, Starosta Nowodworski*, w Malborku, 29 Września 1671 r." List ten nie dostał się w ręce małżonki Kalksteina, lecz został przejęty przez władze elektorskie i znajduje się w aktach procesu, pozostawiając zarazem dowód usiłowań polskich około wydobycia nieszczęsnego więźnia na wolność.

Takich dowodów udziału szlachty polskiéj dla osoby Kalkseina dałoby się przytoczyć więcéj. W obec zimnego a systematycznie polskie kłopoty i polskie słabości wyzyskującego przeciwnika znaczyły jednakże równie mało, jak owe papierowe somacye króla Michała, jak owe energiczne, ale bezskuteczne nagabywania zacnego, ale niepopieranego siłą, zabawianego mamidłami, odesłanego ze stanowczą odpowiedzią zawsze na późniéj Opackiego. Elektor spekulował w obec gorączki i rozdrażnienia polskiego na zimno; czekał, by mówić słowami Brandta, aż „polska furya przeminie;" widział, że po za fermentem oburzenia i gniewu, nie ma siły, coby go w czyn zamieniła; znajdował ku wstydowi i hańbie Polski agentów i przyjaciół, którzy opinią ziomków jakoby za puls trzymając, o każdem drgnieniu usposobienia ogólnego w Polsce skwapliwie mu donosili. Prócz tego, nie zapominajmy a powiédzmy ku uniewinnieniu ówczesnéj Polski w stosunku jéj do Pruss i w sprawie Kalksteina, rozwścieklała się właśnie w tymże samym czasie, właśnie w tychże samych dniach nieledwie coraz groźniéj, coraz sroźéj nawałnica wojny tureckiéj w połączeniu z wewnętrzną burzą, która późniéj znalazła ostateczny wyraz w konfederacyi gołębskiéj. W obec tych świeższych niebezpieczeństw i wrażeń schodziła sprawa Kalksteina powoli na drugi plan, zacierała się piérwsza drażliwość z powodu doznanéj ze strony elektora obelgi. Pamięć nieszczęsnego więźnia cytadeli Memelskiéj zacierał w poczuciu publicznem widok płonącego Podola i Ukrainy, jeńców polskich pędzo-

nych przez Tatarów w jasyr. Szturm Turków na Trębowlę odwracał uwagę od zamierzonego może przez tych i owych, co gorętszych Polaków szturmu na elektorski Memel; utracony Kamieniec dolegał boleśniejszą raną od figla spłatanego Rzeczypospolitéj w Tamsonowéj gospodzie na Lesznie; dwóch nieprzyjaciół niepodobna było sobie zwalać od razu na kark; przyrzeczona traktatami pomoc brandenburgska mogła być potrzebną,— Kalkstein został, powiédzmy, wśród owych świeżych wrażeń i niebezpieczeństw zapomniany w swéj więziennéj celi!

Jeżeli tak z jednéj strony polityka Rzplitéj Polskiéj w téj sprawie, polityka niemająca zamiaru poprzeć słowa czynem, polityka zapałkowéj, jak już powiedziano, namiętności, ale i zapałkowéj trwałości robi wrażenie smutne, przykre, upokarzające,— sprawia z drugiéj strony ziębiące cynizmem i przewrotnością wrażenie równoległa i równoczesna w tym zatargu z Rzplitą polityka brandenburgska. Nasamprzód kieruje nią najwidoczniéj obawa, aby słowo polskie nie stało się czynem, aby oburzenie polskie nie poszukało sobie wpływu do Pruss, aby towarzysze broni Kalksteina nie poszli czasem odbijać szablami drzwi jego więzienia. Pod wpływem téj słusznéj czy przesadzonéj obawy, rozpoczynają elektor i reprezentanci jego władzy grę lisią, drobiazgową, dwulicową, któraby często była komiczną, gdyby sobie nie trzeba przypominać, że z po za téj szatańsko-figlarnéj komiki wychyla głowę krwawa tragedya rzeczywistości. Od pierwszéj chwili wysila się oficyalna akcya dyplomatyczna elektora na przekonanie świata i Polski, że *on sam* nie ma najmniejszéj winy w porwaniu i uwiezieniu Kalksteina. Odpowiadając królowi Michałowi na jego ponawiające się, groźne wezwania, zarzeka się i zaklina, że nie wié o niczém, że zdrajcy Kalksteina wprawdzie wydać nie może, ale że nie domyśla się nawet, dla czego właściwie Brandt z Polski uciekł a że go z pewnością wraz ze sprawcami zamachu ukarze, skoro mu tylko wina dowiedzioną będzie. Śmielszy nieco w liście do przychylnego sobie prymasa, Mikołaja Prażmowskiego, pisze pod dniem 19 grudnia 1670 r.: „Komunikuję ci twarde pismo króla Polskiego do pruskiéj regencyi i wezwanie z powodu uwięzienia zaprzysiężonego nam wroga Kalksteina. Prosiłbym króla polskiego, aby drażliwość swoję i gniew na tych raczéj rzucił, co arcy-zbrodniarza Kalksteina, którego wydania, acz napróżno, u Jego Kr. Mości żądaliśmy, z Polski do rąk władz elektorskich dostawili. Jak się to stało, jest rzeczą jeszcze nie wyjaśnioną, oznajmi o tém jednakże szczegółowo J. K. Mości Brandt, który na pewien czas dla swoich

interesów był zmuszony z Polski wyjechać, a jemu też zupełną wiarę dać należy"...

Później, w obec somacyi Opackiego, pokorniał znów elektor, a pod dniem 30 stycznia 1671 r. wydaje rodzaj manifestu, w którym czytamy, „że Brandt, Montgommery i niejaki Baumgardt dopuścili się gwałtu na osobie Kalksteina wraz z kilku jeźdźcami..., Których to rzeczy nietylko nie nakazaliśmy, ale nie mieliśmy nawet o nich najmniejszéj wiadomości a dowiedzieliśmy się o nich z najwyższem niezadowolnieniem." Zarazem zapowiadał śledztwo i karę przeciw Brandtowi i jego współwinnym. Komedya owego śledztwa rozpoczęła się rzeczywiście. Fiskał elektorski ułożył przeciw „kamerjunkrowi Euzebiuszowi von Brandt kryminalny akt oskarżenia, ponieważ pułkownika Kalksteina, gdy go w mieszkaniu jako przyjaciel odwiedzał, umyślnie z zbrojną ręką napadł a nietylko według sprawozdania oblegata Jegomości króla Polskiego, na nogach i rękach związać, lecz i do Pruss na zakrytym wozie odwieść kazał." O dalszym przebiegu i kolejach tego śledztwa i procesu, pomówimy jeszcze niżéj, tymczasem dość powiedziéć, że wydany późniéj pod pieczęcią i podpisem sądowym prawomocnie w sprawie Brandta wyrok zawierał również najuroczystsze zaręczenie, iż elektor nie miał najmniejszéj wiadomości o postępku swego rezydenta.

Nie w tém jednakże jest cały ów proces *komedyą*, ani też rozpoczyna się ona z *nim* dopiero. Owa dwulicowa zabawka traktuje się równolegle i równocześnie wśród najuroczystszych zaręczeń własnéj niewinności, wśród najenergiczniejszych zapewnień kary i śledztwa przeciw winnym. Właśnie w owych dniach Grudniowych i Styczniowych, kiedy oburzenie w Polsce, z powodu zamachu na Kalkseina, dochodzi do najwyższego stopnia, kiedy elektor najhojniejszy w zaręczeniach poszukiwania winnych, znajdujemy następne dokumenta, częścią jego własnéj, częścią księcia de Croy ręki. Mniejsza, że książę de Croy w liście do elektora z dnia 16 grudnia 1670 r. poleca wyraźnie Baumgardta jako oficera wojska litewskiego zasłużonego w sprawie pochwycenia Kalksteina, nieskończenie ważniejszym dla ocenienia dobréj wiary elektora w całéj téj sprawie jest następny list jego do księcia de Croy z dnia 28 listopada (v. s.) 1670 r. (1). „Z pisma Waszéj Miłości do Nas z dnia 2 grudn. (n. s.)

---

(1) Aus Eurem liebenden vom 20 December an Uns abgelassenen Schreiben, haben Wir gewarvernommen, dass der Lieutenant Montgommery des Kalkstein sich endlich bemächtiget und selbigen bereits in Unser Herzogthum Preussen gebracht.., welchem im mittelst vorgemalten Lieutenant unsere Gnade und dass Wir seine Uns hierunter geleisteten treun Dinste wirklich anerkennen werden, unseretwegen versichern könnet.

dowiedzieliśmy się z zadowolnieniem, że porucznik Montgommery pochwycił nareszcie Kalksteina i że go już dostawił do naszego księstwa Pruskiego. Możecie zapewnić tymczasem wzwyż wspomnianego porucznika o naszéj łasce i że mu za wyświadczone Nam w téj sprawie wierne usługi rzeczywiście wdzięczni będziemy.“ Ów objaw elektorskiego zadowolnienia i elektorskiéj wdzięczności dla jednego z głównych aktorów zamachu na Kalksteina, nosi nieledwie jednę i tę samę datę z dokumentem, w którym elektor zaręcza (1), iż „podobnego postępku nie nakazał, ani o nim najmniejszéj wiadomości nie miał, że się o nim z najwyższym niezadowolnieniem dowiedział, że zaś przeciw wszelkim sprawcom jego surowe zarządzi śledztwo i karę!

Zobaczmy teraz, jak troskliwéj, macierzyńskiéj nieledwie pieczołowitości i opieki przedmiotem są dla niego i dla księcia de Croy zagrożeni śledztwem i karą sprawcy warszawskiego zamachu. Wszyscy począwszy od Brandta, skończywszy na ostatnim dragonie z tamsonowego poddasza, schronili się na terytoryum księstwa Pruskiego. Tutaj mógłby jednakże przedłużający się ich pobyt kłuć w oczy drażliwość polską. Trzeba ich więc usunąć. Jak się to stało z Brandtem, wiadomo nam już. Przypatrzmy się następnie dalszéj Odyssei Montgommerego, Baumgardta i Fehra. Ich właśnie zasłonić od wszelkich rzeczywistych następstw prawdziwego śledztwa, było rzeczą tém potrzebniejszą dla taktyki brandenburgskiéj, ponieważ, jak zobaczymy niżéj, wszelka jéj farbująca prawdę usilność zwracała się, początkowo przynajmniéj na oczyszczenie Brandta, na zwalenie istotnego ciężaru winy na *podrzędne* osobistości. Rzeczpospolita domagała się śledztwa, Opacki siedział w Berlinie i stawał się niewygodnym przez swą natarczywość. Wskazawszy jako prawdziwych sprawców zamachu Montgommerych, Thehrów czy Baumgardtów, nie można było w żaden sposób uniknąć wytoczenia im śledztwa. Pociągnieni za język mogli stać się niebezpiecznymi, wyśpiewać więcéj, aniżeli było trzeba, skompromitować Brandta, doprowadzić ciekawych i zainteresowanych w téj sprawie, po nitce do kłębka. Zapada więc między elektorem a księciem de Croy cicha decyzya usunienia owych narzędzi Kalksteinowego zamachu z obrębu doniosłości polskiéj podejrzliwości. Po oddaniu im, jak co dopiéro widzieliśmy, ze strony elektorskiéj własnoręcznych pochwał, przyrzeczeń wdzięczności i na-

(1) Z 30 stycznia 1671 r. do Rzeczypospolitéj: „Dergleichen Dinge Wir so wenig befohlen, dass Wir auch nicht einmal, Nachricht oder Wissenschaft davon gehabt.“

gród, po wyparciu się ich równoczesném i własnoręczném w dokumentach publicznych przeznaczonych dla wiadomości polskiéj, znajdujemy w aktach procesu następny francuski list księcia de Croy do komendanta Kołobrzega z Królewca dnia 28 lutego 1671 r. (1). „Poszuka on (Montgommery) schronienia w Kołobrzegu i okolicy, kiedy tutaj tymczasem pójdzie śledztwo drogą sprawiedliwości, aby dać satysfakcyą dworowi polskiemu, który ma doń żal, ponieważ wziął pewien udział w porwaniu Kalksteina. Spodziewam się przecież, że to nie potrwa długo, i że dwór ten będzie zaspokojony na innéj drodze. Tymczasem chciałem ci polecić tego kawalera, który jest z pewnością bardzo poczciwym i dzielnym człowiekiem a godnym stosunków z Tobą i Twojéj opieki, któréj będzie bardzo potrzebował podczas tego *Pathmosa* nakazanego przez naszego pana, który przecięż nie będzie się gniewał, że ten biedny *Sündenbock* (kozieł ofiarny) będzie dobrze przyjęty i schowany w swém schronieniu, *bis das Ungewitter vorübergehe* (aż burza przeminie).“ W ten sam sposób zniknęli z obrębu dosięgalności władz elektorskich Baumgardt i Fehre, nie mówiąc o prostych dragonach załogi Memelskiéj, użytych do pochwycenia Kalkseina. Nawet owo schronienie Kołobrzegskie jednakże nie zdawało się dość bezpieczném dla nich elektorowi. W liście z dnia 10 maja 1671 r. donosi księciu de Croy, iż uznał za rzecz stosowną wyprawić Montgommerego w podróż do Angli i Hollandyi, zachowując mu w czasie nieobecności całą dotychczasową porucznikowską gażę.

Najwstrętniejsze przecięż próby wyprawiają machiawellizm i cynizm polityki brandenburgskiéj w téj sprawie na znajdującéj są pod jéj kluczem, samejże osobie bohatéra naszego opowiadania. Potrąciliśmy już wyżéj o taktykę obrony brandenburgskiéj. Elektor sam zapiéra się, jak już nam wiadomo, wszelkiego udziału i wszelkiéj wiadomości w sprawie tegoż zamachu. Pod dniem 28 listopada (v. s.) 1670 r., przesłał Brandtowi znany wam już lakoniczny rozkaz, aby się tłumaczył, „iż mu o całéj téj rzeczy nic nie wiadomo.“

---

(1) Lequel (Montgommery) cherchera son asyle à Colberg et aux environs, pendant qu'on procedera ici par la voye de justice: pour donner satisfaction à la cour de Pologne, qui luy en veut, pour avoir enquelque part dans l'eulèvement de Kalkstein. J'espère pourtant, que ce ne sera pas pour longtemp et que cette cour sera apaisée par d'autres voyes. Cependant je Vous ai voulu recommander ce cavalier qui est certes très-honnête et brave homme et digne de votre rapport et de Votr protection, de laquelle il aura bien dé besoin pendant ce *Pathmos* ordonné de notre maitre, qui cependant ne sera pas faché que ce pauvre *Sündenbock* soit bien reçu et accommodé dans sa retraite, *bis das Ungevitter vorübergehe.*“

(Dass dir von dieser Sache nichts bewusst gewesen). Stosownie do tego ma więc i Brandt mimo swéj ucieczki i po swéj ucieczce z Warszawy stanąć czystym i niewinnym w obliczu Rzeczypospolitéj, a cała sprawa porwania Kalksteina wyjść na czyn zemsty osobistéj, na awanturę między Mantgommerym, Baumgardtem i Kalksteinem, któréj przyczyn i początków należy szukać w zatargu podczas wspólnéj służby w wojsku litewskiém cudzoziemskiego autoramentu.

Stosownie do podobnie usnutéj baśni, układa się téż oficyalna korespondencya różnych wyższych i niższych dygnitarzy brandenburgskich. Mianowicie odzywa się w samęż wilią swéj ucieczki z Warszawy, dnia 3 grudnia 1670 r., Brandt do księcia de Croy w sposób następny: „Dla bezpieczeństwa mego a dla dobra elektora, wypadnie rozrzucić wieść, że pewien oficer z wojska litewskiego, nazwiskiem Baumgardt, który pod ojcem Kalksteina służył, wraz z kilku innymi, dawnymi towarzyszami swymi, pułkownika na P. Tamsona podwórzu, gdy mnie tamże chciał odwiedzić, lecz w domu nie zastał, potajemnie napadł, porwał i *naszym* nad granicą pruską wydał. Tutaj bowiem zarządzają nadzwyczaj ostre śledztwo a trzeba sprobować, czy mi się nie uda wykręcić za pomocą takiéj pogłoski.“ Radził zarazem Brandt, aby dla tém prawdopodobniejszego upozorowania téj baśni, zmusić samegoż Kalksteina do zawiadomienia w tém znaczeniu jego protektorów polskich, mianowicie podkanclerzego koronnego Olszowskiego i biskupa poznańskiego Wierzbowskiego. Sztuczka ta była pozornie zbyt zręczną, aby się jéj machiawelizm taktyki brandenburgskiéj nie był miał skwapliwie chwycić. Zapewnie już w poprzedniém porozumieniu z Brandtem, przesyła należący do eskorty Kalksteina pułkownik Henryk Flemming pod dniem 3 grudnia 1670 r. do księcia de Croy list, w którym donosi o przejeździe więźnia przez Tapiau i nibyto na podstawie odbytéj z nim rozmowy, szczegóły jego porwania z Warszawy w sensie baśni Brandtowéj opisuje. Usłużny zaś zawsze w tego rodzaju przypadkach książę de Croy pisze do Brandta w liście z Królewca dnia 6 grudnia 1670 r., przeznaczonym umyślnie do jego potrzeby warszawskiéj: „Teraz powiem Ci, że mi donosi (Flemming), jako słyszał z własnych ust pomienionego Kalksteina, że był pochwycony i uprowadzony z Warszawy przez pewnego chorążego, nazwiskiem Baumgardt, który służył dawniéj w jego pułku na Litwie, a z którym od niejakiego czasu miał zatarg z powodu płacy i zaległości, do jakich sądzi mieć jeszcze pretensyą.“ Dodawał nadto w swym liście książę de Croy, że wszystko stało się *„à l'insu de l'Electeur.“*

Najważniejszym jednakże, kardynalnym skuteczności podobnéj baśni warunkiem było, aby sam Kalkstein dał jéj zatwierdzenie jakim własnoręcznym, o ile możności aktem. Stało się i pod tym względem według potrzeby brandenburgskiego systemu obrony. Jakich gróźb czy próśb, jakich środków przymusu czy gwałtu, jakich obietnic i przyrzeczeń użyli do tego eskortujący Kalksteina, Flemming, Montgommery i Baumgardt, nie wiémy. Tyle tylko rzeczą pewną, że z tego samego popasu w Rastenburgu i z téj saméj daty 3 grudnia 1670 r., pod którą Flemming przesyła księciu de Croy swą bajeczną relacyą o szczegółach porwania Kalksteina, znajdują się w aktach *kopie* dwóch samegoż Kalksteina listów, wiernie według powyższéj recepty Brandtowéj ułożonych, jednego do Michała Olszowskiego podkanclerzego koronnego, drugiego do Stefana Wierzbowskiego biskupa poznańskiego. W obu listach, które prawdopodobnie nie zdołały wywieść w pole korespondentów Kalksteina, znajdujemy również relacyą zamachu warszawskiego, ubarwioną najzupełniéj według listów Brandta i księcia de Croy.

Otóż to tedy sztuczki i kręte drogi taktyki brandenburgskiéj w téj sprawie, dla uzupełnienia których wypada nam jeszcze dodać następny, ciekawy szczegół. Jak nam z dotychczasowego opowiadania aż nazbyt dobrze wiadomo, liczył elektor pomiędzy dygnitarzami i magnatami polskimi wielu i możnych przyjaciół. Trudniejsza za to była sprawa ze szlachtą, wielkopolską zwłaszcza, która w téj sprawie była najgłośniejszą i najgroźniejszą, a o któréj *zbiorowém* pozyskaniu czy przekupieniu mowy naturalnie być nie mogło. Posłużył się więc elektor w obecnym przypadku i w obec *téj* części społeczeństwa polskiego następnym środkiem. Za pośrednictwem oddanego sobie całkiem Jana Leszczyńskiego w. kanclerza koronnego, kazał rozrzucać pomiędzy szlachtą wielkopolską ułożony przeciw Kalksteinowi pod tytułem: *Christiani Ludovici Kalksteinii Mores et Fatum* paszkwil. Nadto poszukał sobie na agenta swéj sprawy w Wielkopolsce Krzyckiego podkomorzego Kaliskiego, o którym pod dniem 6 stycznia 1671 r. sam pisze, że się jego nikczemnéj roli nikt nie domyśli, „ponieważ u wszystkich uchodzi za szczególnego patryotę i ma z tego powodu niesłychanie wielkie zachowanie pomiędzy *braćmi*.“ Otóż więc z jednéj strony Polska, otóż z drugiéj Brandenburgia w obec następstw dokonanego na Kalksteina zamachu; otóż objawy i oscylacye wielkiéj polityki, wywołane wypadkiem z dnia 28 listopada 1670 r.

Czas teraz, po téj długiéj wycieczce, wrócić znów do osoby naszego bohatéra, zajrzéć do jego więziennéj celi, rozpatrzéć się

w szczegółach wytoczonego mu na nowo procesu, aż do tragicznéj chwili ostatatecznéj katastrofy. Nim do nich przystąpimy, niechaj nam będzie wolno zapisać w naszém opowiadaniu spostrzeżenie ogólnego znaczenia. Jeśli *polityka* brandenburgska dla żyjącego Kalksteina była cyniczną, podstępną i okrutną naprzemian, tłumacząca ją i barwiąca zabiegle *historyografia* brandenburgska jest dla niego dziwnie nieprawdziwą i niesprawiedliwą. Nie dość było swego czasu *polityce* brandenburgskiéj podejść w niegodny sposób dobrą wiarę Kalksteina, pochwycić go podstępnie i gwałtownie na bruku stolicy obcego państwa, poddać go torturze i zrzucić po dwóch latach męczeńskiéj kaźni jego głowę,—trzeba jeszcze dzisiaj *historyografii* brandenburgskiéj znęcać się nieszlachetnie nad jego osobą, szarpać jego charakter, czernić jego imię. *Czernienie* w ten sposób ofiary ma widoczny i dotykalny cel *wybielenia* sprawców jéj nieszczęścia; skoro Kalkstein będzie *czarnym*, stanie naturalnie elektor w białéj szacie niewinności. Zarzut ten stosujemy przedewszystkiém do prof. Droysena, w dziele jego: *Der Staat des grossen Kurfürsten*, w którém, mniejsza już, bo naturalną z jego stanowiska jest rzeczą, że występuje jako przeciwnik politycznych usiłowań Kalksteina, ale gdzie jest gorszém i mniéj naturalném, że usiłuje go z krzywdą prawdy, któréj mu porówno z nami była dana możność poznania i stwierdzenia, poniżyć jako człowieka, odebrać mu zasłużone współczucie teraźniejszości. Na szczęście nie przemawia za podobną taktyką poniżania Kalksteina *prawda* dziejowa, prawda, wydobywająca się na wierzch czy to z pod przymusu tortury, czy z pod grozy katowskiego miecza, na szczęście, powiadamy wyraźnie, bo prócz współczucia naturalnego dla każdéj ofiary, przykro by nam było, gdyby osobistości obcego narodu, któréj było dano przypieczętować krwią miłość dla kraju naszego, nie była miała innéj, wyższéj, pod względem życia i charakteru po nad tę przypadkową zasługę, wartości. Nieskłonni wcale, jak tego w ciągu niniejszego opowiadania liczne daliśmy dowody, idealizować naszego bohatéra, winniśmy mu tymczasem w owéj ostatniéj a najcięższéj próbie życia najsumienniejszą rehabilitacyą. Wartość charakteru i człowieka wykazują dopiéro w prawdziwém świetle ciężkie próby i doświadczenia. Ileż to fałszywych i pożyczaném światłem błyszczących wielkości widzimy łamiących się za pierwszém zwarciem z niepowodzeniami i niełaską losu. Ileż przeciwnie wad, błędów i grzechów żywota widzimy, w ludziach prawdziwego hartu i charakteru, niknących w obec rozstajnych prób życia, topniejących w żarze niebezpieczeństwa i grozy, by istnie jak szlachetny metal w gorącym ogniu złotnika, czy mennicy, pozbyć się

wszelkich zewnętrznych naleciałości, wykazać swą prawdziwą a drogocenną wartość! Podobnie dzieje się z Kalksteinem od chwili, odkąd się za nim zawarły podwoje Memelskiéj kaźni. Dotąd znaliśmy go rubasznym, gadatliwym, często niekonsekwentnym, lubiącym się przechwalać. Odtąd nie widać w nim stron podobnie ujemnych. Niebezpieczeństwo uszlachetnia go jako człowieka i obywatela, z ostatniéj téj a najcięższéj życia swego próby wychodzi godnie i czysto. Z opowiedzianych przez nas niżéj szczegółów będzie rzeczą czytelnika osądzić, czy mamy słuszność, oddając mu powyższe uznanie.

Jak już tedy powiedzieliśmy wyżéj, stanął Kalkstein pod bramą cytadeli Memelskiéj, wieczorem dnia 9 grudnia 1670 r., i dostał się pod straż plackomendanta jéj, generała Görzke. Powiedzieliśmy również, że wtrącono więźnia do najtwardszéj w całéj cytadeli kaźni, że go obarczono kajdanami, przykuto do dębowego pnia, otoczono jak najściślejszą strażą. Co się tyczy traktowania więźnia, zależało ono niby to od generała Görzkego, w gruncie rzeczy jednakże widzimy, że elektor sam, odbierający liczne a szczegółowe sprawozdania o każdym ruchu i słowie Kalksteina, uczynił się osobiście stróżem więzienia swéj ofiary. Pobyt Kalksteina w więzieniu przedstawia, stosownie do usposobienia elektora, najrozmaitsze przemiany. Nie umiémy powiedzieć, czy pewne względy ludzkości, czy téż obawa może odwetu polskiego sprawiły, że początkowo wychodzą z Berlina rozporządzenia nieco łagodniejszéj natury. Tak np. pozwala elektor więźniowi książek, atramentu, pióra, papieru, tabaki, od czasu do czasu i kieliszka wina (auch einen Trunk),—późniéj jednakże zmienia się ta łaskawość. Podejrzywa elektor, że więzień koresponduje potajemnie z żoną za pomocą przesyłanych książek i zabrania takowych. W czerwcu 1671 r. było mu wolno widzieć się z żoną, późniéj znów jednakże, pod dniem 14 września 1671 r., wychodzi do Görzkego elektorski rozkaz, „aby odtąd nie dopuszczano nikogo do Kalksteina i baczną nań miano uwagę.“ W ogóle ciekawą téj niewoli pozostanie stroną, że równocześnie z wielkim procesem politycznym wytoczonym Kalksteinowi, ciągnie się bez ustanku prawie śledztwo drobiazgowe, bardzo mało zresztą interesujące, przeciw jego żonie, przeciw nauczycielowi jego dzieci niejakiemu Kelchowi, przeciw księdzu miejscowemu w Memlu z powodu korespondencyi, jaką więzień utrzymuje, czy stara się utrzymywać z rodziną i przyjaciołmi na wolności.

Małżonka Kalksteina, zacna pod każdym względem i poświęcająca się dla uwięzionego męża niewiasta, dokłada wszelkich starań, aby mu osłodzić więzienie, aby mu utrzymać komunikacyą

ze światem, aby mu, jeśliby się udać mogło, otworzyć czy to potajemnie, czy drogą instancyi u elektora drzwi więzienia. Ileż to próśb i błagań za uwięzionym mężem i ojcem znajdujemy w aktach procesu Kalksteina, próśb podpisanych przez Maryą Elżbietę Kalkstein, z domu Kittlitz, w pierwszym rzędzie, następnie niewprawną i niewypisaną ręką siedmiu małych, nieletnich dzieci, Krysztofa, Jana Fryderyka, Krystyana Ludwika, Magnusa Ernesta, Karola, Eleonory, Anny i Alexandra! Instancye te nie odnoszą pożądanego skutku. Rozpoczynają się więc starania na innéj drodze, które chwytano zawsze prawie na gorącym uczynku dzięki czujności władz elektorskich, wywołują coraz to nowe śledztwa a dolę więźnia pogorszają. W styczniu 1671 r. starał się Kalkstein wejść w bliższe porozumienie z przeznaczonym do swéj straży kapralem Knopfem i skłonić go do wspólnéj wraz z sobą ucieczki. Zamiar ten jednakże nie powiódł się, jak tyle innych. Knopf wydał całą rzecz generałowi Görzke, czujność nad więźniem podwoiła się tylko w skutek tego....

W ostatnich czasach niewoli, po odebraniu innych książek, widzimy Kalksteina w posiadaniu jednéj tylko księgi, nieodstępnie towarzyszącéj mu aż do ostatniego dnia życia, niemieckiéj *Biblii*, w któréj zapisuje rozmaite uwagi i spostrzeżenia, a sobie samemu, swemu przywiązaniu do kraju, swéj miłości dla Polski następny kréśli nagrobkowy napis:

„Heu Lector, Lege ultimum caput Prophetae Michae V, 1, 2, 3, 4.
Fortiter pro Deo, Lege et Rege,
Gloriose pro patria,
Constanter pro veritate,
Suave pro afflicta in juria,
Egregie pro patienter passa violentia.
Intrepide pro liberis, Bonis, oppressioneque
Magnanima, pulchreque in summa innocentia veptus,
exstinetus occubuit,—Christianus Ludovicus a Kalkstein, In carceribus Memelensibus, anno 1672.“ — Co się tyczy towarzystwa, przestaje, prócz stróżów swego więzienia, z miejscowym proboszczem luterskim miasta Memla, którego usuwają jednakże późniéj, jako podejrzanego o przemycanie korespondencyi więźnia. Natomiast dopuszczają doń dyakona Schultza, który, jak się zdaje, zyskał jego zaufanie, a mianowicie pod koniec procesu często odbywa z nim konferencye. Prócz tego pożądanego i pocieszającego towarzystwa, dodawała mu jednakże podejrzliwa czujność generala Görzkego od czasu do czasu mniéj godne jego osoby otoczenie, między innymi

pospolitych winowajców, lub żołnierzy wskazanych za służbowe przewinienia. Mianowicie skarży się Kalkstein w ostatnich dniach swéj niewoli na podobnych towarzyszów, niepozwalających mu spocząć moralnie i skupić ducha w tyle ważnéj chwili mającego się skończyć niezadługo żywota. Dwa lata miała trwać podobna niewola z wszystkiemi moralnemi i fizycznemi udręczeniami. Butny i rubaszny pułkownik wojska litewskiego, głośny i targający się hałaśliwie z władzą elektorską szlachcic Księstwa Pruskiego, wyszlachetniał w niéj i spoważniał, ale zarazem stał się ponuro pobożnym, zagłębionym w biblii, tkliwym na wspomnienia szczęśliwszéj przeszłości. Taki charakter noszą zachowane z owéj epoki jego życia listy, na podobną prawdę składają się rozliczne opisy i skazówki dotyczące ostatnich dni jego niewoli.

Najważniejszą jednakże i najciekawszą jéj stroną pozostanie, jak bardzo naturalnie, przebieg wytoczonego mu procesu, do którego szczegółów nam się z kolei rzeczy zwrócić wypada Jak już z dotychczasowego mieliśmy sposobność przekonać się opowiadania, był elektor osobiście zawzięty przeciw Kalksteinowi i podobnie, jak przepisywał własną ręką szczegóły traktowania go w więzieniu, tak też kierował z Berlina czyli „z Kolonii nad Sprewą“ całym biegiem procesu. Jeszcze Kalkstein był prawdopodobnie na wolności, kiedy elektor zamianował już nową komisyą, mającą sądzić jego sprawę. Składała się: z Albrechta von Kalnein, generała Joachima von Görzke, Adama von Wedel, Jerzego Wilhelma Schrade, Hieronima von Schimmelphenig i Filipa Lana, jako fiskała elektorskiego. Jeszcze Kalkstein nie był w zamknięciu Memelskiém, kiedy pomieniona komisya wydała nań w skutek rozkazu elektorskiego, pod d. 4 Grudnia 1670, wyrok zaoczny, skazujący go na utratę dóbr i życia. Mimo to nakazuje sprawiedliwość wyznać, że członkowie komisyi nie byli tylko prostymi wykonawcami elektorskich zachcianek, skoro się oko w oko z więźniem spotkali, i skoro im przyszło nie odbywać papiérowéj tylko formy zaocznego wyroku, lecz rozprawiać się z żywym człowiekiem, współobywatelem własnego kraju. Jak zobaczymy niżéj, odzywały się nawet jeszcze w łonie owéj, przez samegoż elektora wyznaczonéj korporacyi, pewne objawy współczucia dla więźnia i dla praw, w obronie których występował. Członkowie komisyi nie byli zupełnie ludźmi bez serca i bez charakteru, jakkolwiek wytrwać nie umieli, a naostatku ulegali zawsze gniewnéj energii elektora. Nie uprzedzajmy jednakże wypadków.

Zamianowana przez elektora komisya udała się, w kilka dni po odstawieniu Kalksteina do cytadeli Memelskiéj, na miejsce

swego przeznaczenia i rozpoczęła około połowy Grudnia swe czynności. Głównym materyałem śledztwa i procesu były oskarżające depesze Brandta z Warszawy, doniesienia jego agentów, tudzież owe skargi i supliki Kalksteina pisane do króla, senatu i sejmu polskiego przeciw elektorowi w interesie swobód Księstwa Pruskiego. Zbrojny w podobny materyał elektor przesłał komisyi śledczéj, pod dniem 12 Grudnia 1670 r., obszerną, własnoręczną instrukcyą, któréj w badaniu „*Krystyana Ludwika Kalksteina*“ miała jak najściśléj przestrzegać, dołączył do niéj 33 ujętych w pytania, tak zwanych artykułów, na które żądał mieć kategoryczną odpowiedź ze strony więźnia. Instrukcya jest zbyt charakterystyczną, abyśmy z niéj ważniejszych ustępów przytoczyć nie mieli. „Stosownie do tego,“ mówi elektor, „będą (komisarze) mogli co do dołączonych artykułów, które im się z akt nadesłanych z Królewca staną wiadomemi, nasamprzód w dobry sposób go (Kalksteina) badać i upomnieć, aby bez ogródki prawdę wyznał, przeszkód śledztwu nie stawiał, ani innym przykrości nie sprawiał, ponieważ w artykułach tych nie ma niczego, coby nie było publicznie wiadomém. Gdyby jednakże na wszystko wyraźnéj odpowiedzi dać nie chciał, lecz przekręcał, mają mu zagrozić torturą, przedstawić mu kata i instrukcyą przedłożyć. Gdyby i tém nie mógł być zniewolonym do wyznania prawdy, jest cała sprawa tego rodzaju, a do tego stopnia przez istniejący czyn dowiedziona, że uwięzionego Kalksteina należy jak najsłuszniéj *ostréj kwestyi* (torturze) poddać, dla czego też niniejszém Naszéj komisyi zalecamy i rozkazujemy jego, Kalksteina, co do artykułów, których będzie zaprzeczał lub sprzecznie odpowiadał, według własnego uważania rzeczy, lub stosownie do odpowiedzi danych poprzednio dobrowolnie przez więźnia, lub wedle materyału przysposobionego przez informacye na miejscu, albo téż wydobytego z akt dla bliższego sprawdzenia i wyjaśnienia téj lub owéj okoliczności, *istotnéj* torturze poddać, i w ten sposób drogą ostréj kwestyi go badać, jak to w tak straszliwéj zbrodni zdrady stanu jest dozwoloném, aby prawda i zeznanie zbrodni, która i bez tego polega na powszechnéj wiadomości spełnionego czynu, wydobytemi być mogły. Co on, bądź to w ostréj kwestyi, bądź po za jéj obrębem powié i wyzna, wszystko to mają komisarze nasi nietylko sami pilnie wziąść do protokółu, lecz także przez przysięgłego notaryusza publicznego, który do tego procesu umyślnie ma być użyty, z warunkiem nie wydawania zeń niczego, skrzętnie zapisywać. Gdyby inkwizyt żądał przedstawienia sobie świadków, lub słuchania zupełnéj jego obrony, mają mu oświadczyć, że czyn jego zupełnie otwarty i wiadomy, że on sam już zresztą przez wy-

znaczonych komisarzy naszych *in contumaciam* wskazany, dla czego mu też z powodu straszliwości przestępstwa żaden długi proces nie ma być dozwolony, z którego też to powodu nie mają doń przypuszczać żadnego adwokata;—coby jednakże ku swéj obronie może przytoczył z wszelką pilnością wziąść do protokółu: — Łacińskie pismo, które od siebie i w imieniu Księstwa Pruskiego do polskiéj szlachty zgromadzonéj na sejm w Warszawie zatytułował i oddał, ma mu być punkt po punkcie wyraźnie przeczytane, i nie potrzeba też, ponieważ jest kopią, żadnego uznania jego ręki. Ze względu jednakowoż, iż nam takowe od naszego przysięgłego ministra nadesłane i w jego obecności na królewskim dworze w obec zgromadzonego sejmu królowi i stanowi rycerskiemu przez inkwizyta oddane zostało, co więcéj, nietylko w Polsce wszędzie i w Prussach, lecz i po za ich obrębem rozrzucane i rozpowszechniane było, nie potrzeba żadnego dalszego dowodu, lecz jest dostatecznie i do tego stopnia przekonanym, że zeznanie jego na wszystkie punkta i artykuły za pomocą ostréj kwestyi wymuszone być winno. Gdyby zaś przy téj sposobności coś się wydarzyło, w czém niniejszém wyraźnie instrukcyi nie odebrali, zawierzamy w tym względzie ich poczuciu sprawiedliwości, że to rozporządzą stosownie, śledztwo i badania wszędzie téż w ten sposób urządzą, jak tego prawa stosownie do téj wyjątkowéj zbrodni wymagają i żądają, i jak tego do przyspieszenia sprawy potrzeba. Do tego wszystkiego dajemy im niniejszém dostateczną siłę i władzę; gdyby się jednakże miał nadarzyć jaki nowy ważny punkt, mają zeń z dodaniem swych uwag najuniżeniéj zdać sprawę. Skoro zaś akt tortury będzie spełniony, a dnia następnego obwinionemu zeznanie jego będzie przeczytane na nowo, a przezeń przyznane, mają tak to, jak i wszelkie inne szczegóły, których konieczność wymaga, w podwójnie sporządzonych aktach spisać i porównać, takowe wszystkie wraz z notaryuszem podpisać i jeden ich egzemplarz jak najprędzéj pocztą tu dotąd przysłać, zarazem też jednakże swą najuniżeńszą opinią, jak dla wymiaru kary przeciw obwinionemu nadal postępować, załączyć a następnie bez odrzekania wyroku znów na swe miejsce się udać."

Otóż ta trudna i zawiła nietylko w niniejszym przekładzie polskim instrukcya własnoręczna elektora dla komisyi śledczéj przeciw Kalksteinowi,—instrukcya, do któréj, jak już wyżéj powiedziano, było dodanych 33 artykułów, na które obwiniony miał kategoryczne dawać odpowiedzi. Artykuły te, z wyjątkiem takich jedynie, które dotyczyły tylko kwestyi prawno—politycznych,—były właściwie niczém inném, jak przybraniem w formę pytającą

oskarżających doniesień Brandta. Między innemi obejmował artykuł IV-ty pytanie, czy oskarżony nie powiedział w przedpokoju króla polskiego do kasztelana warszawskiego, że gdyby 2000 Polaków do Pruss wkroczyło, wszystkie stany od Jego Elektorskiéj Mości by odpadły i wydobyły się z pod Jéj zależności. Artykuł VIII zapytywał, czy gdy mu podkanclerzy polski pismo elektorskie wyprawione z jego powodu do króla polskiego pokazał, nie zawołał głośno: *Mentiris Cain!* Artykuł następny obejmował pytanie, czy sam obecnemu w Warszawie elektorsko-brandenburgskiemu kamerjunkrowi von Brandt nie powiedział w oczy, że Jego Elektorska Mość w piśmie swojém do króla chce go robić krzywoprzysiężcą, zdrajcą i infamisem, kiedy on sam ma elektora za podwójnego zdrajcę (foedifragum), krzywoprzysiężcę (perjurum) i *infamisa.* Artykuł X zapytywał obwinionego, czy nie powiedział do wspomnianego kamerjunkra na placu zamkowym w Warszawie, „tu na tę widownią sprowadzę elektora, aby zaprzysiągł swe lennictwo pruskie. W artykule XVI miał być zapytywany, czy nie doręczył J. Kr. Mości Polskiéj łacińskiéj supliki, która ma mu być wyraźnie przeczytana, a on sam do przyznania jéj zmuszony. Następnie miał być pytany, czy na ostatnim sejmie nie podał jeszcze innego podobnego pisma do stanu rycerskiego, lub posłów ziemskich, które to pismo ma mu również być wyraźnie przeczytane punkt po punkcie, czy je w ten sposób podał i za swoje uznaje. Artykuł XVIII obejmował drażliwe pytanie, że ponieważ wspomniane pismo zatytułował „*w imieniu stanów pruskich,*“ należy go badać, czy miał od nich rzeczywiście mandat, i kto mu takowy udzielił. Artykuł XX zapytywał więźnia, czy w czasie ostatniego sejmu nie mówił, że ma zamiar pospolite ruszenie, które niedaleko od Warszawy stało, poprowadzić do Księstwa Pruskiego Jego Elektorskiéj Mości, ponieważ tamże może znaleść żołd i dobre leże zimowe. Artykuł XXI pytał, czy memoryału, który elektorsko-brandenburgski kamerjunker Brandt królowi doręczył, referendarzowi koronnemu, skroro go od J. K. Mości do przeczytania odebrał, wśród zgromadzonéj sesyi sejmowéj na stopniach tronu królewskiego z rąk nie wydarł. Inne wreszcie artykuły badały go o stosunek i korespondencye w Księstwie Pruskiém; XXVII mianowicie jeszcze zapytywał oskarżonego czy nie miał związków z Jezuitami, czy *oni* nie udzielali mu jakich skazówek i z nim nie korespondowali.

Jak ztąd widzimy zanosiło się na śledztwo równie drażliwe, jak niebezpieczne dla obwinionego. Dokumenta dostarczały aż nazbyt obfitego materyału do potępienia Kalksteina za obrazę ele-

ktorskiego majestatu i zdradę kraju; zagrażały w razie słabości więźnia wszystkim, którzy byli z nim w jakichbądź stosunkach. Zaopatrzona w powyższą instrukcyą, zbrojna wzwyż wymienione artykuły komisya rozpoczęła, jak już powiedziano, działalność swą około połowy grudnia. W obec wskazanego wyżéj systemu śledstwa, rozwinął Kalkstein, jak widzimy z akt jego procesu, własny system obrony. Nasamprzód uderzył w punkt niesłychanéj drażliwości tak dla elektora, jak dla jego namiestnika pruskiego. Jeszcze w czasie transportu i przed przybyciem do więzienia Memelskiego, pisze pod dniem 6 grudnia 1670 z drogi list do Księcia de Croy, odwołując się do udzielonéj sobie za jego pośrednictwem przez elektora amnestyi. To samo żądanie ponowił stawiony przed komisyą śledczą, która jednakże takowe odrzuciła, grożąc torturą, gdyby się wzbraniał odpowiadać. W ten sposób przyszło do pierwszego przesłuchania obwinionego, dnia 14 stycznia 1671. Więzień przyznał stosunki ze szlachtą polską, z Oborskim kasztelanem warszawskim, Gruszeckim, Sokolnickim, Horuszą, księdzem Tyszkiewickim; przyznawał daléj, że będąc jeszcze w Prussach, miał zamiar wyprawić pismo do Polski do podkanclerzego koronnego i biskupa poznańskiego, charakteryzował Brandta w jak najgorszy sposób; nie zapierał dalej, że w chwilach pauzy sejmowéj przebywał pośród wojska koronnego na Ukrainie. Podobnież przyznawał fakt, o który elektorowi w redakcyi owych 33 artykułów tak bardzo chodziło, doręczenia skarg i próśb sejmowi polskiemu w imieniu Księstwa Pruskiego. „Odwołuję się“, zeznawał dosłownie do protokółu, „ na moję suplikacyą i żądania, ponieważ tylko sposobem skargi mogłem się postarać, aby moja sprawa dostała się przed komisyą. Jego Królewska Mość poleciła tę moję sprawę czterem panom senatorom do zbadania, podkanclerzemu Olszowskiemu, w. kanclerzowi Litewskiemu Pacowi, Rejowi wojewodzie Lubelskiemu i P. Branickiemu marszałkowi nadwornemu. Ci mieli mnie wraz z rezydentem wysłuchać i rzecz rozstrzygnąć. Byłem też w ich domach, przedstawiłem im moję biedę, a oni wysłuchali mnie. Rezydent jednakże w skutek porady innych ludzi, namyślił się inaczéj i oświadczył królowi w kilka dni późniéj, że się *temu* nie poddaje“. Oświadczył daléj w czasie tegoż samego przesłuchania z dnia 14 stycznia 1671 Kalkstein: „iż się spodziewa na pewne, że nadesłana mu łaskawie przez jego Elektorską Mość za pośrednictwem wysokiego namiestnika Jego amnestya we wszystkich punktach dotrzymaną będzie“. Odwołując się w ten sposób do słowności elektorskiéj, łagodząc swą działalność *anti*-elektorską w Polsce zamiarem polubownego zagodzenia swego zatargu z wła-

dzą brandenburgską, w obec kompetentnéj ciągle jeszcze pod pewnym względem instancyi polskiéj, tłómaczył nadto Kalkstein, że początkowo za przybyciem swém do Warszawy, nie mógł mieć szkodliwych przeciw elektorowi intencyj, ponieważ poszukiwał pośrednictwa rezydenta brandenburgskiego Brandta, a następnie w. kanclerza koronnego Jana Leszczyńskiego, znanego dobrze przyjaciela i zwolennika interesu elektorskiego.

Z tego systemu obrony, zarysowującego się w owym pierwszym protokóle, nie należy jednakże wnosić, aby Kalkstein był kapitulował w ogóle z całéj swéj dotychczasowéj przeszłości politycznéj, a mianowicie, aby kosztem innych był chciał własną zagrożoną głowę ocalić. Że tak nie było, przekonywa nas zaraz następny protokół z dnia 19 Stycznia 1671 r. Tutaj objawia się znów w obwinionym pogniewany z władzą elektorską szlachcic pruski, niekryjący się ze swemi uczuciami przyjaciel Polski. Między innemi obejmował pierwszy zaraz z dołączonych do instrukcyi elektorskiéj artykułów zapytanie, czy oskarżony nie pamięta wykonanéj elektorowi przysięgi? Na to pytanie odpowiedział dosłownie: „Od czasu, kiedy *królowi polskiemu* złożyłem przysięgę jako kapitan, z przysięgi téjże zwolniony nie zostałem.“ Co się tyczy autorstwa memoryału doręczonego sejmowi w Warszawie pod tytułem: *Libellus supplex ducatus Prusiae*, przypisywał je Kalkstein, nie wiadomo o ile prawdziwie, niejakiemu księdzu Tyszkiewickiemu. Natomiast przyznawał się otwarcie do jego treści i zeznał w téj mierze dosłownie do protokółu: „*To* przyznaję; skoro tylko rozstaliśmy się z Polską, ulegliśmy złemu traktowaniu.“

W następnym protokóle z dnia 22 Stycznia 1671 r., piętnuje bez ogródki Brandta jako kłamcę i oszczercę; oszczędza stanowczo nietylko swych współobywateli pruskich, ale i niedosięgalnego zemście elektorskiéj księcia Dymitra Wiśniowieckiego, odzywa się wreszcie o Montgommerym dosłownie, jak następuje: „Montgommery wyobraża sobie, że wykonał wielki czyn, biorąc mnie do niewoli; żaden uczciwy człowiek nie byłby się pozwolił do tego użyć...“ Równocześnie zaprzeczał stanowczo przypisywanemu sobie zamiarowi inwazyi do Pruss na czele polskiego pospolitego ruszenia i zapiérał się jakichbądź stosunków i związków ze współobywatelami kraju pruskiego w robotach swych przeciw elektorowi w Polsce... W ten sposób stanęło śledztwo z Kalksteinem pod koniec miesiąca Stycznia 1671 r., nie ruszając dalej z miejsca. Oczekiwania elektora były mocno zawiedzione. To, co Kalkstein robił sam z własnego natchnienia w Polsce, było rzeczą wiadomą, a dla śledztwa podrzędną. O co tu chodziło głównie, to o wykry-

cie wspólników, to o odsłonięcie stosunków obywatelstwa pruskiego z Polską, to o wydobycie na wierzch środków, sprężyn i czynników podobnéj konspiracyi, to o wskazanie osób, które upoważniły Kalksteina do występowania w obec sejmu polskiego w imieniu stanów księstwa Pruskiego. Tymczasem więzień, oszczędzający bardzo mało własną osobę, przyznający się z małym wyjątkiem i wśród pewnych zastrzeżeń do osobiście czynionych sobie zarzutów, okazywał się w owéj najważniejszéj dla interesu elektorskiego części śledztwa, jak na złość dziwnie powściągliwym i milczącym. W obec podobnéj wytrwałości i dyskrecyi, stawała komisya, według udzielonéj jéj ze strony elektora instrukcyi, w smutnéj konieczności zastosowania do obwinionego tortury, wydobycia zeń przymusem, czego nie chciał wyznać dobrowolnie. W tym krytycznym przypadku, miała się tymczasem stwierdzić prawda wskazana przez nas wyżéj, że komisya, składająca się w pewnéj części przynajmniéj ze współobywateli pruskich Kalksteina, nie chciała wyjść na proste narzędzie absolutyzmu elektorskiego i poczęła dawać dowody pewnéj uczciwéj samodzielności.

Elektor odebrał naturalnie, stosownie do rozkazu udzielonego komisyi w swéj instrukcyi, dokładne sprawozdanie z dotychczasowego przebiegu śledztwa. Nie dziwmy się, jeżeli go nie zadowolniło, jeśli pod wpływem gniewnego rozdrażnienia, przesłał komisyi niecierpliwością nacechowany nakaz zastosowania do opornego więźnia przymusu torturowego. Spotyka się jednakże z sumiennym i śmiałym oporem komisyi, a odtąd przedstawia nam się przez całe dwa miesiące, Luty i Marzec 1671 roku, ciekawe widowisko zaciętego targu między niecierpliwą i gniewną natarczywością elektorską, a sumiennością i uczuciem sprawiedliwości osób prowadzących przeciw Kalksteinowi śledztwo. Tak Schimmelpfennig, jak von Kalnein, członkowie komisyi przesyłają elektorowi stanowczy protest przeciw użyciu tortury, ponieważ się temu sprzeciwiają prawa księstwa Pruskiego, którym na wierność przysięgli. Kalnein mianowicie pisał do elektora, „że prosi, upadając do nóg, o krótki i sumaryczny, ale i na prawie oparty proces, gdyż tak dla tortury, jak dla samegoż wyroku, trzeba zupełnego sądu.“ Elektor odpowiada na te skrupuły komisyi w piśmie z dnia 10 Lutego 1671 r.: „Torturę przeciw uwięzionemu Kalksteinowi macie zarządzić bezzwłocznie... Wam, jako naszym radzcom i sługom nie przystoi pod żadnym warunkiem nad naszemi rozporządzeniami i dekretami, które wyszły po należnym namyśle i dojrzałém zastanowieniu, wyrokować, czy takowe są według prawa i czy mają być wykonane lub nie, dla czego też to

Wasze oświadczenie jako umyślne nieposłuszeństwo uważamy, a ukaranie takowego sobie zastrzegamy. Niniejszém zaś rozkazujemy Wam raz jeszcze i to pod uniknieniem naszéj niełaski, surowo, abyście się naszym dawniejszym rozkazom, jak to Waszym obowiązkiem, posłusznie poddali, według nich się zachowali, a nas takiemi bezzasadnemi protestami, jakich się nadal z Waszéj strony nie spodziéwamy, nie niepokoili.“

Mimo tak surowego przykazu, jest owo pismo tylko piérwszą właściwie datą długiego szeregu korespondencyi, jaka się zawiązuje odtąd między elektorem a komisyą w przedmiocie użycia tortury. Nie ma wątpliwości, że prawa księstwa Pruskiego, chroniące szlachtę od hańby i gwałtu tortury, że opinia publiczna kraju oburzająca się na samę myśl podobnéj obrazy sprawiedliwości, nie omieszkały wpłynąć na postawę komisyi. Zaledwie tedy nadeszła do Memla surowa nagana elektorska z dnia 10 Lutego, wysłał pod dniem 28 Lutego ponowny protest przeciw torturze, jako prezes komisyi, Kalnein. Zarazem przedstawiła komisya elektorowi, że nawet nie znajduje się w posiadaniu kata, któryby się „podobną robotą“ mógł zająć. Elektor przesłał na ten protest pod dniem 12 i 17 Marca ponowne, coraz to surowsze nakazy przystąpienia do aktu tortury, wydając zarazem do generała Görzke rozkaz, aby na potrzebę komisyi przeciw Kalksteinowi dostarczył miejscowego, pułkowego mistrza. I ten nawet jeszcze rozkaz nie zdołał przełamać oporności komisyi, która znów pod dniem 22 Marca, przez swego prezesa Kalneina zaprotestowała w obec elektora przeciw torturze. Sam kanclerz księstwa Pruskiego, von Somnitz, był podobnemu gwałtowi przeciwny, z doradzców najbliższych osoby elektora odzywał się przeciw niemu Jena. Mściwa i prześladowana energia elektora postanowiła jednakże inaczéj. Pod dniem 27 Marca wyséła do komisyi rozkaz następnie brzmiący: „Torturować bez najmniejszéj zwłoki. Ci, którzy pod pozorem skrupułów sumienia odmawiają nam winnego posłuszeństwa, niechaj nie będą torturze obecni, aby innych nie wprowadzać w obłąd i wahanie.“ Pod naciskiem podobnych nakazów uległa nareszcie komisya, ani zaszczytnie, ani potrzebnie, po tylu już dowodach uczciwéj i sumiennéj przeciw bezprawiu oporności.

Dnia 11 Kwietnia 1671 r. zebrała się cała komisya *in corpore* i kazała sobie przyprowadzić z więzienia Kalksteina. Rolę inkwirenta wziął na siebie w obecnym przypadku, obdarzony prawdopodobnie najsilniejszemi ze wszystkich członków komisyi nerwami generał Görzke. Zawezwał nasamprzód obwinionego, aby, nie wystawiając się na męczarnie „*ostréj kwestyi*“, odpowiadał dobrowolnie na za-

dawane sobie pytania, a mianowicie wskazał osoby, z któremi miał stosunki w Prusach. Niewiadomo, czy obelga prawa, jakiéj się stać miał ofiarą i niebezpieczeństwo położenia dodały więźniowi niezwykłéj odwagi, ale tyle pewna, że jak protokół z dnia tego zapisuje „był przy śledztwie bardzo hardym“, a zagrożony przez generała Görzkego torturą, odpowiedział: „Róbcie ze mną, co chcecie!“ Po téj odpowiedzi, mówi dosłownie protokół, „został akt tortury rozpoczęty. Oddano Kalksteina oprawcy, który go téż pochwycił, związał, na ławę rzucił i ciągnąć zaczął.“ Protokół tego ohydnego aktu jest obszerny, ciągnie się przez kilkanaście arkuszy, męczarnia nieszczęsnego więźnia była dluga i straszliwa. Co chwila w ciągu tragicznéj owéj czynności spotykamy zapisane: „Co do tego artykułu został pociągniony wyżéj i ostrzéj...“ Obrzydły, haniebny, wstrząsający dziś jeszcze do głębi akt, szczególnie tego komu, jak nam, było dano patrzéć własnemi oczami, dotykać się własnemi rękami ohydnego a ciekawego przecięż mimo całéj ohydy dokumentu, który z drobiazgową a okrutną sumiennością regestruje każde zapytanie inkwirenta, każdy jęk dręczonéj ofiary, każdą próbę zręczności pełniącego swój katowski obowiązek oprawcy! A mimo to, powiédzmy na cześć ofiary, na hańbę jéj dręczycieli,—nie odniósł elektor nad więźniem zwycięstwa, nie wydobył zeń nawet aktem tortury tego, dla czego torturować go kazał. Przyznając wśród męczarni torturowych wszystko, co się tyczyło jego własnéj osoby, przyznając mianowicie, że mówiąc do podkanclerzego Olszowskiego slowa *Mentivis Cain*, miał elektora na myśli, zdaje Kalkstein w przedmiocie wykrycia owych tyle upragnionych przez elektora *wspólników* pruskich, według protokółu torturowego *dosłownie* następne urywanemi słowy zeznanie: „Miałem mandat... od nikogo, jak hrabiego Schliebena.. ustnie a nie piśmiennie... prosił mnie, abym się tylko skarżył. W Warszawie to powiedział, w izbie u Francuza, pasztetnika... Jak Bóg jest Bogiem... nie wiem o żadnym innym...“ (1) Nie zapominajmy w obec tych wydobytych męczarnią torturową, przerywanych wyrazów, że Schlieben już był w bezpieczném schronieniu w Polsce, że więzień o jego ucieczce bez żadnéj wątpliwości wiedział, a że w ten sposób nie wskazywał nikogo, kogoby zemsta elektorska

---

(1) „Ich habe Mandat gehabt, von keinem, als von graf Schlieben, mündlich und nicht schriftlich, hat er mich gebeten, ich soll uns klagen, zu Warschau hat er es gesagt, bei dem Francosen, einem Pastetenbecker. So wahr, Gott, Gott ist, ich weiss von keinem Andern.“

dosięgnąć była mogła. Właściwie chybił więc Elektor celu, zarządzając przeciw Kalksteinowi torturę. Nie dowiedział się, posługując się ohydnym gwałtem, niczego, coby mu już i przedtém nie było wiadomém. Dodajmy jeszcze tylko, że zagrożony powtórném użyciem tortury, Kalkstein powtórzył zeznanie swe z d. 11 Kwietnia nibyto dobrowolnie do ponownego protokółu.

Tortura owa i wydobyte nią zeznanie stanowią epokę w dziejach jego procesu. Komisya śledcza skończyła swe zadanie; trzeba bylo nowéj instancyi, któréj przeznaczeniem miało być wydanie w téj tragicznéj sprawie ostatecznego wyroku. Zamianował ją elektor dekretem z dnia 23 Kwietnia, a złożył z następnych członków: Kalneina, Abrahama von Kreytzen, Melchiora von Kreytzen, Andrzeja Leschwanga, Daniela Wagenera, Hieronima Schimmelpfenniga i profesora Lana. W nadmiarze łaskawości, odstąpił elektor od początkowego postanowienia wyrzeczonego w instrukcyi dla komisyi śledczéj i dopuścił Kalksteinowi obrońcy z urzędu w osobie służalczego, wyraźnie niechętnego swemu klientowi syndyka miasta Memla Köppnera. Téj *drugiéj* komisyi zamianowanéj przez elektora do sądzenia więźnia, można zresztą to samo oddać świadectwo, co pierwszéj. I ona nie była bez pewnego współczucia dla więźnia, ulegając otoczeniu, nie okazując się nieprzystępną wpływom usposobienia kraju, który, jak zaraz zobaczymy, począł znów dawać znaki opozycyjnego życia, a mianowicie akt torturowania Kalksteina nie bez oburzenia przyjął.

Sejm pruski obradował już od miesiąca Lutego roku 1671 i począł się znów, jak zwykle, targować z władzą elektorską o podatki, o akcyzę, o dostawę rekruta. W szczegóły téj opozycyi stanów pruskich, jako nieobchodzącéj bliżéj naszego przedmiotu, nie mamy powodu wchodzić. Dość powiedzieć tylko, że elektor rozdrażniony opozycyą, rozgniewany oporem komisyi śledczéj w sprawie Kalksteina, wygotował pod dniem 19 Lutego 1671 roku do księcia de Croy i swego komisarza Schwerina w przedmiocie sejmu pruskiego następne pismo: „Rozpędzę ich, ze względu na to, że taki opór spotyka mnie tylko ze strony kilku ludzi, którzy pragną odznaczenia, a którzy mniemają na téj drodze u stanów wielkie zdobyć sobie zachowanie. Od dnia do dnia, utwierdzam się coraz więcéj w podobném przekonaniu, gdy spoglądam na to postępowanie złych ludzi. Protestuję w obec Boga i żądam raz jeszcze, abyście ich przed nieszczęściem przestrzegli, aby nie szli za tymi, którzy są temu winni, gdyż takich wynajdę swego czasu i przykładnie ukarzę. Na tymczasem żądam, aby napisano do

regencyi (Oberräthe) i namiestnika, że jako pan dziedziczny i samowładny takie kroki podejmę, jakich stan kraju wraz z mojém i mego domu dobrem wymaga, a za jakie przed Bogiem i potomnością odpowiém." Nacechowana ta najwyższą drażliwością odpowiedź elektora na postawę opozycyjną sejmu pruskiego, jest najlepszą miarą usposobienia całego kraju. Nieco później miało ono się objawić wcale niedwuznacznie w samějże sprawie Kalksteina.

We Wrześniu 1671 roku, właśnie kiedy sejmiki Wielkopolskie wrą przeciw elektorowi z powodu porwania Kalksteina, kiedy Pac odgraża się wyprawą na Prussy, kiedy starosta Nowodworski puka ostrożnie do więziennych drzwi Kalksteina za pośrednictwem jego żony, odzywają się i stany pruskie do elektora z energicznym protestem przeciw zastosowanéj względem obwinionego torturze. „W Kalksteinie", odzywa się protest stanów pruskich, „torturowano jakoby niewinnie nas samych. Takiéj hańby i podobnego wstydu nie wyrządzono nam, odkąd się nazywamy chrześciańskiemi Prusakami; plamy téj nie może z nas zetrzeć żadna ludzka ręka." Rzecz bardzo naturalna, że podobne usposobienie kraju odbija się nader charakterystycznie na komisyi mającéj z ramienia elektorskiego zasiąść do wydania wyroku w sprawie Kalksteina. Cicha jéj i bierna, ale niemniéj znacząca dla tego przeciw elektorowi opozycya rozpoczyna się z samym niema dniem nominacyi. Już pod dniem 12 Maja, a więc tuż prawie po otrzymaniu swego mandatu od elektora, zanosi komisya protest przeciw własnéj kompetencyi w sprawie Kalksteina i żąda formalnéj procedury sądowéj z dopuszczeniem obrony. W skutek tegoż to protestu zezwolił elektor na dodanie Kalksteinowi obrońcy, którego osobę i stanowisko w podjętéj przezeń sprawie oceniliśmy już wyżéj. Wniosek ten komisyi był właściwie obliczony na przedłużenie sprawy ze skrytą intencyą ocalenia obwinionego. Intencya podobna odsłania się mianowicie z uczynionego późniéj nieco ze strony komisyi elektorowi przedstawienia, aby obwinionego osadzić na wieczną pokutę w zamku Tapiawskim.

Odtąd to rozpoczynają się znów między elektorem a komisyą wyrokujące podobne targi w przedmiocie wydania ostatecznego wyroku, jak poprzednio między nim a komisyą śledczą w sprawie zastósowania tortury. Na protesty i przedstawienia komisyi odpowiada elektor pod dniem 20 maja 1671: „Przez komisarzy postanowionych w sprawie Kalksteina ma nareszcie bez wszelkich dalszych korowodów być wydany wyrok odpowiednio do prawa i treści akt." Gdy mimo to komisya rzecz ciągle przewlekała i z wydaniem wyroku umyślnie się leniła, wyszły w miesiącu wrześniu 1671

ponowne, gniewne nakazy pośpiechu ze strony elektora. I to jednakże nie pomagało. Komisya leni się i ociąga nieprzestannie, tak ona, jak stany pruskie robią nam wrażenie, jakoby się oglądały w téj drażliwéj sprawie ciągle jeszcze na Polskę, jak gdyby się spodziewały może szczęśliwego skutku usiłowań Opackiego w Berlinie, może nawet jakiéj zbawczéj interwencyi dla więźnia Memelskiego od strony Litwy ..... Nareszcie jednakże wyczerpnęła się możność dalszego oporu, a prawo skoro wyrok wydać trzeba było, nie dopuszczało dwuznaczności. Znajdująca się długo między młotem a kowadłem komisya uległa nareszcie i wydała pod dniem 8 stycznia 1672 wyrok wskazujący „pułkownika Krystyana Ludwika Kalksteina, jako przeniewiercę, fałszerza i oszczercę, na śmierć przez ucięcie głowy mieczem i utratę majątku".

Takie więc ostatecznie rozwiązanie znalazł proces Kalksteina na drodze sądowéj, jakkolwiek od wydania wyroku do jego wykonania była jeszcze pewna przestrzeń, jakkolwiek wzgląd na stany pruskie i usposobienie kraju, rozgałęzione stosunki rodzinne i towarzyskie, na Rzeczpospolitą Polską wreszcie, wzbudzał pewną nadzieję ocalenia zagrożonéj głowy wskazanego. Elektor sam znalazłszy się u celu życzeń, w posiadaniu wyroku komisyi, który mu oddawał osobę nieprzyjaciela pod dyskrecyonalną rozporządzalność, zawahał się nieco i wolał zaczekać. Usposobienie kraju pruskiego było groźne, Polska mogła się obudzić. Ztąd to wyrodziła się w tyle gniewno-energicznéj dotychczas działalności elektora pewna ostróżna powściągliwość. Wahanie się owo trwało bardzo naturalnie jednakże tak długo tylko, dopóki była wątpliwość co do możności odwetu polskiego. Czyż był zaś ów odwet możliwym, czyż był prawdopodobnym wśród ówczesnych okoliczności?

Przypatrzmy się położeniu rzeczy w Polsce w pierwszych miesiącach owego nieszczesnego roku 1672. Nawałnica turecka waliła istnym taranem w południową ścianę Polski: wezyr Kiupruli wtargnął z ogromną siłą Turków i Tatarów na Podole, przeszedł Dniestr, zaczął oblegać przedmurze Polski, Kamieniec. Wewnątrz Rzeczypospolitéj zaniosło się niemal na wojnę domową między intrygą panów, chcących zwalić z tronu biednego króla Michała, a szlachtą pragnącą go utrzymać. Zawiązana ostatecznie pod laską Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego koronnego, dnia 10 listopada 1672, konfederacya Gołębska, jest najwybitniejszym owego domowego zatargu wyrazem. Rzeczpospolita, któréj krańce biczowała bezkarnie i bezprzeszkodnie, jak rozhukana fala brzeg morski, nawała turecka; Rzeczpospolita, któréj wnętrze bez względu

na podobną chwilę szarpał rak bratniéj waśni; Rzeczpospolita, która zapomniała wspaniałych tradycyj z epoki Kazimierza Jagiellończyka i Baisenów, która, niestety, przestała rozumiéć siebie samę, a wśród domowych kłótni i wojny wywołanéj w znacznéj części polityką obcą swemu interesowi, stawała się głuchą i obojętną na głos pruskiéj ludności wyciągającéj po raz ostatni do niéj ręce, *taka,* mówimy Rzeczpospolita nie wzbudzała ani strachu, ani poszanowania. Elektor pewny, że wśród podobnych kłopotów Rzeczpospolita ani nie będzie chciała, ani nie będzie mogła upominać się o swą obelgę i o głowę Kalksteina, pewny niemniéj, że lada moment przyjdzie Polsce dopominać się u niego traktatowéj pomocy 1500 żołnierza, obdarzony już na tymczasem kosztownym upominkiem zatwierdzenia traktatów welawsko-bydgoskich i inwestyturą Księstwa Lemburgskiego i Butowskiego, przyszedł do przekonania, że może zrzucić głowę Kalksteina bez niebezpieczeństwa dla siebie, że może spełnić akt zemsty osobistéj w połączeniu z aktem „*racyi stanu*". Zrzucona głowa najwybitniejszego reprezentanta opozycyi pruskiéj miała rzucić postrach na kraj, powstrzymać innych od naśladowania jego niebezpiecznego przykładu. Zestawienie dat charakterystyczne na dalszy przebieg téj sprawy rzuca światło. Właśnie w chwili, kiedy wezyr Kiupruli szerzy się po Podolu, właśnie na siedmnaście dni przed poddaniem Turkom Kamieńca, kiedy kłopot turecki Rzeczypospolitéj wzrasta do najwyższéj potęgi, kiedy cała wyobraźnia i interes narodu zajęte owym nieszczęsnym Kamieńcem, zatwierdza elektor dnia 13 Sierpnia 1672 własnoręcznym podpisem „w kolonii nad Sprewą" wyrok skazujący Kalksteina na śmierć i utratę majątku.

Mimo tak kategorycznego ze strony elektorskiéj aktu, usiłowała komisya i teraz jeszcze ocalić, jeżeliby się udało, głowę skazanego. Pod dniem 6 września 1672, podaje komisya w nader przezroczystym zamiarze zwłoki do elektora wniosek z zapytaniem, co daléj robić i z prośbą o dalszą instrukcyą. Korespondencya, zawiązana w skutek tego między komisyą a elektorem, przeciąga się aż w miesiąc październik roku 1672. Dotyczy ona najrozmaitszych drobiazgów i szczegółów, bolesnéj i krwawéj natury. Komisya czepia się istnie, nie jak tonący brzytwy, ale jak tonący kruchéj słomki, każdéj drobnostki, każdéj choćby pozornéj tylko wątpliwości, aby przewlec wykonanie wyroku, nasélać elektora ciągle nowemi zapytaniami. Między innemi, zapytywała komisya elektora o szczegóły mającéj się spełnić egzekucyi; następnie, co z ciałem delinkwenta uczynić. Ostatecznie nadszedł pod dniem 24 Paździer-

nika 1672 stanowczy i groźny do komisyi rozkaz, aby bezzwłocznie do egzekucyi wyroku przystąpiła. Po nadejściu tego kategorycznego rozkazu, skończyła się możność wszelkiego dalszego wahania.

Wśród ponurego, mglistego w nadmorskim zwłaszcza Memlu o téj porze dnia jesiennego, 7 listopada 1672, zebrała się w komplecie cała komisya z generałem Joachimem von Görcke na czele, zasiadła po za przeznaczonym dla siebie stołem i kazała stawić przed swe oblicze więźnia. Protokół publikacyi wyroku istnieje dotąd w aktach procesu Kalksteina, jest niezmiernie szczegółowym, a dowodzi niezwykłéj odwagi i siły duszy skazanego. Czy to z powodu cierpień poniesionych przez torturę, czy to z powodu obciążających go ciągle kajdan, czy to dotknięty może chorobą, nie mógł iść o własnéj sile. Wniesiono go tedy do komnaty sądowéj na krześle. Za postawieniem go przed stołem komisyi, przystąpiono do odczytania wyroku z dnia 8 stycznia i konfirmacyi elektorskiéj z dnia 13 sierpnia 1672. Przez cały ciąg czytania potępiającego dokumentu, spoglądał skazany chmurno na bok. Gdy się skończyło wraz z oznajmieniem, iż egzekucya już nazajutrz rano ma nastąpić, odwrócił się Kalkstein, spojrzał śmiało członkom komisyi w oczy i zapytał z ironią: „*Ist's nicht mehr?*“ (Czyż nic więcéj?). Jedyny to objaw ze strony skazanego, jaki protokół spisany z czynności publikacyi wyroku zaznacza, objaw świadczący niewątpliwie, że rzecznik praw pruskich, że pułkownik dzielnych zastępów Pawła Sapiehy i Stefana Czarnieckiego, umiał śmierci odważnie zajrzeć w oczy.

Całe jego odtąd zachowanie nie zadaje w niczém kłamu owéj pierwszéj chwili niewątpliwego już spotkania z nieuniknioną fatalnością. Wilijny wieczór ostatniego dnia życia schodzi skazanemu częścią na modlitwach i śpiewaniu psalmów z zacnym, nieodstępującym go na chwilę dyakonem Schultzem, częścią na pisaniu listów do rodziny, które w kopiach znajdują się również w aktach procesu a świadczą wzniośle i zaszczytnie o charakterze, sercu i prawdziwéj moralnéj wartości w owym najważniejszym i najuroczystszym momencie życia człowieka, który dawniéj i gdzieindziéj, jak wszyscy ludzie, nie był może bez słabości i błędów. Pierwszy list jest do brata, owego podpułkownika Krystyana Albrechta, który swą nikczemną denuncyacyą z roku 1667 dał początek śledztwu i prześladowaniu jego. W liście owym, nazywając go „*najkochańszym braciszkiem*“ (Geliebtestes Brüderchen), przedstawia mu skazany z pewną, obojętną już na sprawy tego świata, pobłażliwą ironią całe jego względem siebie postępowanie, przypomina mu, jak dalece apetyt jego na Knauten dał początek złemu a staje się teraz przy-

czyną jego śmierci; wreszcie przebacza mu z serca i życzy wszystkiego dobrego. Rozrzewniającéj treści są listy do żony i dzieci. Obok najserdeczniejszych uczuć ojca i męża, przebija się w nich po raz ostatni jakoby testamentowo i przekazuje rodzinie, jakoby w dziedzictwie jego wiara polityczna i religijna, dwa podstawne czynniki jego życia i działalności przeciw absolutyzmowi brandenburgskiemu. Listy te brzmią dosłownie jak następuje (1): „Sercem ukochana żono! Kochane dzieciątka wyprawcie tém lepiéj, im prędzéj do Rössla (na terytoryum Rzeczypospolitéj, do Warmii), następnie do Pułtuska; rozkażcie nauczycielowi, aby je wychowywał w bojaźni boskiéj i wierze luterskiéj, udzielał im pilnie nauki, wyuczył ich *ex fundamento* łacińskiego, *polskiego* języka i rachunków. Dan w Memlu 8 Listopada 1672..." „Sercem ukochane dziateczki! Kochajcie panią matkę, bądźcie jéj posłuszni we wszystkiém, aby wam błogosławiła, słuchajcie nauczyciela a nie pamiętajcie mojéj niewinnéj śmierci, lecz pozostawcie Najwyższemu jego sąd; *On* wyda w owym dniu wyrok swój na wszyskich. Nie cieszcie się, skoro ujrzycie, że Bóg nieprzyjaciół moich ukarze, lub niewinną krew moję pomści, ale módlcie się, aby Bóg był im łaskaw. Mümmel, dnia 8 Listopada 1672 r." — Trzymajcie się wiary luterskiéj (2), *bo elektor kalwinem*, powiedziałby niemogący być wypełnionym nawias; uczcie się po polsku i chrońcie się do Polski, *bo nie ma już dla was miejsca w uciemiężonych Prussach* — otóż sens moralny owych listów, skréślonych w wilią śmierci, pod cenzurą elektorskich stróżów, pod warunkiem ostróżnéj powściągliwości, jeżeli mają dojść przeznaczenia swego. Ostatni list jeszcze w owę wilią śmierci napisał Kalkstein do elektora, nie prosząc o żadną łaskę dla siebie, lecz o zwrot zasekwestrowanego majątku żonie i dzieciom.

---

(1) *Do żony:* „Die lieben Kinderchen schicket je eher je besser nach Rössel, folgends nach Pułtusk. Befehlet dem Praeceptori, dass er sie in Gottes furcht und Luterischen Religion erzihe, und fleissigst instituire, die Lateinische und Polnische Sprache, Rechnung ex fundamento lehre."

Do dzieci: Herzliebste Kinderchen! Liebet die Frau Mutter, gehorcht ihr in Allem, dass sie euch segne, gehorsamet dem Praeceptori, und denket nicht an meinen unschuldigen Todt, sondern lasset dem höchsten sein gericht. Der wird jenem Tage alle richten; freuet Euch nicht wenn Ihr sehet, dass Gott meine Feinde straffet, oder mein unschuldig Blut rächet, sondern betet dass ihnen Gott gnädig sei. Mümmel den 8 November 1672.

(2) Ten ustęp Kalksteinowego listu zadaje stanowczy kłam profesorowi Dreysenowi, który w swém dziele *Der Staat des grossen Kurfürsten* mówi, że Kalkstein *„był konwertytem katolickim."*

Wśród takich to zajęć i zatrudnień skazanego zaświtał ponury, mglisty poranek dnia 8 Listopada 1672. Od godziny 6-éj była już komisya na nogach i rozpoczęły się przygotowania do egzekucyi na podwórzu cytadeli Memelskiéj. Czas jéj był naznaczony na godzinę 8-ą. Komisya posełała co chwila do więziennéj celi Kalksteina z zapytaniami, co skazany porabia i czy niezadługo będzie gotów? — Posłańcy wracali z odpowiedzią, że więzień się modli i śpiéwa psalmy z dyakonem Schultzem i że każe prosić, aby mu zdjęto kajdany. Komisya przychyliła się do tego żądania i zeszła w komplecie na miejsce egzekucyi, poczém, z uderzeniem godziny 8-éj, sprowadzono więźnia. Ostatnia owa chwila, w któréj skazanemu dano było spoglądać na wszystkie przybory do egzekucyi, stwierdza raz jeszcze, a po raz ostatni nieustraszone, godne żołnierza wypraw szwedzkich męstwo. Wszystko zaś, co tu zapisujemy, nie jest obrazem samowolnéj fantazyi, lecz poprostu streszczeniem znajdującego się podobnież w aktach procesu protokółu egzekucyjnego. Przyniesiono białe prześcieradło i rozpostarto je na zwilżonéj mgłą listopadową ziemi; przyniesiono krzesło; pokazało się, że za wysokie na potrzebę, która miała nastąpić. Przyniesiono inne, niższe, które odpowiedziało życzeniom czekającego z mieczem katowskim mistrza. Chciano następnie rozbierać więźnia ze sukni. „Dajcie pokój, sam tę przysługę wyświadczyć sobie mogę", powiedział; zrzucił sam z siebie kaftan, koszulę i usiadł na fatalném krześle. Kat wykonał cios, głowa przyjaciela Polski, rzecznika praw pruskich, spadła na białe prześcieradło; ciało złożono w przygotowaną trumnę i pochowano bez ceremonii w miejscowym kościele Memelskim. Zacna małżonka nieboszczyka stwierdza jeszcze w ostatniej chwili piękny, przez cały ciąg tyle straszliwéj dla siebie sprawy, charakter. Zanosi już po egzekucyi wraz z siedmiorgiem małoletnich dzieci prośbę do elektora o pozwolenie pochowania ciała mężowskiego w dziedzicznych jéj dobrach Remitten. Fryderyk Wilhelm nie pozwala jednakże nawet nieżywemu Kalksteinowi spocząć pośród swoich. Odmówił prośbie Maryi Elżbiety Kalkstein; ciało skazanego pozostało w sklepach kościoła Memelskiego.

Odmowa ta i decyzya elektorska stanowią ostatnią kartę znajdujących się w tajném archiwum berlińskiém akt Kalksteinowego procesu. .

EPILOG.

Wahaliśmy się przez niejaki czas, czy dodać do zakończonéj właściwie egzekucyą sprawy Kalksteina niniejszy *epilog*. Śmierć jego na rusztowaniu zamyka tak naturalnie, tak zaokrąglająco ostatnią scenę piątego aktu jego tragedyi, że szczerą równie, jak nęcącą jest pokusa spuścić zasłonę nad całą sprawą z chwilą katastrofy z dnia 8 Listopada 1672, zostawić czytelnika pod wrażeniem tego smutno-pomnikowego aktu. Nie po raz pierwszy jednakże wypada nam przypomnieć sobie i czytelnikom, że zadaniem *sztuki* tylko tworzyć ideały, że rzeczą poetycznéj wyobraźni tylko tworzyć zadawalniające uczucie moralne, odpowiadające regułom estetycznym—zaokrąglone w artystyczną całość dramaty, — kiedy zaś dla *historyi* pozostaje, choćby nawet najsmutniejsza dla kreślącego ją—*prawda*. Obowiązek dania jéj nieubarwionego i nieprzeinaczonego niczém świadectwa, choćby nawet z poświęceniem miłości własnéj narodowéj polskiéj, pozostaje nam w kilku słowach niniejszego epilogu, już w obec zamkniętego nad Kalksteinem grobu.

Cóż robi w obec wyrządzonéj sobie obelgi, w obec zrzuconéj jakby na urągowisko sobie głowy przyjaciela swego, przyjaciela tém drogocenniejszego, iż obcego kraju i obcego plemienia, — *Polska?*

Dnia 8 Listopada 1672 spadła w Memlu głowa Kalksteina, we dwa dni późniéj spisuje poczciwsza część szlachty akt konfederacyi Gołębskiéj, natchniony, nie przeczymy, najszlachetniejszemi pobudkami i intencyami, ale, co się niestety zaprzecyć również nie da, utwierdzający samym swym faktem stan głębokiego rozstroju, w jakim z jednéj strony broniąca praw zagrożonego króla Michała szlachta, w jakim z drugiéj intryga magnacka stanąwszy przeciw sobie, ubezwładniły doszczętnie możność akcyi polskiéj na zewnątrz. Coraz nadto srożéj, coraz okrutniéj rozwściekla się równocześnie przeciw Polsce turecka burza. Lata 1672 i 1673 stanowią pamiętną, dobrze wiadomą jéj datę. Zwycięstwo chocimskie Jana Sobieskiego rozświetla nieco horyzont, ale jest téż zarazem datą zgonu króla Michała, szczerego, choć mało skutecznego protektora, jakiego Kalkstein miał w Polsce za życia, wysoko w Rzeczypospolitéj położonéj osobistości, któréj poczciwemu sumieniu pamięć ściętego Kalksteina zasnąć spokojnie nie pozwoliła. Wśród bezkrólewia zasnuwają się zwykłe elekcyjne intrygi; świeższe wraże-

nia zacierają w usposobieniu publiczném dawniejsze; w Maju r. 1674 wychodzi Jan Sobieski zwycięzcą z pola elekcyjnego. Podczas tego wszystkiego wrzała cicho i niepostrzeżenie, jak ukryty płomień pod warstwą popiołu, opozycya pruska. Jeszcze pod dniem 31 Sierpnia 1673 pisze poseł francuski w Berlinie Verjus do ministra Ludwika XIV, sławnego Louvois: „Elektor posłał dwa pułki jazdy do Pruss, równie, jak jestem przekonany, aby zmusić tęż prowincyą do posłuszeństwa, jak, by ulżyć przez to tutejszym krajom.“ Jeśli więc według powyższego świadectwa nie zmieniło się usposobienie Pruss, jeśli i o téj późnéj dacie jeszcze Księstwo Pruskie ogląda się z pewną tęsknotą za Polską,—zmieniła się w Polsce saméj postać rzeczy, a elektor rozpoczyna pocichu, zdaleka i ostróżnie nowy ustęp swéj akcyi, — „dzieło rekoncyliacyi dworu polskiego z Brandtem.“

Wiadomy nam już cały aparat, znane wszelkie szczegóły komedyi procesowéj, jaką zarządził elektor ku uciszeniu reklamacyj polskich, ku formalnemu zadosyćuczynieniu żalom i skargom Rzplitéj z powodu porwania Kalksteina. Brandt, któremu, jak nam wiadomo z powyższego opowiadania, elektorski fiskał Cramer wytoczył oskarżenie z powodu zamachu na Kalksteina, został w tak zwanym procesie banicyjnym pod dniem 6 maja 1672 r. skazany na utratę urzędu i jednoroczny, przymusowy pobyt na wsi. Krótko potém jednakże, pod dniem 22 kwietnia 1673 r. wydaje elektor do akt procesowych reskrypt, „aby w procesie banicyjnym przeciw rotmistrzowi Montgommeremu i chorążemu Baumgardtowi wszelkie dalsze kroki powstrzymać i bez specyalnego rozkazu Jego Elektorskiéj Mości wszelkie dalsze postępowanie zawiesić.“ Zawieszenie to procesu przeciw głównym wykonawcom zamachu wróżyło naturalnie podobną łaskawość i dla jego sprawcy; Brandt był już bezpiecznym, „burza przeminęła,“ według malowniczego wyrażenia w liście księcia de Croy. Na tém jednakże nie było elektorowi dosyć. Baron Hoverbeck, który po zatwierdzeniu traktatów welawsko-bydgoskich, po udzieleniu daléj elektorowi inwestytury na księstwo Lemburgsko-Butowskie, wrócił jako reprezentant elektora do Warszawy, był za starym; zastępujący go przez czas niejaki rezydent Krysztof Wichert był za małą na podobne stanowisko figurą. Brandt był młody, śmiały, zręczny, gotów, jak tego świetne złożył dowody, w interesie i na rozkaz elektora do wszystkiego, umiał zresztą, co nie najmniéj ważna, popolsku, i znał dokładnie stosunki polskie. Zależało więc elektorowi na powróceniu go jakimbądź sposobem do Polski, jakkolwiek ukazanie się Brandta na widowni jego czynu mogło być niebez-

piecznem. Sam Hoverbeck, uwiadomiony o podobnym zamiarze elektora, odradzał powrotu Brandta, straszył sądem marszałkowskim, objawiał bardzo poważne obawy. Na nieszczęście znał jednakże elektor dygnitarzy polskich lepiéj, jak jego reprezentant w Warszawie, a ufny w stosunki i związki z nimi, wyprawia w maju 1674 r. Brandta, pod nazwiskiem porucznika von Wedell, nasamprzód do Wielkopolski, zkąd za pośrednictwem Leszczyńskich, Grzymułtowskich, Morsztynów, Niemiryczów, jak towar zakazany ma być przemycanym daléj, aż będzie mógł zrzucić swoje *incognito*. Co w całym tym pomyśle rzeczą najboleśniejszą i najbardziéj uderzającą, to że tyle zacny i uczciwy dotąd podkanclerzy koronny Olszowski, protektor Kalksteina, czujący, jakby się zdawać mogło, żywo wyrządzoną Rzeczypospolitéj przez porwanie jego obelgę, dostaje wiadomość o powrocie Brandta, a przecięż dziwną w obec tego wypadku zachowuje obojętność. Pod koniec miesiąca maja 1674 r. staje Brandt w Poznaniu, jako gość i protegowany nikczemnego Jana Leszczyńskiego kanclerza w. koronnego, dzielącego się moralnemi rządami nad Wielkopolską, o ile na to podejrzliwość szlachecka pozwala, z drugim podobnym sobie nikczemnikiem Krzysztofem Grzymułtowskim kasztelanem poznańskim. Sprawca zamachu na Kalksteina i krwawéj obelgi wyrządzonéj czci i godności Rzeczypospolitéj jest przedmiotem grzeczności, uprzejmości najwyszukańszéj, pieczołowitości pierwszego dygnitarza tejże Rzpltéj! „Pan Kanclerz,“ pisze Brandt do elektora w liście z Poznania dnia 27 maja 1674 r., „przyjął mnie nad miarę grzecznie i przyjacielsko.“ Sam Brandt, jak ztąd widzimy, dziwi się nieco nad owym zbytkiem uprzejmości magnata polskiego. Nie dość na tém, zaopatruje kanclerz polski cynicznego sprawcę Kalksteinowego zamachu praktycznemi radami w dalszéj jego po Polsce Odyssei. Radzi mu jechać na koronacyą Sobieskiego do Krakowa, wstąpić jednakże po drodze do Warszawy a na każdy przypadek zaopatrzéć się w listy elektora do w. kanclerza litewskiego Paca, do podskarbiego koronnego Morsztyna, do kasztelana Poznańskiego Grzymułtowskiego, aby tém bezpieczniéj powrócić na widownią swego czynu. Rady Jana Leszczyńskiego okazały się skutecznemi, jak zobaczymy.

Brandt przybył do Warszawy *incognito*, jako porucznik *von Wedell*, i stanął gospodą u dawnego swego znajomego, Szkota Thamsona na Lesznie, może w tych samych komnatach, zkąd przed czterema laty kazał skrytobójczo porwać Kalksteina. Oglądał się wprawdzie niespokojnie trochę na wszystkie strony, nie był bez obawy odwetu szlacheckiego, sądu marszałkowskiego może, ale

pospieszyli dodać mu otuchy dawni przyjaciele, poseł szwedzki Dörffler i sekretarz miasta Gdańska Stodert. Nie zbywało jednakże w owych dniach Czerwcowych roku 1674 Brandtowi prócz owych przyjaciół niemieckich i na usłużnych przyjaciołach polskich. Sam Brandt, ku wstydowi naszemu niechaj prawda ta będzie wyrzeczona, miał ich za lepszych i uczciwszych, niż się rzeczywiście okazali. Jak co dopiéro powiedziano, ogląda się, zakryty przybranem nazwiskiem Wedella, Brandt strachliwie nieco po Warszawie i czeka z rezygnacyą, aż go dosięgnie jaki czyn mściwości szlacheckiéj, lub pochwyci pachołek w. marszałka koronnego. Tymczasem nie widać owych niebezpiecznych nieprzyjaciół, a wszystko wita go niemal jak tryumfatora! Dworują mu Grzymułtowski kasztelan poznański, Andrzéj Morsztyn podskarbi koronny, „*Kulawy Morsztyn*“ krewny podskarbiego, znany z powyższego opowiadania, Lubomirski w. marszałek koronny, sędzia marszałkowski, generał Niemirycz, i nie wstydzą się robić się jego rzecznikami u Sobieskiego, u podkanclerzego koronnego Olszowskiego. Brandt zadziwiony trochę zbytkiem swego powodzenia a polskiéj pobłażliwości, pisze do elektora: „Pan Opacki jeden tylko fulminował trochę na mnie.“ Reszta wspomnianych co dopiéro wyżéj dygnitarzy polskich, wraz z przypuszczonym do swego towarzystwa Meglinem, owym kapitanem Meglinem z wojska Rzplitéj cudzoziemskiego autoramentu, odznaczonym tak zaszczytnie w przygotowaniach do zamachu na Kalksteina,—częstuje Brandta, bawi się z nim i pije. Ośmielony podobném powodzeniem rezydent brandenburgski posuwa swoję odwagę do tego stopnia, że staje przed obliczem dawnego swego nieprzyjaciela, opiekuna Kalksteina, podkanclerzego Olszowskiego i zwierza mu się ze swych obaw. „Bądź bez obawy,“ odpowiada Olszowski, „bo strachy bywają na Lachy, nie dla Niemców!“ Koncept podobny podkanclerzego kładzie naturalnie koniec wszelkim niepokojom Brandtowym.

Wypadałoby się jeszcze przypatrzéć usposobieniu nowego króla pod tym względem. Mamy w téj mierze bardzo wyraźną i charakterystyczną skazówkę niepodejrzanego świadka, barona Hoverbecka. Pisze on w depeszy do elektora z dnia 2 lipca 1674 r.: „Gdy kasztelan poznański i kilku innych senatorów oznajmiło królowi, że w. kanclerz koronny za nim (Brandtem) się wstawia, wybuchnął w słowa: że go dziwi, że pan kanclerz nie ma więcéj uczucia bólu publicznego (sensum doloris publici) i protestował zarazem, że jest niewinnym, gdy mu się podobna obelga wyrządza.“ Usposobienie podobne i słowa Jana III byłyby bez wątpienia dobre i zdolne pocieszyć serce polskie, iż zwycięzca z pod Cho-

cimia i Wiednia przynajmniéj miał „*sensum doloris publici*,“ że czuł krzywdę wyrządzoną Polsce, że doznawał wstrętu na widok magnatów polskich, łaszących się dotykalnemu sprawcy i bohatérowi owéj obelgi. Na nieszczęście jednakże nie widzimy, aby ten naturalny wybuch poczciwego uczucia był miał jakieś konsekwentne a trwalsze następstwa. Jan III słabnie i mięknie po tym pierwszym porywie. Okoliczności, jak już powiedzieliśmy wyżéj, zmieniły się. Nowy król polski *potrzebuje* elektora, potrzebuje go jako sprzymierzeńca wśród zatargów domowych, potrzebuje niemniéj może jako dostarczyciela traktatowych posiłków przeciw Porcie Ottomańskiéj. Również i elektor potrzebuje nowego króla polskiego, który według brzmienia traktatów welawsko-bydgoskich ma mu zatwierdzać niezależność władzy w Księstwie Pruskiém, udzielić ponownie inwestyturę na Lauenburg i Butow. Ztąd wyradza się stosunek wzajemnych komplementów i grzeczności. Hoverbeck składa na uroczystéj audyencyi powinszowanie Janowi III z powodu świeżego wyniesienia na tron królewski w imieniu elektorskiém. Jan III odpowiada na to powinszowanie komplementami dla elektora; Kalkstein zapomniany i pochowany, Brandt może spokojnie jechać z Warszawy do Krakowa na koronacyą, rozkoszować się bezpiecznie na widowni swego czynu z miesiąca listopada 1670 roku; upragniona tyle przez elektora „*rekoncyliacya Brandta z dworem polskim*“ dokonana i spełniona szczęśliwie!

W obec podobnego przebaczenia udzielonego Brandtowi przez dwór polski, nie ma naturalnie i elektor żadnego powodu bawić się nadal w urządzoną przeciw Brandtowi komedyą. W r. 1678 wydaje dekret udzielający skompromitowanemu zamachem na Kalksteina rezydentowi uroczystą restytucyą. Brandt rehabilitowany umiera w trzydzieści lat póżniéj „*syt lat i chwały*,“ jako minister pierwszego króla pruskiego.

Otóż, co nam nie bez szczerego bólu, ale w imię prawdy dziejowéj, wypadło dopowiedzieć jeszcze dla uzupełnienia całości tragicznéj sprawy Kalksteina.

Zadanie nasze skończone. Należy nam zapisać jeszcze tylko kilka uwag i spostrzeżeń ogólnego znaczenia.

W postępowaniu Brandenburgii nie razi tyle gwałt, ile raczéj fałsz. Stronnice dziejów XVII i XVIII wieku pełne podobnych zamachów na życie i wolność przeciwników politycznych ze strony możnych i potężnych, pełne podobnych grzechów przeciw prawu narodów; w zamachu na Kalksteina odzwierciadla się charakter wieku. Elektor chce zniszczyć niebezpiecznego sobie Kalksteina i posługuje się gwałtem, który może być oburzającym, który razi

od początku do końca bezprawiem i cynizmem, ale który jest naturalnym ze stanowiska interesu politycznego elektora. Odkąd natomiast sprawa poczyna być wstrętną i obrzydłą, to gdy dla pokrycia i zamaskowania gwałtu rozwija się ów sztuczny, drobiazgowy i drobnostkowy a ohydny aparat fałszu, komedyi i podstępu, to gdy się zasnuwa troskliwie przemyślana a zmyślona siatka wybiegów i wykrętów. W szczegółach podobnéj roboty zaciera się postać wielkiego męża, wodza i polityka historyi brandenburgskiéj, wynurza się natomiast i odsłania fizyognomia owych małych średniowiecznych dynastów włoskich, co spełniwszy czyn wątpliwéj moralności, nie mają odwagi przyjąć na siebie śmiało zań odpowiedzialności, zacierają z mniejszą lub większą zręcznością jego ślady, wyszukują sobie kozłów ofiarnych, umywają sami hipokryzyjnie ręce.

Ze strony *Polski* nie razi nas, ani boli najwięcéj materyalna jéj niemoc, smutny fakt, że nie mści mieczem wyrządzonéj sobie obelgi, że nie idzie zbrojną ręką odbijać więziennych drzwi Kalksteina. Co nas boli i dolega więcéj, to obojętność jéj moralna i polityczna w obec doznanéj ze strony wczorajszego zaledwie lennika krzywdy, to ów lakoniczny w specyfikacyi Brandtowych wydatków dopisek: „50 talarów sędziemu Wyszogrodzkiemu, aby postulatów Kalksteina nie zamieszczał w konstytucyą sejmową,“ to owe dukaty wypłacone Kochanowskiemu, to owa gościna Brandta u w. kanclerza koronnego, to owo ucztowanie dygnitarzy i panów polskich z Brandtem po jego powrocie do Warszawy, to owa zatrata wielkich tradydyi XV wieku, to owa niepamięć na to, czém Polska była a czém pozostać święty miała obowiązek. Owa Polska, nieświadoma wyrządzonéj sobie krzywdy, nierozumiejąca siebie samej, niezdolna zrozumieć wołania wyciągającéj do siebie rozpaczliwie ręce ludności pruskiéj, — otóż, w najtragiczniejszą, najczarniejszą sprawy téj stronę, smutna *signatura temporis*, odzywająca się fatalném dla Polski saméj, krwawem, ironiczném jakoby, odwetem w sto lat późniéj echem, mściwem *hodie mihi, cras tibi*, od dnia do dnia niemal, po zrzuceniu głowy Kalksteina w Memlu.

Jego samego poznaliśmy aż nazbyt dostatecznie przez ciąg powyższego opowiadania. Mieliśmy sposobność poznajomić się z jego osobą zbliska i dokładnie, rozpatrzéć się niemniéj w jego ujemnych, jak pięknych i dodatnich stronach. Krystyan Ludwik Kalkstein, który dał gardło, Hieronim Roth, który dał wolność całego życia za wyznawaną przez się śmiało sprawę, byli ostatnimi rzecznikami swobód pruskich, ostatnimi wyobrazicielami idei federacyjnego węzła pomiędzy krajem pruskim

a Rzeczpospolitą Polską, szczerymi a niezrozumianymi przyjaciołmi Polski, potomkami z myśli i ducha bohatérów *jaszczurczego związku*, pamiętnych w dziejach XV wieku, szczęśliwszych od siebie braci Baisenów. Polska Kazimierza Jagiellończyka byłaby im pospieszyła z bratnią odsieczą; senna, nierozumiejąca siebie saméj, rozdarta wewnętrznemi zatargami, odwrócona w inną stronę Polska Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego poświęca ich i zapomina, pozwala aby grób Kalksteina zarastał chwastem niepamięci i obojętności. Dzisiejsza epoka, na całym ucywilizowanym świecie, jest pamiętniejszą i wdzięczniejszą dla czynów, poświęceń i zasług choćby odleglejszéj przeszłości. Gdzieindziéj, uczczonoby pamięć ofiary i zasługi, jaką była dla Polski i własnego gniazda zasługa i ofiara Kalksteina, dotykalnym i dostrzegalnym pomnikiem z kamienia lub spiżu. Co do nas, nie jesteśmy w możności stawiania mu *podobnych* znaków uznania i pamięci. Uczcijmy przynajmniéj, skoro inacźéj być nie może, zasługę i ofiarę jego dla Polski niniejszém wspomnieniem, wznowieniem pamięci owéj zasługi i owéj ofiary w sercach i umysłach obecnéj generacyi polskiéj.

K O N I E C.

FILOZOFIA I WIEDZA.

Treść: Wstęp. — I. Filozofia i umiejętność.—II. Obecny rozkład filozofii. Co mogłoby filozofii zapewnić znaczenie umiejętności?—III. Filozofia jako umiejętność istoty wszechrzeczy. Błędne oddzielenie istoty od jéj zjawisk. Istotę rzeczy poznają umiejętności specyalne. Metafizyka. Pytanie o istocie wszechbytu staje się pytaniem o jego istnieniu. Granice wiedzy.—IV. Filozofia ma swe raison d'être. Wspólne źródło filozofii i wszelkiego teoretycznego dociekania. Węzeł łączący filozofią z umiejętnością. Hypotetyczność filozofii. Hypoteza. Indywidualny charakter systematów filozoficznych. Filozofia dziełem indywidualnéj wyobraźni. Określenie filozofii.

Jakie ma znaczenie filozofia dla wiedzy? czém i w jaki sposób ją wzbogaca? jakie braki w niéj uzupełnia? jaką treścią zasila ogólny zbiornik wiedzy naszéj, na który składają się umiejętności specyalne?—jedném słowem: jaka jest umiejętna wartość filozofii—jest to jedno z tych wielu pytań, które, jakkolwiek kardynalne mają znaczenie dla filozofii, przecież dotychczas stanowczo jeszcze rozstrzygnięte nie zostały i do których filozofowie wciąż na nowo wracają, kusząc się nadaremnie, jak się zdaje, o wynalezienie zaspokajającéj odpowiedzi.

Kwestya doniosłości filozofii dla wiedzy w téj formie, w jakiéj obecnie występuje, a mianowicie: czy filozofia jest umiejętnością i czy wzbogaca naszę wiedzę, ma jednak przed innemi filozoficznemi zagadnieniami podwójne widoki powodzenia. Po pierwsze, jakkolwiek jak najściśléj wiąże się z filozofią, przecięż stanowi ona dla niéj wstępne tylko pytanie; nie jest więc integralną częścią filozofii, a tém samém nie należy do rzędu pytań filozoficznych w ścisłém znaczeniu, t. j. do tych zagadnień, na których odwieczne doświadczenie piętno nierozwiązalności wycisnęło. Powtóre zaś, kwestya ta jest stosunkowo dość nowa, powstała bowiem wła-

ściwie dopiero po bankructwie absolutnego idealizmu Hegla i metafizycznego materyalizmu Büchnera, Moleschotta i t. p., może więc w skutek swéj nowości budzić nadzieję, że jeszcze nie wyczerpano wszystkich sposobów jéj rozwiązania.

I.

Umiejętnością umiejętności i po dziś dzień nazywają filozofią; a jednak ciż sami uczeni, którzy przez to miano nadają jéj znaczenie umiejętności *par excellence*, z drugiéj strony mówią o filozofii i umiejętności; pytają się, jakie są jéj cechy charakterystyczne w różnicy od wszystkich innych nauk; badają, w jakim znajduje się stosunku do téj lub owéj umiejętności — jednćm słowem, zdradzają, że w gruncie rzeczy uważają filozofią za inny produkt ducha ludzkiego niż umiejętność, mimo ostentacyjne stawianie jéj na ich czele.

Takie dwulice stanowisko względem filozofii dziś już za anachronizm uważaćby należało. Mogło ono być uprawnione właściwie tylko w epoce panowania filozofii Wolfa i Leibnitza, kiedy wiedzę ludzką dzielono na dwie połowy: empiryczną i racyonalną, uważając pierwszą za zdobycz umiejętności specyalnych, drugą zaś za zdobycz filozofii. W obec ówczesnego dualistycznego poglądu na źródło i metody poznania, rozdzielającego doświadczenie i obserwacyą od dedukcyi rozumowych w ten sposób, że pierwszemi miały się wyłącznie umiejętności specyalne posiłkować, a drugiemi filozofia, przyczém dedukcyi rozumowéj, jako dającéj wyniki uniwersalne i konieczne, przypisywano pierwszeństwo przed doświadczeniem—w obec takiego poglądu, powtarzamy, było rzeczą słuszną oddzielać filozofią od umiejętności, a jednak uważać ją za umiejętność najwyższą. Dziś ze zmianą zasadniczych pojęć teoryi poznania, wzmiankowany pogląd na filozofią powinienby być już wyrugowany. Dziś już żaden z filozofów bez względu na kierunek, do którego należy,—z wyjątkiem nielicznych maruderów szkoły Hegla, —nie przyznaje się do tego, jakoby wywody swe opierał wyłącznie na apriorycznéj dedukcyi rozumowéj; przeciwnie, uznaje i dla filozofii potrzebę oparcia jéj na metodach empirycznych w całéj ich rozciągłości. Wprawdzie rozchodzą się w tym względzie filozofowie, gdyż jedni uważają obserwacyą i doświadczenie tylko za jedyne źródło poznania zarówno w filozofii jak i w umiejętności, inni zaś dowodzą, że tak jedna jak i druga czerpie swą treść zarówno z empirycznego jak i z apriorycznego źródła; z tém wszyst-

kiém dzielą jedni i drudzy to wspólne przekonanie, że filozofia i umiejętność mają jedno i toż samo źródło, jedne i téż same ogólne metody poznania. W obec takiego pojmowania rzeczy, według którego cechy, odróżniające filozofią od umiejętności, mogą być jedynie wynikłościami jéj przedmiotu, a więc ostatecznie płynąć z tego samego źródła, zkąd i odrębności każdéj umiejętności, należałoby przecięż zaniechać już tradycyonalnego podziału wyrobów teoretycznych dążności ducha ludzkiego na filozofią i umiejętność i mówić o filozofii jako o *jednéj* z umiejętności; albo też przeciwnie, utrzymać w całéj rozciągłości ten podział, narzucający się mimowoli, a jednak dotychczas nieusprawiedliwiony i schodzący dziś prawie do znaczenia utartego tylko frazesu, i uważać filozofią, mimo jéj ścisłego związku z umiejętnością, za zupełnie odrębny objaw ducha ludzkiego, za wynik duchowéj pracy *sui generis*.

Szybki wzrost nauk specyalnych w naszych czasach uwydatnił jak nigdy niemoc filozofii, jako umiejętności, i zrodził powszechną do niéj nieufność. Wartość i znaczenie filozofii dla wiedzy stały się więcéj niż wątpliwe w obec zdobyczy nauk specyalnych. Jakim bowiem sposobem w saméj rzeczy ocenić umiejętną doniosłość filozfii, skoro między filozofami nie ma zgody ani w określeniu celu, do którego filozofia zmierza, ani wreszcie rezultatów, jakie w swym rozwoju osiągnęła. Ile szkół i systemów tyle téż poglądów na zadanie filozofii, a więc i na doniosłość badań filozoficznych. Taki sam zamęt panuje i pod względem oceny zdobyczy, któremi filozofia po dwudziestu wiekach istnienia wiedzę naszę wzbogaciła. Nie ma ani jednego twierdzenia, na któreby wszyscy filozofowie się zgadzali, nie ma ani jednego zdania, któreby w filozofii za axiomat udowodniony uważano. Każdy system powstaje na gruzach swego poprzednika, rozpoczyna pracę *ab ovo* i wznosi swój gmach jedynie dla tego, żeby ustąpić miejsca następnemu; w miejsce ciągłości, przedstawia nam rozwój filozofii kataklizmy same. Tylekroć już opracowywano historyą filozofii, a jednak nie wiemy, co jéj wiedza nasza zawdzięcza. Według świadectwa profesora filozofii uniwersytetu Wiedeńskiego *Brentano* (1), jeden ze znakomitszych badaczy historyi, żyjący w czasie, kiedy Brentano był jeszcze studentem, a zajmujący się gruntownie historyą filozofii, mawiał, że najlepiéj można ją porównać do wielkiego cmentarza. Niezliczona ilość pomników, utrzymywał on, przedstawia się têm widzowi; je-

---

(1) *Brentano:* Ueber die Gründe der Entmuthigung auf philosophischem Gebiete r. 1874, str. 7.

dne z nich wspaniałe i bogate, inne znów skromne i mniéj ozdobne; ale na każdym jeden i ten sam smutny napis „Hic jacet.“ Dla uczonego tego, zdaniem prof. Brentano, nie ulegało wątpliwości, że po takiém doświadczeniu filozofia nie może mieć na przyszłość żadnéj nadziei. Smutnéj téj przepowiedni obecna chwila na pozór kłamu nie zadaje. Dziś bowiem znakomicie powiększyła się liczba tych, którzy wszelką wiarę w filozofią stracili i którzy jéj odmawiają wszelkiego naukowego znaczenia. Wszystkie dotychczasowe usiłowania filozoficzne są dla nich tylko nieszczęsnemi zboczeniami umysłu ludzkiego, mającemi jedynie tę dobrą stronę, że w końcu muszą filozofii zgotować los, któremu niegdyś uległa alchemia i astrologia. Zdaniem więc ich, musi filozofia zginąć, i śmiercią swą utorować drogę dla nowych, prawdziwych umiejętności.

II.

Obecny stan filozofii w porównaniu z tém, czém ona była w przeszłości, przewidywania te zdaje się stwierdzać. Historya jéj nie przedstawia nam rozwoju tylko rozkład coraz bardziéj się wzmagający; tak, iż imbardziéj od początku swego się oddala, tém bardziéj treść jéj się zmniejsza, a przedmiot maleje. Nie wspominamy już o owych oddalonych czasach, kiedy filozofia w swém łonie całość ludzkiéj wiedzy więziła, ani téż o tych, w których filozofia, mimo że obok niéj odrębne umiejętności istniały, nie była jeszcze od nich systematycznie oddzielona i w sobie zorganizowana. To była epoka, w któréj filozofia i umiejętność były rzeczami identycznemi; nie może więc to nas zastanawiać i dziwić, że z postępem czasu z téj pierwotnéj całości pojedyncze części zaczęły się wydzielać, aby wytworzyć odrębne, niezawisłe umiejętności. Ale z chwilą stanowczego oddzielenia jéj od specyalnych umiejętności, z chwilą zorganizowania filozofii i ułożenia jéj w usystematyzowaną, zamkniętą w sobie całość, co ostatecznie przez Wolfa (1676—1754) dokonaném zostało, rozkład ten powinienby był ustać. Tymczasem rzecz miała się i ma się dziś jeszcze inaczéj.

Szeroki zakres, jaki sobie filozofia naznaczyła, nie oparł się biegowi czasu i nie przetrwał w swéj całości do nas. Wiele dziedzin, które filozofia za swą właściwość uważała, oddzieliło się od niéj i stało się jeśli nie zdobyczą umiejętności specyalnych, to przynajmniéj przedmiotem spornym między niemi a filozofią: *filozofia natury*, zdaje się, zginęła bez śladu, a jéj przedmiot rozdzieliły między sobą nauki przyrodzone; *etyka* musiała największą

część swego przedmiotu ustąpić naukom państwowym i społecznym i socyologii, a to, co jéj pozostało — *etykę* indywidualną (naukę moralności) reklamuje dla siebie nowa umiejętność, *teorya moralności niezależnéj* (1), wypierająca się wszelkiéj wspólności z filozofią i pretendująca do takiego samego niezawisłego stanowiska jak każda umiejętność specyalna. Ale sroższy jeszcze cios grozi w naszych czasach filozofii. Dusza, którą przez tyle wieków uważano za bezsporny, a często nawet za wyłączny przedmiot filozofii (2), i do któréj żadna umiejętność specyalna dotychczas praw sobie nie rościła, dziś staje się dziedziną badania ścisłego, niezawisłego od systemów filozoficznych (3), i nowa umiejętność: *psychologia oparta na obserwacyi i doświadczeniu* (Psychologie auf Erfahrung und Experiment gegründet, psychologie expérimentale) już po nią rękę wyciąga (4). Z pozostałych zaś tradycyonalnych poddziałów filozofii: logiki i metafizyki, pierwsza, t. j. logika, zawsze w luźnym tylko a nawet często zupełnie zewnętrznym związku stała z filozofią. Widać to już z téj okoliczności, że ją bardzo często nie za składową część filozofii, ale za umiejętność wstępną do niéj uważano, i że tak zwana logika formalna (którą bardzo wielu za jedynie uprawnioną uważało i uważa) bywała wcielana bez zasadniczych zmian do najprzeróżniejszych systemów filozoficznych, dokumentując tym sposobem swą odrębność i niezależność od filozofii. To téż już *Kant* nawet widział w niéj obojętność nieza-

---

(1) La morale indépendante, recueil hébdomadaire 1865—69.—*Coignet.* La morale indépendante. Założycielem tego nowego kierunku etyki stał się we Francyi *Proudhon* przez dzieło: La justice dans la Révolution et dans l'Eglise. confer *Caro:* Problème de morale sociale. 1876. str. 25 nn. W Niemczech niezależność etyki w najobszerniejszém jéj znaczeniu, (włączając nawet do niéj i estetykę) od metafizyki wygłosił już *Herbort* cf. Lehrbuch z. Einl. in die Phil. §§ 4 i 8.

(2) Tak np. *J. S. Mill* mówi: „Pod filozofią rozumimy to samo co i starożytni: umiejętne poznanie człowieka jako istoty intelektualnéj, moralnéj i socyalnéj, cf. J. S. Mill: August Comte und der Positivismus uebers. von E. Gomperz. r. 1874 str. 37.

(3) Przekonanie, że psychologia stanowi umiejętność niezależną od filozofii, zaczyna coraz bardziéj przenikać w koła uczone i literackie. Nawet i w Niemczech, gdzie najsilniéj po dziś dzień obstają za tém, że filozofia jest zamkniętą w sobie umiejętnością, ustala się mniemanie o niezależności psychologii; tak np. w czasopiśmie *Literarisches Centralblatt,* dział filozoficzny nosił przedtém wyłączny tytuł: „Philosophie," dziś zaś w razie, jeśli w nim mieszczą się recenzye psychologiczne nagłówek brzmi: „Philosophie. Psychologie."

(4) cf. *Ribot.* La psychologie anglaise contemporaine 2-de ed. r. 1875, str. 22 i n. i 32 nn.

wisłą (1). Jednem słowem, zdaje się, jak gdyby losy filozofii miały być już w naszych czasach rozstrzygnięte: wewnętrzny rozkład filozofii dobiega ostatnich kresów, a na gruzach jéj kiełkują już nowe, niezawisłe umiejętności.

W obec takiego stanu filozofii z jednéj strony, a tradycyonalnie jéj przypisywanego znaczenia najwyższéj umiejętności z drugiéj, musi się naturalnie rodzić pytanie, czy rozkład filozofii na odrębne specyalne umiejętności, w razie gdyby się ostatecznie dokonał, koniecznie zatratę jéj za sobą pociągnąćby musiał. Otóż to właśnie pytanie stało się w naszych czasach bodźcem — bądź to jawnym, bądź skrytym—do częstego roztrząsania kwestyi stosunku filozofii jużto do nauk przyrodzonych, jużto do umiejętności w ogóle, oraz do zbadania, czy filozofia jest umiejętnością, czy nią być może, i jakie są warunki naukowego jéj ukształtowania.

Od dwóch kardynalnych warunków zawisła przy zastosowaniu odpowiedniéj metody możliwość filozofii jako umiejętności. Popierwsze potrzeba, żeby, pomimo najobszerniejszego rozgałęzienia się umiejętności specyalnych, pozostała pewna sfera istnienia z natury swéj niedostępna dla nich, i żeby sfera ta, mająca stanowić właściwy i nietykalny przedmiot filozofii, była, pomimo wszechwładnego zapanowania umiejętności specyalnych nad wszechświatem, uniwersalną a znaczeniem swém dla człowieka przewyższała całą dziedzinę wszystkich umiejętności specyalnych razem wziętych. W takim bowiem tylko razie, filozofiia nietylko miałaby zapewnione trwałe istnienie, ale nadto, pozostałaby tém, czém była i zawsze być chciała, t. j. umiejętnością uniwersalną i umiejętnością najwyższą, i wreszcie, w takim tylko razie historya filozofii nie byłaby historyą jéj ciągłego rozkładu, ale historyą umiejętności, która w rozwoju swym oczyszcza się stopniowo z obcych sobie naleciałości, i tym sposobem wchodzi we właściwą sobie i ściśle określoną sferę badań.

Jedna tylko sfera istnienia zdaje się tym dwom kardynalnym warunkom odpowiadać: *istota bytu*. Ona to bowiem nigdy nie może się stać przedmiotem téj lub owéj umiejętności specyalnéj, gdyż każda z nich z natury swéj musi się ograniczyć do badania pewnéj grupy *objawów* téj istoty; ona też jest i uniwersalna, stanowi bowiem zasadę wszystkiego, co tylko istnieje, i przez to

(1) cf. *Ueberweg*. System der Logik r. 1857 str. 43, również *Grapengiesser*. Erklärung und Vertheidigung von Kants Kritik d. reinen Vern. etc. r. 1871 str. 243.

właśnie jest najwznioślejszym przedmiotem poznania. Z tych to powodów, ci, którzy bronią znaczenia filozofii jako uniwersalnéj i najwyższéj *umiejętności*, wciąż jeszcze na to się powołują, że ona tylko może poznać istotę bytu (1).

III.

Wypada więc nam zastanowić się, jakich korzyści dla wiedzy można się spodziewać po filozofii, jako *umiejętności istoty bytu.*

Pojmowanie filozofii jako nauki o istocie bytu jest tak stare jak sama filozofia i ma, jak się zdaje, niespożytą siłę. Po tysiąc razy zmieniano, zarzucano je i znów powracano do niego, a za każdą razą filozofia inną przyjmowała postać. Skądże mogła pochodzić ta różnorodność, mimo tożsamości w określeniu filozofii? Widoczna, że z jedném i tém samém wyrażeniem: „poznanie istoty bytu" różne łączono wyobrażenia. Już ta rozmaitość zdań o celu i zadaniu filozofii mimo tożsamości definicyi musi budzić nieufność do téj umiejętności istoty bytu. W saméj rzeczy wydzielenie istoty bytu jako przedmiotu filozofii polega na dwóch błędach: fałszywém oddzieleniu zjawiska od istoty i błędném ocenieniu wiedzy, którą zyskujemy w umiejętnościach specyalnych.

Jeden i drugi błąd płynie z jednego i tego samego źródła, a mianowicie ze znanego dobrze złudzenia psychologicznego, rozrywającego każdy byt rzeczywisty, każdą rzecz na jéj zewnętrzne cechy i wewnętrzną *esencyą*, która im byt nadaje. Że takiéj wewnętrznéj esencyi w żadnéj rzeczy nie ma, że pod żadnym komplexem zjawisk, stanowiącym pewną daną rzecz, nie ma żadnéj ukrytéj *substancyi*, z któréjby te zjawiska wyrastały, że to, skąd dane zjawisko istnienie swe czerpie, leży nie w niém lecz zewnątrz niego, t. j. w warunkach, które je ukonstytuowały i które również są takiemiż zjawiskami, że istnieje ono tak długo jak i te warunki, które je do życia powołały, że zmienia się stosownie do zmian, jakie w tych ostatnich zajdą—(2) wszystko to już dawno analiza psychologiczna wykryła i dziś jest to już prawda ustalona. A jednak złudzenie to jest tak potężne, że nawet umysły wyćwiczone

---

(1) cf. np. *Bratuschek:* Der Positvismus in der Wissenschaft, w czasopiśmie Philosophische Monatschefte t. XI str. 53., lub *Struve*: Cechy charakterystyczne filozofii etc. 3. 1875 str. 43 nn. podobnież str. 76 nn.

(2) cf. *Sotze:* Metaphysik r. 1841, §§ 24, 25, 26.

w metodycznem rozumowaniu, parte chęcią wynalezienia przedmiotu właściwego tylko filozofii, przedmiotu naturą swą wprost przeciwnego temu światu, którym się zajmują umiejętności specyalne, ulegają jemu i zapominają, że pod tym bytem, w jakim się nam rzeczy przedstawiają nie ma żadnéj substancyi, żadnego skrytego źródła ich bytowania, że zatém umiejętne poznanie zjawisk jest jednocześnie poznaniem ich istoty. Apologeci filozofii, jako nauki o istocie rzeczy, przyznają, że teorya *Kanta*, iż rzeczy nie są takiemi jak ich poznajemy, jest błędna, utrzymują sami, że istota wyraża się w swych zjawiskach, a jednak mimo to chcieliby poznanie przepołowić i istotę rzeczy oddać w monopol filozofii.

Jeżeli filozofowie utrzymują, że poznanie istoty rzeczy może być tylko dziełem filozofii, to zapominają o tém, że przez sąd taki wydają nieopatrznie wyrok potępienia na wszystkie umiejętności specyalne. Skoro bowiem istota rzeczy dla nich nie jest dostępna to i wszelkie ich usiłowania wypadałoby uważać za bezowocne, a wszystko, co nas zastanawia, co dla nas jest niepojęte, nieobjaśnione, odesłać wprost przed trybunał filozofii; gdyż każde poznanie stara się wykryć to, co jest *istotne* w danym przedmiocie. W rzeczy saméj, gdyby filozofowie, o których mowa, w całéj rozciągłości chcieli uznać prawdę tego zdania, że istota wyraża się w swych zjawiskach, a nie używać go tylko jako broni przeciwko Kantowi, gdyby im nie stało na zawadzie z góry powzięte uprzedzenie, że istota rzeczy dostępna jest tylko filozofii, musieliby przyznać, że umiejętności specyalne dają lub przynajmniéj mogą nam dać wiedzę o istocie rzeczy, stanowiących ich przedmiot. Dość uprzytomnić sobie, w jaki sposób w ogóle umiejętności specyalne z materyałem swoim sobie poczynają, jakie to są ogólne rysy ich metodologii, żeby stwierdzić powyższy wniosek, wynikający bezpośrednio z analizy pojęcia istoty i zjawiska. Otóż przedewszytkiem z danych osobników starają się one odtworzyć ogólny typ, za pomocą oddzielenia cech przypadkowych i indywidualnych od stałych i *istotnych*; następnie idealny taki typ rozkładają na składowe jego części, badają ich wzajemną zależność, śledzą warunki, które ich współczesne istnienie wywołały, odszukują te, które zmiany w oddzielnych częściach składowych lub w ich układzie spowodować mogą, wreszcie pytają i o te warunki, które rozejście się składowych części danego typu, a więc śmierć jego sprowadzają, a w końcu wracają do osobników dla wykazania od czego ich indywidualne właściwości zależą. Kto po otrzymaniu odpowiedzi na wszystkie te pytania jeszcze się pyta: „ale cóż jest istotą tego zjawiska"? ten zapomina, że istota jest tylko formułą myślową, wyrażającą

wszystkie te punkta widzenia, z których dany przedmiot dla dokładnego poznania wyjaśnić należy i popełnia bardzo powszedni błąd przemiany abstrakcyi logicznéj w przedmiot realny, goni więc za widziadłem, które więcéj niczém nie jest jak tylko odbiciem (reflexem) jego własnych czynności poznawczych. To téż nikt na serio wątpić nie może, że istotę życia np. bada fizyologia, anatomia, psychologia etc., istotę materyi—chemia i fizyka, istotę społeczeństwa—nauki socyalne i prawne wraz z socyologią, historyą, etnologią i t. d., istotę języka—gramatyki, porównawcza i historyczna, wraz z psychologią. Nie dość wszakże na tém. Umiejętności specyalne nie ograniczają się do badania istoty konkretnych tylko przedmiotów, ale co więcéj poznają istotę najogólniejszych warunków wszelkiego istnienia. I tak: istotę liczby i wielkości bada arytmetyka i algebra, istotę przestrzeni—geometrya, istotę równowagi i ruchu—statyka i dynamika. Jedném słowem, jedynie umiejętności specyalne zasilają wielką skarbnicę naszéj wiedzy, zarówno poznaniem zjawisk jak i poznaniem istoty ich. Słusznie więc protestują one przeciwko nieprawym roszczeniom filozofii do jakiegoś „wyższego poznania“.

Wprawdzie filozofowie zapewniają jak najuroczyściéj, że umiejętności specyalne, mimo poznania tegó, co w zjawiskach jest istotne, „rzeczywistéj ich istoty“ nie poznają, gdyż nie wyjaśniają ostatecznych pierwiastków, do których się wszystko sprowadza, jak: materya, duch, siła etc.; ale zarzut taki polega tylko na nieporozumieniu, jak tego już z przeciwstawienia tego, co jest istotne w zjawiskach, „rzeczywistéj“ ich istocie domyśléć się można. W rzeczy saméj, przytoczone powyżéj dla przykładu umiejętności mówią o siłach, ruchach, wielkościach i t. d., ale nie zastanawiają się nad temi najogólniejszemi warunkami bytowania samemi w sobie. Stąd to filozofowie biorą pochop do wniosku, że umiejętności specyalne nie mogą dotrzeć do prawdziwéj istoty zjawisk, że zatém dla uzupełnienia wiedzy, którą nam one dają, trzeba zbadać istotę siły, materyi, ducha etc., i że do tego powołaną jest filozofia. Atoli filozofowie, zadając sobie pytanie: „co to jest siła“, „co to jest materya“, zapominają, gdzie szukać tego *co*, i wpadają na nowo w błąd hypostazy komplexów myślowych w rzeczy realne. Materyą, ducha, siłę, mające w umiejętnościach specyalnych znaczenie ostatecznych formuł myślowych dla wszystkich sposobów przedmiotowego bytowania i stawania się, przemieniają filozofowie w składowe pierwiastki świata przedmiotowego i pytają o ich istotę, nie bacząc na to, że tylko powtarzają to samo pytanie, na które umiejętności specyalne odpowiedź już dały, zbadawszy je właśnie z ich strony

przedmiotowéj. To zatém, co jeszcze pozostało do zbadania, na co umiejętności przytoczone odpowiedzi nie dają, jest strona podmiotowa tych formuł myślowych. Owo zatém pytanie: co to jest siła? co to jest materya? etc., jest nie dokładne i nie określa wyraźnie właściwego zagadnienia, a ztąd téż nie wskazuje prawdziwego kierunku, w którym odpowiedzi szukać należy. Dla dokładnego wyrażenia, o które tu chodzi, należałoby powyższe pytanie zformułować w sposób następujący: „co to jest materya, duch, siła etc., nie jako części świata przedmiotowego, ale jako wyroby naszego myślenia". Tylko takie pytanie odpowiada w zupełności kwestyi, pozostawionéj pozornie na uboczu przez umiejętności specyalne. Ale z pytania tego wynika téż zaraz, że odpowiedzi nań można szukać tylko drogą analizy psychologicznéj, rozkładającéj te gotowe już komplexy myślowe na najprostsze ich pierwiastki psychiczne, że zatém całą tę sprawę stawić należy przed forum psychologii, a więc téj umiejętności, która właśnie dopiéro w naszych czasach poczęła żyć życiem niezawisłém od filozofii, stawając tym sposobem w rzędzie umiejętności specyalnych.

Tu miejsce kilku słowy dopełnić to, cośmy wyżéj o rozkładzie filozofii powiedzieli. Zauważyliśmy tam, że obszar jéj z postępem czasu coraz bardziéj malał, że jednę część jéj tradycyonalnego przedmiotu zupełnie przyjęły dawniéj już istniejące umiejętności specyalne, i że drugą rozbierają między sobą nowe niezawisłe umiejętności, dziś z jéj łona powstające. Jednę tylko metafizykę pozostawiono filozofii, pozornie przynajmniéj, gdyż żadna z umiejętności niezawisłych dotychczas praw swych do przedmiotu jéj wyraźnie nie objawiła. Otóż, gdyby rozkład filozofii miał dojść do tego tylko punktu, gdyby zatém filozofia ostatecznie przedzierżgnęła się w metafizykę, to jednak, mimo uszczuplenia jéj obszaru, mimo zacieśnienia jéj zewnętrznych granic, wewnętrzne jéj znaczenie pozostałoby toż samo, a prawo jéj do tytułu umiejętności uniwersalnéj i najwyższéj nienaruszone. Zadaniem jéj bowiem byłoby zbadanie istoty siły, ducha, materyi etc., a więc według rozumienia dotychczasowéj metafizyki, zbadanie ostatecznych przedmiotowych pierwiastków wszechświata. Z tego téż powodu uważano zawsze metafizykę za paladium filozofii i widziano w niéj podstawę każdego filozoficznego systemu jak gdyby pień, z którego reszta części jak gałęzie wyrastały; wielokrotnie téż, a zwłaszcza w Anglii, filozofia i metafizyka znaczyły jedno i toż samo: podług *Ribot'a*, filozofia dziś już zmierza do zupełnego przeistoczenia się w metafizykę (1), a *Schopenhauer* wyraźnie utrzymywał, że filozofia

(1) l. c. str. 16.

i metafizyka są to tylko dwie nazwy dla jednego i tego samego przedmiotu (1). Z tego wszakże, co wyżéj powiedziano o zagadnieniu, jakie materya, siła, duch etc., nam przedstawiają, wynika, że tu nie chodzi o zbadanie istoty ostatecznych pierwiastków realnych wszechświata, ale o analizę pewnych tylko rezultatów psychicznéj pracy człowieka, że zatém przedmiot, którym się metafizyka zajmuje, nie może jéj nadać ani znaczenia umiejętności uniwersalnéj, ani téż umiejętności najwyższéj. Przeciwnie wynika z powyższego, że metafizyka może być tylko jednym z działów psychologii ogólnéj; lub téż, ze względu na to, iż nie ma ona do czynienia z ogólnemi prawami łączenia i komplikacyi wszelkich elementów psychicznych, lecz tylko z gotowemi już związkami *myślowemi* i to takiemi, na których cała nasza wiedza o świecie przedmiotowym się opiéra, można ją oddzielić od ogólnéj psychologii i uważać za pierwszy dział teoryi poznania, któréj drugim i dopełniającym działem byłaby logika ogólna i stosowana, jako umiejętność o *sposobach* poznawania. Takie przeistoczenie metafizyki dawno się już odbywa w łonie filozofii. *Kant* zrobił pierwszy krok na téj drodze, wykazawszy, że najogólniejsze nasze pojęcie o bycie są formami naszego myślenia; po nim z koryfeuszów niemieckiéj filozofii najbardziéj do takiego przekształcenia metafizyki przyłożył się *Herbart*, gdyż ją na poprzedniéj analizie tych pojęć oparł; a dziś żyjący *Herman Lotze*, profesor uniw. w Getyndze, już przed 30 laty wydał metafizykę, na którą niestety zbyt mało zwrócono uwagi, a którą przecięż za pierwowzór systematycznéj i umiejętnéj analizy zasadniczych pojęć poznania uważać należy. Wszakże dopiéro *Lewes*, znany autor historyi filozofii, jasno zadanie metafizyki wypowiedział, a co najważniejsza, właściwe miejsce w rzędzie innych umiejętności jéj naznaczył, stawiając ją obok logiki, jako jéj dopełnienie przedmiotowe (2).

Na powyższych uwagach nie możemy jednak poprzestać, jeśli chcemy w zupełności odeprzéć mniemanie, że filozofia jest nauką o istocie rzeczy. Wyrażenie bowiem: „poznanie istoty rzeczy“ jest zbyt elastyczne, żeby jeden tylko sposób pojmowania dopuszczać miało. W rzeczy saméj, apologeci filozofii, przyparci niezbitym faktem, że umiejętności specyalne nie ślizgają się tylko po powierzchni rzeczy, lecz że sięgają ich istoty, chcąc mimo to uratować doniosłość jéj jako *umiejętności* uniwersalnéj i najwyższéj,

---

(1) Die Welt als Wille und Vorstellung 3 wyd. 1859. t. II. str. 140.
(2) *Lewes*: Problems of mind aud Life I. ch. 5 zwłaszcza § 72.

twierdzą dość często, że filozofii nie chodzi o poznanie istoty tego lub owego zjawiska, téj lub owéj grupy zjawisk, choćby najobszerniejszéj, lecz o poznanie „istoty wszechświata,“ „istoty bytu w ogóle.“ Zastanówmy się więc, co wyrażenie takie oznaczać może, jeśli nie ma być tém samém co poznanie istoty zjawisk, stanowiące zadanie umiejętności specyalnych.

Jeśli przypomnimy sobie, że wszystko co istnieje, że każde zjawisko, każda grupa zjawisk treść swą zawdzięcza innym zjawiskom i innym ich grupom, że nie ma na dnie ich żadnéj tajemniczéj *esencyi*, z któréjby, jak kwiat z nasienia wyrastały, to przyznać musimy, iż umiejętności specyalne, mimo wyjaśnienia, jakie nam dają i dać mogą o istocie zjawisk, jedno pytanie i to pytanie, tyczące się wszechświata, pozostawiają i pozostawią nazawsze nietkniętém. Skoro bowiem wszystko, co tylko jest i czém jest, umiejętności specyalne wyjaśniają przez wykazanie związków, w jakich każdy rzeczywisty byt z resztą pozostaje, jeśli zatém wszelkie istnienie opiéra się tylko na związku ze wszystkiemi innemi, to dla umiejętności specyalnych pozostaje rzeczą nazawsze niewyjaśnioną, na czém znów cały ten niezmierzony krąg krzyżujących się wzajemnie związków istnienie swe opierać może. I otóż w téj to zagadce, ukrywa się druga przyczyna, pobudzająca wciąż umysły ludzkie do spekulacyi, formułującéj zadanie swe w pytaniu o istocie bytu w ogóle lub, według drugiéj wersyi, o istocie wszechświata. Pytanie takie jest w saméj rzeczy uniwersalne, gdyż jest pytaniem o istnieniu wszechświata; nadto, z natury swéj, przekracza ono środki i rodzaj poznania umiejętności specyalnych, albowiem istnienie tych związków, utrzymujących wszelki byt jednostkowy, jest ostateczną *podstawą* dla ich poznania, a w skutek tego nie może być ono ze swéj strony *przedmiotem* ich badania. W takim więc duchu podjęte pytanie o istocie wszechświata nie polega, jak w pierwszym razie, na psychologicznéj tylko iluzyi, ale wyraża rzeczywisty brak w wiedzy, jaką nas obdarzają, lub obdarzyć mogą umiejętności specyalne. A jednak to x tak ściśle określone, tak na pozór odpowiednie dla umiejętności uniwersalnéj, nie może być w ogóle przedmiotem umiejętności. W tak bowiem sformułowaném pytaniu znikł wbrew woli spekulującego filozofa przedmiot, o który mu chodziło, a miejsce jego zajęło zagadnienie zupełnie inne i to zagadnienie takie, które przekracza granice wszekiego poznania. Gdyż, chociaż dosłowne wyrażenie pytania opiewa, że kwestyą badania ma być *istota* bytu, to jednak rzeczywistą kwestyą jest w tym razie *istnienie* bytu, jak się to z powyższéj analizy pokazuje. Innemi słowy, zamiast pytania *czém jest* wszechświat, podsuwa się pytanie,

jak on *istnieje*, albo inaczéj, co sprawia, że to, co jest, może się cieszyś istnieniem. Ale pytanie takie z dwóch względów wykracza z granic poznania. Popierwsze bowiem zadaniem poznania nie może być wykrycie sposobów, jakiemiby świat ten można było powołać do życia w razie „gdyby na nieszczęście jeszcze nie istniał“ (1), ale zrozumienie i pojęcie istniejącego już świata. Powtóre zaś wszelkie dane, jakiemi poznanie rozporządza i na jakich wnioski swe opiéra, dotyczą wyłącznie istniejącego już świata; nie mogą więc posłużyć nam do wykrycia téj nieznanéj potęgi, która wszechświat istnieniem udarowała. Pytanie zatém o istnieniu świata nie może stanowić przedmiotu umiejętności, gdyż jest ono tylko wyrazem granic naszego poznania.

Streszczając więc to, cośmy dotychczas o pretensyi filozofii do poznania istoty rzeczy powiedzieli, wyrzeknąć musimy, iż z jednéj strony goni ona za widziadłem, niemającém rzeczywistości, a z drugiéj, kusi się o rozwiązanie zagadnienia, które przedmiotem umiejętnego badania być nie może.

Wiadomo każdemu, chociażby tylko powierzchownie z dziejami filozofii obeznanemu, jak często w nowszych czasach krytyka dowodami ścisłemi i najzupełniéj przekonywającemi obracała w niwecz pretensye filozofii do poznania istoty rzeczy. A jednak, po każdéj porażce, pretensye te na nowo się odradzały i dziś istnieją one tak samo jak i w pierwszych chwilach po ukazaniu się Krytyki czystego rozumu Kanta. I nic dziwnego; tylko przez poznanie istoty rzeczy mogłaby sobie filozofia zapewnić trwałe umiejętne znaczenie i niespożytą wartość dla naszéj wiedzy. Wyparta przez umiejętności specyalne ze wszystkich zakątków wszechświata, szuka sobie filozofia warowni dla nich niedostępnéj a tak wyniosłéj, żeby wszechświat z niéj ogarnąć mogła i mniema, że ją posiędzie przez poznanie istoty rzeczy. To téż nawet i *Kant*, chociaż w Krytyce czystego rozumu wykazał nie możność takiego poznania, nie miał przecięż odwagi zupełnie go się wyrzec i sam na nowo wprowadził je do filozofii przez swą Krytykę praktycznego rozumu. W saméj rzeczy, usunąć istotę wszechświata z szeregu zadań naszego poznania, znaczy odjąć filozofii jedyny przedmiot, pozostawiony jéj do badania, a więc wymazać filozofią z listy umiejętności. Wybitnym i zarazem faktycznym tego dowodem jest „Kurs filozofii pozytywnéj“ *Comte'a*. W klasyfikacyi umiejętności, podanéj przez tego uczonego, filozofia pominiętą została.

---

(1) *Lotze*: Mikrokosmus III. r. 1864. str. 468. cf. także t. I. r. 1856. str. 209.

Nie ma dla niéj tam miejsca w szeregu umiejętności; a nie ma dla tego, że pierwszym warunkiem *umiejętności* jest zrzeczenie się poznania, sięgającego po za granicę zjawisk.

IV.

Przy bliższém zatém rozpatrzeniu się w owéj wspaniałéj „umiejętności umiejętności,“ przychodzimy do przekonania, że aureola jéj jest fałszem, i że nie może mieć ona prawa do tytułu umiejętności. Przez długie wieki istnienia swego niczém wiedzy naszéj wzbogacić nie umiała i żyła tylko kosztem umiejętności specyalnych, wciągając w swój zakres dziedziny, które im z prawa się należały. Dziś, kiedy umiejętności te z postępem czasu zmężniały, kiedy poznały, że cała rzeczywistość ich prawowity przedmiot stanowi, kiedy oceniły doniosłość środków, jakiemi dla poznania rozporządzają – dziś, wypierają już filozofią ze wszystkich pozycyj, nieprawnie przez nią zajętych i nie pozostawiają jéj nic, co tylko w granicach poznania i wiedzy pomieścić się może. Tak przedstawia się dziś filozofia w porównaniu z umiejętnościami specyalnemi. I nie sądzę, żebym w powyższych uwagach o znaczeniu filozofii jako umiejętności posunął się za daleko; owszem mniemam, że nigdzie po za fakta nie wyszedłem; a jeżelim, mówiąc o rozkładzie filozofii, utrzymywał, że nawet i metafizyka musi się stać umiejętnością specyalną, niezawisłą od umiejętności, tom również nie pozwolił sobie jakiejś przepowiedni na przyszłość, alem tylko dobrał wyrażenie, orzekające wyraźnie i bez ogródek fakt, który się już od *Kanta* dokonywa. Gdybyśmy zatém znaczenie i doniosłość filozofii mierzyli jéj wartością umiejętną, musielibyśmy, jak to wielu czyni, wydać na nią wyrok potępiający i wykreślić ją zupełnie z szeregu uprawnionych dążności człowieka.

Ale czy mamy prawo przykładać do filozofii i umiejętności jednę i tę samę miarę? czy wolno nam sądzić o wartości filozofii po wiedzy, jaką umysł nasz wzbogaciła lub wzbogacić zamierza? czy wolno jéj odmówić racyi bytu dla tego, że nie jest i że nie może być umiejętnością? czy uzasadnione jest wreszcie przypuszczenie, że umiejętność kiedyś zastąpi filozofią i że ta ostatnia jest tylko surogatem, pierwszéj i niczém więcéj? Nie sądzę. Gdybyśmy na powyższe pytania twierdzącą mieli dać odpowiedź, musielibyśmy z góry przypuścić, że teoretyczne dążności ludzkości tylko w umiejętności odpowiedni dla siebie wyraz znaleść mogą. Nic jednakże nie upoważnia nas do podobnego przypuszczenia. Przeciwnie, wiekowa praca tylu

podniosłych i bystrych umysłów nad zagadnieniami filozoficznemi, okoliczność, że i dziś filozofia mimo olbrzymiego rozrostu umiejętności specyalnych istnieje, że adeptów swych nawet w obozie specyalnych uczonych rekrutuje, a co najważniejsza, to tak głęboko i tak dawno zakorzenione niejasne przekonanie, stawiające filozofią po za szeregiem wszystkich umiejętności — wszystko to przemawia za tém, że filozofia ma *obok* umiejętności swe *raison d'être*, i że w duszy ludzkiéj spoczywają warunki, zapewniające filozofii, mimo jéj ścisłego związku z umiejętnością, istnienie odrębne i pewne, mniéj lub więcéj ściśle dające się zdeterminować znaczenie dla wiedzy — warunki, od których zarazem jéj ogólny stosunek do umiejętności i peryodyczne zmiany tego stosunku zależą.

Poszukując więc owego *raison d'être* filozofii dla zrozumienia na czém właściwe jéj znaczenie i wartość dla wiedzy polega, musimy zgóry odeprzeć wszystkie te poglądy, według których filozofia znaczenie to tylko w takim razie posiąść może, jeśli się stanie umiejętnością lub przynajmniéj jeśli zostanie tak zreformowana, iżby czyniła zadość ogólnym warunkom metod umiejętnych, i według których filozofia z tego téż powodu jeszcze się w kolebce znajduje (1). Zaprawdę trudno przypuścić, żeby stan niemowlęctwa filozofii miał trwać przeszło dwadzieścia wieków, podczas gdy inne kierunki teoretycznéj pracy ludzkości po daleko krótszym przeciągu czasu ze stanu tego wyrosły! a trudniéj jeszcze zgodzić się na to, żeby dla nadania wartości filozofii trzeba było zerwać z całą jéj przeszłością i popchnąć ją na drogi, po których nigdy nie kroczyła i z natury swéj kroczyć nie może. A do tego właściwie zmierzają w gruncie rzeczy usiłowania tych, co filozofią na modłę umiejętności przerobićby chcieli. Według tego, cośmy wyżéj powiedzieli, musimy usiłowania takie uważać za bezowocne, gdyż nauki specyalne nie pozostawiają filozofii żadnego przedmiotu do *umiejętnego* badania. Dla tego téż utrzymujemy, że znaczenia fiozofii dla wiedzy nie potrzeba szukać w owéj odległéj przyszłości, w któréjby się stała umiejętnością, ale że filozofia zawsze i w każdéj formie swego objawu spełniała jedno i to samo zadanie, które jéj téż w każdéj chwili dziejowego rozwoju ludzkości wysoką wartość i doniosłość dla wiedzy zapewniało; lecz że zadanie to częścią zapoznawano, częścią źle rozumiano lub też wreszcie chociaż i rozumiano, to dla innych ubocznych celów na drugi plan usuwano.

---

(1) cf. np. *Brentano* l. c. str. i *Shadwoth Hodgson:* Philosophy and Science w czasopiśmie Mind r. 1876, Nr. 1. str. 69.

Nie potrzeba się uciekać do obszernych wywodów, dla przekonania się, że to znaczenie filozofii jedynie w jéj dążności do uniwersalności polegać może. Uniwersalną bowiem w swym zakresie filozofia zawsze być chciała i była też bez względu na najrozmaitsze formy, jakie w swym rozwoju przyjmowała. Odtworzyć wszechświat w myśli, zjednoczyć i zespolić wszystkie nasze wyobrażenia, całą naszę wiedzę o świecie w jednę syntetyczną całość, a więc stworzyć pogląd, któryby nam *cały* świat wyjaśnił—to było zawsze i jest po dziś dzień dążeniem wspólnym wszystkim filozofom. Pod tym względem systemy absolutne, przyznające myśli możność wykrycia ostatnich tajników bytu, nie różnią się od systemów, przyznających władzom poznania względną tylko wartość. Jedne bowiem i drugie chcą dać pojęcie o świecie, sięgające tak daleko, jak sięgnąć może nasza wiedza o nim. Ta to dążność dała początek pierwszym spekulacyom filozofów Jońskich, którzy po upadku pierwotnéj naiwnéj wiary w bóstwa, zaludniające wszechświat, starali się na miejsce tego mistycznego obrazu, niemogącego oprzéć się naciskowi doświadczenia, narzucającego człowiekowi nowe wyobrażenia, stworzyć z nich nową syntezę, nowy obraz wszechświata. Z téj saméj dążności powstała filozofia Platona, Arystotelesa, Spinozy, Hegla etc.; wreszcie i dziś jest ona źródłem, z którego wciąż nowe formy filozofii powstają.

Ale dążność ta jest zarazem źródłem wszelkiéj teoretycznéj pracy ludzkości i ona to pobudza człowieka do szukania prawdy; poznanie bowiem polega na zjednoczeniu, syntezie naszych wyobrażeń i pojęć, w ogóle całego różnorodnego materyału, z którego wiedza nasza się składa, w większe lub mniejsze jednostki myślowe. Od najmniejszego detalu teoretycznego dociekania, aż do najobszerniejszéj jego dziedziny—wszędzie celem podjętéj pracy jest zespolenie w jednę całość poznawczego materyału. Historya wszystkich umiejętności i metody, któremi się one posiłkują, są tego dowodem. Rozwój bowiem i postęp każdéj umiejętności polega z jednéj strony na wyszukiwaniu owych „pośredników wyjaśniających“ (1), wykazujących wspólny węzeł, łączący pewną ilość różnych zjawisk, a więc na wytworzeniu z nich zorganizowanéj całości; a zdrugiéj na rozszerzeniu takich syntez i na zjawiska pozornie różne od tych, z których dana synteza wytworzona została; lub też przeciwnie na zastąpieniu zyskanych już syntez przez inne, jeśli nowe doświadczenia a więc nowe wyobrażenia o zjawiskach,

---

(1) *Taine:* De l'intelligence II. ch. III. § 1.

należących do jednéj i téj saméj grupy, czynią poprzednią syntezę niemożliwą. I tak—żeby dać choć jeden przykład, ilustrujący to zdanie—taką syntezą, która przetrwała już wieki, jest prawo *Galileusza* o spadku ciał, a genialném jéj rozszerzaniem—myśl *Newtona*, że prawo to stosuje się nietylko do naszego planety, ale do wszystkich cząstek materyi. Jako przykład zaś zastąpienia jednéj syntezy przez drugą mogą posłużyć teorye emanacyi światła i falowania eteru, z których pierwsza, po odkryciu zjawiska interferencyi i polaryzacyi, okazała się niewystarczającą, w skutek czego drugiéj miejsca ustąpić musiała (1).

Zgodnie z tą syntetyczną i uogólniającą tendencyą umiejętności, wszystkie ich metody nie są niczém inném jak tylko wskazaniami, w jaki sposób tworzyć podobne syntezy, jak je sprawdzać i jak pod nie nowe zjawiska subsumować; wszystkie bowiem są właśnie owemi drogami, po których umysł ludzki zmierza do wykrycia wspólnych cech, łączących w pewne grupy różnorodne zjawiska. Widoczna, że żadna z takich syntez, stworzonych przez umiejętności, nie może być uważana za ostateczną, lecz że każda z nich—nawet i najwyższa, do jakiej pewna umiejętność w danej chwili rozwoju wznieść się zdołała—stanowi ze swéj strony cząstkę mającą wejść w skład nowéj jeszcze wyższéj syntezy. Proces ten, stanowiący wewnętrzne życie umiejętności, dobiegłby wtedy tylko swego kresu, gdybyśmy kiedyś zdołali znaleść syntezę, obejmującą w sobie wszystkie inne podrzędniejsze, a więc gdybyśmy znaleźli formułę, będącą odpowiednim i wyczerpującym wyrazem *wzajemnéj* łączności *wszystkich* zjawisk świata. To jest cel i ideał, do którego zmierzają wszystkie umiejętności, a zarazem węzeł, łączący je z filozofią, albowiem i ona o podobną syntezę się kusi. Gdyby ideał ten został kiedyś urzeczywistniony, nietylko zlałyby się wszystkie umiejętności specyalne w jednę, ale znikłaby też wszelka różnica między umiejętnością a filozofią, i owa syntetyczna dążność, która daje początek wszelkiéj teoretycznéj pracy człowieka, byłaby całkowicie zaspokojona. Tymczasem póki istnieją oddzielne umiejętności, póki syntezy, do których się one wznoszą, będą tylko częściowemi zespoleniami naszych wyobrażeń o świecie, póty będzie trwać i filozofia, póty bowiem żadne ścisłe umiejętne badanie nie może zmierzać do pojęcia całości wszechświata. Tylko zatem wespół z filozofią mogą umiejętności zaspokoić tę dążność ducha

---

(1) Więcéj przykładów znajdzie czytelnik w Logice *Milla* (w niemieckiém tłómaczeniu *Gomperza)*. II, str. 183—195.

ludzkiego, której swe życie zawdzięczają. I na tém to właśnie donioslość i znaczenie filozofii polega, że uzupełnia i zaokrągla pracę wszystkich umiejętności; wiedza bowiem o świecie, na jaką się umiejętności składają—to cząstki rozbitego *torso*, z których filozofia pierwotną postać w jéj całości odtworzyć się stara.

Jeżeli jednak z jednéj strony filozofia pozostaje w ścisłym związku z umiejętnością, to z drugiéj zadanie, które ona spełnia, zapewnia jéj tak odrębne właściwości i wymaga tak odrębnéj pracy ducha, iż nie mamy prawa uważać ją za umiejętność a tém samém mierzyć ją miarą umiejętności.

I tak odrębność swą od umiejętności zdradza filozofia przedewszystkiém przez swój charakter hypotetyczny. Wprawdzie, rzadko który z twórców systematów filozoficznych lub z ich adeptów był dotyla oględny i umiarkowany, żeby swych poglądów nie wydawać za prawdę udowodnioną, ale to indywidualne przekonanie nie mogło służyć za *sprawdzenie* (vérification), stanowiące jedyny metodyczny środek przemiany hypotezy w zdobycz umiejętności. Tymczasem żaden systemat filozoficzny nie był i z natury swéj nie może być sprawdzony. Wszelki bowiem pogląd na wszechświat—owo jedyne i właściwe zadanie filozofii— przekracza zawsze granice faktycznego stanu umiejętności, a więc tego zasobu wiedzy i poznania, który już przeszedł probierczy kamień poznania. Filozofia sprawdzona przestałaby być filozofią, a stałaby się umiejętnością albo raczéj owym ideałem umiejętności, do którego poznanie nasze zmierza. Nie myślę utrzymywać, żeby umiejętności nie posiłkowały się także hypotezami, ale między hypotezami umiejętności a hypotezą umiejętności, ta kardynalna zachodzi różnica, że pierwsze są tylko zadaniami, które umiejętność w danéj chwili sobie stawia i które, jako takie, w zakres umiejętności jeszcze nie weszły, gdy tymczasem, w filozofii hypotetyczny pogląd na wszechświat jéj jedyną i wyłączną treść stanowi; w zakresie umiejętności dziedzina hypotezy wyraźnie oddziela się od pozytywnéj już wiedzy, w filozofii zaś hypoteza jest wszystkiém, a każdy systemat filozoficzny tylko jedną wielką hypotezą.

Rzecz jasna, że hypotezy te zależne być muszą od ogólnego postępu umiejętności, gdyż uniwersalna filozoficzna synteza może się tylko na cząstkowych syntezach umiejętności opierać, że zatem wszelkie zmiany, jakie w rozwoju filozofii zachodzą, muszą iść równolegle ze zmianami, znamionującemi postęp umiejętności. Jeżeli zaś dzieje filozofii w porównaniu z dziejami umiejętności wykazują nam katastrofy gwałtowne w miejsce przemian stopniowych, to nie dla tego, żeby systematy filozoficzne miały być samowolnemi

fikcyami, lecz dla tego, że w nich z natury rzeczy muszą się odbić wszystkie zmiany, jakie w pewnéj chwili w umiejętnościach i całym rozwoju umysłowym danéj społeczności powstały. Kto więc w téj okoliczności upatruje ujemną stronę filozofii, ten zapomina, że przez to orzeka jedynie braki całości naszéj pracy teoretycznéj. Kazdy bowiem systemat filozoficzny, zaprzątający w pewnéj danéj epoce umysły ludzkie, wznosi się na téj sumie wiedzy i na tych pojęciach, jakich mu właśnie umiejętności dostarczają. Dla tego też „nie z tego powodu musi filozofia kroczyć naprzód, że wszystko co poprzedzało było mylne i błędne, lecz ponieważ umiejętność tymczasem naprzód postąpiła“, a „systematy, które historya filozofii na swych kartach zapisała, nie są—o ile trwałe zyskały znaczenie—próżnemi fantazyami tego lub owego myśliciela; ale niezliczone strumyki poznania, płynące w oddzielnych umiejętnościach zlewa historya filozofii w jednę wielką rzekę, z któréj wprawdzie przebiegu każdego pojedynczego strumyka rozpoznać nie można, ale zato kierunek, w którym wszystkie wespół płynęły“. (1)

Jeżeli wszakże hypotezy filozoficzne zależne są od ogólnego umysłowego, a w szczególności umiejętnościowego rozwoju pewnéj społeczności, to okoliczność ta nie wyklucza bynajmniéj zależności tych hypotez od indywidualnéj umysłowéj organizacyi ich twórców, przeciwnie z zadania filozofii wynika, iż na ukonstytuowanie różnych jéj form w równéj mierze musi wpływać téż indywidualność filozofujących. I ten to właśnie indywidualny, osobisty charakter filozofii stanowi drugą cechę, odróżniającą ją od umiejętności, która jest dziełem nieosobistém. W tym względzie zachodzi między umiejętnością a filozofią podobny stosunek jak między eposem ludowym a sztucznym. Jak pierwszy jest rezultatem pracy tysiąca jednostek, z których każda jakąś cząstkę do ogólnego dzieła dodała a druga tworem jednostki; tak i na umiejętność w jéj całości tysiące pracowników się składa, gdy tymczasem w filozofii podobnéj wspólności pracy nie ma i być nie może: każdy stara się sam gmach cały zbudować, a stąd i każdy systemat jest dziełem jednego twórcy.

Obie te cechy filozofii: jéj charakter hypotetyczny i osobisty, odróżniające ją tak wybitnie od umiejętności, ściśle się z sobą łączą. Każda hypoteza bowiem nie jest rezultatem ścisłego metodycznego badania i rozumowania, ale myślą, wyprzedzającą umiejętne jéj uzasadnienie, dziełem „szczęśliwéj chwili“, nie zaś rezulta-

---

(1) *Wundt*: Ueber die Aufgabe der Philosophie.

tem indukcyi i wnioskowania (1); jednem słowem, wynikiem i tworem wyobraźni, a nie logicznego myślenia. Gdy zaś pierwsza nie ulega w łączeniu wyobrażeń powszechnym wymaganiom logicznego rozumowania, lecz kieruje się indywidualnym umysłowym ustrojem jodnostki, przeto każdy systemat filozoficzny, będący, jak wykazano, z natury swéj hypotezą, jest tworem indywidualnéj wyobraźni autora. Nie od rzeczy będzie, jak mniemam, dodać w celu uniknienia nieporozumienia, że jak każdy twór indywidualnéj wyobraźni podlega podwójnemu ograniczeniu z zewnątrz, a mianowicie przez naturę wyobrażeń, z których całość artystyczna ma być ułożona, i przez „ducha czasu", którego dzieckiem jest twórca, tak samo *mutatis mutandis* i filozofia. „Filozof bowiem jest sumą tradycyi i doświadczenia, organizacyi mózgu i otoczenia, okoliczności i badania, zdrowia i społeczeństwa, (2) a wyobraźnia, z których całość swą stwarza—to prawdy i prawa, których mu umiejętność i nieusystematyzowane jeszcze doświadczenie wieków przeszłych dostarcza.

Ze względu więc na rodzaj pracy duchowéj, któréj wynikiem jest filozofia, utrzymujemy, iż jest ona koncepcyą poetyczną, (3) którą umiejętności i całe doświadczenie ludzkości regulują, ale którą, jak każda poetycka koncepcya, nosi na sobie obok tego i indywidualne cechy kompozytora.

Henryk Goldberg.

---

(1) cf. Revue philosophique. Zeszyt VII i VIII. E. *Naville*: la place de l'hypothese dans la science.

(2) *Lange*: Gesch. d. Materialismus 2-ie wyd. t. II, str. 68.

(3) *Schopenhauer* pierwszy, o ile nam wiadomo, zwrócił uwagę na bliskie pokrewieństwo filozofii z poezyą-cf. Welt als Wille u. Vorstellung 3-cie wyd. t. II, str. 140.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a,

przekład

MARYI FALEŃSKIÉJ.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XVII.

Z północy na południe.

Sposób wymawiania wyrazu *allegro*, z pewnością nie jest rzeczą zbyt wielkiéj wagi. Człowiek mający w tym względzie nieco błędne pojęcia, niemniéj może być ze wszech miar zacnym i prawowiernym. Z tém wszystkiém, tak błaha sprawa wadliwéj wymowy wystarczyła do wywołania nagłego i niespodziewanego zwrotu w całym przebiegu dalszych losów Violetty.

Jedną z właściwości natury naszéj bohaterki, był wstręt do wszelkiego udawania, dochodzący w niéj do ostatecznych granic. Kiedyś, będąc w zakładzie panny Main, nielitościwie prześladowała pensyonarki strojące się w biżuterye z fałszywego złota i kamieni, teraz nad wszelki wyraz niecierpliwiła ją chęć jéj macochy popisywania się z wykształceniem wyższém nad to, jakie w istocie posiadała. Lady North zwykła była do rozmowy mięszać wyrazy z obcych języków, które znała bardzo niedokładnie; a nieumiejętna ta mięszanina raziła szczególnie ucho Violetty, gdy twardą angielską wymową kaleczyła język włoski, do którego młoda dziewczyna miała namiętne upodobanie. Z drobnéj tedy przyczyny, wynikły ważne wypadki; na uwagę uczynioną jéj przez pasierbicę, co do niewłaściwego wymawiania wyrazu *allegro*, lady North odpowiedziała bardzo wyniośle; że zaś w dniu tym Violetta źle była usposobiona, zajście to przybrało wprędce groźne rozmiary, a wy-

nikiem jego było, że pozorny rozejm istniejący od pewnego czasu pomiędzy temi dwiema kobietami, został stanowczo zerwany, i że obie uznały za niemożliwy na przyszłość wspólny pobyt pod jednym dachem.

Gdy to sir Acton North od nich usłyszał, do niego się bowiem odwołały co do dalszego w tym względzie postanowienia, próbował najprzód środków pojednawczych, które okazały się bezskutecznemi. Z jednéj strony, żona oświadczyła mu, że nie myśli więcéj mięszać się w niczém do spraw swéj pasierbicy, z drugiéj— Violetta wyraziła stałe postanowienie opuszczenia rodzicielskiego domu, jakiebądźby ztąd wyniknąć mogły dla niéj następstwa, nadmieniając, że czuje się na siłach zapracowania sobie na życie, gdyby tego była potrzeba. Roześmiał się na to i odszedł wzruszając ramionami, bardziéj niż kiedy utwierdzony w przekonaniu, że żaden rozsądny człowiek nie potrafi nigdy zrozumiéć tego co się dzieje w kobiecych głowach.

W tych drażliwych okolicznościach, przypomniało się zakłopotanemu ojcu Violetty owo skromne domowe ognisko, przy którém już szukała ona nieraz schronienia, jak gdyby było jéj rodzinném, i pomyślał, że skoro pani Warrener i brat jéj tyle okazali przyjaźni dla jego córki, że ją chcieli zabrać z sobą na jesienną wycieczkę, przypuszczać wolno, że nie odmówią jéj u siebie dłuższego pobytu, za zwrotém ma się rozumiéć kosztów, jakieby to za sobą pociągnęło. Nie wątpił, że Violetta chętnie przyjmie podobny układ, który zresztą byłby krótkotrwałym, gdyż należało się dla niéj spodziewać prędkiego zamążpójścia.

Sir Acton zastał Drummonda w jadalnym pokoju, pracowicie zajętego nacieraniem tłuszczem grubych myśliwskich butów; na stole przed nim leżały bardzo już zużyte skórzane kamasze, wyczekujące zapewne podobnegoż doświadczenia.

— Jak pan sam widzisz, nie mogę podać mu ręki, rzekł do swego gościa, odkładając na bok krótką fajeczkę. Gotujemy się obecnie do życia pierwotnego jakie mamy przed sobą, a rzecz to niezawodna, że niepodobna spuścić się na nikogo w tak ważnéj sprawie jak zmiękczenie butów myśliwskich. Sądzę, że panna Violetta ma trochę wyobrażenia o trybie życia jaki ją czeka, jeśli się z nami wybierze?

— O niéj to właśnie chciałem z szanownym panem pomówić, odrzekł mu na to sir Acton, poczém usiadłszy, opowiedział rzecz całą, o ile się to dało, mówiąc z obcym człowiekiem.

Drażliwą była dosyć sprawa, która tu dziś przywodziła ojca Violetty; na wstępie zdawał się téż zakłopotanym, ale przyszła mu

niebawem w pomoc przyjazna otwartość, z jaką odezwał się Drummond.

— O ile więc pana rozumiem, rzekł, panna Violetta nie ma obecnie domowego ogniska?

— Nie obmyśliłem jéj dotąd przyszłego miejsca pobytu, ale myślę o tém, aby ją umieścić przy jakiéj zacnéj rodzinie, któraby...

— Dom nasz stoi zawsze dla niéj otworem, tak samo jak i nasze serca;—moja siostra zechce niezawodnie sama zapewnić ją o tém.

— Spodziewałem się podobnych słów od pana, i na prawdę uważam to za szczęście dla mojéj córki, że sobie umiała pozyskać takich jak wy przyjaciół, odpowiedział sir Acton przejęty wdzięcznością za szczerość, z jaką uczyniono mu tę ofiarę bez żadnego namysłu.—Wyznaję, że przeczuwałem to, wybierając się tutaj. Ale w każdym razie, dziwnie to jakoś wygląda, gdy ojciec przychodzi prosić kogo, aby podjął się opieki nad jego córką i dał jéj u siebie przytułek.

— Nie mów pan więcéj o tém. Jeżeli Violetta zechce u nas zamieszkać uczyni nam największą przyjemność. Wie ona zresztą, do czego się musi w tym razie przygotować. Żyjemy bardzo skromnie i nie jesteśmy dosyć majętni, abyśmy mogli cośkolwiek zmienić w tym względzie, za przybyciem do nas gościa, chociaż radzibyśmy to uczynić.

— Wasz tryb życia musi jéj bardzo przypadać do smaku, rzekł sir Acton z uśmiechem, skoro tak ochoczo się tu zawsze wybiera. Ma ona wiele rozsądku, możesz pan na to liczyć, i zbytek nie jest dla niéj wcale powabnym. Ale z innéj strony, dodał, sam nie wiedząc jak myśl swoję wyrazić, chciéj mi przebaczyć jeśli pomimo, że obowiązek wdzięczności jaki względem was zaciągnę stałby się nazbyt uciążliwym, gdybyście mi nie pozwolili... przyjąć na siebie kosztów utrzymania mojéj córki. Moglibyśmy od razu oznaczyć pewną kwotę...

Zatrzymał się, przejęty obawą, azali nie obraził tego człowieka tak dziwacznego i trudnego do poznania. Ale doznał niemałéj ulgi, usłyszawszy śmiech serdeczny jakim odpowiedział Drummond na te ostatnie słowa.

— Nie, nie, kochany panie, rzekł; nic z tego nie będzie. Nie przyjmujemy do siebie lokatorów i nie ma co myśléć nawet o tém, abyśmy jaką zapłatę wzięli za pobyt Violetty u nas. Ale muszę o tém wszystkiem zawiadomić moję siostrę; przebacz mi pan jeśli na chwilę odejdę.

To rzekłszy, wyszedł z pokoju, zostawiając zacnego i praktycznego baroneta w mocném zakłopotaniu. Drummond postąpił w tym razie jak przystawało na gentlemana, to prawda; ale będąc niezamożnym, czyliż nie mógł przyjąć ofiary uczynionéj w sposób tak delikatny? Wkrótce nadeszła z bratem pani Warrener, mocno uradowana bliskiém przybyciem Violetty. Dziękowała szczerze jéj ojcu i ofiarowała się pojechać po nią, dopomódz jéj w pakowaniu rzeczy i drobiazgów.

Sir Acton North poczynał teraz mniéj dziwić się upodobaniu Violetty do tego cichego ustronia i do jego mieszkańców. Wszystko tu tchnęło uśmiechniętym spokojem, samo miejsce i twarze tych dwojga ludzi, tak serdecznym nacechowane wyrazem. Zanim jednak baronet odjechał, Drummond odprowadzając go na stronę, rzekł mu w sposób bardziéj poważny:

— Pozostaje jedna rzecz jeszcze, co do któréj musimy porozumieć się z sobą dokładnie, zanim u nas zamieszka pańska córka. Zdaje mi się, iż młody Miller stara się o jéj względy; zapewne więc został przez pana do tego upoważniony?

— No, tak; w pewnéj mierze przynajmniéj, odpowiedział sir Acton, cokolwiek zmięszany tém zapytaniem tak wyraźném, chociaż spokojném, i przenikliwém wejrzeniem, jakie mu towarzyszyło. Młodzieniec ten widział się ze mną i wytłómaczył mi się z téj dziecinnéj sprawki, o któréj w istocie nie ma co dłużéj pamiętać. Jeśli się on podoba Violecie, nie widzę dla czegoby nie miała pójść za niego. A pan, co o tém myślisz?

— Ja? powtórzył Drummond, niespodzianie w ten sposób zagadnięty. Cóż mnie do tego? Wszakże tu chodzi o przyzwolenie ojca.

— Czy wiesz pan co niekorzystnego o tym młodzieńcu?

— Nic a nic; mogę o tém zaręczyć.

— W takim razie, cóżbyśmy mu mogli zarzucić? Jest to chłopak bystry, posiadający umysł praktyczny i majątek dosyć znaczny; przytém należy do zacnéj rodziny—wszystko tedy za nim przemawia.

— A więc dobrze, szanowny panie; potrzebowałem tylko być uwolnionym od wszelkiéj odpowiedzialności w tym przedmiocie...

— Nie myśl pan jednak, przerwał mu sir Acton z żywością, że mi chodzi o to abym się jak najprędzéj pozbył córki, wydając ją za mąż, dla tego, że się ona z macochą zgodzić nie może. O nie, bynajmniéj,—wszystkobym wolał, niźli narazić ją na przyszłość niepomyślną, bo wiem, że warta jest szczęścia. Otóż jakkolwiek sam nie mam nic przeciw temu Millerowi, niepokoi mię

to, że mówisz pan o nim, jak gdybyś się trochę lękał jego zamiarów.

— Proszę mi przebaczyć, odpowiedział Drummond bardzo spokojnie. Źle się, jak widać, musiałem wyrazić, bo nie miałem na myśli nic podobnego.

— Żegnam tedy pana, rzekł sir Acton, zabierając się do odejścia, i raz jeszcze dziękuję za przysługę, za którą radbym módz wypłacić się kiedyś.—Ale—jeszcze o jedno pana zapytam; czy nie życzyłbyś, abym zamówił na kolei północnéj wagon salonowy, do przyszłéj waszéj wyprawy?

— Dziękuję panu bardzo, odparł Drummond, ale zwykliśmy podróżować drugą klasą, i nie sądzę aby panna Violetta żądała od nas jakiéjś zmiany w naszych nawyknieniach.

Następnego dnia, młode dziewczę z twarzą zarumienioną od wzruszenia, wbiegło pędem do pokoju, w którym pani Warrener zajęta była szyciem, i przypadłszy do jéj kolan, namiętnie je objęła.

— Ach pani moja! czyż to prawda? czy ja w istocie mam pozostać nazawsze z wami? wołała Violetta, a piękne jéj rysy i wymowne oczy wypowiadały rozradowanie i wdzięczność bez granic.

— Pozostaniesz z nami dopóki tylko sama tego zechcesz, odpowiedziała z powagą pani Warrener, ściskając ją czule.

Violetta podniosła żywo głowę i bystro spojrzała w oczy przyjaciółce.

— Może nie bardzo jesteś mi pani rada? spytała.

Ale zaraz przyjazna ręka pogłaskała łagodnie jéj czoło.

— Violetto, przestałaś już być dzieckiem, rzekła pani Warrener. Nie wolno ci w żadnym razie, rozumiesz?—w żadnym razie—powodować się bez zastanowienia własnemi popędami. Jestże to dobrze, aby młoda panienka tak się cieszyła z tego, iż dom rodzicielski opuszcza?

— Jam nie opuściła mojego domowego ogniska, odpowiedziała zcicha Violetta, z głową w dół spuszczoną; — przeciwnie, przybywam do jedynego jakie miałam kiedykolwiek.

Jakążby kobietę nie zdołały wzruszyć podobne słowa? Pani Warrener objęła czule jéj szyję i po tysiąc razy ją zapawniła, że w żadnym razie nie zabraknie jéj nigdy tego domowego ogniska.

Ale Violetta oswobodziła się wkrótce sama z tego uścisku i, podnosząc oczy, rzekła:

— A pan Drummond, cóż na to wszystko powiada? Czy uważa, żem źle postąpiła?

— W każdym razie, żałuje tego co się stało; chociaż téj sprawie zawdzięczamy to, że z nami zamieszkasz. Sądził żeś już

postanowiła zdobyć się na cokolwiek więcéj łagodności i cierpliwéj uległości...

Młoda dziewczyna podniosła się żywo, odwracając głowę; ale mimo to przyjaciółka jéj dostrzegła łzy nagle spływające z pod długich czarnych rzęsów.

— Violetto! rzekła.

— Mogę z powrotem odjechać.

— Nie ma o tém mowy, moja kochanko; idzie o to, abyś chciała być rozsądną...

— Pani nie możesz pojąć jakiém było moje życie w tym domu, zawołała z namiętném rozżaleniem młoda dziewczyna, zwracając ku niéj twarz zalaną łzami; zdaje ci się może, iż jestem wyniosła i niewdzięczna i lękasz się wziąść mię do siebie? O, potrafię ja wypłacić się miłością tym, co mi będą prawdziwie życzliwymi; czas cię o tém przekona. Nie mam nigdzie na świecie przyjaciół, oprócz w tym domu; więc czegożbym téż dla nich nie zrobiła? Za to tylko, żeby tu pozostać z tobą, moja droga pani, zgodziłabym się na spełnianie ostatnich posług w tym domu, oczy bym z chęcią zużyła pracując dla ciebie; uległość moja i łagodność względem ciebie nie znałyby granic. Ale potrzebuję koniecznie szanować i kochać tych, którym służę; wtedy gotowa jestem być ich niewolnicą.

Pani Warrener starała się uśmierzyć ten gwałtowny wybuch uczucia.

— Nie bierz tak bardzo do serca, Violetto, rzekła, tego com powiedziała; nie potrzebujesz tego wszystkiego robić dla zadowolnienia twoich przyjaciół; dosyć ich tém ucieszysz, jeśli pozostaniesz wierną lepszym swoim natchnieniom.

Młoda dziewczyna ucałowała rękę swéj opiekunki i wyszła z pokoju. Milczące to przyrzeczenie posłuszeństwa zostało zrozumianém.

ROZDZIAŁ XVIII.

Castle Bandbox.

Tak się nazywała miejscowość, z któréj datowała list swój pewna młoda osoba, zajęta opisywaniem jéj piękności, w téj właśnie chwili, gdy ją znowu spotykamy. Cudny to w istocie nadmorski krajobraz; zaledwie go nam odsłoniły niknące mgły poranne, bo godzina bardzo jest wczesna. Pomimo to, Violetta już

się zabrała do pisania, sumiennie dotrzymując danéj ojcu obietnicy. Pomijając część opisową, stanowiącą najdłuższe ustępy tego listu, przytoczymy tu tylko jego zakończenie, dające niejakie wyobrażenie o teraźniejszym trybie życia naszéj bohaterki:

„Większą część tych gór cudownych, które mamy tu w tak bliskiém sąsiedztwie, zwiedzałam już kochany ojczulku, gdyż codzień prawie robimy długie wycieczki, w których doznaję zachwytów, rozweselających nieraz pana Drummond. Powiada mi wtedy, że muszę się z tém raz przecię oswoić, że Highlandy całkiem inaczéj wyglądają od ulic Londynu, i przestać dziwić się tak mocno temu wszystkiemu co tu widzę. Ale łatwo to mówić komuś co tyle już cudów przyrody oglądał w życiu!... O, mój drogi ojczulku, gdybym ci choć na chwilę mogła pokazać to, na co tutaj ciągle z okien patrzymy.

Ale nadewszystko roskoszne bywają nasze wieczory; tak nam tu dobrze i wesoło, gdy po całodziennych przechadzkach wypoczywamy w domu, że ci tego wypowiedzieć nie umiem. Chociaż pan Drummond dowodzi, że stał się teraz zupełnie dzikim człowiekiem i zerwał z całym ucywilizowanym światem, wieczorami rozprawia o wszystkich możliwych przedmiotach; a o każdym z nich mówi z tą bystrością sądu i z tą głęboką nauką, jakie zawsze przebijają w jego rozmowie po przez zwyczajny mu żartobliwy sposób jéj prowadzenia. Niezmiernie go tu lubią wszyscy; już dostał kilkanaście zaprosin na polowania od gentlemanów mieszkających w sąsiedztwie. Sąsiedztwem zaś nazywa się tu miejsce oddalone o jakie mil kilkanaście. Ofiarowany także został panu Drummond do jego rozporządzenia na cały Wrzesień, ładny yacht spacerowy, którego właściciel wybrał się w podróż do Chin. Ale już muszę cię pożegnać drogi ojczulku, chcemy bowiem, Amy i ja, przyjrzéć się dziś trochę polowaniu i pora nam już w drogę się wybierać.

Przywiązana twoja córka,

Violetta North.“

„PS.—Pan Drummond zachwycony jest strzelbą, którą mu przysłałeś; próbował jéj wczoraj, biorąc na cel próżne butelki, które stary Piotr wyrzucał w powietrze. Nie udało mu się jednak trafić w żadną z nich, i przekonałam się, że musi to być rzecz bardzo trudna.“

— Violetto! Amy! Wybierajcie się prędko,—a nie zapomnijcie pozabierać wszystkich waszych kobiecych przyborów; parasolek, płaszczyków, tartanów!..

Tak się odezwał stojący przed wejściem domu, wysokiego wzrostu, chudy mężczyzna, ubrany po myśliwsku, wcale nieelegancko, ale w sposób bardzo praktyczny. Szczuplejszy jeszcze od niego, niższy znacznie i o wiele starszy człowiek, stérany już życiem, zajęty był tuż obok braniem na smycz psa legawego, równie opłakanéj jak on sam powierzchowności, z najeżoną sierścią na grzbiecie i wydatnemi kośćmi żeber na bokach.

— Nie będzie dziś deszczu, odezwał się ów zawiędły staruszek, skończywszy swą czynność.

— Ależ teraz przecię pada, odpowiedział mu na to Drummond.

— No, no; powiadam panu, że nie będzie dziś wcale deszczu, powtórzył stary, spojrzawszy na szare niebo i na również szare morze.

— A! niechże cię licho porwie z twoim uporem, zawołał Drummond. Jakże więc to nazywasz? dodał, wskazując mu krople błyszczące na kolbie strzelby, którą miał w ręku.

— To i cóż z tego? czy boisz się pan aby ztąd krzywda się nie stała temu pieścidełku? Tacy to myśliwi, ci dzisiejsi gentlemanowie; Boże odpuść! Jak gdyby strzelba do czego innego była jak do polowania! Ot, lepiéj było panu przywieść z sobą broń stosowną do téj okolicy.

— Pamiętaj tylko, Piotrze, abyś mi tę strzelbę utrzymywał w należytym porządku; musi być co wieczór starannie oczyszczaną.

— Wcale tego robić nie myślę, odpowiedział stary bardzo gburowato; nikt się lepiéj nie zna odemnie na myśliwskiéj broni; raz na tydzień powinna być czyszczona, ani więcéj ani mniéj. Na to stworzył Pan Bóg sobotę, żeby się w ten dzień odbywała ta robota.

— Więc nie chcesz czyścić mojéj strzelby co wieczór?

— Nie ma żadnéj potrzeby, abym to robił.

— A zatém, jak widzę, wypadnie mi ciebie wyręczać w tym razie?

— Jak się panu spodoba.

W téj chwili ukazały się obie panienki, gotowe już do zamierzonéj wyprawy, i gromadką ta dosyć dziwnie dobrana, niebawem puściła się w drogę.

— Czy tylko ten twój pies, Piotrze, dobrze nam się będzie dzisiaj sprawował?

— Ho! ho! . to pies jakich mało, odpowiedział stary góral. Nie ma tego, czegoby on nie zwietrzył. No, co prawda, czasem nadto bywa gorący do aportowania...

— Czyli inaczéj mówiąc, dokończył Drummond, byłby niezrównany, gdyby nie chciał koniecznie schrupać każdego ptaka, jakiego ci się uda zastrzelić.

Stary uczuł się obrażony tą uwagą; ale zaraz oczy jego przybrały wyraz żartobliwy.

— Oj panie, rzekł, niewieleby się on chyba pożywił, gdyby tę tylko zjadł zwierzynę, którą pan ubijesz.

— Niech cię Bóg ma w swéj opiece, mój Piotrze; nie ma z tobą rady. Coraz się więcéj stajesz gburowaty i zuchwały.

— Gdzież tam panie! Ot poprostu mówię prawdę, tak samo jak mi ją pan wygarnąłeś, i nie widzę aby w tém było co złego.

— Zdaje mi się jednak panie Piotrze, że prawda może być wypowiedzianą nieco uprzejmiéj, rzekła Violetta, wdając się w tém miejscu w rozmowę, z wyrazem nieukontentowania i z pewną wyniosłością.

Stary spojrzał na nią z ukosa, potém rzekł:

— Co prawda, nie rozumiem na co potrzebne być mogą kobiety na polowaniu.

— Daj no pokój, Violetto, odezwał się Drummond; my sobie nawzajem z Piotrem krzywdy nie zrobimy. Nauczysz się wkrótce mało zważać na to co on prawi, zwłaszcza gdy rozpowiada o zabitéj przez siebie zwierzynie. Wszak prawda, Piotrze, że w takich razach, lęgną ci się w myśli na zawołanie całe gromady zajęcy i królików, których nigdy na świecie nie było?

— Ho, ho! było tu i jest dotąd podostatkiem zwierzyny, odpowiedział stary, na wpół zdając się tylko rozumieć uszczypliwość tego zapytania; chodzi tylko o to, żeby było komu ją strzelać. Ale łatwiéj o takich co się lubią ładną strzelbą pobawić, dodał spoglądając złośliwie na swego towarzysza, niźli o prawdziwych myśliwych co jéj użyć potrafią jak należy.

Tak rozmawiając, zapuszczali się coraz bardziéj w góry, pozostawiwszy za sobą ostatnie ślady ludzkich siedzib i pracy człowieka około ziemi. Tu już, skały poczynały piętrzyć się coraz bardziéj stromo i urwisto, a surową posępność krajobrazu, wzmagało chmurne niebo po nad nim zwieszone, z którego zdawało się, że lada chwila, spłyną deszczu potoki. Groźba owa spełniła się wreszcie; naraz powietrze zaciemniło się jeszcze bardziéj, i jednocześnie spadać poczęły na ziemię owe duże krople deszczu, które bywają zwykle zapowiednią bliskiéj ulewy. Jedyném przed nią

schronieniem, była w tym razie dla naszych wędrowców, skalista ściana spuszczająca się stromo ku dolinie, tworząc wąską pomiędzy sąsiedniemi szczytami rozpadlinę, w któréj sterczały miejscami duże bryły granitu, mogące ladajako zasłonić sobą skryte pod niemi istoty. Tam téż śpiesznie podążyły obie panienki, a za niemi Drummond ze starym Piotrem, jeszcze mniéj teraz zadowolonym z towarzystwa kobiet na polowaniu.

Usposobienie to nieprzychylne objawił stary góral, pozostając nieco opodal, wystawiony na całą gwałtowność ulewy, podczas gdy reszta gromadki tuliła się do skalistéj ściany pod naturalném sklepieniem, ochraniającem ją choć w części od strumieni spływających zarazem z nieba i z wyższych szczytów. Ale nawałnica ta trwała niedługo, jak to często w górach się zdarza i, jakby własnym wysiłkiem wyczerpana, wkrótce słabnąć poczęła. Potrochu z pośród gęstego obłoku zasłaniającego najbliższe przedmioty, wynurzać się poczęły szczyty niektóre, kawałki krajobrazów, zdające się być zawieszone w powietrzu i należéć do zaczarowanéj jakiéjś krainy, niemającéj nic wspólnego z ziemią; aż wreszcie mgły coraz bardziéj rozrzedzone rozpierzchły się w zupełności, odsłaniając dalekie przestrzenie, obniżające się wzgórza zielone, a po za niemi morze, już teraz jaśniejące od promieni słońca.

Wędrowcy nasi roskoszowali się tym cudownym widokiem, oglądając go ze szczytu wyniosłéj skały, gdzie dostali się byli skoro deszcz ustał, zachwyt ich przerwał głos Piotra, wołającego niecierpliwie:

— Cóż tedy? kiedyż nareszcie zaczniemy polować?

— Nie masz czego tak się śpieszyć przyjacielu, odrzekł na to Drummond; wszakże nie mamy wcale do czego tu strzelać.

Zaledwie wyrzekł te słowa, stało się coś nadzwyczajnego; z pomiędzy drobnych krzaczków, koło których przechodzili właśnie nasi wędrowcy, wyskoczył tuż przed niemi młody zając.

— Strzelajże pan, strzelaj! zawołał stary góral, widząc że towarzyszący mu gentleman spokojnie przypatruje się zwierzynie, nie podnosząc wcale strzelby.

W pierwszéj chwili przerażenia zając stanął nieruchomy i jakby zdrętwiały, ale zaraz pomknął się chyżo i w mgnieniu oka znikł po za wzgórzem, w zaroślach, które mu zapewniały bezpieczne schronienie. Za wiele już tego było dla biédnego Piotra; to téż począł kląć na czém świat stoi, w miejscowém narzeczu górali, ręce podnosząc do góry w swém namiętném rozżaleniu.

— Czyś ty uważała jakie on miał przecudowne oczy? odezwał się Drummond do Violetty.

— O tak; mogłam je dostrzedz przez chwilę, były w istocie prześliczne.

— I czy też jest człowiek na świecie, coby potrafił wziąść na cel i zabić stworzenie, patrzące na niego takiemi oczami? mówił daléj, jakby w roztargnieniu.

— Wujaszku, rzekła Amy, będzie się znowu mama z ciebie śmiała, bo jéj z pewnością Piotr wszystko opowie.

— A czy uważałaś jak się z miejsca pomknął? ciągnął daléj, wcale nie usłyszawszy téj uwagi. Cóż to za cudowny mechanizm w ruchach tego zwierzątka! Gdyby to można było w sposób abstrakcyjny...

— Proszę pana, czy nie lepiéj będzie jeśli psa do domu odprowadzę? przerwał mu w tém miejscu stary, z wyrazem gorzkiego szyderstwa.

— Cóż tobie znowu w głowie? Czyś zmysły chyba postradał?

— Myślałem, że chcesz pan zejść z panienkami nad brzeg jeziora i więcéj nie polować. Więc masz jeszcze zamiar próbować szczęścia, zanim do domu wrócimy?

— Ma się rozumieć. Spuść że twego psa ze smyczy, może nam się téż uda nastręczyć mu cośkolwiek do spożycia.

Szli tedy brzegiem niskich zarośli, pomiędzy skrzydlatemi mieszkańcami, których powstał wielki popłoch, gdy się w nie zapuścił legawiec, z całą radością odzyskanéj swobody.

— Uważnie tylko Jack uważnie! Teraz panie, teraz! szepnął Piotr z cicha.

Drummond żywo wysunął się naprzód, nie bez pewnego wszelako podejrzenia, że Jack naprowadzi go poprostu na gniazdo wróbli lub sikorek. Tym razem jednak inaczéj się stalo i kiedy po chwili pies ulegając pokusie, głowę zasunął w gęściejszy od innych krzak wrzosu, wyfrunął z niego szeleszcząc skrzydłami większy ptak jakiś, i jednocześnie odgłosy dwóch wystrzałów rozległy się w powietrzu.

— A niechże pana! cały nabój poszedł górą! zawołał Piotr, podczas gdy pies jego pędem się puszczał w pogoń za odlatującym ptakiem, któremu ani jedna szrucina piérza nie musnęła.

— Śliczny wasz pies, nie ma co mówić, zauważył Drummond, w odpowiedzi na wykrzyknik górala.

— Jakżeś pan mógł nie trafić do tego ptaka zawołała Violetta.

— Wujaszku, toż on z pod nóg ci się prawie zerwał.

— Mnie się on wydawał mało co mniejszy od pawia.

— Mogłeś go pan dosięgnąć, rzuciwszy za nim czapką.

Ale na wszystkie te docinki był Drummond zupełnie obojętnym, widząc to obie panny przestały mu dokuczać i poczęły myśléć o miejscu, gdzieby można przyjemnie wypocząć i spożyć przyniesione z sobą zapasy; rozpatrywały się wokoło żywo biegnąc przodem, upatrzyły je sobie wkrótce na pochyłości ocienionego wzgórza, ku któremu podążyły zostawiając za sobą towarzyszy. Ci tymczasem, idąc ciągle wrzosami, wypłoszyli z nich kwiczoła, którego z wielkiém swojém zdziwieniem, trupem położył Drummond. Zaledwie załatwić się zdołał Piotr z odebraniem ptaka Jackowi, który już go był pochwycił, kiedy w tém zawołał półgłosem, z najwyższem podnieceniem:

— Panie! baczność... tu, tuż przed nami... królik!

— Gdzie?

— Tu, tu panie.

— Poczekaj no chwilkę, rzekł Drummond, spostrzegłszy owego biedaka, w tak trwożnéj postawie przyczajonego pod krzakiem, że zdawał się już pozbawiony sił do ucieczki. Alboż mogę nadużywać zaufania tego biédnego stworzenia?

— Czemuż pan nie chcesz strzelać, szeptał Piotr w gniewie. Strzelaj pan, a ja mu kark zaraz skręcę, żeby go dobić, i zaniesiemy go do domu.

— A ty łotrze niegodziwy, toś ty tak zwykł polować? Ja inaczéj postąpię; odejdę na czterdzieści yadrów od tego zwierzęcia, nawet na czterdzieści jeden, bo jeden yadr liczę na długość lufy;— tyle zostawiam mu nadziei ocalenia swego życia. Jeśli mu się to uda, niech sobie rusza gdzie chce, bardzo z tego rad będę, i nawet...

Piotr nie umiał już być dłużéj panem siebie. Nie czekając już końca przymowy swego pana, szybkim ruchem wypłoszył królika ze schronienia, ten przebiegłszy przed samemi nogami Drummonda, wdrapywać się począł śpiesznie na pochyłość wzgórza, bardzo od téj strony spadzistą. Drummond patrzał za nim mocno zdziwiony, jak gdyby nie przypuszczał aby mógł przekroczyć promień odległości jaki mu zakreślił we własnéj wyobraźni.

— Strzelaj że pan! strzelaj raz przecię! wołał stary Piotr odchodząc prawie od siebie, podczas gdy królik znikał wśród krzaczków rosnących na szczycie wzgórza.

— Nie mam zwyczaju strzelać do królików w powietrzu, odpowiedział mu na to Drummond z wielkim spokojem. To zwierzę ma w sobie z pewnością coś nadprzyrodzonego; nie jestem pewien czym już nie widział go w teatrze, Covent-Garden, w scenie odbywającéj się w pracowni Fausta. Wolę nie miéć z niém nic wspólnego, bo więcéj dbam o bezpieczeństwo mojéj duszy, niż o za-

bicie królika; — pomyśl że sam Piotrze, coby z tobą było, żebyś spożył wytwór czarów i szatańskiéj mocy, gdybyś w siebie wchłonął piekielną istotę?...

— Jak mi Bóg miły, widzę że cały ten dzień przewałęsamy tak oto na marne, zawołał Piotr, uważając roztargniony wzrok towarzyszącego mu gentlemana, błądzący po przestrzeni, podczas gdy mówił, i spostrzegłszy zarazem, iż Jack, pobiegł przodem i znikł już był im z oczu.

— Zapewne, zapewne, odpowiedział spokojnie Drummond. Bo też co prawda, czyż tu gdzie widać jakiego ptaka?

Nie było ich w istocie w tém miejscu; zaniechawszy zatém dłuższych poszukiwań, myśliwi nasi udali się w stronę, gdzie ich wabiły od czasu do czasu nawoływania dwóch młodych panien, wypoczywających u podnóża skały, osłaniającéj je od słonecznych promieni. Miejsce to było w istocie urocze i wybornie wybrane do dłuższego w niém pozostania. W dole, po za kępami drzew malowniczo porozrzucanych na pochyłości wzgórza, widać było przejrzyste wody jeziora, odbijające góry okoliczne i niebo cudownie rozpogodzone. Tam nasza gromadka spożyła skromne zapasy, które z sobą zabrała była; poczém Drummond, wypaliwszy fajkę i naprawiwszy się do woli o Szekspirze, którego na ten raz obrał był sobie za przedmiot wyłączny do obrobienia, odprawił młode dziewczęta do domu, pod strażą chłopaka niosącego koszyk z żywnością, zapowiadając, że się teraz chce zabrać na dobre do polowania i dla tego woli kobiet się pozbyć. Gdy odchodziły, zawołał jeszcze za niemi, że mają pamiętać aby łódka była na wieczór zamówiona do przejażdżki po jeziorze, potém zapuścił się z Piotrem w pobliskie zarośla.

Pomimo, że podczas téj drugiéj części polowania, nasz myśliwiec nie był w stanie powstrzymywać się od niejednéj chwili roztargnionéj zadumy, oraz od wynikających ztąd zwykle przemówień mniéj lub więcéj obszernych, których treść pozostawała dla jego towarzysza całkiem niezrozumiałą, szczęście dopisało mu teraz nierównie lepiéj niż z rana i, wracając po kilko godzinnéj wędrówce do domu, mógł się pochwalić trzema zabitemi zającami, tyluż parami cietrzewi, sporym królikiem i kilku sztukami drobniejszéj zwierzyny. Dodać należy, że na samym dnie swéj torby myśliwskiéj Piotr skrył był starannie zdobycz mniej chlubną, czarnego domowego koguta, który życiem przypłacił zapuszczenie się za żerem w sąsiednie zarośla. Ileż to było uciechy i szczerego śmiechu, gdy się Amy udało wykryć tę ofiarę myśliwskiego zapału i niewprawnego wzroku Drummonda! A co się zatém żartów po-

sypało, ile to miała do wysłuchania pani Warrener od obudwu młodych dziewcząt, osobliwych szczegółów o łowieckich wyprawach swego brata! Nieraz przychodziło do tego, że na świadka musiał Drummond przyzywać Piotra ku swéj obronie, ale nie na wiele się to przydawało i zawsze w téj wesołéj szermierce Violetta i Amy brały górę, zarzucając ich obudwu gradem dowcipnych pocisków, z których niepodobna było nie śmiać się serdecznie.

O wiele się jednak ciszéj zachowywała nasza gromadka, gdy tego samego wieczora wybrała się znowu z domu; zdawało się, że zmiana, jakiéj teraz uległ świat cały, na nią także oddziaływa. W około, ciemne jak noc góry, piętrzyły się na widnokręgu, a po nad niemi przejrzyste i wygładzone niebo, rozjaśniało się już od wschodzącego księżyca, rozpoczynającego swój spokojny pochód wśród milczących przestrzeni. Stopniowo, światło jego, obejmując coraz rozleglejsze obszary, rozjaśniać poczęło ów nocny krajobraz, zdając się mu wszelako nadawać cechę témbardziéj tajemniczą, w miarę jak uwydatniało pewne jego szczegóły, zostawiając resztę cieniem obrzuconą.

Wędrowcy nasi spuścili się stromą ścieżyną ku brzegowi jeziora, gdzie czekała już na nich zamówiona łódka, i siadłszy w nią, odbili od brzegu. Violetta i Amy wzięły były na siebie kierunek czółenka, a plusk ich wioseł uderzających o wodę, był jedynym odgłosem przerywającym milczenie téj pogodnéj nocy, gdyż nawet pewien wielomówny filozof, dobrze nam znajomy, nie uznał za stosowne nutą niestrojną zepsuć tę ogólną harmonią. W miarę jak się od brzegów oddalali, okrążające je skaliste wzgórza coraz bardziéj ciemniały, a także mglistszemi się stawały iskierki światła, oznaczające wiejskie siedziby na pochyłościach rozsiane. Wiosła wodą zwilżone zdawały się srebrne od światła księżycowego, łagodną jasnością rozlanego po całej powierzchni jeziora, po za którém, w dali, groźnie sterczały szczyty Mullu i Morwenu, najwyższych gór w téj okolicy, zdając się dosięgać krainy gwiazd i sam na sam z niemi obcować.

— Coby to za straszna była rzecz, odezwała się Violetta, dając na chwilę spocząć swema wiosłu, wdrapywać się saméj jednéj wśród nocy, na którą z tych gór! Najlżejszy odgłos wtedy zdawałby się czémś okropném....

— Przypuszczenia podobne biorą swe źródło w błędnych pojęciach, odpowiedział jéj na to Drummond. Pomyśl tylko Violetto, cobyś ty sama zrobiła, gdybyś była naprzykład widziadłem, duchem jakim z tamtego świata przybyłym. Czyżbyś nie wolała, za-

miast włóczenia się nocami po bezludnych urwiskach, zasiąść sobie w dzień słoneczny po nad uczęszczaną drogą, w cieniu drzew kwiatem okrytych i przypatrywać się ludziom śpieszącym na targ, słuchać ich rozmowy gwarnéj i wesołéj? Otóż duchy zapewne radzą sobie tak samo; nieraz, gdy przez las przechodzę letnią porą, powiadam sobie, że pełno ich tam być musi pouczepianych po gałęziach wśród zieleni, że się nam z góry przypatrują i przedrwiwają nas w swoich niedosłyszanych dla naszego ucha rozhoworach. A jeśli któremu z nich na myśl przyjdzie dokuczać komu, to sobie pewnie za ofiarę wtedy wybiera bogacza. Biedny nie ma się czego lękać od nocnych widziadeł; bo noc, to dzień nędzarza, to pora, w któréj wszystko się dla niego naprawia i prostuje, co na jawie nie było jak należy. Bogacz w rzeczywistości zaledwie w połowie użyje tych roskoszy życia, jakiemi napawa się we śnie ubogi; lub téż człowiek nieznany, któremu śni się, że go sława opromienia, albo chory, widzący siebie w marzeniu siłaczem. A jakich téż uciech doznają nieraz psy we śnie! Jak one radośnie wtedy poszczekują, zdając się gonić za upatrzoną zwierzyną. Jak w nich drga życiem każda żyła, jak radośnie bije im serce w podobnych marzeniach! Czym wam téż kiedy powtórzył, co mi opowiadał w tym przedmiocie pewien gentleman, bystry badacz natury zwierząt?

Żadna z młodych panien nie umiała sobie tego przypomnieć, co się tém mogło tłómaczyć, że istnienie owego gentlemana wzięło było początek dopiéro w ciągu owéj rozmowy. Drummond zapoznał je z nim tedy i, zwyczajem swoim, wypowiedział za pośrednictwem owéj urojonéj postaci szereg spostrzeżeń, nieraz uderzającéj trafności, czasem znowu dziwacznych i niezrozumiałych, w przedmiocie źródła i natury sennych przywidzeń.

Czar dotychczasowego milczenia już został odtąd przerwany. Rozmowa szła daléj z ciągłém ożywieniem, podczas gdy się łódka błąkała po wygładzonych toniach jeziora; a gdy wreszcie, wysiadłszy na ląd, wędrowcy nasi wspinać się poczęli na wzgórze, u szczytu którego błyskały światełkami okna ich domu, głosy dwóch młodych dziewcząt rozlegały się wśród nocnéj ciszy, śpiewając starą jakąś szkocką balladę. Zanim wszyscy troje weszli w oplecione bluszczem drzwi ładnéj chatki, gdzie na nich oczekiwała z herbatą pani Warrener, obejrzeli się raz jeszcze, aby pożegnać ów czarowny świat gór i wodnych przestrzeni oblanych światłem księżycowém, i szczęśliwie zakończył się dla nich jeden dzień znowu, pogody, spokoju i wspomnień niezatartych! O! gdyby to życie z samych się tylko takich składało!

ROZDZIAŁ XIX.

Niebo się zachmurza.

Tak mknęły w przeszłość jedne za drugiemi dni owe rozkoszne; a życie to spędzane w nieustannym ruchu i na świeżém powietrzu, czy to słońce świeciło pogodnie, czy téż morskie fale, wiatrem pędzone, rozbijały się z szumem o nadbrzeżne skały, darzyło wyrazem zdrowia i wesołości twarze podróżnych, przybyłych w to górskie ustronie, nadając zarazem ich cerze odcień coraz bardziéj ogorzały. W ciągu tego czasu, Violetta zajęła była przy tém domowém ognisku właściwe sobie stanowisko. Czuła się tam tak zupełnie we własnym domu, że ani razu nie pomyślała o czasie, w którym u tych samych ludzi gościem bywała; a przyjaciołom jéj zdawało się także, iż ją zawsze mieli jak teraz u siebie. Za najszczęśliwszą by się miała, jak to powiadała pewnego wieczora do pani Warrener, gdyby z niemi tak mogła życie całe spędzić w tych Höghlandach cudownych.

Niepodobieństwem jest, aby kobieta stale przebywająca w jakimbądź domu nie wynalazła w nim sobie odpowiedniego zajęcia; nieznacznie tedy Violetta, dopomagając w niektórych szczegółach gospodarstwa pani Warrener, umiała wytworzyć dla siebie cały szereg nowych, a wyłącznie do niéj należących obowiązków. Odnosiły się one przeważnie do wszystkiego, co w związku było z wygodą i przyjemnością samowładcy panującego nad gromadką kobiet, tutaj zebraną. Przyjmował on te troskliwe starania, nie zdając się prawie zwracać na nie uwagi, a raczéj jako rzecz bardzo naturalną; z czasem nawykł zwracać się do Violetty z każdém żądaniem, jak gdyby wiedział, że mu nikt lepiéj od niéj dogodzić nie potrafi. Cieszyło ją to niewymownie, bardziéj o wiele, niżby to mogły uczynić wszelkie objawy wdzięczności. W te nie wdawał się co prawda Drummond, dla téj prostéj przyczyny, że nie przyszło mu ani razu do głowy, aby miał za co dziękować Violecie. Przyjemnie mu było, że każdą rzecz miał zawsze pod ręką na zawołanie, że gazety i listy zastawał co rana przed swojém krzesłem na stole, że gdy wracał do swego pokoju, znajdował w nim wszystko na miejscu, chociaż wychodząc zostawił tam nieład za sobą; cieszył się nadzwyczajnym porządkiem, w jakim strzelba jego była utrzymywana, chociaż nieugięty Piotr nigdy jéj więcéj nie czyścił jak raz jeden na tydzień; ale jaka ręka ład ten cały stwarzala w około niego? — nad tém nigdy a nigdy się nie zastanawiał ów człowiek, mający zaledwie dosyć czasu do zała-

twienia się ze wszystkiemi myślami i marzeniami, jakie nieustannie przez głowę jego przepływały prądem nigdy niewyczerpanym. Dosyć mu tego było, że się zajmować nie potrzebuje drobnemi szczegółami życia i prawie wierzył temu, że się one same z siebie tak umiejętnie naginają do jego potrzeb i upodobań. A jak o wszystkiém pamiętała Violetta! jak się nie jednéj rzeczy nauczyć tutaj potrafiła! Nikt od niéj lepiéj nie umiał robić nabojów; takiéj w tém wprawy nabrała, że jéj w doskonałości wyrobu trudno było dorównać. Zapisywała téż starannie w osobnéj książeczce ilość ubitéj przez Drummonda zwierzyny, ale nigdy zestawić z nią nie chciała cyfry wyrobionych przez siebie nabojów, choć ją nieraz o to Amy prosiła.

Coraz więc potrzebniejszą stawała się Jamesowi jego młoda towarzyszka, a poczucie tego zdawało się uszczęśliwiać ją coraz bardziéj. Wzajemny ten ich stosunek zabawił nieraz panią Warrener; raz jeden wszelako rzekła w tym przedmiocie do Violetty:

— Czy wiész ty moje dziecię, że stajesz się potrochu niewolnicą Jamesa?

Młoda dziewczyna zarumieniła się zlekka, ale odpowiedziała z uśmiechem:

— Mniejsza o to, skoro tak dobrego mam pana.

Co do niego, zdawał się zupełnie nazwyczajony do jéj obecności w domu; i czy to z niéj żartował, czy jéj się sprzeciwiał, lub téż na nią gdérał, czynił to wszystko z przyjaźnią, swobodą i poufałością bliskiego stosunku. A jednak były lekkie odcienia, odróżniające zachowanie się jego względem niéj, od obejścia, jakie mu było zwykłém z jéj towarzyszkami, i różnica ta nie mogła być przez nią nie postrzeżoną. Podczas wieczornych po górach przechadzek, zwykł był trzymać którą z nich za rękę, ale nigdy nie dotknął w podobnych razach ręki Violetty. Podobnież, wypowiadając jaką głęboką prawdę społeczną, w zagadkowym stylu sobie właściwym, jeśli mowę zwracał do siostry swéj lub siostrzenicy, często opierał wtedy rękę na ramieniu cierpliwej swej słuchaczki, dla tém lepszego wpojenia w nią swéj zasady: ale z Violettą nigdy nie postępował w ten sposób. Czasami w istocie zdawał się przypominać sobie, że ona jest gościem w jego domu i że ma zatém prawo do wyjątkowo uprzejmego obejścia; z téj więc wychodząc zasady, probował pewnych usiłowań w tym kierunku. Nie domyślał się, ile owe zwroty, odczuwane natychmiast bystrą wrażliwością młodéj dziewczyny, raniły dotkliwie jéj serce, tak iż nieraz, miasto cieszyć się jego grzecznością, z chęcią byłaby pobiegła do swego pokoju, by tam gorzkiemi łzami opłakać to, co się

jéj zdawało zerwaniem starego przyjaznego stosunku pomiędzy panem i jego niewolnicą.

Ale jeżeli urażoną się czuła Violetta, ilekroć Drummond okazywał jéj w obejściu ów odcień poszanowania, to znowu niemniéj drażliwą była na wszelkie uchybienie, jakiego mógł się ktokolwiek dopuścić względem niego. Jeśli zdarzyło się, że rybak jaki, ośmielony swobodną jego żartobliwością, spoufalił się z nim choć cokolwiek, dostawał za to z pewnością napomnienie, co mu na długo mogło pozostać w pamięci. Zawojowała była zupełnie starego Piotra, z początku dosyć dla niéj źle usposobionego; z czasem ujęła go odwaga jéj i zręczność, i w końcu zawyrokował, że tęga z niéj dziewczyna, i że musi ona mieć coś lepszego od krwi angielskiéj w żyłach. Nawet poufałość pani Warrener lub jéj córki z Drummondem, nie była jéj do smaku; znajdowała, że pan domu, powinien być panem domu dla wszystkich jego mieszkańców.

Pewnego wieczora, gdy James powracał z polowania, zatrzymała go siostra przededrzwiami, dla zwrócenia jego uwagi na dziwne w dniu tym światło zachodu, które, przedzierając się miejscami po przez gęsto nagromadzone na widnokręgu chmury, rzucało na morze płaty czerwonéj jasności.

— A! otóż i wraca Violetta ze swéj wyprawy, rzekła pani Warrener, spojrzawszy na ścieżkę prowadzącą od doliny ku szczytowi wzgórza. Chodziła do wsi, aby nam zdobyć u rzeźnika dobry kawałek pieczeni na jutro. Ona jedna umié dać sobie z nim rady; gdyby nie to, musielibyśmy chyba jadać dzień w dzień samę tylko baraninę.

Młoda dziewczyna szła tymczasem sporym krokiem, drożyną wijącą się wśród wrzosów, porastających na pochyłości wzgórza, ale daleko była jeszcze od domu.

— Czy wiesz Saro, rzekł Drummond, jakby w roztargnieniu mówiąc sam do siebie, że jest to dla mnie prawdziwą roskoszą, patrzéć na ruchy tego dziewczęcia. Spójrz tylko, co za szlachetna swoboda w jéj postawie, jaki krok ma pewny a lekki zarazem; wszystko zdaje się w niéj składać do skończonéj harmonii kształtów, którą bardziéj jeszcze uwydatnia ten pozór zdrowia tak wspaniałego.

— Sama nie wiém, jak się potrafimy późniéj bez niéj obejść, raz się do niéj przyzwyczaiwszy, rzekła smutno pani Warrener.

— No tak, ma się rozumiéć; musi nas ona kiedyś porzucić, odpowiedział, usiłując mówić o tém swobodnie i jakby o rzeczy zupełnie naturalnéj. Młody ptak z gniazda odlata, skoro mu tylko

skrzydła wyrosną. To prawda, że nam poweselał nasz kącik, odkąd w nim mamy Violettę.

Siostra jego milczała przez chwilę, potém rzekła:

— Doprawdy, nie umiém wytworzyć sobie zdania o tym młodym chłopaku. Czasami go dosyć lubię, a czasami znowu znieść go nie mogę. Ach! gdybyśmy to mogli zajrzéć w przyszłość choćby na jakie parę lat przed siebie, lepiéjbyśmy wiedzieli, co tu zrobić należy....

— Zapominasz Saro, odpowiedział jéj brat dosyć sucho, że sprawa ta wcale do nas nie należy. Czemuż się o niéj odzywasz tak, jak gdybyś się poczuwała do jakiéjś w tym względzie odpowiedzialności? Wszakże to dziewczę, może już własnym sądem się kierować.

— Gdybyś tyle kochał Violettę, ile ja ją kocham, więcéjbyś się kłopotał jéj przyszłością, odpowiedziała pani Warrener z westchnieniem; nie mogła bowiém zrozumiéć, dlaczego James, zwykle tak troskliwy o pomyślność każdego z tych, co go otaczali, okazywał zupełną obojętność w tak ważnym przedmiocie, jak zamążpójście Violetty.

Ale rozmowę tę przerwało w tém miejscu nadejście téj, która była jéj przedmiotem. Młoda dziewczyna była już na stroméj ścieżynie, przecinającéj ogródek; żywy rumieniec zabarwiał delikatną jéj cerę, a wyraz zadowolenia rozjaśniał czarne jéj oczy. Rada była, że się jéj udało zdobyć piękny kawałek pieczeni, że przed deszczem umknąć potrafiła, a także że ma teraz do spłądrowania myśliwską torbę Drummonda. Tyle razem zebranych powodów wystarczało do wytłómaczenia radości, jaką twarz jéj wyrażała w téj chwili, ale co prawda, nieraz ją widywała pani Warrener równie rozpromienioną, odkąd w te góry z niemi przybyła, chociaż nawet żadnéj szczególnéj przyczyny do tego nie było.

— Chodź-no ze mną, Violetto, rzekła, biorąc ją pod rękę i prowadząc z sobą na ścieżkę okrążającą trawnik przed domem, do którego wszedł już był Drummond. Mam ci coś do powiedzenia. Chcieliśmy to w tajemnicy przed tobą zachować, aby ci zrobić niespodziankę, ale może lepiéj, abym ci o tém powiedziała. Pan Miller przyjedzie tu jutro wieczorem.

Violetta w miejscu się zatrzymała i mimowoli rękę swą cofnęła z pod ramienia przyjaciółki.

— Dlaczegóż ma to być tajemnicą — lub téż niespodzianką dla mnie? spytała chłodno.

— Zdawało mi się, rzekła pani Warrener z uśmiechem, że masz trochę przychylności dla tego młodzieńca.

— Żywicie też pewnie państwo dla niego toż samo uczucie, skoroście go do siebie zaprosili, odparła młoda dziewczyna. Co do mnie, powiedziałabym, ża nam tu dosyć dobrze jest i bez niego.

Tego już za wiele było na cierpliwość wyrozumiałéj przyjaciółki Violetty. Brak ten szczerości sprawił na niéj niemiłe wrażenie i rzekła, tą razą już z surową powagą:

— Czy chcesz przez to powiedziéć, że nie będzie ci przyjemném zobaczyć się z nim?

— I owszem, kochana pani; o tyle mu rada będę, o ilebym rada była każdemu innemu z moich przyjaciół, odpowiedziała Violetta z tymże samym wyrazem wyniosłéj obojętności. Tylko... zdaje mi się, że nam tu dosyć miło było bez żadnych gości w domu, i chcę wierzyć, że nie z mojego powodu zaprosiliście do siebie pana Millera.

Twarz jéj poczynała żywiéj się rumienić i znać było, że pozorna obojętność, na którą się siliła, coraz ją więcéj kosztuje.

— Nie zdaje mi się, aby było właściwém... poczęła mówić z pewną żywością i głosem drżącym od wzruszenia, — ale jéj od razu przerwała pani Warrener:

— Nie masz żadnego powodu do nieukontentowania, moje dziecię, rzekła. Rozumiém, że każda młoda dziewczyna twego wieku nie rada jest, gdy ktokolwiek podpatrzy tajemnice jéj serca; ale w tym razie mogę cię zapewnić, że choćby ciebie tu nie było, zawsze byłby tu przyjechał pan Miller, a to dla tego, żeśmy go już oddawna do siebie w góry zaprosili. Jest on wielkim miłośnikiem polowania i morskich wycieczek; a ponieważ mamy odbyć taką wkrótce na yachcie *Kormoran*, który oddano memu bratu na cały miesiąc do jego rozporządzenia...

— A! więc się on z nami na tę wyprawę wybierze? zapytała z żywością Violetta.

— Tak mi się zdaje. Wiesz, że dosyć jest miejsca na tym obszernym statku.

Rozmowa o tém nie ciągnęła się dłużéj; zaraz potém Violetta odeszła do domu, przypomniawszy sobie niby jakąś robotę do załatwienia. Zaraz u wejścia spotkała Amy, którą zabrała z sobą do swego pokoju; tam zamknąwszy się z nią na klucz, rzuciła się w krzesło i ręce splotłszy na kolanach, ze wzrokiem posępnym zawołała:

— Już po wszystkiém teraz, moja droga!

— Jak to, po wszystkiém? co chcesz przez to powiedziéć?

— To, że przepadły te miłe chwile!, któreśmy tu spędzały. Jakże one prędko minęły! zdaje się teraz, że ich było tak nie wiele... A jednak, nie zapomnę ich nigdy, o nigdy w życiu!

— Nie rozumiém ciebie zupełnie, Violetto.

— Zrozumiész mię zaraz. Obcy człowiek przybędzie tu jutro i wszystko zaraz się zmieni.

— Obcy człowiek? Alboż tak nazywasz pana Millera?

— A! więc i ty o tém wiedziałaś? zawołała z żywością Violetta. Dla czegoż przedemną jedną to tajono?

— Dla czego? odpowiedziała Amy trochę zmięszana. Zepewne mama myślała, że nie lubisz, aby ci wspominano o niektórych rzeczach.

— O jakich rzeczach?

— Ach, moja droga, wiész przecię dobrze, że jesteś słowem związaną z panem Millerem, rzekła Amy z lekkim odcieniem zniecierpliwienia. Nie rozumiém, dla czego tak się z tém taisz?

— A ja nie rozumiém, dla czego mi to wszyscy wmawiacie. Nie dałam mu żadnego przyrzeczenia i nie dam go nigdy. Nigdy! powtórzyła z namiętnym naciskiem. Ja? miałabym dać mu moje słowo? O! wolałabym, aby nie żył na świecie ten człowiek!

— Violetto, zastanów się...

— No, nie życzę mu koniecznie śmierci, rzekła, opamiętawszy się nieco; ale znieść tego nie mogę, aby przypuszczano, że istnieje pomiędzy nami, lub że ma kiedy istnieć, jakiebądź zobowiązanie; przewiduję z jego przybycia tutaj same tylko dla siebie przykrości i kłopoty. Alboż nam tu brakło czegokolwiek dotychczas? Alboż nam bez niego nie było dobrze? Teraz on ma z nami odbywać podobno tę morską wycieczkę, z której tak się cieszyłam... O, jeśli tak będzie, to zapowiadam zawczasu, że się ona odbędzie bezemnie.

Amy odziedziczyła była po matce znaczny zasób spokoju i zdrowego rozsądku; zatém nie probójąc otwartéj walki przeciw temu postanowieniu, tak stanowczo wypowiedzianemu, rzekła tylko łagodnie:

— Przykrość byś nam wszystkim sprawiła Violetto, gdybyś tak postąpiła, a także byłoby to brakiem uprzejmości względem człowieka, który, przez to samo, że jest naszym gościem, ma wszelkie do niéj prawo. Nie jego w tém wina, że się tobie nie podoba; zresztą nie zawsze zdawał się być ci tyle niemiłym. Kiedyś ja sama inaczéj o tém sądziłam; wierzaj mi, jeśli nadto go źle teraz przyjmiesz, gotów cię posądzić o zalotność i o chęć okazania twéj niezawisłości.

— Mało mię to obchodzi, co on o mnie pomyśli, odpowiedziała, z gorącym rumieńcem na twarzy i ze wzrokiem ku ziemi spuszczonym.

— Ale inni to samo mogą pomyśléć.

— Któż taki naprzykład? spytała żywo oczy podnosząc.

— My wszyscy.

— Wy... posądzilibyście mnie... o zalotność? rzekła zcicha.

— Zapewne, odpowiedziała jéj z pewném wahaniem się przyjaciółka; wiesz przecię sama, żeś mu dosyć długo dawała prawo do nadziei, jaką mu dziś odbierasz.

— Więc, aby oczyścić się z tego zarzutu, mówiła dalej Violetta, równie cichym głosem i z tym samym wyrazem posępnego zamyślenia, aby szacunku waszego nie stracić muszę zostać żoną pana Jerzego Millera?

Na to pytanie nie usłyszała żadnéj odpowiedzi.

ROZDZIAŁ XX.

Przygotowanie do podróży.

Nazajutrz, przybył w istocie Jerzy Miller i, przyznać należy, że się przedstawiał bardzo korzystnie, gdy dostawszy się z parowca na wybrzeże, sciskał ze szczerą radością ręce czekających tam na niego przyjaciół. Violetta dała się była nakłonić do wybrania się z resztą towarzystwa na jego spotkanie, i w téj pierwszéj chwili, mimowoli prawie, powitała go z tak przyjaznym uśmiechem, jak bywało za dawnych czasów, które się jéj przypomniały. On zaś, z wielką oględnością postępując, starał się nie okazać bynajmniéj że jéj widok był dla niego najżywszą uciechą i zdawał się w niéj widziéć tylko cząstkę gromadki życzliwych z któremi rad był znowu się złączyć. Wracając téż z niemi do Cartle Bandbox, wyłącznie prawie do pani Warrener zwracał się w rozmowie.

Tak więc, owego pierwszego wieczora, przewidzenia Violetty nie sprawdziły się w niczém. Ta sama co i pierwéj swoboda i wesołość panowała w ich małém kółku, i Drummond mógł podawnemu przywłaszczać sobie najrozleglejszy udział w rozmowie, ilekroć mu się spodobało głośno wypowiadać urywki wędrówek swéj wyobraźni, lub też wyniki filozoficznych swych rozumowań. Dziwaczne jego pomysły rezweselały tyleż Millera, co i resztę towarzystwa; zdawał się oddawać im całą swą uwagę, nie naprzyksza-

jąc się Violecie żadną wyłączną uprzejmością, a także z wielkiém zajęciem wypytywał się Drummonda, czy nie będzie można zapolować jeszcze z parę razy przed ową nadbrzeżną wycieczką, któréj szczegóły najbardziéj go zaciekawiały. Wszystko tedy szło dotąd jak najlepiéj.

Stopniowo dopiéro i prawie nieznacznie, począł dać się uczuwać w tém szczupłém kółku wpływ nowo przybyłego gościa. Młodzieniec ten, wielce akuratny i systematyczny, pojąć nie mógł lekceważenia z jakiém Drummond zwykł był traktować domowe sprawy codziennego życia. Z jego powodu, śniadania którego pora oznaczoną była na dziewiątą godzinę, odbywały się prawie zawsze wcześniéj lub późniéj, stosownie do pogody, która raz zachęcała pana domu do dalszéj porannéj wycieczki, raz znowu budziła w nim zamiar wybrania się jak najśpieszniéj na myśliwską wyprawę. Wszyscy w domu stosowali się w tém chętnie do jego woli, a raczéj nikt nie zważał nawet na te drobne niedokładności, aż do czasu przybycia Millera. On téż pierwszy zwrócił uwagę swoich przyjaciół na nieosobliwy smak obić w ich pokojach i na nieszczelność okien z powodu któréj bywały nieraz w mieszkaniu przeciągi. Mniéj téż czasu teraz tracono na wałęsaniu się po wzgórzach dla oglądania krajobrazów okolicznych o różnych dnia porach; Jerzy urządził wszystko jak należy, każda czynność miała godzinę dla siebie oznaczoną. Co prawda, od jego téż przybycia mniéj się daleko prochu i śrótu marnowało; strzelał wybornie i trudu nie żałował ilekroć była nadzieja znaléść gdziekolwiek zwierzynę. To téż Piotr o wiele przekładał tego nowego pracowitego towarzysza nad poprzedniego, który nie wstydził się w ciągu polowania pamiętać o wypaleniu fajki, co nawet zwykł był czynić bez pośpiechu, wynalazłszy sobie wygodne legowisko gdzieś wśród trawy, na wzgórzu zkąd mógł do woli roskoszować się widokiem gór i morza.

Co więcéj, owa niepoprawna niedbałość pana domu, tém bardziéj teraz się uwydatniała, że Violetta nie była już w stanie, zaradzać jéj tyle co przedtém. Dotychczas, zwykła schodzić na dół wcześnie, pierwéj niż kto inny—dla zajęcia się uporządkowaniem pokoju i rzeczy Drummonda, który zawsze bardzo rano z domu wychodził. Teraz zaś, nie ukazywała się nigdy na dole przed chwilą śniadania i przychodziła tam zawsze w towarzystwie Amy. Zostawały one zazwyczaj Jerzego przechadzającego się już przed domem i niecierpliwie spoglądającego co chwila na swój zegarek.

W téj porze, bywały tam cudne noce księżycowe, i zwykle wieczorem nasza gromadka wychodzi na sąsiednie wzgórza, by się

po nich przechadzać dopóźna, błądząc wzrokiem po milczącym krajobrazie zalanym bladém światłem i po srebrzystych przestrzeniach morza, którego plusk jednostajny zdaleka się odzywał. Teraz, i ta rozrywka wiele straciła dla Violetty ze swego uroku. Podczas tych wieczornych przechadzek, trzymała się ciągle ręki Amy, rozmowa ich obracała się zwykle około dawnych pensyonarskich czasów. Pani Warrener szła z niemi, a tymczasem Drummond pozostawał z tyłu ze swoim gościem, który miał zawsze coś do opowiadania mu o kursach papiérów i o różnych giełdowych sprawach, albo téż o szczegółach dotyczących kuchni klubu którego był członkiem.

— Czyś sobie postanowiła Violetto, nie rozmawiać wcale z panem Millerem? spytała Amy swéj przyjaciółki pewnego wieczora.

— Nie znam się na polityce, odpowiedziała obojętnie panna North; finansowe zaś obroty mało mię obchodzą.

— Ależ nie o to chodzi, abyś się z nim wdawała w długie rozprawy, rzekła Amy. Dla czegoż zaledwie się do niego odezwiesz, nawet siedząc z nim przy jednym stole podczas obiadu?

— Przyzwoite panny mało się powinny dawać słyszéć. Odpowiadam, gdy jestem o co zapytaną.

Wyraźnem było, że obecność młodego Millera w Castle Bandbox całkiem jest obojętną dla Violetty, a nawet może nie miłą, Czuła się teraz ze wszech miar mniéj swobodną. Zdawało się, że nieokreślona jakaś obawa nieustannie ją udręcza zauważyła to z łatwością pani Warrener, któréj bystre i życzliwe spojrzenie niełatwém było do oszukania.

Z tém wszystkiem Jerzy zdawał się trzymać wytrwale planu, jaki zapewne zakreślił był sobie zawczasu co do swego stosunku z Violettą, na czas owych wiejskich odwiedzin. Przez dni kilka udawało mu się to wybornie i widząc go, można było przypuszczać, że nie ma najmniejszéj ochoty szukać z nią jakiegokolwiek zbliżenia. Ale koniec końcem, młodzieńcze uczucia przemogły w nim stopniowo nad tém, co było wynikiem rozważnego wyrachowania, i począł coraz częściéj przypominać sobie owę lepszą przeszłość, która mu dawała przecięż prawo buntowania się dzisiaj przeciw zmianie usposobienia niczém nie usprawiedliwionéj. W miarę jak częściéj ku tym wspomnieniom się zwracał, zapragnął coraz żywiéj pozyskać chwilę rozmowy sam na sam z Violettą; ale tém trudniéj o nią było, że młoda dziewczyna wyraźnie unikała wszelkiéj do tego sposobności, tak jak gdyby odgadywała, że się o nią z innéj strony starano.

W końcu jednak, traf ten szczęśliwy nadarzył się Jerzemu. Violetta nieostrożnie pojawiła się pewnego poranku w jadalnym pokoju bez swéj towarzyszki, pewna będąc że tam już zastanie panią Warrener. Gdy wchodząc, spostrzegła że nikogo nie było oprócz Millera, chciała się cofnąć, ale nie zostawił jéj do tego czasu.

— Violetto, rzekł, podchodząc żywo ku niéj, muszę pomówić z tobą przez chwilę.

Wiedziała co daléj nastąpi; weszła do pokoju, pozornie spokojna, ale w duszy trwogą przejęta; czuła że twarz jéj blednie coraz bardziéj.

— Czym cię obraził czémkolwiek, Violetto? zapytał.

— Nie, odpowiadała tak cicho, że ją ledwie mógł dosłyszéć.

— Dla czegoż więc tak stronisz odemnie? Dla czego nie chcesz nawet do mnie się odzywać?

Nic mu na to nie odpowiedziała.

— Zdaje mi się, że nie byłem ci natrętnym, od chwili w któréj zażądałaś abym cię zostawił swobodną, i powiedz sama, czyż nie spełniłem wszystkich twoich życzeń?

— Tak było w istocie, odrzekła nieco pewniejszym głosem.

— A zatém, czemuż się zemną tak nieprzyjaźnie obchodzisz? czemuż wyraźnie mnie się lękasz?

O, nie zdaje mi się abym dawała powody do takich przypuszczeń, rzekła, ciągle oczu nie podnosząc od ziemi.

Przez chwilę, zdawała się wahać, potém jakby zebrawszy wszystką odwagę jakiéj potrzebowała, aby przemówić otwarcie, mówiła znowu zcicha, ale już śmieléj:

— Jeśli w istocie lękam się dziś pana cokolwiek, moja w tém wina. Wiém to dobrze, a także wiész ile mam sobie do wyrzucenia. O, cóżbym za to dała .,. abyśmy się z sobą nie byli nigdy spotkali, lepiéj by nam z tém było obojgu.

— Nie mów tego Violetto, rzekł łagodnie Jerzy, podchodząc bliżéj ku niéj; przez to czego doświadczasz, przechodzi każda młoda dziewczyna; w obec przyszłości nieznanéj, trwoga ją koniecznie przejmuje. Co do mnie, rad jestem żeśmy się z sobą zeszli, co bądźby z tego miało wyniknąć, i gdybyś mi dała tylko do tego sposobność, z pewnością potrafiłbym obawy twoje rozproszyć. Ale jakże to mogę uczynić, skoro mię tak starannie unikasz? Powiédz sama, czyż się godzi tak postępować? I czy obchodziłabyś się w ten sposób z kimkolwiek innym z twoich przyjaciół?

— O, gdybym pewną być mogła, że pozostać mamy nazawsze z sobą w przyjacielskim tylko stosunku, odpowiedziała mu

z powagą świadczącą o niezachwianém postanowieniu, z jakążbym uciechą okazywała panu szczerą moją przychylność. Gdybyś chciał na przyjaźni mojéj poprzestać, jakżebym ci wdzięczną była! Powiédz, czy zgodzisz się na to?

Patrzała mu w oczy z wyrazem proźby usilnéj. On zaś, wyglądał zdziwieniem przejęty.

— Violetto, rzekł z cicha, napomknęłaś mi już o tém parę razy. Czyliż mówisz szczerze, radząc mi, abym się wyrzekł wszelkiéj nadziei wspólnéj dla nas przyszłości?

Tego właśnie pragnęła najmocniéj, ale w głosie jego brzmiał wyrzut, który uczuła dotkliwie, i przypomniawszy sobie przeszłość nie znalazła w sobie na razie siły zadania mu tak bolesnego ciosu.

— O nie, odrzekła z żywością, nie chcę abyśmy się stali kiedykolwiek sobie obcemi, pragnę owszem, aby przyjaźń trwała pomiędzy nami przez całe życie. Ach! gdybym tylko mogła pana nakłonić do wyrzeczenia się myśli o czémkolwiek innném!

Czuł się mocno strapiony wszystkiém co od niéj słyszał, ale nie umiał jeszcze uwierzyć jéj w zupełności. Wszakże oddawna okazywała mu się przychylną, cóż mogło stawać teraz na przeszkodzie ich połączeniu? Nie miał przecię żadnego współzawodnika.

W téj chwili, kroki czyjeś dały się słyszéć na schodach. Jerzy chwycił rękę Violetty i rzekł śpiesznie:

— Nie biorę tego za ostatnie twoje słowo. Jest w tém niezawodnie jakieś nieporozumienie .... To niepodobna, abyś mi chociaż nadziei nie zostawiła.

Nic mu na to nie odpowiedziała i wyszła zaraz z pokoju, w twarzy jéj był wyraz który go trochę zaniepokoił. Przypuszczać zaczynał, że może w istocie życzy ona sobie dzisiaj aby się stanowczo wyrzekł zamiarów, ku którym dawniéj zdawała się skłaniać.

Wziął kapelusz i wyszedł na świeże powietrze; potrzebował być sam przez czas jakiś, by uporządkować bezwładne myśli jakie mu do głowy napływały i zdać sobie sprawę z własnego położenia. Ale napróżno próbował w niém się rozpatrzéć; wszystko to mu było najzupełniéj niezrozumiałem, nie umiał wcale dojść powodu tak zupełnéj zmiany. Gdy nad tém rozmyślał, głos Drummonda zawołał z wnętrza domu; „Violetto! Violetto!“ Myśl szalona zabłysła mu w téj chwili.

Czyż w istocie nie ma on współzawodnika? A któż wié, czy owa serdeczna przyjaźń, owa cześć jaką ta młoda dziewczyna otacza przyjaciela znacznie starszego od siebie, nie przeistoczyła się w gorętsze uczucie? Samo to przypuszczenie olśniło go chwilowo błyskawicą, któréj rażące światło dotknęło głębi jego serca, i mnóstwo

drobnych szczegółów, dotychczas niemających dla niego znaczenia, poczęło się rozjaśniać za sprawą owego złowrogiego światła.

Najprozaiczniejsi nawet ludzie posiadają dość wyobraźni, aby się w nich mógł w danym razie płomień zazdrości rozpalić; tak więc teraz stosunek Drummonda z młodą dziewczyną powierzoną jego opiece całkiem się inaczéj przedstawiał oczom Jerzego, który, pod wpływem pierwszego wzburzenia, niedalekim był od podejrzywania, że bogata córka sir Actona North rozmyślnie tu została zwabioną przez tego przebiegłego człowieka, na to, aby mógł z czasem zostać jéj mężem. Jednak, Jerzy Miller był rozsądnym i powściągliwym młodzieńcem, i po pewnym czasie chłodna rozwaga pokonała w nim namiętne porywy pierwszéj chwili. Czyż było prawdopodobném, aby to dziewczę tak piękne, tak pełne życia i młodzieńczego zapału, uosobiło swe marzenia i swe nadzieje w człowieku już niemłodym i wcale niepowabnym; w dziwacznym marzycielu, mającym przytém tak skromny majątek, że mu zaledwie na opędzenie koniecznych potrzeb wystarczało? Nie, ona go kocha tak samo jak go kocha jego siostrzenica; żywi dla niego tę samę cześć jaką siostra otacza jego zacność i naukę. Zdawało się teraz Millerowi, że nie ma nic nad to pewniejszego; sam się dziwił jak mógł choćby na chwilę dać do siebie przystęp tak niedorzecznym podejrzeniom, a jednak—poszedł na śniadanie w usposobieniu dziwnie opryskliwém i zaniepokojoném.

Tam także najnieznaczniejsze drobiazgi przybierały olbrzymie rozmiary w zatrwożonéj jego wyobraźni. Zauważył jak starannie dzienniki były ułożone tuż obok pewnego nakrycia. Pewien był, że Violetta własną ręką ułożyła bukiet zdobiący stół, i że zawczasu chodziła zbierać po wzgórzu owe zwilżone rosą wrzosy, które tak zachwycały Drummonda. Uważał téż, że ten ostatni najczęściéj do niéj zwracał mowę i że ilekroć to czynił, piękne jéj oczy rozjaśniały się wyrazem zadowolenia i wdzięczności. Wszystko to drażniło wewnętrznie Millera i mimowoli powracał do podejrzeń, które zdawały mu się nabierąć coraz więcéj powodów istnienia; ale już teraz umiał być więcéj panem siebie i chciał rozpatrzéć się lepiéj wkoło siebie, zanim cośkolwiek powie lub uczyni.

Niezwykły ruch panował teraz w Castle Bandbox, gdzie przedtém dni upływały tak spokojnie. Powodem téj zmiany były przygotowania do bliskiéj wycieczki morskiéj na yachcie, czekającym już w sąsiedniéj zatoce na naszych podróżnych. W pracy téj każdy brał udział, w sposób mniéj lub więcéj skuteczny i praktyczny, według tego jak go na to stać było. I tak, podczas gdy pani Warrener systematycznie rozliczała stosunkową ilość zapasów

potrzebnych na czas owéj wyprawy, a dwie panienki brały na siebie zaopatrzenie całéj gromadki we wszystko co do wygody i uprzyjemnienia podróży mogło być potrzebném, Drummond znajdował tu sposobność do wygłaszania najosobliwszych pomysłów dotyczących sposobów konserwowania mięsa i jarzyn, oraz nowych teoryj w przedmiocie meteorologii, lub téż kierunku wiatrów. Jerzy tymczasem porządkował swoje przybory myśliwskie i rybackie; jedném słowem każdy, w przewidzeniu téj kilkodniowéj wycieczki, wytężał swą uwagę w sposób niezwykły, ku załatwieniu tych samych czynności życia codziennego, które w zwyczajnym jego trybie, tak mało zdawały się miewać znaczenia.

Kormoran, takie było imię yachtu którego widokiem roskoszować się już mogli nasi wędrowcy, ilekroć ze swych okien spójrzeli w stronę zatoki, był sobie wcale ładnym i bezpiecznym statkiem, dosyć znacznych nawet stosunkowo rozmiarów. Miał on obszerną kajutę, przeznaczoną dla kobiet, parę innych, mniejszych które mieli zająć towarzyszący im gentlemanowie, a także wspólny salonik, bardzo wygodnie urządzony. Obsluga yachtu składała się z czterech ludzi i z chłopaka spełniającego zarazem obowiązki kuchmistrza i kamerdynera.

Skutkiem ogólnéj narady, postanowioném zostało, że Violetta, jako najbardziéj doświadczona podróżniczka z całego grona, udać się ma na statek, dla obejrzenia dokładnie jego wewnętrznego urządzenia i wydania wszystkich rozporządzeń dotyczących ogólnéj wygody. Przyjęła z chęcią to zlecenie i całe towarzystwo wybrało się pewnego poranku na pokład *Kormorana*, gdzie pod kierunkiem panny North odbył się przegląd, z którego okazała się zupełnie zadowolona, tak dobrze znalazła wszystko obmyśloném w urządzeniu kajut i tak wzorowy panował wszędzie porządek. Wyraziła o tem jak najkorzystniejsze zdanie kapitanowi oprowadzającemu ją po statku; on téż nawzajem uczuł się od razu jak najlepiéj usposobiony dla téj pięknéj panny, która z taką świadomością rozprawiała o rzeczach dotyczących morza i umiała ocenić bardzo trafnie miarę szybkości *Kormorana*, oraz dostrzedz pewne drobne w nim niedokładności. Do tych zaliczała brak stołu jadalnego zabezpieczonego od skutków kołysania się statku; ale zamiast się tém frasować, śmiano się zawczasu z zabawnych katastrof, jakie się mogły zdarzyć przy silniéj wzburzonych bałwanach. Jedném słowem wycieczka ta zdawała się zapowiadać tyle przyjemności i przygód wesołych, że wracając do domu, wszyscy co wniéj mieli wziąść

udział, żałowali iż ich jeszcze jedna noc dzieli od pożądanéj chwili wyjazdu, i nikomu z nich żadne smutne przeczucie nie zasępiło tych przyjemnych marzeń.

ROZDZIAŁ XXI.

Przygody podróży.

Wyprawa naszych wędrowców rozpoczęła się w najpomyślniejszych warunkach. Pogoda była prześliczna, gdy *Kormoran* odpływał od brzegu, sunąc się po wygładzonych toniach, spokojnych jak wody jeziora. Nadzwyczajne ożywienie panowało na statku, gdzie co chwila coś jeszcze było do załatwienia, zwłaszcza dla kobiet, biorących na seryo swoje gospodarskie obowiązki w czasie wycieczki. Gdy już wreszcie wszystko było jak należy, tak w kuchni, jak w każdym zakącie statku, podróżni nasi z roskoszą wypoczywali zebrani na pokładzie i podziwiali widoki gór nadbrzeżnych, wpobliżu których przepływali.

Przez kilka godzin, pogodna cisza uprzyjemniała ich podróż, ale gdy wreszcie minąwszy morską latarnię Lismore, wypłynęli na bardziéj odkryte przestrzenie, fale poczęły coraz silniéj yacht kołysać, a wiatr zerwawszy się ni ztąd ni zowąd, w niedługim czasie tumanami mgły okłębił szczyty Mullu i Morvenu, przedtém jasno odbijające na błękitném tle nieba. Mewy i inne morskie ptaki szybkim lotem poczęły szybować w przestrzeni, przenikliwemi krzyki wyrażając przeczucie słoty i szukając sobie zawczasu przed nią schronienia. Ale na pokładzie *Kormorana*, groźne te zapowiednie wywoływały samę tylko wesołość i zaciekawienie nowym widokiem, niby zmianą dekoracyi, przez wszystkich radośnie witaną. Jeden tylko Miller nie podzielał ogólnego usposobienia. Dziwnie był jakiś chmurny i milczący, od saméj chwili prawie wyjazdu; tak iż nawet jedna z jego towarzyszek przypisywała to wpływowi mocnego kołysania się statku. Ale myliła się w tym względzie zupełnie; nie morska to choroba niepokoiła tak i zasępiała młodzieńca; miał on o czém inném do myślenia, niż o deszczu padającym już na dobre, lub o trudnościach utrzymania równowagi na krzesełku, które obrał był sobie w kącie wspólnéj kajuty.

Nie zdawało się jednak, aby teraz Jerzy mógł znaleść jakąkolwiek sposobność do sprawdzenia swych podejrzeń, skoro tu wszyscy spędzali cały czas prawie razem zebrani i prowadząc ogólną rozmowę o przedmiotach jak najmniéj osobistych. Przyznać wsze-

lako należy, że Drummond i Violetta zdawali się najchętniéj dzielić się z sobą odbieranemi wrażeniami, że wogóle do niéj się zwracał nasz filozof, ilekroć w dłuższą wdawał się rozprawę, i że oboje cieszyli się widocznie sobą i rozweselali nawzajem, jak dwoje rozbawionych dzieci. Gdy Violetta schodziła na dół, by się zająć przygotowaniem śniadania, nie kto inny jak Drummond ofiarował się jéj towarzyszyć, a to dla tego, że jak powiadał, najlepiéj wié gdzie czego szukać w koszu, w którym stołowe nakrycie było upakowane.

Ciężka była zaprawdę sprawa z owém śniadaniem, i gdyby nieznaczny zapas dobrego humoru, jaki zabrali byli z sobą nasi podróżni, nazwaćby można ich położenie rozpaczliwém, podczas téj czynności, którą gwałtowne ruchy statku czyniły nader trudną do załatwienia. Ale przy tak dobrém ogólném usposobieniu— Jerzy bowiem odszedł był na pokład, twierdząc, że jeść mu się nie chce — wszystko poszło wybornie i nie dbano wcale o kilka stłuczonych talerzy i butelek. Po śniadaniu dopiéro, rzeczy poczęły przybierać postać mniéj wesołą, gdy Drummond zawiadomiony przez chłopca, że się woda dostała do jego kajuty, gdzie zapomniano zamknąć okienko, zastał tam łózko swoje i rzeczy całkiem zalane, a co gorsza miednicę i dzbanek stłuczone, bo spadł na nie futerał ze strzelbą, która teraz leżała w wodzie na ziemi.

— Ach, Jamesie! rzekła mu siostra, alboż ci nie powiadałam, że rzecz tak ciężka musi koniecznie być położoną na podłodze, dla uniknienia wypadku?

— Czy nie zdaje ci się, odpowiedział jéj tylko na to, że dobrzeby było wynieść na pokład pościel do wysuszenia?

Zapytanie to nie było tak niedorzecznèm, jakby się zdawać mogło. Gdy wyszli z kajuty, ujrzeli nad sobą błękitne płaty nieba, przezierające tu i owdzie z po za chmur cofających się ku coraz dalszym krańcom widnokręgu. Wkrótce nadbrzeżne wzgórza wynurzać się poczęły zpośród mgły rozpływającéj się w przestrzeni i już tylko mętne wody morza i spienione białą pianą fale nadbrzeżne świadczyły o poprzedniém wzburzeniu tych toń, znowu teraz uciszonych.

Obiad odbył się przy pięknéj pogodzie, na pokładzie, który prędko wysechł od wiatru, i wśród ogólnéj wesołości, — zawsze wszelako z wyjątkiem Millera, w którym teraz znowu obudziła bardzo przykre przypuszczenia troskliwość, z jaką Violetta osobiście się zajęła sporządzeniem pewnéj morelowéj leguminy, do któréj, jak powiadała, Drummond miał szczególne upodobanie. Jerzy

próbował nawet w śmieszność obrócić podobne łakomstwo, które uważał za dziwnie niewłaściwe u filozofa, spoglądającego z tak wysoka na drobnostki życiowe; ale dostał odrazu odprawę tém dotkliwszą dla niego, że niepodobna mu było nie zauważyć zapału, z jakim Violetta stawała w obronie swego przyjaciela, oraz żywego rumieńca, który okrasił jéj lica w czasie tego sporu.

Statek minął był tymczasem Loch Salen, i rozlegały się już przed nim szerokie przestrzenie Atlantyku; po lewéj stronie wznosiła się morska latarnia Tobermory, a na prawo strome urwiska przylądka Ardnamurchan zapadały się w fale, wiecznie podmywające ich podnóża. Słońce pochylało się ku zachodowi, i kapitan Jimmy upatrywał już na wybrzeżu miejsce stosowne do zarzucenia na noc kotwicy.

Pani Warrener wzięła pod rękę Violettę i odeszła z nią ku przedniéj części statku, zapewne chcąc mieć ztamtąd lepszy widok na otwarte morze.

— Powiédz mi, kochanko moja, rzekła, coś ty znowu takiego zrobiła temu biednemu Millerowi?

— Nic zgoła, odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Coś mu jest widocznie; sama to przecię musisz uważać.

— Uważam to w istocie, odpowiedziała Violetta z wyniosłą obojętnością, ale wcale temu winną nie jestem. Jeśli mu się podoba być nachmurzonym i opryskliwym, cóż na to mogę poradzić? Spójrz pani teraz na niego,—zaczytał się w książce, i ani spojrzy nawet na ten widok cudowny. Jeśli daléj wytrwa w tém usposobieniu, przyjemne będziemy mieli z niego towarzystwo, nie ma co mówić.

— Violetto, rzekła łagodnie pani Warrener, nie powinnabyś odzywać się o nim w ten sposób, ale raczéj starać się go wytłómaczyć.

— Czemuż mnie ma przypadać ten obowiązek, raczéj niż komu innemu? Radabym szczerze pozostać z nim w jak najprzyjaźniejszym stosunku; ale przyznam się, że widząc, w jaki sposób wypłaca się bratu pani za jego uprzejme zaproszenie...

— Ach, James z pewnością nie zwraca nawet na to uwagi.

— Chciałabym módz uwierzyć, że cierpi na morską chorobę, rzekła Violetta bardzo nielitościwie. Ale zdrów jest zupełnie, skoro przez cały dzień palił cygara. Powiadają ludzie, że najłatwiéj poróżnić się na pokładzie okrętu, ale my przecię nie tak dawno jeszcze razem podróżujemy. Jedna rzecz jest pewna, w każdym razie, a to że nie należy nigdy zabierać na okręt palnych materyałów żadnego rodzaju. Jeśli ten człowiek urażony jest o co, lub uważa się

za pokrzywdzonego, nastąpi tu niezawodnie wybuch—i to niedługo.

Przewidzenia jéj były słuszne, jak się to w bliskim czasie okazało. A jednak, zdawałoby się, że nic nie może więcéj duszy ukołysać do spokoju, jak te prześliczne obrazy przyrody, które się nieustannie przesuwały przed oczami naszych podróżnych; tém piękniejsze i łagodniejsze, w miarę jak na nie spływała cisza wieczorna, ta niewypowiedzianie urocza cisza, jaką tchnie uspokojone morze, gdy na nie pierwsze cienie zmroku zapadają.

Na statku także ustawało teraz całodzienne ożywienie; wszelka czynność była już załatwiona, i nic nie przerywało uroczystego milczenia nocy; oprócz lekkiego plusku fal, rozpryskujących się o boki statku w tysiące iskierek fosforycznych. Wkrótce księżyc począł się wznosić na niebie i z pomroki wynurzały się coraz bardziéj wybrzeża i góry. Zdawało się, że miejsce świata dziennego, zajmuje teraz inny, cichy, chłodny i milczący. Tylko światełka błyskające tu i owdzie po rozsianych na pochyłościach chatkach, oznaczały się czerwonemi iskierkami wśród tego bladego krajobrazu; tak samo też na statku, gdzie wszystko zdawało się być spokojem i uciszeniem, płonął jednak ogień silny, chociaż stłumiony,—a siedliskiem jego było jedno ludzkie serce.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Korespondencya z Paryża.

Luty.

Upadłość Banku Franko-Holenderskiego.—Pereirowie.—PP. Soubeyran i Philippart.—Henryk Monnier i Józef Prudhomme.—Franciszek Buloz.—Revue des deux Mondes.—Les artistes de mon temps p. Charles Blanc.

Upadłość banku Franko-Holenderskiego zajmował dość długo tutejszy świat finansowy, komplikowała się ta sprawa przesileniem w *Crédit foncier*, dzienniki toczyły żwawą polemikę, a nawet mieliśmy pojedynek w finansowych sferach. Nie możemy obecnie przejść tych opisywać szczegółowo, bo sprawa wytoczona przed sądem i tam dopiéro prawda się wykryje; jednakże ani upadłości p. Philippart, ani zuchwałych kroków p. de Soubeyran nie można nazwać prostemi przypadkami, są to epizody przekształcających się finansowych porządków, ciekawe bardzo do studyowania.

Dawniéj ktoś Rotszylda dowcipnie nazwał lichwiarzem królów: potężna ta firma reprezentuje stare tradycye bankierskie; nieraz niosła ona pomoc zakłopotanym rządom, jednała sobie względy ministrów, a za czasów Ludwika Filipa, p. James de Rotszyld był w rzeczy samej drugą osobą w państwie.

Bracia Pereire wpadli na myśl nową, przedstawili rządowi, że udając się wprost do publiczności, t. j. do małych kapitalistów, można otrzymać o wiele dogodniejsze warunki, i przytém korzyści spłyną na kraj cały, zamiast skupiać się w kasach jednego lub kilku bankierów. Było to demokratyzowanie kredytu publicznego. Pereirowie, w młodym jeszcze wieku, brali znaczący udział w ruchu szkoły St.-Simonistów, która znaczenie interesów materyalnych podnosiła do godności religii, zaczerpnęli oni ztamtąd ducha no-

watorstwa i przenieśli go na pole finansowych operacyj. Starali się skupiać małych kapitalistów, i wspólnemi ich siłami staczać walki z wielkim kapitałem, ztąd powstał *kredyt ruchomy* (Crédit mobilier). Zamiast składać swe fundusze u bankiera, który płaci procentu co łaska, a sam ciągnie dla siebie wszelkie możebne korzyści z obrotów powierzonemi sobie pieniędzmi, właściciele małych kapitałów poczęli oddawać je wielkim przedsiębiercom, w ręku których z tych małych strumyków tworzyły się wielkie rzeki, i rozporządzając w ten sposób ogromnemi sumami, mogli oni do trzymywać kroku królom finansowego świata, a zarazem do drobnych sakiewek wrzucać trochę owéj manny, dostającéj się dotąd wyłącznie tylko uprzywilejowanym.

W pierwszych latach drugiego Cesarstwa, jakiś dowcipny człowiek powiedział: „Tylko europejska rewolucya mogłaby zrujnować Rotszylda, Pereirę—upadek Cesarstwa, Miresa—zmiana ministeryum.“ Pereira jednak upadł pierwéj od Napoleona III. Cesarz chciał mieć bankiera bezwarunkowo sobie oddanego, faworyzował on stale Pereirów, ale posługiwał się nimi dla wzbogacania otaczających siebie ludzi; cesarska pomoc stawała się przeto dla nich dość uciążliwą; oprócz tego dawniejsze potęgi finansowe nie przestawały na nich żwawo nacierać. *Crédit mobilier*, pomimo że go spotkały smutne zawody, był jednakże ojcem rodzicielem wielu banków, stworzonych na jego obraz i podobieństwo, kwitnących jeszcze dzisiaj, bo korzystać umiały z jego doświadczeń; takiemi są: *Société générale*, *Crédit Lyonais* i inne. Banki te grupują ludzi z mniejszemi funduszami, stowarzyszają ich przy każdym większym interesie; miliony spływające do ich skarbca składają się z małych kapitałów. Pereirowie po dyktatorsku sprawowali interesa kredytu ruchomego; w każdym z tych nowych banków, rządy prowadzi grupa osób, starających się przedewszystkiem obronić od uniesień dyktatorów.

Mires był tylko kopią Pereiry.—Nazywano niegdyś Fouché'go Talleyrand'em ulicy, a Talleyranda Fouché'm salonów; otóż Mires był Pereirą ulicy. Jeden kaprys ministrów obalił go na ziemię. Mniemał on, że rozłakomiwszy wysokich urzędników będzie mógł przetrwać wiek swój cały. W ciągu procesu pytano go, czy prawda, że dawniejszy prefekt policyi żądał od niego pieniędzy; odpowiedział że nie, ale że on sam ofiarował mu ośmdziesiąt tysięcy franków i wyczytał w jego oczach, że mu się to podobało. Rzeczy te działy się poprostu. Urzędnik powierzał Miresowi swe kapitały, a kiedy potrzebował od niego ich zwrotu, uprzejmy ban-

kier powiadał, że kapitał ten w obrocie przyniósł tyle to zysku... Publiczność cała gorszyła się w czasie procesu odpowiedziami Miresa, kiedy on zaprzeczył kompetencyi sędziów; prokurator zawołał, że w takim razie do sądzenia złodzieja, chyba złodziei wzywać trzeba będzie. Jednakże być może, że Mires nie całkiem się mylił; prawa nasze finansowe tak są zacofane, że bodaj nie ma ani jednego z dyrektorów wielkich kompanij, któryby często nie schodził z dróg legalnych.

Pereira walcząc z Rotszyldem znalazł zawziętego nieprzyjaciela w p. de Soubeyran i w kredycie ziemskim (Crédit foncier). Wspomniałem o nieuniknionych nieregularnościach, oto przykład. Pereira zakłada Crédit mobilier i prowadzi tam wszelkie możebne bankowe operacye; tak samo Crédit foncier zawsze mniej zajmował się kredytem ziemskim, aniżeli innemi interesami.

Bank kredytu ziemskiego (crédit foncier) chciał odebrać Pereirze zyski na interesach z papiérami przemysłowemi. Instytucya ta, wytworzona dla wsparcia własności nieruchoméj, puściła się w bezmierne spekulacye na olbrzymich budowlach w Paryżu, pożyczała miastom i skończyła na pożyczaniu zagranicznym rządom. Naruszała ona ciągle swą ustawę, i prawo, na mocy którego exystowała, a najprzód pominęła art. 14 prawa 28 lutego 1857, który stanowi, że wartość listów zastawnych nie może przewyższać sumy pożyczek wydanych na ziemię. Z tego powodu p. Wołowski wystąpił z dyrekcyi i potém nie chciał zgoła należeć do administracyi. W początkach zyski były ogromne, ale prędko okazały się też znaczne straty. Crédit foncier nie odpowiadał swemu celowi, wymagał od właścicieli ziemskich mnóstwa formalności, a co gorzéj wysokich procentów, zrobił się w ten sposób rodzajem Lombardu dla nieruchomości. Skoro ramki ustawy zaczynały ścieśniać szerokie poglądy dyrekcyi, wytwarzała ona sobie na podstawę nowe kreacye finansowe, jak: *Crédit agricole*, *Sous comptoir des entrepreneurs*, *Société génerale Algerienne*. Pożyczki hipoteczne ciągle się zmniejszały, innego zaś rodzaju operacye finansowe mnożyły się; jeden z deputowanych skrajnéj lewicy zażądał w izbie śledztwa parlamentarnego; minister odpowiedział na to: „upadnie kredyt publiczny i prywatny, niemożebném się stanie prowadzenie interesów, jeżeli parlament zechce wysadzać komisye do zbadania stanu interesów towarzystw finansowych.“ Jednakże, w sprawozdaniu świeżo złożonem naczelnikowi rządu, p. Say musiał uznać, że dyrekcya Crédit foncier postępowała nieostróżnie, i dodano téj instytucyi nadzwyczajnego dyrektora od rządu dla strzeżenia związanych z nią olbrzymich interesów.

Treść życia bankierów za dni naszych stanowi ciągłe polowanie na interesa, w namiętnych tych wyścigach nie szczędzą oni najcięższych ofiar, byle zrujnować rywalów, współzawodników. P. de Soubeyran, który już dużo wydał pieniędzy, żeby osłabić Credit mobilier, wydał ich niemniéj znowu żeby zrujnować p. Philippart, belgijskiego Pereirę.

P. Philippart zrobił znaczną fortunę, skupując poboczne linie kolei żelaznych w Belgii i odprzedając je potém rządowi. Zamierzał on we Francyi powtórzyć tę samę operacyą na większą skalę; zaczął forytować interesa mniejszych linij. Obliczają, że Francya potrzebuje mieć 40000 kilometrów dróg żelaznych, ma ich zaś tylko 18000 kilom. Czy linie mające się budować można i należy oddać sześciu wielkim dzisiaj exystującym kompaniom, oddać na lat jakich 70 lub 80? Ważna to kwestya, zajmująca obecnie rząd i publiczność. P. Philippart wystąpił przeciw wielkim kompaniom, zapewne nie dla jednego upodobania w ideałach ekonomicznych, ale dla tego, że miał nadzieję, zawładnąwszy liniami pobocznemi, dyktować dowolnie swoje warunki wielkim kompaniom; został zwyciężonym w téj walce, bo rząd stanął po stronie jego przeciwników. Nasza rzeczpospolita ma trochę oligarchicznego odcienia, a baronowie finansowego świata nieżenowani już wymaganiami korony umieją dać sobie radę z oporem parlamentu; ze wszystkich swobód, których Francya się domaga, swoboda dróg żelaznych pewno najpóźniéj jéj się dostanie. Wielkie kompanie zabierają pod swe skrzydła linie poboczne, żeby one nie przeszły w ręce rywalów; dostawszy je budują jak można najpowolniéj, bo linie te stanowią dla nich czystą stratę; a przeciąganie monopolu opóźnia chwilę, w któréj kraj wejdzie w niezależne władanie swojemi drogami żelaznemi.

Znaną jest jedna z przepowiedni Emila de Girardin, który twierdził, że z czasem koleje żelazne będą woziły wszystkich darmo, że każdy obywatel opłaci cokolwiek na ich utrzymanie razem z innemi podatkami i będzie mógł wszędzie wsiadać do wagonu, tak samo, jak może chodzić powsz ystkich ulicach, tymczasem jeszcze to do utopij zaliczyć można, niemniéj jednak możnaby cenę biletów na kolejach znacznie zniżyć.

P. Philippart chociaż zwyciężony nie poddał się losowi, ale nowe jego przedsiębierstwa także upaść miały. Bankierowie, jak wilcy, ciężkorannych dogryzają pomiędzy sobą. Bankier, gdy jego kredyt zachwiany, rozpoczyna nowe przedsiębierstwo, żeby mieć czém prowadzić poprzednie, ale w téj walce z losem siły prędko się wyczerpują, pozostaje mu tylko nieograniczone zau-

fanie i poświęcenie akcyonaryuszów; zrujnowany akcyonaryusz to najlepszy przyjaciel, ileż ich płakało nad losem Miresa, a żaden się nie skarżył, wszyscy tylko przeklinali P. de Pontalba, który pierwszy na trwogę zadzwonił. Mires powtarzał ciągle, że żyć będzie tylko dla zwrócenia akcyonaryuszom pieniędzy, które potracili, a oni płakali z rozrzewnienia. Zrujnowany spekulant, jak wypędzony prezydent jednéj z małych republik południowéj Ameryki, zawsze ma nadzieję powrócić do władzy, a właściciel akcyi, za którą nic nikt nie daje, nie traci nadziei, póki żyje człowiek co go zrujnował, gotów nawet na nowe ofiary, żeby odzyskać to, co utracił. Najpewniejsze i najdochodniejsze są zapewne spekulacye na słabości ludzkie, ale spekulowanie na iluzye ludzi, chociaż nie tak pewne, nie mniéj jest korzystném.

Bank Franko-Holenderski, ogłoszony w stanie upadłości dopiéro w styczniu b. r., oddawna jednak chwytał się sztucznych środków ratunku; a chociaż administratorowie tego banku nazywali podobne pogłoski intrygami opozycyi, jednakże w roku 1875 musieli wyznać przed zgromadzeniem ogólném, że ponieśli straty na 12851501 franków; a w sprawozdaniu z 7 września r. z. mówili: „wszelkich dokładaliśmy usiłowań, żeby zyskać cokolwiek czasu“. Czas ten jeszcze głębszą bodaj wyrył jamę: w chwili upadłości, więcéj jak czterdzieści zaakceptowanych wexlów było nie wypłaconych; dług ten wynosił więcéj jak 4 miliony fr.; zarząd pomimo zesłanéj exekucyi nie był w stanie wypłacić skarbowi sześciu tysięcy fr. podatku. Reszty dowiemy się ze sprawozdań biegłych delegowanych od sądu.

* * *

Niedawno zmarł w 77 roku życia *Henryk Monnier*, rysownik, pisarz i aktor. Rysował on, opisywał i na scenie przedstawiał pana *Joseph Prudhomme'a;* stworzył on w nim typ brzuchatego *bourgeois*, dobrze trawiącego i słabo myślącego, który, nie chcąc przyznać że zna się tylko na lichwie i gastronomii, wdaje się w zuchwałe sądy o sztuce, poezyi i polityce. Jeden wielki poeta mawiał, że iskra genialna Bajrona zapaliła się u płomieni Napoleonowych; tak samo też Ludwik Filip był ojcem z ducha Henryka Monnier; typ Józefa Prudhomma jest uosobieniem epoki, mógł się on zrodzić tylko w czasach, kiedy koronę nosił człowiek o wargach obwisłych i wystającym żołądku, kiedy deputowanych ministeryalnych najsłuszniéj nazywano brzuchalami. Burżuazya z czasów Orleańskich kochała się w pieniądzach i smacznych obiadach, sądziła, że

rząd i władza zawsze należéć powinny do ludzi mających pełne kieszenie pieniędzy i dobrze trawiące żołądki; rząd ówczesny był jakby targowiskiem, na którem przewodzą ci, co najwięcéj sprzedają lub kupują. Podstarzali giełdowicze, fabrykanci perkalików porzucający fabrykę i interesa, pasorzyci budżetu musieli bronić polityki ministrów a zarazem mieć swoje własne zdanie o malarstwie, rzeźbiarstwie lub o najświeższych romansach; tymczasem zmysł ich poetyczny, artystyczny i filozoficzny przytłumiony, zupełnie był w stanie atrofii; przystępując do wznioślejszych przedmiotów, sądzili jak ślepy o kolorach lub głuchy o harmonii. Ołówek P. Daumier, pióro P. Monnier pokazały im dopiéro, że są najzupełniéj śmieszni. Sarkazm zdawał się być o tyle zjadliwszym, że Henryk Monnier, zawsze drwiący z burżuazyi, sam aż do szpiku kości był tymże burżua, nosząc w sobie typ jego nietylko dokładny, ale nawet przesadny. Kiedy na scenie grywał rolę Józefa Prudhomma, podobny był do poraelanowego chińczyka, któryby, spojrzawszy w lustro, śmiał się z własnéj figury. Francuski burżua jest jakby figurą chińską w stanie tworzenia się: już brzuch przeszkadza mu widziéć własne nogi, głowa chwieje się, oko tylko ani małe, ani zagasłe; pod tym stosem tłuszczu, tli się jeszcze iskierka, która, rozpalając się w płomień, mogłaby roztopić grubą swą powłokę, ale może téż i pod nią zagasnąć, tymczasem zaś błyszczy jeszcze. Poczucie niebezpieczeństwa jest pierwotnym warunkiem ratunku; kto poczuje, że jest śmiesznym, może nim nie być. Henryk Monnier wyświadczył tę przysługę naszemu społeczeństwu, zdawał się mówić do współczesnych sobie ludzi: „Patrzcie, nieprawdaż że jestem śmieszny, żem do was podobny, takie same jak wy mam gesta i ruchy, i myśli moje wyrażam tak samo“. Nie był on karykaturą, ale wiernym portretem; był zawsze sobą, zawsze naturalny, a ztąd nie miał przesady; jeżeliby więcéj strunę naciągnął, jużby go nikt nie znosił i nie słuchał. Każdy z widzów mówił sobie: „Jak on schwycił podobieństwo, toć przecię moja poza, moje wyrazy, mój sposób postępowania“; i dawał brawo serdeczne; wyszedłszy z teatru w domu może dopiéro obejrzał się, że poza ta nazbyt pospolita, wyrazy bez sensu i związku, a postępki zbyt gminne, ale już było zapóźno, nie było na kogo gwizdać. Żadna ze sztuk Henryka Monnier nie pozostanie na scenie, ale niektóre sytuacye i niektóre wyrażenia żyć będą w pamięci wszystkich dotąd, dopóki nie powstrzyma się proces zchinszczenia się naszego społeczeństwa.

W krajach, które nie mają jeszcze stanu średniego i pragną, aby się on wytworzył, albo gdzie stan ten jeszcze nie stracił swego znaczenia, Henryk Monnier nie będzie zrozumianym. Wyraz *bour-*

geois we Francyi nie oznacza wyłącznie stanu średniego; głupi i zarozumiały książę lub hrabia, jako też samolubny i kłótliwy wyrobnik, będą nazwani *bourgeois*. Rodzaj ten mieszczańskości jest tém, co nazywamy w sztuce—niedołęstwem, w polityce—egoizmem, w literaturze—paplaniną, w wymowie—czczą frazą.

Dwa typy bourgeois w teatrze, to: Robert Macaise i Józef Prudhomme, i oba te typy stworzone za rządów Ludwika Filipa króla burżuazyi, którego panowanie Wiktor Hugo nazwał bankructwem ideału.

Don Kiszot Serwantesa zdarł urok ze szwalerii średniowiecznéj; rycerze owocześni musieli bardzo nisko upaść, kiedy poeta tak ich wyśmiewał. A jednakże, któż z nas nie czuje pewnéj sympatyi dla rycerza z La Manche? Don Kiszot ma jeszcze szlachetne przymioty, tylko że ich na głupstwa marnuje; pała on żądzą bronienia uciśnionych i walczy przeto z młynami wietrznemi; miłość najczystsza rzuca go do stóp śmiesznéj Dulcinei, a jednak czytelnik, jak drugi Szanso-Pansa, kocha tego ostatniego z Paladyno i towarzyszy mu we wszystkich przygodach. Bo Don Kiszot ma dobre serce, choć mu się w głowie przewróciło, Józef Prudhomme ma zaś serce zepsute, i ztąd powstała anti-mieszczańskość artystów. Na jakimś oficyalnym obiedzie, wysoki urzędnik, oburzony konceptami Henryka Monnier, zwrócił się do swego sąsiada przy stole, którego nie znał i rzekł: „Kiedy ci ludzie będą panować, cóż oni zrobią z mieszczaństwem". Sąsiad snycerz, znany ze swych dowcipnych odpowiedzi, odparł najpoważniéj: „Każdy z nas Panie będzie ich trzymał sześciu na stajni". Urzędnik odskoczył oburzony. Nie sądzę, aby Prudhomme miał być kiedy zaprzęganym do kabrioletu, lecz musi przecięż przestać ciężyć na cudzych barkach. Głupstwa Józefa Prudhomma, jak np. takie rezonowanie: „Jakie to szczęście, że ja nie lubię szpinaku, bo żebym go lubił to bym jadł, a nie mogę go znieść", zapewne że nie są warte pogadanek Szanso-Pansy; jednakże każdy, słysząc ministra patetycznie przemawiającego, przypomni sobie P. Józefa, dyktującego znakomity frazes: „Rydwan państwa żagluje na wulkanie". Skoro statysta, doszedłszy do władzy, całą uprzejmość swą dla nieprzyjaciół zachowuje, każdemu na myśl przyjdzie Prudhomme, który, sądząc że jest ministrem, odmawia urzędu swemu synowcowi i przyszłemu zięciowi ze wspaniałém wyrażeniem, „Precz z nepotyzmem". Don Kiszot guzy zbiéra po drodze, Prudhomme naraża się tylko na śmieszność, a wzamian ma wszystkie dobra tego świata, i na koniec nawet śmieszków zmorduje.

* * *

Zmarł téż niedawno Franciszek Buloz, redaktor Revue des deux Mondes, nikt pewno tyle co on nie miał nieprzyjaciół szczególnie pomiędzy literatami, ale kto przez pół wieku blisko kieruje przeglądem krytycznym, trudno aby nie naraził sobie tak drażliwych ludzi. Obdarzony niepospolitą umiejętnością prowadzenia interesów i taktem w postępowaniu, umiał on przeżyć lat 73, a lat czterdzieści pięć utrzymać się na stanowisku kierownika przeglądu, który stworzył i zrobił popularnym na całym świecie. Urodzony w roku 1803 w Vulbeus koło Genewy, w 1821 r. przybył do Paryża i zaczął się uczyć rzemiosła zecerskiego, potém został korektorem, złośliwi ludzie powiadają, że tego fachu trzymał się całe życie, wiecznie cóś wykasowywał i przestawiał; ale prowadził tę korektę na rękopismach najgenialniejszych pisarzy francuskich, którzy często gniewali się na niego, nakoniec jednak jemu ulegali; on bacznie śledził za ruchem opinii, nigdy się jéj nie narażał, łagodził w swym przeglądzie wszystkie ostre wyrażenia, wszystkie zbyt bujne fantazye sprowadzał do realniejszych rozmiarów, nie lubił ludzi przeszłości, lękał się nowatorów i najlepiéj żył z ludźmi spokojnymi, dbał bodaj przedewszystkiém o ilość prenumeratorów i o kurs akcyj swego przeglądu.

W r. 1829 pp. Segur Dupeyron i Maury założyli Revue des deux Mondes, w 1831 r. Buloz został jéj dyrektorem, w 1838 r. zakupił Revue de Paris, w 1838 r, był mianowany komisarzem królewskim przy teatrze francuskim, w 1847 r. został administratorem tego teatru, ale w 1848 r. aktorowie zmusili go do zrzeczenia się tego obowiązku. Jeden z dzienników angielskich tak ocenia jego działalność. Chciał on, aby przegląd jego wychodząc dwa razy na miesiąc dawał miejsce na swych kartach każdéj opinii zacnéj i rozumnéj i korzystał z prac wszystkich ludzi utalentowanych, podzielonych na mnóstwo obozów w literaturze i polityce; zamiar taki zdawał się być zuchwałym. Była to chwila gorączkowéj umysłowéj działalności; rewolucya Lipcowa dała wolny polot wszystkim fantazyom, teoryom i marzeniom, które zaczynały kiełkować w ostatnich latach restauracyi. Ruch romantyzmu w najbujniejszym rozkwicie dochodził do zenitu, i Buloz mógłby się spodziewać, że fale te wyniosą go wysoko, mógł w tym względzie zaufać siłom takich współpracowników, jak Wiktor Hugo, Balzac, Gautier, Jules Janin, George Sand; mało mu jednak było takiego rodzaju powodzenia, on chciał nad temi nowemi siłami panować, rządzić niemi, a publiczności razem z upajającym napojem ofiarować środki wytrzeźwienia; karmić ją nietylko fikcyą i poezyą, ale zarazem krytyką i polityką.

Trudno było prowadzić obok siebie działanie dwóch czynników, bujnéj wyobraźni i regulującego ją dobrego smaku. Sainte-Beuve i Gustaw Planche zaczęli zimną wodą oblewać ogień romantyzmu; Wiktor Hugo i Balzac zaraz się z nimi poróżnili; Balzac klął się „że piórem swém na wskroś przeszyje Saint-Beuve'a“ — i zaraz zaczął parodyować słabe strony wielkiego krytyka. Pierwsze tomy przeglądu dowodzą, że geniusz nie znosi wędzidła szkoły, Balzac i Hugo pisują tylko w pierwszych czterech tomach; romantyzm nie mógł żyć w zgodzie z trzeźwiejszym i więcéj krytycznym liberalizmem, rodzącym się po rewolucyi Lipcowéj.

Buloz miał jeszcze inne trudności do zwalczenia w usiłowaniach swych dostarczania publiczności francuskiéj ciągłego zasobu zdrowych myśli o przedmiotach poważnych, o literaturze i polityce zagranicznéj, o ekonomii politycznéj, filozofii i t. p. Musiał stworzyć sobie publiczność, i ciągłém dostarczaniem materyału, wywołać jego potrzebowanie. Obliczają, że Revue kosztowała więcéj niż pół miliona franków nim zaczęła dochód przynosić; dzisiaj ma ona 16 tysięcy prenumeratorów, akcye jéj dają tyle dochodu, ile wynosi nominalna ich wartość. Kiedy poeci go opuszczali, Buloz uciekał się do tłómaczeń angielskich powieściopisarzy, żeby osłodzić ciężką strawę artykułów społecznych i naukowych. Sam on, oprócz kilku tłómaczeń w latach młodości, nic nie pisał; Pani Sand mówiła o nim „jest to człowiek rozumny, ale nie ma talentu, nie może swych myśli pięknie pisać lub wypowiadać, ale pod grubą powierzchownością kryje się *une grande finesse*; łatwo i bardzo łatwo z niego żartować, ale trudno uniknąć jego wpływu, a nawet trudno nie poddać się jego kierunkowi. Dziesięć lat od niego zależały moje dochody, i w ciągu tych lat dziesięciu, pewno dziesięć tysięcy razy życzyłam aby go djabli wzięli.“ Być może, że brak literackiego talentu ułatwiał mu wpływ na literatów, nie miał powodu zazdrościć nikomu, i ten lub ów współpracownik był dla niego obojętnym, chodziło mu tylko o powodzenie przeglądu.

Już na drodze powodzenia zdarzały się nowe trudności a mianowicie polityka: Revue od początku swego istnienia była stronnikiem rządów konstytucyjnych i pokoju europejskiego; tejże opinii trzymała się za czasów Cesarstwa, wtedy pomimo niechęci rządu, Buloz mógł dawać w swym przeglądzie głos nietylko ludziom należącym do upadłych rządów, ale i znakomitym wygnańcom. Łatwo śmiać się nietylko z Buloza „se génevois tétu et brutal“ ale nawet ze skromnego nastroju jego opinij; kiedy chorągiew biała lub czerwona powiewała wszędzie, szarawy kolor sztandaru Revue mógł wywoływać uśmiech i żarty; ale Buloz umiał utrzy-

mać swój przegląd i umiał głos umiarkowania podnosić za czasów Cesarstwa i komuny, a przegląd ten można nazwać najtrwalszą z instytucyj francuskich. Nie można było utrzymać się na tém stanowisku bez wielu sprzeczek i kłótni. Pani Sand uległa wpływom Piotra Leroux, odświeżającego w poetycznym szemacie triady, konające tradycye St. Simonismu, właśnie kiedy Buloz i Revue zaczęli odchodzić na prawo od skrajnéj lewicy—stąd wynikło poróżnienie, opuściła ona Revue na początku lat czterdziestych i wróciła doń dopiéro kiedy za Cesarstwa przygasły dawne namiętności. Cesarstwo téż w pewnym stopniu dopomogło Revue, bo ludzie usunięci z areny politycznéj, mogli tam przemawiać z niejaką swobodą i ironią.

„Z wyjątkiem dwóch lub trzech ludzi"—powiada Pani Sand—„każdy kto tylko się odznaczył jako pisarz polityczny, jako poeta lub romansopisarz, historyk, krytyk, uczony, podróżnik, każdy przeszedł przez ręce P. Buloz."—I spis rzeczy zawartych w Revue jest jakby *złotą księgą* znakomitości literackich Francyi—od Wiktora Hugo na początku do Erckmann Chatrion za dni dzisiejszych, wszyscy tam figurują.—Spis artykułów o literaturach zagranicznych usprawiedliwia w zupełności dumny trochę tytuł Revue des Deux Mondes. W angielskich przeglądach nie ma tak rozmaitéj treści, pisano tam o nowéj i staréj literaturze fińskiéj, skandynawskiéj, rosyjskiéj; studya społeczne o Niemcach, Anglikach i wszystkich europejskich narodach; najciekawsze relacye z podróży, Delacroix pisał o sztuce, Littré o naukach ścisłych, Renan i Lenormant o nowych metodach wyjaśnienia starożytności Wschodu.

Pomimo gniewów, zazdrości i rozdrażnień najdrażliwszego z narodów, pomimo obojętnéj publiczności, pomimo śmiechów i drwinek dowcipnisiów, ponury i małomówny genewczyk podtrzymywał i pchał naprzód swój przegląd, póki się on nie stał pewnym rodzajem samoistnéj potęgi. Zawsze trzymał go otwartym dla każdéj dobréj rzeczy, którą można było wyrazić bez rozpalania namiętności. Fanatyczny i namiętny Esquiros w Revue, pod ręką Buloza stawał się poważnym i umiarkowanym. Na świecie nie było dziennika, któryby był tak nauczającym, tak poważnym a zarazem tak ponętnym. Zapewne specyalista niewiele się z niego nauczy, lecz ogół czytającéj publiczności znajdzie tam dotknięte wszystkie ciekawe przedmioty, i nie masz naukowego lub w ogóle umysłowego interesu, któregoby ten przegląd nie starał się wyjaśnić. Był on zarazem czysto francuskim, zarówno w swéj encyklopedycznéj dążności, jak i zaprawie sceptycyzmu ciągle zeń wiejącego, a nadewszystko w trzymaniu się stylu jasnego i czystego z odcieniem for-

my akademickiéj. Buloz wymagał, aby artykuł zaczynał się od exordyum i, przez wykład interesujący, zmierzał strojnie do jasnéj konkluzyi. Pomimo swéj gburowatości i akademickich upodobań, wykazał on w swéj stosunkowo nie zbyt obszernéj sferze, ogromny talent torowania sobie drogi, utrzymywania w spójni sił użytecznych i kierowania ich pracy ku celom rzeczywisty pożytek przynoszącym, a te są znamionami dobrego polityka i człowieka powołanego do rządzenia ludźmi. Nieszczęścia Francyi, widok oblężenia i komuny przyprawiły go o ciężką chorobę. Pan de Mazade pięknie skreśla ostatnie dni życia jego i ciężką walkę z wiekiem, chorobą i zawodami, którą dla pożytku swego dzieła prowadził aż do ostatniéj chwili życia.

* * *

Pan Charles Blanc, w przedmowie do książki swojéj *Les artistes de mon temps*, powiada: iż dla tego tylko tak wysoko cenimy *Życia malarzy*, *p. Vasari*, że znakomity ten biograf sam brał udział w większéj części wypadków które opisuje. P. Blanc znał wszystkich artystów o których mówi, pochlebia więc sobie, że będzie francuskim Vasarim, tylko współczesna sztuka we Francyi nie dorównywa wielkiéj epoce, któréj Vasari był kronikarzem. Zawsze jednak P. Blanc obcował z ludźmi, o których pisze, i umié opowiadać o nich ciekawe rzeczy, chociaż potomność niewszystkim zapewne przyzna zaszczytne stanowisko, jakie im autor naznacza. Oto ciekawsze życiorysy: *Eugeniusz Delacroix* urodził się w kwietniu 1799 r., był on synem członka konwentu, ministra spraw zewnętrznych przed Talleyrand'em; osierocony w dzieciństwie, bez żadnego został funduszu. Pierwszy jego znany obraz *Łódź Danta* (obecnie w Luwrze) po mistrzowsku oddaje powagę Virgiliusza, boleśne zdziwienie Danta, konwulsyjne wysilenie potępionych, z których jeden chwyta zębami za łódkę.—P. Blanc chwali Eugeniusza Delacroix za to, że udoskonalił orkestracyą kolorów, niewiele, co prawda, z téj pochwały nauczyć się możemy, tak samo P. Thiers przyznał poczynającemu malarzowi śmiałość Michała Anioła obok płodności Rubensa.

Łatwo zestawić dwa imiona nic wspólnego z sobą niemające i porównać młodego artystę do pierwszych lepszych imion genialnych ludzi które się pamięci nawiną, ale prawdziwą zasługą Delacroix było, że umiał zerwać z tradycyą i modą owoczesną lodowatych kopij starożytności; szukał on natchnienia w poezyi Danta i malował ją bez oglądania się na owoczesne prawidła estetyki, miał

ognistą duszę pokolenia, które niezawsze udolnie postaciowało swe natchnienia, ale pragnęło wielkości i do niéj dążyło. Zbyt ubogi, aby mógł kupić ramy do swego obrazu, Delacroix dostał cztery gładkie deszczułki od stolarza i pomazał je żółtą farbką; w dniu otwarcia wystawy wchodzi na salę, nie postrzega tych ram swego wynalazku, przez chwilę myślał że obrazu nie przyjęto, aż go nakoniec rozpoznał we wspaniałych ramach złoconych. Baron Gros, członek *jury*, zachwycony talentem artysty i kompozycyą obrazu, kazał zrobić godne jego ramy.

Gros w młodości znał też nędzę. Niemcewicz, dowiedziawszy się o przykrém jego położeniu i chcąc mu przyjść z pomocą, zamówił u niego swój portret, ten sam, który dzisiaj jest własnością księcia Czartoryjskiego, i zapłacił zań hojnie; Gros odgadł tę myśl Niemcewicza i był mu tak wdzięczny, że do końca życia nie chciał brać niczego od malarzy polaków, przychodzących się kształcić w jego pracowni. Lecz wróciwszy do Delacroix, powstanie w Grecyi, zapał, jaki ono obudziło wśród młodego pokolenia francuzów, wskazał mu nową drogę i wymalował *Rzeź w Scio*; po rewolucyi lipcowéj, malował *Barykadę*, gdzie dziewczyna z ludu w czapce frygijskiéj trzyma chorągiew, a ulicznicy bawią się strzelaniem z pistoletów; patrząc na życie tryskające z tego płótna, można obliczać, ile to ognia zagasło pod prozaicznym rządem, który powstał z tych barykad; za czasów Napoleona, serca ludzkie żywiéj biły uwielbieniem dla bohatéra; za restauracyi, roznamiętniało je powstanie greckie, w trzydziestym roku marzyli, że Francya nanowo świat przekształcać będzie, ale się tego nie doczekano. Sztuka żyje uwielbieniem, ale admirowanie arcydzieł przeszłości nie spłodzi dziesiątéj części cudów, rodzących się z jednego wielkiego czynu. Wyższych pojęć i uczuć zabrakło w rządzących narodem, i zwolniał polot fantazyi artystów. Dalacroix potém malował alegorye mitologiczne.

P. Blanc dodał do swéj książki doskonałe sztychy; sztych z obrazu Delacroix *Hamlet i Grabarz* wiernie oddaje wszystkie cechy oryginału.

Od malarza przejdźmy do sztycharza; znakomity Włoch *Calamatta* debiutował sztychem *Maski Napoleona*, przywiezionéj z wyspy Ś. Heleny w r. 1821 przez Dra Antomarchi; sztych ten nabrał prawie politycznego znaczenia, oburzył on stronnictwo Burbonów, a wywołał oklaski liberalnych. Calamatta wypowiedział swe credo artystyczne w liście pisanym z Bruxelli w 1860 r.: „Mamy tu dość ładną wystawę, małe talenta mnożą się i wyrastają. Nie czuć tu zgoła braku wielkich, bo ich nigdy nie było, rodzaj historyczny

nie zasługuje na wzmiankę, kwitnie za to pejzaż, ale nie pejzaż włoski lub Poussin'a, a tylko anglo-holenderski; zwierzęta stały się pokarmem i ozdobą wyobraźni i wszystkich salonów. Każdy umié namalować wołu, konia, psa; dawniéj ludzkość czciła bogów i świętych, dzisiaj zeszła do kurnika;—rzecz to pożywna, ale nie kształci umysłu. Nie potraficie wyobrazić sobie, jak niezmierna liczba obrazów ładnych, ładniutkich i milutkich, znajduje się na téj wystawie małych malarzy.“ Calomatta był gorącym patryotą włoskim; córka jego jedyna wyszła za syna pani George Sand.

David z Angers zrobił sobie sławę swemi medalionami; Ed. About opowiada, że na pogrzebie generała Foy, David z Angers, przypatrując się tylu znakomitym ludziom tak bliskim grobu, „wybrał w tłumie współczesnych tych, którzy zasługiwali żyć po śmierci, i poprzysiągł ich unieśmiertelnić,“—przedsięwzięcie to zabrało mu połowę życia i całą fortunę. Jechał do Wejmaru rzeźbić Goethe'go, do Londynu Walter-Scotta, do Aten Canarisa i t. d. „Żeby otzymać pozwolenie zrobienia portretu, trzeba prawie klękać przed człowiekiem, który sam najgoręcéj pragnie tego portretu.“ Ale Dawid nie lękał się tych nieprzyjemności i mawiał ze słuszną dumą: „Rzeźbiarz jest kronikarzem potomności, jest przyszłością.“

P. Blanc opowiada, że dowcipny uczeń Voltaira, Prosper Merimée, tak tłómaczył rozmaitość zwierzęcego świata: „Zawsze mi się zdawało, że około dziesiątego dnia stworzenia, ogłoszono wielki konkurs na zmodelowanie istoty godnéj zamieszkiwać ziemię; zewsząd zaczęto dostarczać wzorów, i Bogu jednemu wiadomo, ile przysłano niekształtnych szkiców, zwierząt rogatych, garbatych i najdziwaczniejszych. Na galeryach naśmiano się dowoli, nietylko z fizyognomij, ale i z niezmiernych różnic w proporcyach i kształtach, kiedy naprzykład obok słonia przedstawiono małą myszkę. Lew i małpa podobały się bardzo, lecz lew otworzył paszczę i nastraszył sędziów, a małpa za nieprzystojny grymas straciła łaskę; kompozytorowie i ich dzieła dostali tylko pochwałę, wielką nagrodę przysądzono człowiekowi. Na nieszczęście, po rozdaniu nagród, zapomniano zniszczyć modele, i wszystkie te bestye usłyszały słowa *roście* i *mnóżcie się*; i rość i mnożyć się zaczęły, oto moja genesis.“

Grandville inaczéj tę kwestyą pojmuje, dla niego człowiek często bywa tylko przebranym zwierzęciem. Pod głową ludzką dostrzegał on często głowę zwierzęcia, przykrytą tylko rysami ludzkiemi, jakby maską karnawałową. Zostawiał on postać człowieka i dodawał jéj głowę zwierzęcia, odpowiadającego moralnemu jéj

usposobieniu. Oto p. *Sęp* przypomina wszystkich bezlitośnych właścicieli, *Lwica* całą klasę kobiet pożerających ludzi, jego *Kruk* to czarny sędzia o błyszczącéj źrenicy. Człowiek podobny do zwierząt nietylko z paznogci, które są zmodyfikowanemi pazurami, nietylko z włosów, jako ze zmniejszonéj grzywy, ale i z grubych instynktów, które w nim ciągłą staczają walkę; póki je przezwycięża, wyraz zwycięstwa stanowi twarz ludzką, jeśli przeważają instynkta zwierzęce, zmieniają one zupełnie rysy człowieka. Ztąd pochodzi wrażenie, jakie wywołują *Metamorfozy* Grandville'a, zachwycają one, ale upokarzają zarazem. Na myśl przychodzi metampsychoza, świat zdaje się być wielką menażeryą: spoglądając na dziewczynę, zdaje się, że to lekka charteczka, w rzeźniku sąsiedzie dopatrzyć można buldoga. Grandville szkicował karykatury zachwycające, czasami, jak powiada P. Blanc, „ołówek jego rysował w imieniu całéj Francyi,“ — niektóre z tych szkiców posłużą z czasem za ilustracye dla przyszłych historyków panowania Ludwika-Filipa.

Gavarni (prawdziwe nazwisko jego Chevalier, ale świat zna go tylko z pseudonimu) mniejszą już ma wartość. W najswawolniejszym rysunku Grandvilla można dopatrzéć czegoś poważnego, zniża on człowieka aż do zwierzęcia, bo chce go zawstydzić, w karykaturach politycznych widać silną nienawiść do osób i miłość ludzkości. Gavarni nikogo i niczego nie kocha, z ciekawością przypatruje się pasorzytom paryskim, rysuje ich sylwetki, kładzie nadpis i dzieło dokonane. P. Blanc uwydatnił charakterystyczną stronę Gavarnie'go, obojętność moralną w dziełach sztuki. Sztuka we Francyi ma intencyą i wiarę polityczną: „Misères de la guerre Collot'a pełne są naiwnéj moralności,“ powiada P. Blanc. „Za dni naszych litografia pod ręką Charlet'a stała się bronią równie straszną, jak dawniéj piosnka Beranger'a, mowa publiczna generała Foy lub Manuel'a. Raffet miał serce żołnierza, Doumier gryzł do krwi ludzi zepsutych, w najdziwaczniejszych fantazyach Chonia można znaleść stronę poważną, jeden Gavarni z pogardliwą obojętnością patrzał na wady i błędy swego czasu. Nigdy nie krzyknął z głębi serca, w zimnych jego satyrach nikt nie dostrzeże chwili wzruszenia. Przeglądając litografie Charlet'a, człowiek szlachetnieje, pokocha kogokolwiek, sympatyzować będzie z ulicznikiem, ze zrzędą i śmieje się szczerze i wesoło, bo wierzy jeszcze w jakąkolwiek cnotę. Rozpatrzywszy się w dziele Gavarnie'go, przejrzawszy długi szereg ładnych rozpustników, niepoprawionych głupców, nędznych inwalidów, zestarzałych loretek usługujących młodym swym córkom, pozostaje tylko smutne i przykre wraże-

nie. Trzeba mieć niepospolitą siłę oddziaływania, żeby wierzyć jeszcze, że niekażda czułość udana, że niekażda miłość sztuczna, że nie każda twarz jest maską, nie każda przysięga kłamstwem, nie każda maska ironią.“ Przytoczyliśmy ten przydługi ustęp, bo tak, zdaje nam się, należy tłómaczyć sztukę. Nie poznamy jeszcze malarza, kiedy się dowiemy, jak on rozcierał farby, jakie lubił efekta światła i cienia, kiedy zgłębimy sposoby i środki wykonania, których używał. Należy wskazać cel, do którego dążył, dzieło, które wykonał, i ślady, jakie ono zostawia w duszach ludzkich.

Nie możemy iść za P. Blanc do końca jego książki, szeroko on opowiada o artystach najrozmaitszéj wartości, rozgłos dzisiejszy dla wielu z nich prędko zapewne w głuchą ciszę się zamieni, ale nadmienić musimy, że P. Blanc uznał wyższość geniuszu Matejki, mówiąc o Sejmie Warszawskim, tak się wyraża: „na każdéj twarzy maluje się wzruszenie, każda prawie inną zorana namiętnością; każdą figurę malarz silnie uwydatnił, starców oburzonych, nieśmiałych młodzieńców, kilku przelękłych panów i panie spoglądające z trybuny na tę tragedyą. Z niezwykłym zapałem naszkicował cały obraz, malował pędzlem śmiałym, z męską odwagą i żywym temperamentem.“

WIELKA I MAŁA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Dosyć dawno już w naszych pismach publicznych wystąpiły kwestye, o uciskach i potrzebach krajowego rolnictwa—i główwnie obracały się one około kwestyi kredytu. W przeszłym roku przedmiot ten wystąpił w formie bardziéj stanowczéj pod niepocieszającém mianem: „Sprawy upadających posiadłości ziemskich" (1).

Główny przedmiot dyskusyi traktowanym był dotąd przeważnie ze stanowiska potrzeb i interesów własności większéj—i o tyle dotykał drobne posiadłości, o ile interesy tych dwóch rodzajów własności stawały w sprzecznym względem siebie kierunku. Gdy jednak niewątpliwi nawet zwolennicy wielkiéj własności, za jednę z jéj potrzeb w obecnym czasie, przynajmniéj w niektórych razach, uznają parcelacyą, a zatém przejście do całkiem innego typu—kiedy w ten sposób mniejsza własność ma lub powinna w części wielką zastąpić—rodzi się przeto bardziéj ogólne pytanie: o stanie w naszym kraju obu rodzajów własności, o ich wzajemnym stosunku przeszłym, teraźniejszym i przyszłym, a najbardziéj o stosunku i harmonii, jaka być powinna między obu typami w obec potrzeb i interesów kraju ekonomicznych i moralnych. Takie zadanie obraliśmy za przedmiot niniejszego artykułu.

---

(1) Kwestyą tę wywołały spostrzeżenia p. Sewera w artykule przysłanym do Niwy (Zesz. 23) wysnute ze sprawozdań o exekucyi należności Towarzystwu Kredytowemu z dóbr stowarzyszonych. W dalszym ciągu, pod wzmiankowanym tytułem pojawił się szereg artykułów w Niwie, prowadzący w téj materyi mniéj lub więcéj trafną dyskusyą. Z pomiędzy tych artykułów, odznaczają się trafnością poglądów artykuły pp. Golza i Stawiskiego.

I.

Wielka własność ziemska, przed niedawnemi czasy złączona nierozerwanym jeszcze węzłem patrymonialnego stosunku z posiadaczami drobnych własności, podlegając finansowym trudnościom z powodu klęsk politycznych lub społecznych, znajdowała zawsze opiekę i podporę w prawodawstwie i rządzie. Opieka ta, jako potrzebna wówczas dla całéj masy ludności rolniczéj, była bardzo naturalną i konieczną. Oprócz ulg w wypłacie podatków i należności rządowych, udzielane były w wielu krajach wsparcia (1), a zwyczajnie przytém jeszcze ustanawiane moratorya, czyli zwłoki w spłacie długów hypotecznych:

W Prussach, po kampanii r. 1806, rząd wydał prawo o powszechném moratoryum do dnia 24 Października 1810 r., jakowe w niektórych prowincyach zostało przedłużoném do końca 1820. Przy wydaniu tego prawa, w prowincyach pruskich jeszcze istniało poddaństwo, dopiéro bowiem w 1807 r. nakazano właścicielom zawierać z włościanami kontrakty—edyktem zaś 1811 r. ogłoszono, że ziemia posiadana przez włościan nie jest własnością panów, ale jest wspólną. W dalszym już ciągu tych rozporządzeń nastąpiło uwłaszczenie.

W Polsce, po téjże wojnie, komisya rządowa dekretem z d. 30 Stycznia 1807 r. udzieliła dłużnikom prawa poszukiwania moratoryum podług obowiązującego w 6 departamentach prawodawstwa pruskiego. Następnie rząd Księstwa Warsz. dekretem z d. 18 Czerwca 1810 r. upoważnił sądy do udzielania jednorocznego moratoryum, jakowe przedłużono do 24 Czerwca 1813 roku. Konwencyą, zawartą w Wiedniu 30 Marca 1815 r. między rządem rosyjskim i pruskim, zastrzeżono sześć lat moratoryum dla dawnych pruskich poddanych; konstytucya sejmowa 26 Kwietnia 1818 r. (Dziennik Praw T. IV, str. 416) ustanowiła moratoryum czyli odroczenie exekucyi, dla długów zaciągniętych przed 20 Czerwca 1815 r. na rok jeden od dnia 1 Stycznia 1821 r., dla zaciągniętych później, od dnia terminu wypłaty na rok jeden—byle bezpieczeństwo długu opierało się na $^2/_3$ szacunku dóbr ziemskich.

Samo utrudnienie exekucyi i subhastacyi za pomocą niezliczonych formalności w kodeksie cywilnym francuskim, miało na

---

(1) Po wojnie siedmioletniej, Fryderyk Wielki darował pomorskim właścicielom ziemi półtora miliona talarów — tak, że z procentów od tego kapitału, mogli zapłacić podatek gruntowy. (Rosh. T. II. s. 384). Rząd rosyjski, przy znaczniejszych uroczystościach dynastycznych, darowywał przez Najwyższe manifesty zaległości podatkowe.

względzie ochronę własności ziemskiéj zachwianéj przez rewolucyą. Taż sama forma przeniesiona do Królestwa z kodeksem francuskim trwała do ostatnich jeszcze czasów. Obciążenie zatém i zachwianie własności ziemskiéj nie jest rzeczą nową i dawniéj bowiem zjawiało się ono sporadycznie; każdy podobny kryzys był jednak łatwiejszym do pokonania, albowiem oprócz opieki i ochrony w prawodawstwie i rządzie, wielka własność ziemska nosiła w sobie zadatek większéj trwałości.

Najważniejsza część kapitału obrotowego, to jest robocizna, nie mogła być spożytą, ani też zniszczoną. Nikt nie posądzi nas zapewne o stawanie w obronie pańszczyzny, zaprzeczyć jednak niepodobna, że ona, jako rzecz exystująca i nierozdzielna z kapitałem zakładowym, dawała większym właścicielom możność prędszego podźwignięcia się z upadku, gdy trochę oszczędności i pilny dozór dawały możność odwetować poniesione straty.

Same warunki ekonomiczne i handlowe pomagały dawniéj do łatwéj poprawy finansowego stanu obdłużonych własności. W epoce, poprzedzającéj rozszerzenie sieci kolei żelaznych do urodzajnych stepowych prowincyj wschodu i konkurencyą Ameryki w handlu zbożowym z Europą—nietylko zmniejszenie urodzaju wynagradzało się podniesioną częściowo ceną ziemiopłodów, ale każdy cząstkowy nieurodzaj zachodniéj Europy, który nie dotknął naszych okolic, wzbogacał je ogromném potrzebowaniem zboża i wysoką takowego ceną. Potrzebowanie to i ceny trwały więcéj niż rok jeden, gdy potrzeba było zapełnić wyczerpane zapasy w krajach przemysłowych i fabrycznych. Tak było w roku 1817, który jak w Prusach, tak i u nas podniósł intraty—a może z niemi i cenę ziemi.

Nie myśląc wcale stawać w obronie kastowych instytucyj, musimy jednak zaznaczyć, że tradycyjność w posiadaniu ziemi i przekazana z nią skromność domowych obyczajów niemało przyczyniały się do podtrzymania trwałości posiadania. Kiedy proste sprzęty domowe, jako spuścizna po przodkach, i zastosowany do nich tradycyjny rodzaj życia, dla ziemianina mogą być przedmiotem pewnéj dumy—stają się one rzeczą poniżającą w oczach spanoszałego dorobkowicza.

Zdemokratyzowanie prawa ziemskiéj własności przy prawodawstwie francuskiém, prawo równego podziału pomiędzy synów i córki, a nadewszystko praktykowana podług tegoż prawa sprzedaż majętności w drodze działów, podkopały powoli tradycyjność posiadania; majątki zaczęły być przedmiotem łatwéj cyrkulacyi

i zaludniły się w części zupełnie nowym elementem, który zapatrywać się zaczął na to posiadanie, jako na przedmiot spekulacyjnego przemysłu, a nawet zyskownego handlu.

Jedni, z małemi stosunkowo środkami, nabywali większe własności, ażeby się wypłacić i stać się rzeczywistymi ich posiadaczami, drudzy, nie myśląc o oczyszczaniu hypotek, ogładzali po wierzchu majątek, dając mu lepszą powierzchowność, czyli podług utartego wyrażenia, zaprowadzali melioracye, ażeby go znowu z zarobkiem odprzedać. Egzystencyi takich koczowników w kraju przed niedawnemi jeszcze czasy nikt nam pewno nie zaprzeczy, bośmy się jeszcze niedawno spotykali z ludźmi podobnych opinij, którzy wymownie umieli dowodzić, że dobrze się krajowi zasłużyli, praktykując na pożytek tegoż kraju swój geniusz melioracyjny. Jakie skutki mogło to za sobą pociągać, oprócz sztucznego podniesienia nominalnéj hypotecznéj wartości i hypotecznego obdłużenia, łatwo sądzić ze stanu wielu majątków, często z rąk do rąk przechodzących.

W ogóle jednak rolnictwo robiło znaczne postępy, i produkcya krajowa znacznie wzrastała,—ale ten wzrost w części odbywał się kosztem zamożności i dobrobytu klasy włościańskiéj obciążonéj pańszczyzną, szczególniéj, gdy wielu właścicieli, zabiegliwych o dobre urządzenie pól przy separacyi gruntów dworskich i włościańskich, najczęściej przedtém pomięszanych, szczególniéj przed rokiem 1846, uszczupliło nietylko ilość, ale i jakość posiadanéj przez włościan ziemi.

Prawie wszystkie rządy od najdawniejszych czasów okazywały opiekę klasie włościańskiéj. Opieka ta jednak, w pewnych odstępach i sporadycznie tylko pojawiająca się, nie mogła ochronić téj klasy od wzrastających ciężarów i zubożenia.

Dawne prawodawstwo polskie zastrzegało interesy kmiece, gdy konstytucya r. 1520 postanawia, aby ci (kmiecie) z łanu (czyli włóki) tylko dzień pańszczyzny robili, z wyjątkiem wszakże czynszowych. (1) Zygmunt August w ekonomicznych urządzeniach r. 1557 wydanych (Czacki, tom III, str. 6, wydanie 1844 r.) postanowił, aby

---

1) Volum. leg. I. f. 396, wyd. 1860 r.: „Statuimus et decernimus *perpetuo observandum:* quod omnes et singuli coloni, seu Kmethones omnium et singularum villarum, tam nostrorum, quam subditorum nostrorum, cujuscunque status existentium, qui prius diem in septimana non laboraverunt, nobis et dominis ipsorum de quolibet laneo unum diem septimanatim laborent: et ad laborandum sint adstricti demptis his colonis: qui censu pecuniario aut frumentario, seu quacunque alia contributione seu dotione dominis suis labores jam antea recompensarunt.“

grunt pański był $^1/_7$ gruntów ornych, a $^6/_7$ przeznaczał dla włościan. W późniejszéj, zatém bardziéj anarchicznéj epoce, śladów opieki nad klasą włościańską w polskiém prawodawstwie nie widać, to téż i wzrosły ciężary obarczające tę klasę do znanych jeszcze niedawno powszechnie rozmiarów, przy znaczném zmniejszeniu ich wyposażenia. Dawny pancerny, a także i kmieć posiadał około 2 włók—putny $1^1/_2$ włóki. W § 29 wspomnianéj instrukcyi Zygmunta Augusta, przy osadzaniu chłopa, rozkazano: aby pole we trzy ręce miało po 11 morg., a więc prócz osady 33 morg. (Czacki, T. I., str. 243, przyp.). W „Encyklopedyi Rolnictwa“ (T. II, str. 1130), przy charakterystyce małych osad w Poznańskiém, powiedziano: „Osad kmiecych najwięcéj bywało w dobrach duchownych, w szlacheckich rzadko się znajdowały. (1) Częstsze bywały osady półśledcze (od 40—60 morg. prusk.), lubo i tych liczba po wojnach Księstwa Warszawskiego, w których włościanie przez dostawy i podwody tyle ucierpieli, iż rzadko kiedy byli w stanie swoim pociągiem oddaną sobie przestrzeń ziemi należycie uprawić, znacznie bardzo się zmniejszyła. Przechodzili oni zatém częścią dobrowolnie, częścią z *konieczności* wypływającéj z natury rzeczy, do trzeciéj kategoryi tak zwanych *chałupników* (od 25—30 m. prus.), która tym sposobem stała się najliczniejszą.“

U nas, oprócz powyższych przyczyn zarówno działających, przyczyniła się do większego może jeszcze uszczuplenia kmiecéj własności pewna, pomimo niektórych pozornych formalności, dowolność przed prestacyą roku 1846 w uszczuplaniu i regulacyi gruntów włościańskich. W Poznańskiém, kwestya ta ostatecznie załatwiona jeszcze w roku 1823 zupełném uwłaszczeniem; w Galicyi, jakkolwiek przeciągnęła się do roku 1846, jednak tam, pomimo panowania dawnych patrymonialnych stosunków, wszelka kommasacya, lub też regulacya gruntów włościańskich, była przez rząd bezwarunkowo zatamowaną.

W skutek tego grunta dworskie z włościańskiemi i do dziś dnia zostają tam w największém pomięszaniu, i dopiéro na drodze polubownéj lub urzędowéj rzecz ta może być załatwianą;—jednak z powodu téj wczesnéj ostrożności rządu austryackiego—w Galicyi z całéj przestrzeni urodzajnéj posiadają (Załęski, Stat. s. 105):

Większa własność—5636147 morg. czyli 42,98%,
Mniejsza zaś . . 7477018 „ „ 58,02%,

1) Nota bene—w czasie uwłaszczenia.

kiedy w Królestwie Polskiém, przed uwłaszczeniem w r. 1864, gruntów w rzeczywistém posiadaniu znajdujących się było:

u włościan	4059810	(1)
u mieszczan rolników . .	443309	razem 4503119 albo 36,20%,
u większych właścicieli łącznie z dobrami instytutowemi, po potrąceniu przypuszczalnie na dobra rządowe 3 milion. morg. (2) było	7667086	(3)
do tego pustek odebranych od włościan	265943	razem 7933029 albo 63,80%.

Stosunek ten poprawił się dopiéro po reformie r. 1864, przez przywrócenie zabranych pustek i uwłaszczenie kolonistów. (Obecny stosunek małéj własności do wielkiéj, wyprowadzimy daléj na bardziéj ogólnych zasadach.)

Co do rozmiarów posiadłości włościańskich, to, oprócz włościan rządowych osadzonych kolonialnie, którzy stosunkowo najlepiéj są uposażeni, z włościan prywatnych tylko 32,1% posiada więcéj jak 15 morg., ilu jest posiadaczy, co mają po włóce i więcéj, nie mamy pod ręką żadnych danych. Z 32 opisów gospodarstw włościańskich w „Encyklopedyi Rolnic.,“—gdzie przeważnie, przypuszczać należy, podawano lepsze typy,—tylko 6 spotykamy mających więcéj jak 30 morgów,—3 mających po całéj włóce,—reszta zaś 23 należy do typu drobnych działów.

Przy takiém mniéj pomyślném ukształtowaniu stosunków drobnéj własności, zostaje dla niéj jeszcze spuścizna dawnych czasów w postaci służebności, które bądź co bądź muszą się z czasem w skutek choćby zgodnéj seperacyi na stałe posiadanie odpowiedniéj części zamienić, a tém samém pomnożyć fortunę realną drobnéj własności.

Często za nadto narzekają na serwituty; jest to spuścizna z czasów pańszczyzny, a zarazem jakby dobrowolna ofiara większéj własności. Podając prestacye z r. 1846, nie mogła ona usprawiedliwić dość wysokiéj pańszczyzny, nie wykazując rzeczywistych gruntowych dogodności, za pracę ludzi nie nazbyt obszernie zkąd inąd uposażonych. Wynagrodzenie zatém za serwituty jest poniekąd słusznem zadosyćuczynieniem za poprzednie rozszerzenie większéj własności.

Przy takiém swobodném rozszerzeniu, własność ta w spokojnym 30-letnim peryodzie od roku 1831—1861 znaczne bardzo zrobiła postępy; gospodarstwo się podniosło we wszystkich gałęziach, sta-

---

1) Załęs., tab. Nr. 34. 2) Dokładnéj cyfry pod ręką nie mamy.
3) Załęs., tab. Nr. 33 i 34.

wało się bardziéj nakładowém i racyonalném, szczególniéj zaś pod względem hodowli inwentarza a najbardziéj owiec, w wielu miejscach znakomite zajęło stanowisko. Przy spekulacyjnym jednak kierunku w urządzeniu i prowadzeniu własności ziemskiéj i przy niedość rozwiniętym fabrycznym przemyśle, przemagającym kierunkiem był nakład bardziéj z kredytu, niż z oszczędności; co się przyczyniało do podniesienia hypotecznych ciężarów, zarówno jak i zanotowany już wyżéj pewien rodzaj handlu, oparty na kupowaniu i odprzedawaniu z zarobkiem majątków ziemskich. Handel ten jest faktem rzeczywistym, praktykował się on i w Warszawie przed rokiem 1863 na domach i to na wielką skalę. Przy takiém położeniu rzeczy, pewna względna pomyślność, dostatek środków obrotowych i wysoki kurs listów zastawnych dawały popęd do bardziéj wystawnego życia i nawet zbytków, w zupełnéj ufności utrzymania finansowéj równowagi i osiągnięcia w końcu korzystnych rezultatów.

Przypatrzenie się wielu interesom zrodziło w nas przekonanie, że przed rokiem 1863 hypoteki w wielu majątkach były bardzo obciążone, przy widocznych jeszcze śladach kosztownych i niedość umiejętnie prowadzonych, lub często zupełnie chybionych melioracyj. 1). W takiém położeniu, zaskoczył własność ziemską rok 1863, który ją znakomicie podkopaną postawił w obec reformy r. 1864. W najtrudniejszym przejściowym stanie przyszła wprawdzie pomoc w postaci listów likwidacyjnych i potém zastawnych z roku 1869, lecz ta pomoc dla wielu już była niedostateczną. Potém przyszedł tak powszechnie żądany i nawoływany kredyt Banku Polskiego i jego filii, który wprowadził niewłaściwy dla rolnictwa charakter kredytu osobistego krótko-terminowego; ziemianie przybierali firmę handlujących, uczyli się pisać obligi pod postacią weksli żyrowanych wzajemnie, które, wbrew swojéj naturze, nie przedstawiały żadnego rzeczowego waloru, jakim jest w handlu towar przyjęty przez kupca a jeszcze nierozprzedany. Niemożność uiszczenia zobowiązań w terminie oddała potrzebujących pomocy w ręce faktorów, którzy za symulacyjną spłatę weksli własnemi pieniędzmi, z dyskontowaniem nazajutrz nowopodpisanych—obciążyli akredytowanych uciążliwym bardzo podniesieniem stopy procentowéj, przy dogodnym na pozór kredycie.

---

1) W jednym z majątków gub. Piotrkowskiéj, dziś jeszcze można oglądać ślady kanału kilkowiorstowego, prowadzonego przez suche bory w gruncie piaszczystym dla przeprowadzenia niewielkiej strugi dla irygacyi łąki. Woda naturalnie, oprócz wiosennéj powodzi, wsiąkała w ziemię zanim doszła do celu.

II.

Kwestya rzekomego upadku własności ziemskiéj zbyt ogólnikowo była postawioną, myśmy również ogólnikowo dotąd o niéj mówili. Niemniéj przeto jest wielu gospodarzy zamożnych i posiadających zapasy z poprzednich oszczędności, kiedy takowe przy pańszczyznie i ztąd małym koszcie produkcyi mogli łatwiéj gromadzić. Wielu jest takich, którzy choć nie zasobni w kapitały, ale pracą i oszczędném a skromném życiem podtrzymują swój bilans w równowadze; tacy nie upadają i nie upadną, bo żeby takich nie było, toby i własność ziemska już egzystować nie mogła. Nie mówimy téż o takich, którzy, postrzegłszy swe omyłki lub skutki nieszczęścia, mieli dość cywilnéj odwagi i rozsądku, ażeby nie łudząc siebie i nie oszukuiąc drugich w porę się wycofać lub ratować zachwiane interesy energicznym krokiem, redukując pole swéj działalności do mniejszego zakresu, jak to wskazują w swych artykułach o kwestyi nas zajmującéj pp. G. i Stawiski: mówimy o nieszczęśliwych lekkomyślnych, którzy po zachwianiu materyalnéj równowagi stracili moralną, a na nieszczęście takich dzisiaj już jest nie mało, ich to stan wywracając i podrywając zaufanie i kredyt podaje w wątpliwość ogół właścicieli.

Otóż bezwarunkowi obrońcy większéj własności i jéj wielbiciele uparcie chcą i takich ratować, wołając do kapitalistów o pomoc—do ludzi trzymających pióro—o radę.

Rachunek tylko może wskazać, gdzie są granice możliwego podtrzymania obdłużonych własności, i to rachunek nie za zielonym stolikiem ułożony, ale rachunek choćby względnie realny, objektywny (1). Mało bardzo mamy w téj materyi opracowanych specyalnych materyałów; pierwsze dopiéro napotykamy w „Encyklopedyi Rolnictwa.“

Z podanych w niéj opisów 12 gospodarstw większych krajowych i dwóch z Poznańskiego i Galicyi, ze stanowiska ogólno-ekonomicznego skreślonych (nie liczę tych gdzie się opisują specyalne tylko gałęzie gospodarstwa—jak hodowla bydła—owiec i t. d.),

---

(1) Rachunków iluzyjnych, jakby budżetowych przypuszczalnych, mamy bardzo wiele; trudnią się takowemi ludzie których właśnie takie rachunki zawiodły. Upadli politycy, finansiści i rolnicy, mają ten wspólny charakter, iż wierzą, że system, który ich obalił, jest doskonały, tylko okoliczności uboczne były nieprzyjazne. Znajome są wyrachowania, które państwu wielkiemu obiecują miliardy, byle drobne gospodarstwa zechciano na folwarczne zamienić.

najprzód spostrzegamy brak wszelkiego sprawozdania rachunkowego. Nietylko z tych opisów nie widać jakie dochody mogły dobra przynosić w ciągu pewnego okresu—ale brak tam wykazów urodzajności z lat różnych, opartych na realnéj podstawie regestrów ekonomicznych, które wszakże bez żadnéj wątpliwości w opisywanych dobrach musiały być prowadzone. Co zaś do kosztów administracyi i kosztów uprawy—to nawet w téj materyi żadnéj nie napotykamy wzmianki, a cyfry takie z kilkoletnich regestrów wyciągnięte, jako już stalsze i nie oparte na przypadkowości, mogą być bardzo pouczające.

Ogólny charakter tych opisów formą swoją zakrawa na coś dydaktycznego we względzie odnośnéj do miejscowości kultury; więcéj się mówi o tém: jak należy robić lub uprawiać ziemię, niż jak się robi rzeczywiście. Nie chcemy przypuszczać, żeby się nie znalazło paru ludzi umiejętnych do zrobienia prawdziwie jasnych ekonomicznych opisów; bezwątpienia, redakcya żądała takich, może nie dając szematów, żeby nie ścieśnić szerszego zakresu sprawozdawcy. Lecz się trafiło inaczéj; zakres się zcieśnił nad wszelkie spodziewanie, rachunki nie musiały okazać dobrych wypadków, nie usprawiedliwiły tych, jak miano przed niedawnemi czasy zwyczaj mówić, rezultatów wysokiéj kultury—jeszcze nie przyszedł był czas mówić o niepowodzeniach rolnictwa—lepiéj więc ich było *tacite* obejść, i skończyć na ogólnikach (1).

Z poszczegółowych opisów notujemy tu niektóre fakty i odnośne do nich uwagi.

1. W Gosławicach (Kalis. Konińsk.) w 10 lat dochód brutto się powiększył (nie pokazano o jaki procent, ani téż jaki był i jest obecnie) „o netto zaś tego powiedzieć nie można.“

2. Z opisu Ossowa (Włocławski) dowiadujemy się: że przy mineralnych nawozach, pszenica *może być* ciągle na jedném miejscu uprawiana, a plon będzie wielki. To zdanie, jeżeli jest sprawiedliwe, zdaje się, że nie do jednego Ossowa może się stosować.

3. Dzbanki (Szczerców) dają skromny wykaz, gdy przy dobrém nawożeniu zbiérano pszenicy 6 korcy, żyta na lżéjszéj ziemi 3 korce. (Po marglowaniu 7 kop. po dwa korce).

---

(1) Tak unikano szczegółów faktycznych, że w niektórych opisach, urodzajność w ziarnach nie pokazana z natury, lecz przypuszczalna, albowiem średnia liczba wykazana, jako przeciętna między największym i najmniejszym urodzajem, co w naturze nigdy nie bywa. Średnia prawdziwa najczęściéj do mniejszego urodzaju bywa zbliżona.

4. Zameczek (Opoczyńskie) zapewnia z 1080 morg. ziemi używalnej (pola, łąk i pastwisk) dochodu 5623 ruble. Jeżeli netto? to za wiele, szczególniéj na Opoczyńskie.

5. Zakrzów kościelny (Radomskie), przy gruncie gliniastym dobrym, wykazuje urodzaj nieprzesadzony, który redukuje się co do pszenicy na 5—9 ziarn, co do żyta na $4^1/_2$—9, owsa 4—8 i kartofli od 40—60 korcy z morga.

6. Bielawa (Warszawski); przy wiadoméj wysokiéj kulturze tych dóbr, urodzaj pokazany widocznie z natury z trzech oddzielnych gatunków ziemi jest nieprzesadzony; średni bowiem nie jest przeciętny z wyższego i niższego. Z Powiślu pszenicy $7^1/_2$ ziarn z glinki 9, żyta $12^1/_2$ ziarn. To ostatnie dawałoby stosunkowo większą korzyść.

7. Radlin (Lubelskie), grunta pszenne; urodzaj jest bardzo umiarkowany: pszenicy 5—11 ziarn, żyta 5—10, owsa $3^1/_2$—7.

Najbardziéj jednak nauczającym o niewysokich rezultatach dochodowych przy dzisiejszych warunkach rolnictwa jest:

8. Opis gospodarstwa w Turwi (Poznańskie). Kultura jest oddawna wysoka, od czasów znakomitéj pamięci generała Chłapowskiego; głębokość uprawy 12—15 cali. Rachunków żadnych opis nie przytacza; rozdział pól pomiędzy rozmaite rodzaje produkcyi następujący: Zboże 47%, okopowe 19%, pastewne 11%, handlowe $2^1/_2$%, pastwisk sztucznych 16%, ugorów $4^1/_2$%. Zatém pastwisk i ugorów łącznie 20%. Autor przytaczając, że na Szląsku pastwiska i ugory stanowią tylko 16%, w Saksonii zaś 6,3%, robi uwagę: „że powyższe rotacye (w Turwi) nie odpowiadają czasowéj potrzebie wydobycia wyższych jak dawniéj dochodów, to dziedzicowi dóbr nie jest tajném; dostrzega on gdzie w urządzeniu gospodarstwa Turewskiego leży przyczyna która nie pozwala należytéj osiągnąć renty,“ konkluduje zatém „że skasowanie ugorów i zmniejszenie pastwisk do połowy powinno zaradzić złemu.“

9. Krzeszowice (Krakowskie, Galicya), drugi przykład wysokiéj kultury; uprawa na 9 cali głęboka i, przy wielkiéj zamożności dziedzica, bardzo intensywna. Przy 600 morgach, nie ma bowiem pastwiskowéj rotacyi, a ugorów bardzo mało; chmiel zajmuje 17 morgów, przytém uprawa rzepaku i kminku; sprzęt jednak nie jest nadzwyczajny, gdy pszenica i żyto średnio po 8 ziarn dają.

Jakkolwiek z powyżéj cytowanych opisów łatwy jest wniosek, że dzisiejsze gospodarstwa, nawet przy wysokiéj kulturze, małą bardzo zapewniają rentę, pomimo to jednak musimy udać się do bardziéj rachunkowych przykładów.

Przykłąd obrachunku bez porównania ściślejszego i, jak widać, sumiennego spotykamy w artykule P. Edmunda Stawiskiego,

w przedmiocie niniejszéj kwestyi zamieszczonego w zeszycie 38 Niwy za rok 1876. Pozwalamy sobie zrobić krótki z niego wyciąg:

Majętność posiada gruntów ornych 700 morgów, łąk 300, pastwisk 100, lasu 800 morgów. Bilans dochodów i wydatków, czyli rachunek intraty z dóbr przedstawia następująca tabelka:

Debet. **Rachunek intraty z dóbr.** Credit.

	r. sr.	k.		r. sr.	k.
Podatki, opłaty gminnne i ubezpiecz.	1200	—	Propinacya na czysto	300	—
Etat służbowy i najem .	2955	—	Inwentarze	3750	—
Rozmaite	1320	—	Zboże	3450	—
Koszt exploatacyi poręby	170	—	Z innych gałęzi gospodarskich	450	—
Drobne wydatki i straty	435	—	Poręba leśna . . .	1200	—
łącznie	6180	—			
Do rach. zysków.					
Różnica jako dochód czysty	2970	—			
	9150	—		9150	—

Gdy szacunek tych dóbr jest ustanowiony przez autora na podstawie bardzo umiarkowanéj przy dotychczasowych cenach ziemi, wraz z inwentarzami do wysokości 126000 rub. sr., przeto dochód czysty stanowi tylko 2,3% całego szacunku. Autor wykazuje, że czysty przytém dochód z lasu, równie jak z ziemi (ten ostatni łącznie z propinacyą), wypada około 1½ rubla z morga. Przytém trzeba zauważyć, że las nie musi być dawno urządzony, skoro tylko się sprzedaje materyał opałowy (następnie mają przyjść poręby z drzewem towarném), i nie jest wykazany dochód z trzebieży, tego bardzo znakomitego źródła w lasach urządzonych dawno.

Z rachunków przytoczonych, autor wyprowadza następne bardzo trafne wnioski: „że każda gałęź gospodarstwa, w której zajdzie jakieś niepowodzenie, pozbawia naraz całego czystego dochodu, bo ten jest mały .... lata złe sprowadzają koniecznie długi, których lata lepsze spłacić nie są w stanie“.

Nie możemy ograniczyć się na tych, aczkolwiek, bardzo szacownych i poważnych wskazówkach, i bierzemy jeszcze za przy-

kład znajdujące się u nas pod ręką sześcioletnie rachunki dóbr K., prowadzone o ile można dokładnie na zasadzie prawideł buchalteryi podwójnéj, tak zwanéj włoskiéj, powszechnéj już we wszystkich większych przemysłowych przedsiębierstwach i bankowych kantorach, na nieszczęście zaś prawie niepraktykowanéj w gospodarstwach rolnych, chociaż te dzisiaj bardziej niż inny przemysł potrzebują być w porze ostrzeżone, gdzie leży niebezpieczeństwo. Już sama konieczność zamknięcia każdorocznego rachunku ogólnym bilansem fortuny (actiwów i pasiwów) otwiéra oczy na stan kapitału obrotowego i ostrzega, jeżeli ten już się zaczyna spożywać.

Zanim przytoczymy autentyczny rachunek, musimy zrobić mały przegląd statystyczny wspomnianych dóbr dotyczący:

Dobra K. mają około 230 włók nowopols. czyli morgów 6900; obszaru w tém:

Lasu	3300	mor.
Pól pod uprawą w 6 folwark. . . .	2162	„
„ w jedn. oddzieln. folwarku . . .	50	„
Odłogów polnych	300	„
Pastwisk odłogów wspóln. z włośc. .	500	„
Łąk	260	„
Pastwiska dworskiego oddzieln. . . .	22	„
Siedziby młynarskie i karczmars. . .	100	„
Razem	6697	mor.

Reszta pod zabudowaniem, zaroślami, wodą i nieużytkami.

Folwark odrębny 50 mor., jako w złéj zupełnie piaszczystéj ziemi i odlegle położony za lasem, z dodaniem siana na 20 fur parokonnych jest oddany w dzierżawę miejscowemu leśnikowi za 150 rub. sr.; jest w nim pola około 100 morg., ale się z nich jak wyżéj tylko połowa używa.

Główne 6 folwarków są położone w jednym prawie obrębie, dobrze zabudowane, z budowlami po większéj części murowanemi pod dachówką. Z liczby 2162 morg. pól, składających te folwarki, jest:

Ziemi dobréj pszennéj II klasy, a w większéj części żytn. I klas., zdatnéj pod pszenicę . . .	355	mor.
Ziemi żytnéj II klasy, w większéj części zimnéj iłowatéj (spód bielica)	1247	„
Ziemi lichéj, w części sapu, w części piaskowéj	564	„
Razem	2162	mor.

Z tego pod oziminą 29½%, jarzyną 20%, razem pod zbożem 49½%; pod okopowemi 12%, pod pastewnemi roślinami 10%, pod obsiewném pastwiskiem 14½% i pod ugorem 14%.

Rozdział pól, podług tego planu, był dokonany w ciągu 71, 72 i 73 roku. Przedtèm pola były podzielone bez klasyfikacyi na długie rotacye, na których się prowadził więcéj system dowolny ze zbiorem czterech plonów z jednego pognojenia. Przy zmianie systemu dużo krańców poszło w odpadki, i rotacye z trzema plonami na jedném pognojeniu urządzone zostały podług rozmaitych gatunków gruntu. Ta zmiana była nieodbita przy słabéj urodzajności z powodu niedostatecznego gnojenia i wyczerpania ziemi; a jakkolwiek przejście odbywało się powoli i stopniowo, zawsze przy zmniéjszaniu zasiewu, którego skutki, w parę lat dopiéro się okazują, musiało nastąpić pewne umniejszenie zbiorów.

Urodzaj co do ilości zbioru przedstawia się następującym:

Dla ozimin przez ciąg lat pięciu (oprócz roku 1873) średnio: pszenicy 5,8, żyta 4,12 ziarn; w roku 73-m ozimina była zarażona bez ziarna i wydała pszenicy 3,3, żyta 2,5.

Dla jarzyn przez ciąg lat czterech od 1870-74: jęczmienia 5 ziarn owsa 3 ziarna. W 74 i 75 dwa lata upalne: jęczmień dał 2,7, owies 1,8. Kartofle przez wszystkie lata do 5 ziarn (korcy 40 z morga). Przytém łąki tylko w połowie dobre dwukośne, część torfowych, lub wyższych przy brzegach na jałowym gruncie, dają mało siana i w lichym gatunku.

Rachunek intraty z dóbr, ułożony na zasadzie buchalteryi podwójnéj, przedstawia drugostronna tabela porównawcza:

Rachunek intraty z Dóbr.

Debet.

	Rok 1870/71		Rok 1871/72		Rok 1872/73		Rok 1873/74		Rok 1874/75		Rok 1875/76	
	Ruble srebrem i kopiejki											
Podatki	2144	91	1965	97½	2350	64½	2529	16	2380	80	2212	14
Reperacye budynków	(w kosztach		minist. 16)		173	57	505	35½	248	33½	185	35
Koszta administracyi:												
1. a) służba, cały koszt utrzymania z ordynar.	5251	68	6460	69	6799	92½	6913	70	5866	76	5768	36½
1. b) rozmaite i wszelkie drobne wydatki	1270	34	1869	2½	1426	19	1144	23½	1040	27½	1043	74½
Główny zarząd z kosztem utrzymania łącznie ze zbożem, oraz przyjęcie interesantów	754	77	838	—	1273	74	1321	85	1265	44	1259	34
Najem robotnika	4941	50¾	6542	50	6280	20	6283	47	5967	63½	6112	36½
Konie fornalskie; koszt utrzymania:												
(Owies i siano) wszelkie wydatki oraz deprecyacya	4195	27¾	4706	13	5791	17	5621	35	4563	5	5357	87½
Maszyn i narzędzi rolniczych koszt utrzym.	558	88¼	305	17½	368	74	406	26½	372	12	377	53
Wozy i uprząż	400	45½	387	13½	344	92	377	74	371	44	305	20
Dzierżawa probostwa	168	2	191	31½	—	—	—	—	—	—	—	—
	19685	84¼	23265	94½	24809	10	25103	12½	22075	85½	22621	91
Różnica, jako czysty dla zamknięcia rachunku	5282	2¾	6891	54½	5754	88	4713	2	4882	55½	1213	87½
	24967	87	30157	49	30563	98	29816	14½	26958	31	23835	28½

Credit.

	Rok 1870/71		Rok 1871/72		Rok 1872/73		Rok 1873/74		Rok 1874/75		Rok 1875/76	
	Ruble srebrem i kopiejki											
Czynne	575	36½	473	30½	798	30½	992	70	1252	—	1127	—
Dzierżawa folwarku osobnego	100	—	150	—	150	—	150	—	150	—	150	—
Propinacya (netto)	1202	18½	884	20	955	99¾	1360	38	490	81	713	2½
Las za potrącen. kosztu straży leśnej wyrobów leśn. i obsiewu porąb	1832	46½	2224	96¼	2044	74	2396	9½	1758	76½	2422	9½
Bydło za potrąc. wartości paszy i kupna repro.	621	58½	550	20	237	54½	398	85	642	4	315	60
Owce za potrąc. wartości paszy i kupna repro.	287	10¼	825	17½	1626	29¼	1472	75½	1616	97	1260	51½
Trzody i ptastwa	111	22½	117	33	244	23	148	5	250	—	300	—
Opasy (zysk na swoich brakach)	278	50	339	70	539	20	297	60	214	—	214	—
Krescencya: wartość prócz nasienia podług cen rzeczywistych	16675	17¾	19554	47	19197	24	18217	69½	17272	95	14438	68½
Siano (spożyte w miejscu)	2158	49½	2893	98	2071	56½	1110	66	1626	—	1887	—
Cegła (zysk z fabrykacyi)	203	99½	191	22½	255	7½	268	27	234	35½	93	10
Gorzelnia (netto)	748	77½	1529	42	917	9½	1439	94	329	33½	Doch. nie było i kartof. spieniężone tylko po 50 kop. kor.	
Browar (netto)	173	—	250	39¼	222	89	309	3½	106	81	—	—
Tartak (netto)	—	—	172	97¾	1303	80½	1254	11½	1014	37½	914	76½
	24967	87	30157	49	30563	98	29816	14½	26958	41	23835	28½

Uwaga. Cyfry niektóre przedstawiające stan bierny (rozchód) odmienne są w różnych latach, a szczególniéj te, do których wchodzi wartość produktów podług cen bieżących spożytych w naturze, jak w rachunkach: etat służbowy z ordynaryą, utrzymanie koni etc., toż samo i co do głównego zarządu, oprócz różnicy znaczniejszéj w tym ostatnim rachunku, pomiędzy pierwszemi dwoma i następnemi latami, pochodzącéj także z powiększonego uposażenia.

Z rozpatrzenia się w cyfrach przywiedzionych rachunków okazuje się najprzód: że, przy mniejszym urodzaju i zmniejszonéj przez to wartości krescencyi, téj ostatniéj zmniejszenia nie wynagradza wyższa nawet cena produktów; odnośne cyfry kosztów administracyi powiększają się znacznie, z powodu właśnie téjże podniesionéj ceny.

Gdy w ogóle stan przejściowy majątku, a szczególniéj poprzednio słaba extensywna kultura, mogły wpływać niekorzystnie na stan dochodów majątkowych, to w ostatnich trzech latach przyłożyły się jeszcze do tego i przyczyny zewnętrzne, jak nieurodzaj oziminy na ziarno w roku 1873 i dwa idące po sobie upalne lata 1874-75, które zupełnie prawie zniszczyły zasiewy jarzynne. W ostatnim zaś roku $18^{75}/_{76}$, oprócz powyższéj przyczyny, nietylko brak wszelkiego dochodu z gorzelni, ale właściwie nawet strata, gdyż kartofle, które spieniężone zostały do gorzelni (po 50 kop. za korzec, w latach poprzednich zaś co najmniéj po rublu) zniżyły dochód do $1/4$ w miarę dwuch lat poprzednich. (1)

Wyrzucając zatém ten rok ostatni jako nadzwyczajny, otrzymujemy dochód przeciętny z lat 5 rub. sr. 5504 kop 80, co przy szacunku średnio mniéj więcéj przyjętym do bilansów dóbr całych ze wszystkiemi inwentarzami na rub. sr. 250000, stanowi 2,2% od kapitału—cyfra prawie się nieróżniąca od téj, jaka wypadła z rachunków przytoczonych w artykule Pana Edmunda Stawiskiego; wyjątkowy zaś rok ostatni daje tylko $1/2$%: Łatwa więc odpowiedź na pytanie: czy przy takich warunkach może znieść majątek choćby najmniejsze obdłużenie. W razie wypadku nadzwyczajnego, jak w roku ostatnim, przyszłaby niewypłacalność lub dalsze zagmatwanie, które już niechybnie prowadzi do ostatecznéj zguby.

---

(1) Jeżeli do zniżonego w ten sposób dochodu z ostatniego roku dołączymy niewprowadzony w rachunek zysk na okowicie z podniesionéj akcyzy w ilości 2435 r. 87 kop. otrzymamy cyfrę 3649 r. $74\frac{1}{2}$ k., która już mniéj gwałtownie od cyfry z lat poprzednich się wyróżnia.

Dochód z lasu i tartaku (tartak rżnie tylko drzewo miejscowe) w ciągu lat 6 stanowił r. 17339 k. 16¼ co stanowi na rok r. 2889 k. 56 czyli więcéj połowy przeciętnego z lat 5-ciu dochodu ogólnego (5504 r. 80 kop.), do którego, oprócz lasu, wchodzą jeszcze propinacya i czynsze. W ostatnim, $18^{75}/_{76}$ r., gdy dochód ogólny wyniósł tylko 1213 r. 87½ kop. przy dochodzie z kategoryj leśnych 3336 r. 86 kop. to z tego ostatniego dochodu gospodarstwo pochłonęło 2122 r. 98½ kop.

Dochód z kategoryj leśnych jest obliczony zupełnie naczysto we właściwych sobie rachunkach, czyli wykazany po strąceniu wszelkich kosztów administracyi leśnéj—wydatków na wyroby leśne, zbioru nasienia i uprawy czyli obsiewu poręby; podatek tylko gruntowy za las nie jest oddzielony od kategoryi ogólnéj podatków; ta jednak różnica kompensuje się, nawet z nadwyżką, wartością ściułki leśnéj zabiéranéj w znacznéj ilości, drobnego materyału jak ogrodzenie i drzewo materyałowe do narzędzi i sprzętów rolniczych, oraz gałęzi i trzebieży cienkiej na opał, które w rachunek nie wchodzą. Rachowane są tylko budulec—deski i drzewo opałowe w siągach.

Przechodząc do przypuszczeń—ideałem dla tych dóbr przy fizycznych i chemicznych własnościach gruntu (zboża wyrastają w słomę przy małym stosunkowo plonie ziarna) może być urodzaj, dający średnio: dla pszenicy 8, żyta 6, jęczmienia 6, owsa 4, grochu 4 ziarn, kartofli zaś 50 korcy z morga. Wtedy przy średnich cenach (pszenicy 7 r., żyta 4 r. jęczmienia 3 r. 50 k., owsa 2 r., grochu 5, kartofli 80 kop. za korzec).

Wartość krescencyi wyniesie . . .		26682	r.
Do tego:	Gotowe intraty	1877	„
	Inwentarze i siano . . .	4000	„
	Las podł. średn. normy .	2889	„
	Razem	35648	r.
Potrącając średnie koszta		22500	„
	Zostanie	13148	r.

czyli 5,2% od kapitału. Zatém w teraźniejszości 2, w przyszłości 5 procentów.

Taki stan wytrzymać może tylko właściciel nieobdłużony, zasobny w kapitał, lub inne dobra przynoszące wyższe intraty.

Chociaż przyjęliśmy dochód z lasu przeciętny z lat przeszłych, jednak dochód ten daje nadzieję znacznego i prędkiego podniesienia, gdy we wszystkich częściach poręb przyjdzie las dojrzalszy, a z podrosłych obsiewnych zagajników, rozpocznie się trzebierz wyższéj wartości niż dotychczasowa (chrust i drobne tyczki), przy ciągłém

i nadzwyczaj prędkiém podnoszeniu się cen na drzewo, szczególniéj materyałowe i budulec.

Musimy tu dodać, że wszelkie dobra, któreby nie miały takich, jak opisywane przez nas, ubocznych dochodowych gałęzi, żeby się mogły opłacić średnim tylko procentem (nie wyżéj 5) musiałyby mieć urodzajność co najmniéj o 2 ziarna, jeszcze na każdym plonie od cytowanéj w ostatnim przykładzie, wyższą (co najmniej urodzajność Kszeszowic), to jest należéć do płodnéj z natury gleby i nie posiadać prawie żadnych ugorów, jak to zauważył właściciel dóbr Turwi w Poznańskiém.

III.

Teraz z kolei, dla porównawczego zestawienia, wypada nam wejrzéć w stan ekonomiczny i finansowy własności mniejszéj, która bądź co bądź musi choć częściową objąć spuściznę po większéj własności.

Do tego celu, służy nam „Encyklopedya Rol.,“ gdzie spotykamy 44 opisy cząstkowych gospodarstw należących do rozmaitych typów jako to: szlachty zagrodowéj—mieszczan rolników—kolonistów—i włościan, jak z dawna osiadłych, tak i świeżo uwłaszczonych.

Chociaż te wszystkie opisy, przy różnorodném zapatrywaniu się na przedmiot opisujących, niezupełnie jednakowe zasady w ocenieniu finansowéj strony gospodarstw małych przeprowadzają, zawsze jednak mogą posłużyć za materyał do dosyć pewnych wniosków o stanie i właściwych odrębnościach tego rodzaju własności.

Nie jest to łatwém zadaniem opisać gospodarstwo włościanina, lub podobnego jemu osadnika. Żeby wejść we wszystkie szczegóły jego domowego i rolniczego bytu, trzeba pozyskać pewien wysoki stopień zaufania i przekonać go nietylko o nieszkodliwości tego badania dla jego interesów, lecz i o pożytku, jaki z takiego badania wypływa. Z tych właśnie powodów, nie wszystkie opisy są jednakowo dokładne; w wielu z nich widać dużo problematycznych przypuszczeń; pochodziło to albo z trudności badania, albo że opisujący niedostatecznie oceniał ważność przedmiotu; z powodu jednak pewnego szematu danego opisującym przez Redakcyą encyklopedyi, do którego większa część opisów została zastosowaną, dały się z nich wyciągnąć dwa rachunki, przedstawione tutaj w tabelkach. Pierwszy oblicza urodzajność i dochody brutto z pola i innych gospodarskich źródeł, oraz koszta produkcyi i wydatków gruntowych, jako to: podatków, ko-

I. Tabela produkcyi i dochodu czystego z małych własności.

Nr. bieżący	Gubernia	Powiat	Wieś lub Osada	Ilość morgów	Nazwisko Właściciela	Wysiew: Ozimina	Wysiew: Jarzyna	Wysiew: Kartofle	Sprzęt w korcach: Ozimina	Sprzęt w korcach: Jarzyna	Sprzęt w korcach: Kartofle	Dochód brutto: Ze zboża	Dochód brutto: Inwentarza i nabiału	Dochód brutto: Ptastwa i trzody	Dochód brutto: z Pasiek	Dochód brutto: z Sadu	Dochód brutto: z innych źródeł	Ogół dochodu	Koszta produkcyi: Podatki	Koszta produkcyi: Najem i czeladź	Koszta produkcyi: Inne koszta gospodarskie	Koszta produkcyi: Wartość własn. robocizny	Ogół kosztów	Czysty dochód	Kapitał zakładowy: Ruchomy	Kapitał zakładowy: Nieruchomy	Kapitał zakładowy: Razem	% od kapitału	
												Rubli srebrem i kopiejek						Rs. k.	Rubli srebrem i kopiejek						Rubli srebr. i kop.				
					I. Typ szlachecki.																								
1	Siedlecka	Bialski	Tuczna	24 2/3	Józef Kukawski	7	5 1/2	5	35	27 1/3	31	196 —	86 —	17 —	— —	— —	3 —	302 —	16 20	5 20	41 50	180 —	242 90	59 10	337 60	— —	— —	—	
2	Łomżyńska	Mazowiecki	Chrzany Brzozo.	42	Fr. Brzozowski	11	11	10	66	66	60	455 —	90 —	16 —	30 —	— —	— —	581 —	14 30	56 —	18 —	315 —	403 30	177 70	529 —	3300 —	3829 —	4.6.	
3	Kaliska	Sieradzki	Zaniszewice	64	D. Zanowski	20	14 1/2	30	130	83	240	1098 —	80 —	32 —	—	—	— —	1210 —	50 61	200 —	25 —	280 —	551 61	654 39	1393 —	5550 —	6943 —	9.	
					II. T. mieszc. roln.																								
4	Lubelska	Zamojski	Goraj	23	Stanisł. Peck	7 1/2	14	15	33	91	90	404 —	20 —	55 —	— —	10 —	10 —	499 —	15 41	20 —	60 —	172 50	267 91	231 9	557 —	— —	— —	—	
5	„	Krasnost.	Turobin	19	Jan Stocki	7	8 1/4	5	43	58 1/4	30	338 —	20 —	20 —	— -	— —	24 —	402 —	16 87	150 —	21 —	— —	187 87	214 13	394 —	— —	— —	—	jako rzemieślnik uprawia najem.
6	Kaliska	Kaliski	Staw	13	Walen. Bakliński	5 1/2	7 1/2	20	37 1/2	33 1/2	100	312 —	26 —	110 —	— —	— —	— —	448 —	11 —	3 —	20 —	97 50	131 50	316 50	401 50	— —	— —	—	hodowla przemysłowa trzody.
					III. Typ kolonist.																								
7	Lubelska	Zamojski	Sitaniec	77	Jakób Springer	23	16 1/2	12	230	134 1/2	60	1466 —	100 —	20 —	— —	— —	20 —	1606 —	27 52	180 —	130 —	397 50	735 2	870 98	692 —	3810 —	4802 —	12.	
8	Płocka	Płocki	Drwały	37	Kasp. Kossowski	9	12	20	107	63 1/2	150	770 —	190 —	konie 70 —	— —	100 —	buraki 180 —	1310 —	36 —	82 —	20 —	155 50	293 50	1016 50	946 80	2312 —	3266 80	31.	wielce przemysłowy.
9	Kaliska	Sieradzki	Stężyce	18	Karol Kunkel	7	8	30	44	52	240	555 —	180 —	— —	— —	— —	— —	735 —	12 40	— —	10 —	135 —	157 40	577 60	591 50	1385 —	1976 50	29.	
10	Kaliska	Kaliski	Gać	90	Kr. Falkenhagen	30	70	70	260	190	300	1551 —	100 —	— —	— —	— —	z owiec 120 —	1771 —	90 —	340 —	15 —	335 —	780 —	991 —	1536 50	4380 —	5916 50	16.	
					IV. Typ włościan.																								
11	Suwalska	Wiłkowiski	Gutków	30	J. Burtynikajtys	10	11	7	97 1/2	67	58	590 —	35 —	40 —	— —	— —	z koni 40 —	725 —	17 70	2 —	35 —	225 —	279 70	445 30	931 —	2750 —	3681 —	12.	
12	Łomżyńska	Mazowiecki	Wołkuny	25	Michał Łapiński	7	7	15	53	44 1/2	100	374 50	100 —	— —	— —	— —	przedz. 45 —	519 50	12 80	45 —	27 —	142 50	227 30	292 20	471 —	1370 —	1841 —	15.	
13	Lubelska	Zamojski	Kalinowice	38	Michał Mazur	12	16 1/2	22	92	162 1/2	120	904 —	50 —	warzywo 25 —	10 —	— —	przedz. 25 —	1014 —	33 23	200 —	15 —	85 —	333 23	680 77	1048 50	1890 —	2938 50	23.	
14	„	„	Tworyszów	13	Wawrz. Knap	4	5 3/4	10	27	39 1/4	50	237 —	24 —	10 —	— —	— —	— —	271 —	9 69 1/2	— —	50 —	97 50	157 19 1/2	113 80 1/2	154 —	630 —	784 —	14.	
15	„	Biłgorajski	Książpol	21	Iwan Gach	8 1/2	15	6	40	45	30	245 —	40 —	32 —	— —	— —	z koni 20 —	337 —	15 8	25 —	15 —	132 50	187 58	149 42	545 —	1290 —	1835 —	8.	
16	„	„	Osuchy	25	Szczepan Kozica	8	9	14	29	29 3/4	80	300 25	120 —	— —	100 —	— —	— —	520 25	17 18 1/2	25 —	kup siana 63 —	162 50	267 68 1/2	252 56 1/2	930 30	1450 —	2380 30	10.	urodz. słabe, podstawa pasieka.
17	„	Janowski	Wólka ratajska	16	Wojc. Chmiel	3	8 1/2	4	12	37	20	125 —	20 —	— —	15 —	— —	20 —	180 —	15 30 1/2	— —	3 —	120 —	138 30 1/2	41 69 1/2	345 50	1540 —	1885 50	2.	oczynszowany od r. 1833.
18	„	Krasnost.	Wysokie	22	Łukasz Cieslar	5	8 3/4	4	19	27	15	126 20	15 —	30 —	— —	— —	— —	171 20	13 20	10 —	kup siana 26 —	155 —	204 20	(33 deces)	158 20	990 —	1148 20	0.	zła ziemia i ubóstwo.
19	„	Janowski	Wilkołazy	30	Ignacy Stempień	11	16	3 1/2	58	71 1/2	18 1/2	377 —	65 —	— —	40 —	7 50	— —	489 50	9 —	40 —	16 —	185 —	245 —	244 50	652 50	1950 —	2602 50	9.	
20	Siedlecka	Garwolińs.	Oronne	20	Błażej Dębek	5 3/4	7 1/2	8	31 1/2	53	60	315 10	120 —	— —	15 —	20 —	— —	470 10	19 56	20 —	16 —	130 —	185 56	284 54	819 60	1760 —	2579 60	11.	
21	„	Konstant.	Szarowicze	55	Paweł Bazyluk	14	11 1/2	8	84	62	48	433 —	35 —	— —	— —	— —	— —	468 —	20 5	— —	w t. siano 42 —	385 —	447 5	20 95	714 10	— —	— —	—	osada pojedyn. z nadan. królews. 1652 r.
22	„	„	Klonownica	34	Rom. Harasimiak	10	9	1	72	63	7	408 —	— —	20 —	— —	— —	drzewo 12 —	440 —	13 31	28 12	w t. siano 22 —	226 88	290 31	149 69	433 —	— —	— —	—	
23	Płocka	Płocki	Rembów	40	Józef Biernat	23	17	20	120	58 1/2	140	713 50	(z og rod	ow. 30 r. z	nas. wa rzy	w 70)	100 —	813 50	33 -	99 —	55 —	181 —	368 —	445 50	585 —	2630 —	3215 —	13.	
24	„	Lipnowski	Próchnica	43	Antoni Wituski	12 1/2	19	30	83 1/2	105	180	716 —	60 —	65 —	— —	— —	— —	841 —	27 65	125 —	40 —	176 —	375 65	432 35	713 60	— —	— —	—	osada pojedyncza.
25	Kielecka	Włoszczow.	Biała wielka	16	Tomasz Zasuń	4 1/2	4 1/2	12	33 1/2	29 1/2	100	291 —	— —	— —	5 —	— —	— —	296 —	11 5	— —	4 —	110 —	125 5	170 95	425 15	917 —	1342 15	12.	
26	„	Miechowski	Mniszów	6 1/3	Marcin Pasek	2 1/2	2 1/8	4 1/2	11 1/2	12 1/2	24 1/2	88 24	30 —	— —	— —	— —	— —	118 24	11 94	— —	5 —	45 —	61 94	56 30	143 50	— —	— —	—	
27	Radomska	Koński	Ucisko chlewiskie	10	Stanisł. Tokarski	—	3 1/2	5	—	12	40	71 75	27 —	— —	— —	— —	— —	98 75	6 52	— —	5 50	70 —	82 2	16 73	207 85	— —	— —	—	
28	„	Sandomier.	Krobielice	30	Jan Jurkowski	12 1/2	15 1/4	10	84 1/2	112	70	668 —	30 —	30 —	— —	— —	— —	728 —	26 —	20 —	48 —	210 —	304 —	424 —	529 —	— —	— —	—	
29	„	„	Górki	10 1/3	Jan Chochoł	3	4 1/2	9	13 1/2	22	62	148 —	— —	5 —	— —	— —	— —	153 —	9 72	2 40	2 50	75 —	89 62	63 38	217 20	740 —	957 20	6.	
30	Piotrkows.	Radomski	Kruszyna	14 1/2	Piotr Zasępa	6 1/4	5 1/2	12	19 1/2	20	72	182 15	13 80	22 60	— —	— —	z serwitut. 23 95	242 50	19 77	2 50	29 —	120 80	172 7	70 43	197 96	800 —	997 96	7.	
31	Kaliska	Kaliski	Kamień	36	Tomasz Hancysz	11 1/2	20	15	79 1/2	93	105	524 —	92 —	— —	— —	— —	— —	616 —	39 —	115 —	5 —	137 —	296 —	320 —	573 60	1925 —	2498 60	12.	
32	„	Sieradzki	Żelisław	14	Walen Barszczak	4	11	20	18	56	120	296 —	44 —	20 —	— —	— —	— —	360 —	13 10	5 —	12 —	100 —	130 10	229 90	435 55	930 —	1365 55	17.	
33	Warszaws.	Łęczycki	Topola królewska	100	Maciej Żuch	30	18	30	250	128	280	1630 —	30 —	owce 160 —	— —	— —	buraki 180 —	2000 —	56 80	155 —	210 —	545 —	966 80	1033 20	2224 —	5300 —	7524 —	13.	
34	„	Grójecki	Mała Wieś	25	Stan. Sitarek	8	14	20	40	52 1/2	80	269 50	44 —	18 —	— —	— —	— —	337 50	19 75	— —	41 75	187 50	249 —	88 50	274 45	— —	— —	—	
35	„	Warszaws.	Willanów	22	Stan. Orzyński	7 1/2	7	14	22	48	90	264 25	273 —	45 —	— —	— —	warzywo 9 60	591 85	26 53	44 —	20 —	121 —	211 53	380 32	678 —	2015 —	2693 —	14.	
				1114		355 1/2	440 1/2	530	2401	2305 1/4	3370																		

Uwaga. Gdzie w opisach oprócz wartości ruchomego inwentarza pokazana wartość budowli, tam do tych cyfr dodaliśmy przypuszczalną wartość samej ziemi licz. po 40 r. za morgę.

Tym sposobem powstała przypuszczalna wartość ogólna całej osady, a za nią rubryka procentu jaki przedstawia dochód w stosunku do szacunku. Liczby téj rubryki nie tyle wyrażają prawdziwy procent, ile raczéj są wskazówką różnicy wartości ziemi i samych gospodarstw.

II. Bilans dochodów i wydatków na małych własnościach.

Nr. bieżący	Gubernia	Powiat	Wieś lub Osada	Ilość morgów	Nazwisko Właściciela	Dochody: Czysty dochód z osady	Dochody: Z pracy na własnym gruncie	Dochody: Z zarobków i furmanek	Dochody: Z zarobków fabrycznych	Dochody: Z rzemiosła	Ogół dochodów	Wydatki: W zbożu i produktach domowych	Wydatki: Produkty kupne do konsumpc.	Wydatki: Odzienie i obuwie	Wydatki: Nieprzewidziane wydadki	Wydatki: Potrzeby religijne i moralne	Ogół wydatków	Zysk czyli oszczędność	Strata czyli niedobór	
						Rubli srebrem i kopiejek														
					I. Typ szlachecki.															
1	Siedlecka	Bialski	Tuczna	24 2/3	Józef Kukawski	59 10	180 —	— —	— —	— —	230 10	120 —	13 50	17 —	— —	— —	150 50	79 60	— —	szlachta rada oszczędzać i obracać
2	Łomżyńska	Mazowiecki	Chrzany Brzozows.	42	Franciszek Brzozowski	177 70	315 —	— —	— —	— —	492 70	131 —	10 —	50 —	— —	— —	191 —	301 70	— —	oszczędności na dokup ziemi.
3	Kaliska	Sieradzki	Zaniszewice	94	Dyonizy Zanowski	654 39	280 —	— —	— —	— —	934 39	467 —	110 —	150 —	— —	— —	727 —	207 39	— —	
					II. Typ mieszc. roln.															
4	Lubelska	Zamojski	Goraj	23	Stanisław Peck	231 9	172 50	— —	— —	— —	403 59	334 —	20 —	nie pokaz.	— —	— —	354 —	49 59	— —	rzemiosło, wyrób kożuchów.
5	„	Krasnostaw.	Turobin	19	Jan Stocki	214 13	— —	— —	— —	180 —	394 13	235 —	77 —	80 —	— —	— —	392 —	2 13	— —	
6	Kaliska	Kaliski	Staw	13	Walenty Bakliński	316 50	97 50	— —	— —	— —	414 —	249 —	54 —	40 —	— —	— —	343 —	71 —	— —	
					III. Typ kolonistów.															
7	Lnbelska	Zamojski	Sitaniec	77	Jakób Springer	870 98	397 50	— —	— —	— —	1268 48	519 —	300 —	40 —	— —	— —	859 —	409 48	— —	stawia nowe budowle, powiększa inwentarz.
8	Płocka	Płocki	Drwały	37	Kasper Kossowski	1060 50	155 50	— —	— —	— —	1172 —	347 —	56 —	60* —	— —	— —	463 —	709 —	— —	zagrożony wylewami Wisły.
9	Kaliska	Sieradzki	Stężyce	18	Karol Kunkiel	577 60	135 —	66 —	— —	— —	778 60	378 —	105 60	60* —	— —	— —	543 70	234 90	— —	
10	„	Kaliski	Gać	90	Krystjan Falkenhagen	991 —	335 —	— —	— —	— —	1326 —	436 —	86 —	60* —	— —	— —	582 —	764 —	— —	
					IV. Typ włościański.															
11	Suwałkska	Wiłkowiski	Gutków	30	Józef Burtynikajtys	445 30	225 —	— —	— —	— —	670 30	376 —	80 —	obuwie 20 —	— —	wychw. dzieci 100 —	576 —	94 30	— —	do ubrana nic nie kupuje, domowe wyroby.
12	Łomżyńska	Mazowiecki	Wolkuny	25	Michał Łapiński	292 20	142 50	— —	— —	— —	434 70	191 50	18 —	40* —	— —	— —	249 50	185 20	— —	skromnego życia.
13	Lubelska	Zamojski	Kalinowice	38	Michał Mazur	680 77	85 —	40 —	— —	— —	805 77	546 —	100 —	40* —	— —	— —	686 —	119 77	— —	typ wzorow. właść. nie wychodz. z własnej sfery.
14	„	„	Tworyszów	13	Wawrzyniec Knopp	113 80½	97 50	30 —	— —	— —	241 30½	188 —	60 —	— —	— —	— —	248 —	— —	6 69½	musi pokrywać wyrobkiem.
15	„	Biłgorajski	Książpol	21	Iwan Gach	149 42	132 50	12 —	— —	— —	293 92	180 —	5 40	17 —	— —	— —	202 40	91 52	— —	
16	„	„	Osuchy	25	Szczepan Kozica	252 56½	162 50	— —	— —	— —	415 6½	289 25	8 —	23 —	— —	— —	320 25	98 87½	— —	
17	„	Janowski	Wólka-ratajska	16	Wojciech Chmiel	41 69½	120 —	— —	— —	— —	161 69½	107 —	18 —	10 —	— —	— —	135 —	26 69½	— —	
18	„	Krasnostaw.	Wysokie	22	Łukasz Cieślak	— —	122 —	30 —	— —	— —	152 —	84 20	12 —	15 —	— —	— —	111 20	40 80	— —	
19	„	Janowski	Wilkołazy	30	Ignacy Stempień	244 50	185 —	40 —	— —	— —	469 50	175 —	48 50	60 —	— —	3 —	286 50	183 —	— —	
20	Siedlecka	Garwoliński	Oronne	20	Błażej Dąbek	284 54	130 —	35 —	— —	— —	449 54	244 90	54 —	70 —	— —	— —	368 90	80 64	— —	właściciel od r. 1652 przy niewielkim dochodzie
21	„	Konstantyn.	Szarowicze	55	Paweł Bazyluk	20 95	385 —	185 —	— —	— —	590 95	147 —	44 30	17 —	— —	— —	208 30	382 65	— —	a pracy i oszczędności zamożny, ze sfery swego
22	„	„	Klonownica	34	Roman Harasimiak	149 69	226 88	22 —	— —	— —	398 57	218 —	69 55	17 —	— —	— —	304 55	94 2	— —	stanu nie chce wychodzić.
23	Płocka	Płocki	Rembów	40	Józef Biernat	445 50	181 —	40 —	— —	— —	666 50	253 50	54 —	50 —	— —	— —	357 50	309 —	— —	
24	„	Lipnowski	Próchnica	43	Antoni Wituski	432 35	176 —	— —	— —	— —	608 35	256 50	75 —	60 —	— —	7 50	399 —	209 35	— —	pojedyncza osada.
25	Kielecka	Włoszczows.	Biała-Wielka	16	Tomasz Zasuń	170 95	110 —	— —	— —	— —	280 95	200 —	2 —	40 —	— —	— —	242 —	38 95	— —	
26	„	Miechowski	Mniszów	6 1/3	Marcin Pasek	56 30	45 —	20 —	— —	— —	121 30	67 24	34 6	20 —	— —	— —	121 30	— —	— —	raczéj wyrobnik.
27	Rodomska	Koński	Ucisko-Chlewiskie	10	Stanisław Tokarski	16 73	70 —	— —	fabr. żelaza 250 —	— —	436 73	71 75	19 30	21 75	dokup zboża 50 —	— —	162 80	273 93	— —	typ fabryczn.; oszczędnści zabiera lichwa.
28	„	Sandomierski	Krobielice	30	Jan Jurkowski	424 —	210 —	30 —	— —	— —	664 —	298 —	87 —	80 —	— —	20 —	485 —	179 —	— —	
29	„	„	Górki	10 1/3	Jan Chochoł	63 38	75 —	20 —	— —	40 —	198 38	145 —	12 80	38 —	— —	— —	195 80	2 58	— —	kołodziej, podtrzymanie rzemiosło.
30	Piotrkowska	Radomski.	Kruszyna	14½	Piotr Zasępa	70 43	132 10	26 30	— —	— —	228 83	121 10	21 72	33 75	opał 45 56	11 70	233 83	— —	5 —	musi pokryć pożyczką, ostatecznie wyrobkiem.
31	Kaliska	Kaliski	Kamień	36	Tomasz Hancyk	320 —	137 —	30 —	— —	— —	487 —	318 —	47 —	50* —	— —	— —	415 —	72 —	— —	
32	„	Sieradzki	Żelisław	14	Walenty Barszczak	229 90	100 —	— —	— —	— —	329 90	211 —	37 50	— —	opał 12 —	— —	260 50	69 40	— —	
33	Warszawska	Łęczycki	Topola Królewska	100	Maciej Zuch	1033 20	545 —	— —	— —	— —	1578 20	780 —	100 —	200 —	opał i doktor 130 —	— —	1210 —	368 20	— —	typ kmiecia zamożnego i oświeconego.
34	„	Grójecki	Mała-Wieś	25	Stanisław Sitarek	88 50	187 50	43 —	— —	— —	319 —	156 50	30 50	99 50	— —	— —	286 50	32 50	— —	
35	„	Warszawski	Willanów	22	Stanisław Orzyński	380 32	121 —	z gości War. 20 —	— —	— —	521 32	156 25	71 —	123 70	40 97	— —	391 92	129 40	— —	

Uwaga. W rubryce odzienia i obuwia liczby oznaczone * w opisach nie pokazane i wzięte przypuszczalnie.

sztów utrzymania narzędzi i wartość robocizny użytéj—i ztąd wyprowadza dochód czysty; drugi zaś, jako bilans przychodów gospodarza, składa się z dochodu czystego z ziemi podług poprzedzającéj tabelki, z wartości pracy na własnym gruncie, z zarobków lub innych źródeł i z rozchodu na utrzymanie właściciela i jego rodziny, a zatém z różnicy tych sum, czyli zysku lub straty.

Za podstawę do wyprowadzenia rzeczonych rachunków, wzięliśmy podany przez nas w tejże „Encyklopedyi" opis gospodarstwa cząstkowego we wsi Kruszynie, będącego własnością włościanina, Piotra Zasępy. Jednakże, co do metody, trzymaliśmy się tylko naszego opisu, cyfry zaś braliśmy takie, jakie są podane w odnośnych opisach; jeżeli więc i da się spostrzedz w którymkolwiek rachunku coś nie bardzo zgodnego, to nie będzie winą téjże metody, lecz raczéj cyfr podanych, jeśli były niedokładne.

We wspomnianym opisie gospodarstwa Piotra Zasępy, zrobiliśmy, łącznie z właścicielem, bardzo skrupulatnie obrachunek robotnika, użytego przy uprawie każdego gatunku zboża na jego gruncie, i obliczylilişmy na pieniądze. Z otrzymanéj w ten sposób ogólnéj cyfry wartości robocizny, koszt uprawy każdego morga z ogólnéj przestrzeni wypadł mniéj więcéj na rs. 7 kop. 50. Ponieważ w téj mierze wszystkie inne opisy nie dały żadnéj, choćby najmniejszéj wskazówki, tę więc cyfrę musieliśmy we wszystkich obliczeniach przyjąć za podstawę kosztów obróbki. Z otrzymanéj w ten sposób dla każdego gospodarstwa cyfry wartości robocizny, strącone były te cyfry, jakie w opisach wykazane na najem robotnika i opłatę czeladzi. Pozostała cyfra reprezentuje zatém wartość robocizny bezpłatnéj, dokonanéj przez familią gospodarza, i tém samém w drugiéj tabeli, przedstawia jednę z gałęzi czystego dochodu właściciela. Z podanych w „Encyklopedyi" opisów, te tylko opuściliśmy, które, z powodu niedokładności swojéj, nie dały się pod przyjęty szemat podprowadzić.

(Patrz Tabele Nr. I-y i II-gi).

Z załączonych rachunków dają się wyprowadzić następujące uwagi i wnioski.

1. Wykazanych 35 gospodarzy, należących do typów: 3 szlachty drobnéj, 3 mieszczan rolników, 4 kolonistów i 25 włościan uwłaszczonych, posiadają w ogóle 1114 morgów ziemi, na któréj zasiewają oziminy 355½ korcy, jarzyny 440½ i kartofli 530 korcy. Pod ugór, w ogóle drobni gospodarze małą ilość przeznaczają i to w okolicach mniéj żyznych i przy większéj ilości posiadanego gruntu.

Właściciele, o których tu mówimy, zbierają: oziminy 2401 korcy czyli 6,7 ziarn, jarzyny 2305¼ kor. czyli 5,2 ziarn, kartofli 3370 kor. czyli 6 ziarn, i prócz tego dwóch właścicieli 400 korcy buraków cukrowych.

2. Urodzaj na ogół wypada więcéj niż średni jak na drobnych właścicieli, co bezwątpienia jest skutkiem tego, że do opisów wybrano lepszych gospodarzy, i że znaczna część tych gospodarstw położona w dobréj glebie. Ośmiu z nich czyli 2,3% zajmuje się pszczelnictwem, 6 zaś czyli 1,7% posiada ogrody owocowe. Te dwa rodzaje przemysłu, przy większém upowszechnieniu, mogą dla drobnéj własności stanowić znakomitą podporę, gdy jak widzimy, Szczepan Kozica w Lubelskiém ma rs. 100 z pasieki, kolonista zaś Kasper Kossowski w Płockiém rs. 100 z sadu owocowego.

3. Im osada jest lepsza, tak co do obszaru jak i dobroci gruntu, właściciel oprócz członków familii, zatrudnia jeszcze swém gospodarstwem i najemników, z jakiego tytułu niektórzy po paręset rs. wydatku ponoszą.

4. Hodowla inwentarza, u wielu w lepszych warunkach znajdujących się, znaczny dochód stanowi, równie jak karmienie lub handel trzodą chlewną. W Płockiém, u Józefa Biernata zasługuje na uwagę znakomity dochód z ogrodów warzywnych w ilości rs. 100, z których 70 rs. za nasiona ogrodowe.

5. Osady większego typu, posiadające od 1—2 włók obszaru, przedstawiają cyfrę czystego dochodu (porówn. tab. 2 ą) prawie równą kosztom utrzymania właściciela i jego rodziny, lub je nawet przenoszącą, jak to widzimy w rachunkach wszystkich 4 kolonistów i 4 włościan pod NNr. 12, 23, 24 i 33 zamieszczonych, tak, że cała wartość własnéj pracy użytéj na gospodarstwo, zostaje albo może pozostać w oszczędności.

6. Łatwo się spostrzega z porównania liczb, że im zamożniejsza osada i im większy przynosi ona dochód, tém większa przedstawia się wartość spożytego w naturze zboża i większa rubryka wydatków pieniężnych na potrzeby życia, czyli że właściciel i jego rodzina lepiéj się karmią. W takich tylko osadach, jak widać ze szczegółowych opisów, znaczny jest postęp w domowém życiu, wygodach i ubraniu. Właściciele małych lub mało produkcyjnych osad spożywają mało, żyją w wielkiéj prostocie i ubóstwie; w takim téż stosunku i uobyczajenie postępuje. Dostrzegamy tu dwa fakty, że za dobrobytem idzie postęp, i że drobny właściciel rzadko żyje nad możność.

7. Właściciel pod Nr. 11, Józef Burtynikajtys okazuje odznaczający się typ Żmujdzina, który w gub. Suwalskiéj jest dosyć

rozpowszechniony. Na ubranie nic zgoła nie wydaje, bo wszelkie materye, jak na męskie tak i na kobiece stroje, w domu są wyrabiane (Żmujdzini odznaczają się wyrabianiem ładnych wełnianych materyj w kraty), na wychowanie zaś dzieci wydatkuje rs. 100 (1).

8. Właściciele drobni, nawet dostatni, radzi furmanić końmi: z tego tytułu widzimy zarobki u 17-tu właścicieli czyli u połowy opisanych, niektóre nawet dosyć znaczne.

9. Posiadających rzemiosło, na 44 widzimy tylko dwóch; zarabiający przy fabryce jeden, należy on już raczéj do tego typu małych właścicieli, którym własna produkcya i praca na własnym gruncie nie wystarcza, bo muszą na wyżywienie szukać postronnych zarobków. Takimi są prawie wszyscy, posiadający nie więcéj jak 10 morgów.

10. Większa część drobnych właścicieli przy prostocie obyczajów może gromadzić oszczędności, niektórzy nawet dosyć znaczne, które, jak widać z podanych opisów, albo chowają, lub téż obracają na kupno ziemi lub łąk, a także na ulepszenia gospodarskie, jak na restauracyą budynków, poprawę inwentarzy i t. d. Znaczna część tych oszczędności idzie bezwątpienia na wyposażenie członków rodziny, lub na inne nieprzewidziane, a czasami i losowe wypadki.

11. W ogóle klasa lepiéj uposażonych właścicieli cząstkowych nie opiéra swego gospodarstwa na kredycie, lecz szuka podpory w oszczędności i pracy. Obdłużeni, jeśli się trafią, prędko upadają, a na ich miejsce łatwo zjawiają się oszczędniejsi, to téż cena sprzedażna małych własności znakomicie wzrasta.

IV.

Porównawszy dwa rodzaje własności w ekonomicznym i finansowym względzie, chcemy je następnie porównać statystycznie, to jest co do ilości jednych i drugich i wzajemnego tych ilości stosunku, oraz co do zajmowanych przez każdą z nich przestrzeni uprawnéj części kraju.

Do tego obrachunku, posłużyła nam tablica zamieszczona w Kalendarzu Obserwatoryum Astronomicznego Warszawskiego za rok 1859, wykazująca ilość właścicieli ziemskich, podzielonych na 27 kategoryj co do obszerności posiadanéj ziemi, zacząwszy od najdrobniejszych właścicieli.

---

(1) Dzieci włościan Żmujdzkich, idące na naukę do szkół średnich, najczęściéj wstępują do seminaryów, — tak że na Żmujdzi, duchowieństwo pochodzi najczęściéj ze stanu włościańskiego. Takiegoż pochodzenia był ś. p. Biskup Żmujdzki Ks. Maciej Wołączewski.

Ażeby dojść do liczb nam potrzebnych, musieliśmy dopełnić tę tabelkę przybliżonem obliczeniem, ile każda kategorya posiadała ziemi, i rozdzielić ją na dwie części, a mianowicie drobnych większych właścicieli. Do drobnych, jako najwyższą kategoryą, zaliczyliśmy posiadaczy 5 włók czyli 150 morgów ziemi.

	Własności ziemskie mające rozległości	Liczba własności	Ilość morgów przeciętna na każdą	Ilość morgów całej kategoryi	W ogóle morgów
Mała własność	Mniej jak 3 morgi	132	1½	198	
	od 3 do 15 morgów	4810	6	28860	
	„ 15 do 1 włóki . .	5297	23	121831	
	„ 1 włóki do 3 wł.	4954	45	222930	
	„ 3 „ do 5 . . .	520	120	62400	
	W ogóle mał. włas.	15713	—	436219	436219
Wielka własność	od 5 wł. do 10	864	225	194400	
	„ 10 „ 50	3948	900	3553200	
	„ 50 „ 100	1606	2250	3613500	
	„ 100 „ 150	691	3750	2591250	
	„ 150 „ 200	282	5250	1480500	
	„ 200 „ 250	145	6750	978750	
	„ 250 „ 300	90	8250	742500	
	„ 300 „ 350	50	9750	487500	
	„ 350 „ 400	52	11250	585000	
	„ 400 „ 450	34	12750	433500	
	„ 450 „ 500	21	14250	299250	
	„ 500 „ 550	14	15750	220500	
	„ 550 „ 600	12	17250	207000	
	„ 600 „ 650	14	18750	262500	
	„ 650 „ 700	6	20250	121500	
	„ 700 „ 750	16	21750	348000	
	„ 750 „ 800	7	23250	162750	
	„ 800 „ 850	4	24750	99000	
	„ 850 „ 900	6	26250	157500	
	„ 900 „ 950	3	27750	83250	
	„ 950 „ 1000	8	29250	234000	
	więcej jak 1000 .	23	45000	1035000	
	W ogóle wielkich właścicieli	7887	—	17890350	17890350
	Razem	23609	—	—	18326569

Obszar większéj własności w powyższéj tabelce, jako obliczony podług danych z roku 1859, zawiera w sobie i grunta włościańskie które należy potrącić:

Potrącając zatém z ogólnéj ilości		17890350 m.
Uposażenie właśc. prywat. i instytutów	5457250 m.	
„ „ rządow. „	2331459 m.	7788709 m.
Zostanie w posiadaniu większéj własności		10101641 m.
Dodając do tego grunta małéj własności niewłościańskiéj z poprzedniéj tabeli obliczone . .		436219 m.
Wypadnie w ogóle		10537860 m.

Liczba bardzo mało różniąca się od podanéj u Załęskiego na str. 109 w tabeli 83, podług któréj, gruntów prywatnych, instytututowych, nadanych i rządowych, ma być 10667086 morgów.

Łącząc wszelką małą własność w jednę kategoryą, otrzymamy:

Własności małych niewłościańskich	15713	z	436219	morg.
„ włościan prywat. i instytut.	424735	„	5457250	„
„ „ rządow. „	147360	„	2331459	„
„ mieszczan rolnicz. „	58457	„	443309	„
Razem	646265	z	8668237	morg.
Zaś wielkich właścicieli	7887	„	10101641	„
W ogóle	654152	z	18769878	morg.

Czyli że wielka własność co do liczby stanowi 1,2% i posiada ziemi 53,81%.

Mała własność co do liczby stanowi 98,8% i posiada ziemi 46,19%.

W Galicyi, ten stosunek inaczéj się przedstawia:

Tam wielka własność co do liczby stanowi 0,92% i posiada ziemi 42%.

Mała własność co do liczby stanowi 99,08% i posiada ziemi 58%.

Zatém, żebyśmy dorównali galicyjskim stosunkom, wielka własność potrzebowałaby stracić 20%, czyli $1/5$ posiadanéj ziemi.

Wielkich właścicieli naliczyliśmy 7887. Z nich 1-a kategorya, zachowana na 5—10 włók po odseparowaniu ziemi włościańskiéj, zredukowała się do kategoryi 3—5 włók, i jako taka śmiało może być do kategoryi małych własności przeniesiona. Z 2-éj zaś kategoryi od 10—50 włók, która, po odseparowaniu gruntów włościańskich, zeszła do normy 8—30 włók, co najmniéj $1/3$ od dołu nieprzechodząca 15 włók, jako zbyt mała nie może podlegać zachwianiu, albowiem nie daje pola do pychy i wystawnego życia, zawsze zaś znajduje poszukujących nabywców z niższych i średnich

warstw społeczeństwa, z pomiędzy drobnych przemysłowców, dzierżawców, oficyalistów, urzędników i innych, i tym sposobem znajduje w razie potrzeby łatwość korzystnéj likwidacyi. Na téj zasadzie, ten gatunek własności mógłby być z kategoryi zagrożonéj również usunięty; przeto:

Z ogólnéj sumy większéj własności		7887	właścicieli
potrącając z 1-éj kategoryi . . .	864		
„ ⅓ część 2-éj kategoryi 1316 własności		2170	„
Pozostanie		5717	właścicieli

o których byt finansowy, nieprzyjazne obecne okoliczności mogą nastręczać obawę.

Jeżelibyśmy przypuścili, że ¼ część tych właścicieli będzie zagrożona likwidacyą, w takim razie staćby się mogło, że, przy 6 milionowéj ludności kraju, około 1430 (1) właścicieli, byłoby zmuszonych zmienić stanowisko, czyli zejść z pozycyi, która się im nie należy.

Jakeśmy wyżéj powiedzieli, bezwarunkowi przyjaciele i obrońcy wielkiéj własności chcieliby koniecznie uratować to, co jest zachwiane, wołają więc o solidarność i o kredyt, tak jakby pożyczać było największém szczęściem na świecie. Ale ten rodzaj ratunku z natury swojéj w tym wypadku zupełnie nie może być praktycznym. Najprzód kapitały wszelkie, jeśli są gdziekolwiek, szukają lokaty korzystnéj a nadewszystko pewnéj; przedsiębierstwo zaś, które nie może zapewnić więcéj jak 2—5 procentów i to nie licząc na klęski nieprzewidziane, nie może kapitałów przyciągać. Powtóre, w obecnym wypadku nawet korzystniejsze warunki niewieleby pomogły, gdy w kraju wolnych kapitałów zgoła nie mamy. Jest to rzecz widoczna we wszystkich ekonomicznych przemysłowych i handlowych stosunkach kraju i nie potrzebowałaby nawet dowodzenia, gdyby nie nasi domowi ekonomiści, którzy wołają na publiczność, żeby się uczyła ekonomii, bo nieznajomość téj nauki pozwala jéj więzić kapitały w ogniotrwałych kasach i, trzymając je nieprodukcyjnie, zajmować się obcinaniem kuponów. Twierdzenie takie jest wręcz przeciwne elementarnym ekonomicznym pojęciom; nasi posiadacze krajowych papierów nie mają w swém rozporządzeniu żadnych wolnych i rozporządzalnych kapitałów, albowiem takowe wsiąkły już i stopiły się nierozłącznie z własnością nieruchomą. Listy zastawne nie są kapitałem, lecz długiem krajowym

(1) Liczba bardzo zbliżona do téj o któréj był objawił wątpliwość P. Sewer.

terytoryalnym, albo raczéj uruchomioną, mobilizowaną częścią nieruchomości, z prawem pierwszeństwa do dochodów z takowéj.

Gdyby chciano jednorazowie znaczną część tego mobilizowanego nieruchomego kapitału na środki zwyczajne obiegowe zamienić, mogłoby to się tylko załatwić za pomocą kapitałów zagranicznych, przez coby część nieruchomości krajowéj, albo raczéj pierwsza połowa jéj dochodów, przeszłaby do rąk cudzoziemców, którzy już i bez tego są posiadaczami znacznéj tych dochodów części, skoro nasze papiery procentowe są przedmiotem tranzakcyj na zagranicznych giełdach. Kapitał rozporządzalny w naszym kraju równa się tylko rocznéj oszczędności szukającéj lokaty, po potrąceniu z niéj wszelkich ekonomicznych strat kraju z drugiéj strony, np. przez zły bilans handlowy poniesionych. Może być więc i taki wypadek, że i ten kapitał w postaci minusa może się przedstawić. Inne kraje, bogatsze od nas, ten kapitał oszczędności rocznéj mają bardzo znakomity i, prócz tego jako posiadacze obligacyj innych krajów, mogą takowe realizować, nie oddając nic zagranicy ze swoich dochodów krajowych; w takiém położeniu jest np. Anglia, któréj trybutorami są różne kraje kontynentu.

Dla obdłużonych zatém właścicieli, kredyt ani téż melioracye (które są również kredytem opłacającym się w dłuższym dopiéro przeciągu czasu) i to z warunkiem ażeby trafnie były zastosowane, nie są możliwe i korzyściby nawet przynieść nie mogły (1). „Zbyt obciążony, tak zwany pod względem prawnym właściciel", powiada Roscher (T. II str. 354), „znajduje się pod ekonomicznym względem, a szczególniéj w tém co się tyczé pewności i trwałości jego planów, w położeniu dzierżawcy, którego kontrakt dowolnie w każdéj chwili może być rozwiązanym. Dla tego nic prawie nie jest tak szkodliwém dla rolnictwa, jak prawo albo stosunki prawne, które właścicieli zbytecznie obdłużonych przytrzymują w posiadaniu ich gruntów.

Zachwiani i pozbawieni możliwego ratunku właściciele żyją jeszcze jakiś czas złudzeniem, gubią interesy nie tyle swoje własne ile swych kredytorów, a zostając na fałszywém stanowisku pomnażają spożycie cudzéj własności. Ruina materyalna prowadzi często za sobą zachwianie moralnych zasad, które poświęcają się niekiedy w nadziei ratunku i późniejszego im zadosyćuczynienia. W takim stanie, pożądaném jest, ażeby ci co mają upaść, upadli prędzéj;

---

(2) „Każde ulepszenie kredytu nieruchomego, przyspiesza upadek lekkomyślnego szlachcica i jego domu." Roscher Ekon. T. II. s. 367.

taki krach, jakkolwiek ciężki dla kraju, ale, skoro raz przejdzie, oczyszcza atmosferę i pozwala na nowo urządzić się interesom.

Gdy na miejsce upadłych i upadkiem zrujnowanych gospodarstw, nie mogą pojawić się nowe na tę samę skalę prowadzone z powodu braku kapitałów w kraju, chwilowo pojawia się stan bardzo zły pod względem ekonomicznym, zmniejszenie produkcyi, pochodzące z braku wszelkiego gospodarstwa w majątkach zrujnowawanych i opuszczonych przez byłych właścicieli. Nie jedne można spotkać dobra, w których pola są nie obsiane, domy bez mieszkańców, a gospodarskie budowle bez inwentarzy. W takich wypadkach okazuje się, że cena ziemi nie jest odpowiednio ustosunkowaną, ani do środkow obrotowych rozporządzalnych w kraju, ani do dochodu jaki ta ziemia może zapewnić. Musi zatem nastąpić jéj deprecyacya; majątki takie znajdą nabywców, ale za cenę znacznie zniżoną, co, po spadnięciu części przeciążających długów, da możność nowym nabywcom rozprzedania ich częściami, jak to się już niejednokrotnie praktykowało (1).

Taki upadek wygórowanéj ceny ziemi pojawiał się już i w ościennych krajach, szczególniéj wysyłających zboże na sprzedaż zagranicę. „W prowincyi pruskiéj, dobra, które w r. 1817 kosztowały 150—180000 tal., sprzedane zostały w r. 1825 za 30—40000 tal. W Holsztyńskich i Hanowerskich Żuławach, cena ziemi spadła również o 50%“ (Roscher Ekon. Tom II str. 366, str. 10).

Przy rozpadaniu się większych dóbr na części, mogą się stworzyć średnie posiadłości i większe, prawdziwie kmiece gospodarstwa. Takie małe gospodarstwa i pod względem produkcyi krajowéj znakomitą odegrywają rolę. Podniesienie się znaczne wysiewów i zbiorów w peryodzie od r. 1864—1874, wykazane u Załęskiego (Statys. porów. Królestwa Polskiego tabl. Nr. 43), dokonało się bezwątpienia nietylko na wielkiéj, lecz i na małéj własności. Jeżeli na wielkiéj własności, gospodarstwo w roku 1864 było uszczuplone i zachwiane z powodu stanu przejściowego i nieobecności wielu właścicieli, to w latach późniejszych co do obszer-

---

(1) Jako szczególny wzór parcelacyi można przedstawić przepis prawa Litewskiego, które się praktykowało w tak zwanych zachodnich prowincyach do roku 1840, pod nazwaniem eksdywizyi, według którego majątek ziemski niewypłacalnego dłużnika był po szczególe szacowany przez wydelegowany sąd tak zwany Taksatorsko-eksdywizorski i dzielony w naturze pomiędzy kredytorów, którym się dostawały nietylko oddzielne folwarki, lecz częstokroć wydziały niezabudowane, na których byli zmuszeni urządzać nowe osady. Tym sposobem wielka ilość dóbr magnackich, zalegających przedtém całe powiaty, pokryła się mnóstwem drobnych folwarków.

ności swéj dojść ono tylko mogło do normy poprzedzającéj rok 1863; nie mogło ono bowiem, po przejściu na system parobczany, powiększyć ekstenzywności, mała zaś własność, po uwolnieniu się od pańszczyzny, niewątpliwie musiała rozszerzyć swe gospodarstwo. Dowodzi tego porównanie cyfr wysiewu i zbioru lat 1857 i 1864 (1).

	Wysiano:	Zebrano:
Oziminy w 1857 r. .	1607000 czetw. .	8136000.
„ „ 1864 „ .	1748000 „ .	8299000.
Jarzyny „ 1857 „ .	1687000 „ .	7837000.
„ „ 1864 „ .	1835000 „ .	8129000.
Kartofli „ 1857 „ .	1652000 „ .	7895000.
„ „ 1864 „ .	1898000 „ .	12130000.

Trudno przypuszczać, ażeby dla wielkich gospodarstw rok 1864 był pomyślniejszym od roku 1857, powiększenie więc wysiewów i zbiorów jedynie musiało pochodzić z rozszerzenia kultury na ziemiach włościańskich.

Przykład dla naszego kraju różnicy urodzajności na ziemiach większéj i małéj uprawy znajdujemy tylko jeden za rok 1871 (u Załęskiego tab. Nr. 4 str. 119), Różnice te na korzyść większej uprawy nie są jednak zbyt wielkie; różnica plonów następująca:

	Żyta.	Jęczmienia.	Owsa.
Na ziem. obywatels.	4,4 ziarn	4,9 z.	5 z.
„ „ włościańsk.	4,2 „	4,3 „	4,7 „

Przytém należy zwrócić uwagę na daleko większą trudność w zebraniu statystycznych wiadomości z małych posiadłości, których właściciele przez nieufność radzi ukrywać swoje dostatki.

Mniemanie wielu, że większa własność koniecznie musi dawać (z teoretycznych względów które mają i stronę odwrotną) wyższy *czysty dochód* od własności drobnéj nie jest bezwarunkowo błędne. Bezwątpienia, pierwsza daje większy *wolny dochód*, to jest ten, który może iść na użytek miast i zagranicy, albowiem pracujący na drobnych gospodarstwach lepiéj daleko żyją od robotników gospodarstw większych, ale to już kwestya podziału bogactw i spożycia; bo słusznie powiada Roscher (Ek. T. II § 51) „Gospo-„darz prywatny uważa zapłatę robotników za część swych kosz-„tów produkcyjnych; uważana jednak ze stanowiska ogólnéj eko-„nomii publicznéj, stanowi ona równie dobrze część czystego do-

(1) Dane dla roku 1857 wzięliśmy z kalendarza Astronomicznego Obserwator. Warszaws. z r. 1859; dla roku zaś 1864 w Statystyce Załęskiego tabl. Nr. 43.

„chodu, jak dochód właściciela ziemi. Któżby mógł uważać kosz-„ta utrzymania większości ludu poprostu tylko za jakiś środek „do jakiegoś ekonomicznego celu klas wyższych".

Im większa więc ilość małéj własności, tém liczniejsza w kraju ludność rolniczna, a mniéjsza proletaryatu, bo cała ta kwestya, jakeśmy powiedzieli, jest raczéj kwestyą podziału bogactw, niż ich produkcyi.

Jeżeli kilkuset właścicieli większych z najgorszéj kategoryi, którzy, wegetując tylko, pędzą żywot nieprodukcyjny, lecz spożywczy, ustąpi miejsca kilku tysiącom drobnych właścicieli z kategoryi najlepszéj (bo oszczędni tylko i pracowici mogą przyjść do nabycia własności), to kraj na tém prędzéj wygra niż straci. Błędném byłoby mniemanie, że inteligencya kraju głównie przez większą własność bywa reprezentowaną; niemniéj jest ona bowiem udziałem klas innych, nawet liczniejszych. Raczéj rzec można, że na własności większéj spoczywa pierwiastek zachowawczy, lecz ten również a może i w większym stopniu jest przymiotem klasy drobnych właścicieli.

Przy dobrym bycie i za nim idącém uobyczajeniu, mają oni wysokie przymioty religijności i prostoty obyczajów, (1) które ich ochraniają nadługo od burzliwego charakteru nowożytnéj kultury.

Z przyjemnością czytamy w jednym z podanych opisów małéj własności w „Encyklopedyi Rolnict." (st. 1049). „Właściciel (Mi-„chał Mazur) w sile wieku, prawdziwy typ włościanina, bez żadnéj „pretensyi do naśladowania zwyczajów klasy średniéj, odznacza się „jednak dobrze zrozumianą wyższością śród swoich współbraci. „Jako umiejący czytać z nauki pobranéj w szkółce wiejskiéj, w po-„rządnéj szafce oszklonéj, ma niewielki zbiorek książek treści reli-„gijnéj i obyczajowéj, jak żywoty świętych, ojców kościoła, nauk „moralnych, a nawet rolnictwo i przemysł za przedmiot mających, „które, w czasach od zajęć gospodarskich wolnych, w niedzielę „i święta, czytuje zgromadzonym w jego chacie sąsiadom".

Zapewne wzór ten należy do wyjątków, ale można mieć nadzieję i nie zaniedbywać starania, ażeby ten wzór jak najbardziéj

(1) Porówn. Roschera T. II str. 149. „Na dobrach średnich spoczywa właściwy „stan włościański, te korzenie narodu, główne źródło jego militarnéj siły. Tylko tam „gdzie takie dobra przeważają, zdaje się być możebném życie wspólne z nieocenionemi „swemi błogosławieństwy. Ale téż i umiarkowana ilość małych cząstek ziemi jest do „życzenia: bo nic robotnika dziennego nie róbi bardziéj zadowolonym i przez to właśnie „ spokojniejszym o przyszłość jak posiadanie łupiny ziemi".

się upowszechnił. Zawsze i wszędzie zalecane usilnie tak zwane elementarne *wykształcenie*, czyli wolelibyśmy nazwać nauka elementarza, bardzo ważny położy fundament, zdejmując masom z oczu ślepotę i odgraniczenie od pismiennego świata; wszakże polegać na szkółce wiejskiéj, jako na krzewicielce oświaty, jest, jak się nam zdaje, poddawać się złudzeniu. Często względna prostota i nieznajomość wszelkich naukowych zasad jest mniéj szkodliwą, niż wiedza i zarozumiałość niedouczonych. Oni to tworzą najszkodliwszy proletaryat umysłowy, gdy mniemana nauka wyprowadza ich z zakresu fizycznéj, a nie usposabia dostatecznie do umysłowéj pracy. Chciéć, jak często objaśnia się w piśmiennictwie, ażeby nauczyciele wiejscy, prawie wyłącznie sami niedouczeni, wychodząc po za obręb elementarza (katechizm powinien należéć do proboszcza), wykładali przedmioty treści społecznéj lub gospodarskiéj, jest rzeczą co najmniéj niepożyteczną, jeżeli nie zupełnie szkodliwą. Wszelkie wykłady przez takich ludzi prowadzone w dziedzinie etyki i gospodarstwa wiejskiego mogą tylko zamącić pojęcia u niedojrzałych dzieci, jakiemi są uczniowie szkół wiejskich, gdyż starsi i zdolniejsi do pojęć oderwanych już do szkoły nie chodzą, idąc zwykle do pracy gospodarskiéj.

Polem właściwego wykształcenia obyczajowego jest przykład klas wyższych i dobry przyjazny ich stosunek z ludem rolniczym; dalej zaś sąd i gmina, to jest poczucie praw i obowiązków, a ztąd szacunek i posłuszeństwo dla prawa. Te przymioty rozwinięte oddawna, w sąsiednich nam Prussach, dają ludności wiejskiéj, cechę cywilizowaną. Nowe sądownictwo gminne na drodze na którą weszło spełni swe pożyteczne zadanie, udział zaś czynny i nieustający klas oświeconych w interesach i naradach gminnych i drugą połowę zadania wypełnią. Dotychczasowe urządzenie gminnych interesów było zupełnie wadliwe, jedynie z powodu pogardliwego lub niechętnego stosunku klas wyższych, do czego słusznie zresztą nie mało się przyczyniały dawne sądy. Dziś, po oddzieleniu sądownictwa, rzecz zupełnie inaczéj się przedstawia. Nie trzeba być wójtem, żeby w gminie przewodzić, lecz trzeba, będąc jéj prostym członkiem, mieć rozum i zaufanie u ludzi. Lud wiejski nie dowierza pisarzom, a rozumié nieudolność wójta; zebranie z prawem kontroli czynności zarządu gminnego, z radością powierzy kontrolę nad rachunkami i całym zarządem ludziom światłym i uczciwym, którzy zadadzą sobie fatygę przemawiania światłego do mniéj wykształconych; w ogóle bowiem rozsądna mowa wielkie na ludzie prostym robi wrażenie. We względzie zaś postępu w rolnictwie i przemyśle, cząstkowe prowincyonalne wystawy rolnicze i połą-

czone z niemi pewnego rodzaju Towarzystwa rolnicze wywrą silny skutek na postęp i rozwijanie umysłowéj strony klasy rolniczéj. Przykłady tego mamy już w praktyce: takiemi są wystawy i towarzystwa na Żmujdzi, w Retowie i Szawlach, wyjednane i prowadzone staraniem światłych miejscowych obywateli, książąt Ogińskich i hrab. Zubowa.

Kto chce widzieć skutek podobnych kierunków, może przejechać się przez Prussy książęce, po nad brzegami Niemna, od Tylży do Królewca. Kraj ten jest zasiany drobną własnością już ucywilizowaną i kwitnącą, pomimo ziemi nędznéj z natury i piasczystéj.

Kandydatów do nabycia drobnych posiadłości znajdzie się niemało pomiędzy włościanami i szlachtą krajową, którzy zawsze chętnie wydobywają swe zapasy, gdy chodzi o nabycie ziemi. Rozprzedaż większych dóbr folwarkami także się praktykuje, jak to niedawno widzieliśmy we Włoszczowskiém, a innych przykładów sporoby można naliczyć. Parcelacya drobna równie ma swoje przykłady, z których możemy zacytować: nad Bugiem w okolicach Nurskich, gdzie parę folwarków rozprzedano (jeszcze przed r. 1867 i 1870) częściami pomiędzy szlachtę zagonową, któréj w tamtéj okolicy dużo się znajduje; niemniéj w okolicach Warszawy jeszcze niedawno rozprzedano sąsiednim włościanom dobra Opacz. Nawet przybyłych do takiego kupna Niemców kolonistów nie ma najmniejszéj zasady się obawiać. Są to ludzie prostych obyczajów i dawnych tradycyj, kulturkampfu ze sobą nie przyniosą (1), co do języka zaś, to nie jesteśmy jeszcze tak nieliczni, ażebyśmy obcych elementów strawić nie mogli.

Koloniści pomiędzy krajową rolniczą ludnością w drugiém pokoleniu już tracą swoję narodowość; możemy dać przykład z natury. Przy opisie stanu kolonistów niemieckich w dobrach ordynacyi Zamoyskich w „Encyklopedyi Rolnic." (str. 1039) powiedziano: „Koloniści owi chociaż odrębną i obcą między włościanami miejscowemi składają narodowość i rzadko łączą się z niemi przez małżeństwa" (chociaż i to z czasem musi nastąpić), „druga jednak i trzecia generacya tych obcych przybyszów przy-

(1) Pionerami téj zasady pojawiają się już czasami przedstawiciele większéj własności. Przeszłego lata spotkaliśmy w gazetach korespondencyą z Kaliskiego, gdzie właściciel, nie mając dość robotników do pielenia buraków z powodu procesyi Bożego Ciała, wołał gwałtownie o potrzebę odłożenia téj uroczystości na Niedzielę. Nie wiemy, czyli takie zapatrywanie się mogłoby zjednać dla projektującego sympatyą naszych włościan. Może i narodowo-liberalni nie bardzoby się zgodzili na odłożenie fakelzugu na cześć Ks. Bismarka, jeśli się im jaka okoliczność do téj awantury nadaje.

jęła już od włościan zwyczaje i nałogi, ich mowę i ubiory, różniące się tylko niektóremi charakterystycznemi odmianami..„

Zresztą, prócz Niemców, mogą się znaleść chętni nabywcy małych kawałków ziemi śród ludności Ks. Poznańskiego, Galicyi i Szląska, przy dosyć tam rozszerzonéj tendencyi do emigracyi. Jeśli są agentury, zachęcające ten lud do emigracyi amerykańskiéj i ułatwiające uskutecznienie tak odległéj i uciążliwéj wędrówki, mogą się również znaleść agenci do nastręczania kupna parcelacyjnego, trzeba tylko, ażeby ta dążność przybrała jakiś wyraźny charakter. Mówiono nam o pewnym kapitaliście, pochodzącym ze zbogaconych chłopów szląskich, który już kilka dóbr po ich nabyciu pomiędzy przybyszów z ościennych prowincyj rozkolonizował, zrobiwszy na tém korzystny interes. Rozszerzenie dotychczasowych granic małéj własności jest jeszcze i z tego względu pożyteczne, że ono nadaje bardziéj trwały charakter ekonomicznym podstawom kraju. Nadto mała własność, przy jakichkolwiek wstrząśnieniach i klęskach, nietyle podlega ruinie i utracie obrotowego kapitału, który po większéj części spoczywa we własnych rękach posiadacza. „Nadzwyczajne wypadki“ (pow. Roscher, T. II, str. 137) „łatwiéj znoszą mali gospodarze. Tak np. chłop w czasie wojny mógłby ograniczyć swoję i swéj rodziny konsumcyą, a przez to pokryć część swoich strat, kiedy właściciel dóbr wielkich nie może swoim służącym i najemnikom narzucać odpowiedniego ograniczenia, dlatego właśnie, że są najemnikami i każdéj chwili odejść mogą.“ (1)

Niech zatém co słabe i bezsilne idzie na drobne, lecz silniejsze działy; z większéj własności pozostanie ta część, bodaj znacznie większa, która nie ulegnie czasowym zawichrzeniom finansowym i pójdzie za radą światłych naszych rolników, unikając błędów tak trafnie wykazanych w wybornéj broszurze p. Ludwika Górskiego pod tytułem: „Nasze błędy w gospodarstwie folwarczném.“ Zajmie ona właściwe sobie stanowisko uszlachetniającego pierwiastku wśród ludności rolniczéj i bezpiecznéj lokaty kapitału na mały procent.

Najtrudniejszém zadaniem jest urządzenie nieupadających folwarków bardziéj rozległych i w ziemi mniéj dobréj, któréj odleglejsze części nie nadadzą się do intensywnéj uprawy, pozostawione

---

(1) Tenże autor cytuje: że Niemcy południowo zachodnie, gdzie w ogólności małe gospodarstwa przeważają, łatwiéj zniosły skutki ostatniéj wielkiéj wojny, jak wschodnio-północne. Chłopi ją na Pomorzu łatwiej wytrzymali niż dobra szlacheckie (mowa tu o wojnach napoleońskich.)

zaś odłogiem przynoszą stratę z powodu opłacanych podatków i w ogóle gruntowych powinności. Z doradzanych dotychczas środków byłyby dwa do użycia: albo odprzedaż tych cząstek, albo zagajenie. Pierwszy z nich jest niekorzystny, w obec silnego *dostarczenia* parcelacyjnego elementu przez upadające dobra, które to *dostarczenie* może łatwo przewyższyć zapotrzebowanie. Drugi zaś, jakkolwiek w obec gospodarstwa społecznego i jego potrzeb bardzo pożyteczny, właściwymby był jednak dla ziem bardzo płonnych i lekkich, albowiem w tak przejściowym i trudnym jak obecnie czasie, nie dając prędkich korzyści, na ziemiach lepszych a nienależących do obrębów leśnych, byłby finansowo mniéj praktycznym. Mybyśmy znajdowali możliwym środek trzeci, a mianowicie kolonizacyą czynszową.

We wszystkich krajach ludnych i cywilizowanych, szczególniéj około większych centrów ludności, w wielkiéj nawet własności przeważa system drobnych dzierżaw, gdzie większe gospodarstwa nie mogą z małemi konkurować. U nas, system kolonizacyi takiéj z wielkim skutkiem był stosowany przed uwłaszczeniem, jeśli przywiedziemy tylko dobra ordynacyi hr. Zamoyskich, oraz dobra Kołodziąskie sukcesorów ś. p. Andrzeja hr. Zamoyskiego. Argument, że taka kolonizacya już raz podległa uwłaszczeniu jest zatém i nadal niebezpieczną dla praw własności, nie może być brany na seryo.

Jeżeli w obec wypadków nadzwyczajnych, jeśli tak rzec można, przewrotów społecznych, dzieją się rzeczy wychodzące z granic zwyczajnych pojęć legalności, to sytuacye takie zawsze za wyjątkowe tylko uważać należy. Wszakże jeśliby kiedy mogła przyjść do skutku komuna, to wszelka własność w jakiéjbądź formie mogłaby być zakwestyonowaną; lękając się podobnéj rzeczy nie należałoby nabywać własności nieruchoméj. Na Litwie w znacznéj części dóbr ziemskich, egzystują kolonie czynszowe szlacheckie, tak zwane zaścianki, które uwłaszczeniu nie uległy; są majętności gdzie gospodarstwo właściciela małą tylko część dochodu stanowi, główny zaś dochód polega na gotowych intratach z drobnych dzierżaw. U nasby to równie mogło mieć miejsce. W dobrach, z których 6-letnie rachunki podaliśmy wyżéj, grunta czystego dochodu nie więcéj nad rubla z morga przynoszą, przy kosztownym w dodatku warsztacie całéj uprawy, morgi zaś bardzo nieszczególnego gatunku z odłogów zostawionych po za obrębem pól folwarcznych, które brane są cząstkowo bez żadnych do tego wygód przez włościan małorolnych, przynoszą po 2 rs. rocznéj dzierżawy.

Na podobnych od gospodarstw wielkich odpadkach, możnaby urządzać nawet niewielkim stosunkowo kosztem małe osady kolonialne, dla wypuszczania ich w dzierżawę. Na takie osady zawszeby się mnóstwo znajdowało amatorów, a między nimi byliby także i bardzo małorolni włościanie, gotowi nawet dla tego odprzedawać swe drobne cząstki ziemi zamożniejszym sąsiadom.

Osadnicy lepiéj uposażeni, przy rozmnażaniu się członków familii, mniejby już byli zmuszani do parcelacyi swoich osad w drodze działów, mając punkt wyjścia na gospodarstwo mniéj drobne, które włościanie zawsze nad to ostatnie przenoszą.

Przypuszczać można, że wieluby się znalazło amatorów, do urządzania osad własnym kosztem i staraniem, byle im tylko odpowiednie grunta, dogodności i materyał budowlany wydzielić.

Nakoniec, jeżeli z pomiędzy emigrantów z Poznańskiego i Galicyi do Ameryki, mniéjby się znalazło zamożnych do kupna parcelowanych u nas gruntów, to bezwątpienia prawie wszyscy emigranci z funduszem potrzebnym na odbycie ogromnéj i kosztownéj zaoceanowéj wędrówki mieliby dosyć środków do zagospodarowania się na cząstkowych dzierżawnych osadach, szczególniéj jeśliby im zapewnić na początek niejakie ulgi. Ten sposób urządzenia mniéj przyległych folwarcznych gruntów, zapewniając właścicielom znakomity z czasem dochód, niepotrzebujący żadnego obrotowego kapitału, mógłby się przyczynić zbawiennie do odwrócenia emigracyjnéj plagi, w sąsiednich jednoplemiennych z nami prowincyach.

Julian Łapicki.

KRYTYKA.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności.

Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydziały: Filologiczny i Historyczno-filozoficzny, Tom I, 1874, str. 249; Tom II, 1875, str. 284.

(Dokończenie).

W pierwszéj połowie XVI wieku zasłynął w kraju i zagranicą, jako znamienity mąż stanu, mówca i poeta łaciński, Jędrzej Krzycki arcybiskup gnieźnieński. Wśród wspaniałéj plejady licznych znamienitości, które uświetniły panowanie Zygmunta Starego, taki rozgłos, jaki otoczył imię Krzyckiego, zjednać mogły tylko rzeczywiste i niezwykłéj miary talenta. Dał ich téż niezaprzeczone dowody jako dyplomata, sprawując kilkakrotne poselstwa zagranicą, jako pisarz — w pozostałéj po nim wielkiéj liczbie dzieł prozą i wierszem. Czy moralna wartość jego charakteru odpowiadała wielkim zdolnościom umysłu—różne są o tém mniemania. Zarzucano Krzyckiemu charakter zawistny, niepomiarkowaną rządzę wyniesienia się i nieprzebieranie w wiodących ku temu środkach; daléj, skłonność do intryg, złośliwe wytykanie innym wad, od których sam nie był wolnym, bo życie niekoniecznie wzorowe prowadził; wreszcie zjadliwy sarkazm, blisko z paszkwilem graniczący, którym prześladował wielu zasłużonych ludzi. Cóżkolwiekbądź, Krzycki był niepospolitą osobistością swego czasu. Jego wiersze, w znacznéj części nigdy niedrukowane, rozchodziły się w licznych odpisach i, jak się zdaje, były nader ważnym czynnikiem w nadaniu rozgłosu autorowi. Z upływem czasu, pokryło je zapomnienie. Pisano wprawdzie nieraz o Krzyckim, wymieniano jego dzieła, przytaczano treść ważniejszych utworów; na gruntowną jednak li-

racką ich ocenę zdobyć się nie mogliśmy. Praca profesora Zygmunta Węclewskiego, który dał nam już dawniéj studyum nad innym poetą łacińskim, Klemensem Janickim, wypełnia ten niedostatek naszéj literatury co do poezyj Krzyckiego (1).

Ze względu na treść, poezye te dzielą się na: 1) religijno-kościelne, tchnące wielką pobożnością; 2) historyczne (okolicznościowe); 3) pieśni erotyczne, w których przebija się zmysłowość, i 4) wiersze satyryczne, swawolne epigramata, forma których u Krzyckiego słabszą jest niźli w podobnych utworach Kochanowskiego i Janickiego. Poezye Krzyckiego mają rozmaitą miarę wierszową, co go wyróżnia od wspomnianych dwóch poetów, którzy stale używali wiersza elegicznego; nie wyrównał im za to pod względem lekkości i rytmiczności. Język jego, jak zauważył już spółczesny mu Stan. Górski, niezawsze zachowuje klasyczną czystość; w układzie, prostotę zastępuje erudycya; obrazowanie przeciążone jest zbytnim balastem mitologicznym. Z drugiéj strony, dr. Węclewski przyznaje poezyom Krzyckiego niepoślednią wartość, ze względu na rozrzucone w nich obficie różne szczegóły historyczne—na co się najzupełniéj zgadzamy; przyznaje im nadto trzy nader cenne zalety: szczerość, wolnomyślność i prawdomówność. Co do tego, sądzimy, iż wypadałoby zrobić pewne zastrzeżenie. To, że Krzycki, pisząc epigramaty, schłostał słusznie tego lub owego nie jest pono wystarczającym dowodem na to, że posiadał owe wielkie przymioty. Wszak wyszydzał głównie tych, względem których miał do niechęci powody; żeby zaś „wypowiadał śmiało o wszystkiém i o wszystkich swoje zdanie,“ jak to utrzymuje pan Węclewski, tego wcale nie widzimy. Sam autor w inném miejscu mówi o nim, że „palił Bonie kadzidła i przypisał przymioty, przez innych nieprzyznawane“ (243). Krzycki tyle niezaprzeczonych położył dla kraju zasług, że przyznawszy mu takowe w całości, nie potrzebujemy przyznawać nadto przymiotów, co do których wiele jest powodów do wątpienia. Bo i owo wdzięczne dla dobroczyńców serce, owe pochwały i hołdy cnotom zasłużonych mężów składane, w czémże się wyraziły? W pochwale dla Tomickiego, jego rodzonego wuja i tak doń przywiązanego, że sam nie przyjął ofiarowanego mu arcybiskupstwa, aby wyniesienie na tę godność siostrzeńcowi ułatwić; w pochwale dla Lubrańskiego, protektora, na dworze którego przebywał, którego dalszą łaskę

(1) O poezyach Andrzeja Krzyckiego napisał Z. Węclewski (Pamiętniki, tom I, 222—249.

skarbiąc, jak sam pan Węclewski przyznaje, nie w porę i nie w miejscu stosownem wielbił, a niesmacznym tym pomysłem ckliwą epokę późniejszych panegirystów nam przypomina. Hymny, wysławiające króla i obie, jednę po drugiéj, małżonki jego, należą do tego rodzaju faktów, z którego wyprowadzanie wniosków o szczerości poety, trochę śliską jest rzeczą. Zaiste, jeśli akt oskarżenia, który przeciw naszemu satyrykowi napisał Górski, trąci przesadą, sąd wyrażony w tegoczesnéj ocenie zbyt jest pobłażliwym (1).

Przechodząc poezye Krzyckiego w porządku chronologicznym, p. Węclewski przytacza najprzód udatny wiersz saficki treści erotycznéj wraz z pięknym swoim przekładem. Potém, wskazując na okoliczności życia poety, zarazem nadmienia po kolei o utworach wtedy pisanych. Długa „pieśń u grobu Św. Kaźmierza“ robi na nas wrażenie wymuszonéj oracyi, któréj ani duch pobożności natchnął, ani prawdziwe uczucie ogrzało; jest to panegiryk dla żywych i umarłych, w którym poeta podjął trudne zadanie połączenia w jedno modlitwy do niebian z komplementami dla dworu. Znalazło się tu miejsce i dla króla i dla niewieścich cnót jego żony, i dla Krzysztofa Szydłowieckiego. Ustęp o Szydłowieckim przytaczamy tu na próbkę, w wiernym przekładzie dra Węclewskiego:

„O to cię błaga nasz Krzysztofor z całym
Dworem, którego okrasą jest główną;
Krzysztofor, pierwsza ojczyzny ozdoba,
On który tobie wiernego Achata
Wciąż zastępował, o to błaga zbożnie
Za pana swego, ślub oddając tobie.“

Najszczerszym był może Krzycki w końcowym zwrocie do świętego:

„. . . . . . . Nieszczęsne zatargi
Uwieńcz zwycięztwem i napełnij brata
Twojego serce życzliwością dla mnie.“

---

(1) Tak np. na str. 227, prof. Węclewski powiada, że w uszczypliwych wierszach na Latalskiego „nie widzi wcale owego obscurum odium, owéj skrytéj nienawiści, którą, wedle Górskiego, miał Krzycki prześladować szczęśliwszego rywala“ (227). Pozwolimy sobie zrobić uwagę, że Górski charakteryzował w Krzyckim człowieka, nie zaś poetę wyłącznie; owe obscurum odium stosuje się niekoniecznie do pisania wierszy (które skrytemi nie były), ale raczéj do innych postępków (ob. str. 226).

Lepsze są z wielu względów elegie z powodu zwycięstwa odniesionego pod Orszą, a w rymowanéj z tegoż powodu kantylenie znalazło się kilka szczegółów historycznych. Przytaczając w oryginale i tłómaczeniu wiersz „do Kozienic,“ miejsca, w którém się urodził Zygmunt I, pan Węclewski prostuje w téj mierze błędy, znajdujące się w „Starożytnéj Polsce“ (II, 431). Do lepszych utworów Krzyckiego należy tren na śmierć Barbary Zapolskiéj, która na jego ręku skonała. Kanclerz zmarléj królowéj żywo uczuł tę stratę; przebolał jednak i, w trzy lata późniéj, śpiewał już pieśń weselną z powodu zaślubin Bony. Jest to najcelniejszy utwór poety, tak ze względu na układ całości i opracowanie szczegółów, jak co do poprawności języka. Mamy tu przedstawioną jéj treść i dokładny rozbiór. Nawiasem nadmienimy, że istotną przyczyną, dla któréj Krzycki, odstępując od zwyczaju, nie rozwodzi się w tym poemacie obszerniéj o wyprawionych na powitanie królowéj dygnitarzach, była najprędzéj ta okoliczność, iż w liczbie ich znajdował się Erazm Ciołek, którego poeta z całego serca, jak wiadomo, nie cierpiał. Bona niejednokrotnie potém jeszcze była przez poetę wysławiana wierszami. Zaburzenia w Gdańsku i pobyt Zygmunta w tém mieście dały powód Krzyckiemu do nastrojenia swéj lutni. Pan Węclewski przytacza dosyć zręczny wiersz, odnoszący się do téj okoliczności, poprzedziwszy go wstępem historycznym, opartym na rękopisie biblioteki Ossolińskich.

Inną, rzec można, seryą stanowią utwory Krzyckiego, wyszydzające Niemców i wyznawców nauki Lutra. Niemców nie lubił w ogóle,—i on to przeprowadził w senacie słuszny wniosek, aby kazania niemieckie z wielkiego kościoła P. Maryi w Krakowie przeniesiono do kościoła Św. Barbary. Luteranizm miał w nim żarliwego przeciwnika z pobudek religijnych i politycznych. W utworach téj kategoryi za wiele jest przesady, a za mało poezyi; natomiast szczere przywiązanie do kraju wszędzie w nich widnieje. Najdobitniéj uczucie to wyraża „skarga religii i rzeczypospolitéj,“ w któréj poeta żali się na upadek ducha publicznego i rozprzężenie obyczajów.

Na tym utworze kończy dr. Węclewski rzecz swoją o Krzyckim, przyznając, „że w długim szeregu ówczesnych rymopisów łacińskich niepoślednie zajmuje miejsce i że niewątpliwie jeden z pierwszych zasługuje na miano poety.“ Wiersze jego erotyczne i satyryczne, lubo odznaczają się dowcipem, a nawet ogniem poetyckim, musiały zostać w rozbiorze tym pominięte; w rękopisach bowiem pomięszane są epigramy różnych autorów, i prawie niepo-

dobna rozstrzygnąć na pewno, które z nich są rzeczywiście pióra Krzyckiego; zresztą, rozpasaniem swojém zbyt rażą dzisiejsze wymagania przyzwoitości.

Praca, z której zdajemy sprawę, jest pięknym dla historyi piśmiennictwa nabytkiem. Tylko zamiłowany w swym przedmiocie filolog mógł wybrać taki do badań przedmiot; tylko prawdziwy znawca języków i literatury starożytnéj mógł dokonać takiego zadania, które wiele trudności przedstawiało. Z jednéj strony, wypadało co chwila odgadywać i przywracać popsutym wierszom pierwotną postać, zgodną z przepisami prozodyi; z drugiéj strony, za pośrednictwem wiernego przekładu i stosownych objaśnień obznajomić dzisiejszego czytelnika z właściwościami rzeczy klasycznéj naszego poety. Dr. Węclewski wywiązał się z jednego i drugiego. Możnaby też powiedzieć, że fortuna, która sprzyjając Krzyckiemu w ciągu życia, wyniosła go na najwyższe w kraju dostojeństwo, zjednała przyjaźń takich mężów, jak Erazm z Rotterdamu, i poetycką otoczyła sławą,—że fortuna ta nie opuściła swego ulubieńca i po śmierci, dając mu w osobie p. Węclewskiego, krytyka utworów jego.

Pozwalamy sobie wskazać tu kilka dostrzeżonych uchybień.—*Praetorium* znaczy właściwie ratusz, ale nie pałac królewski, jak powiedziano na str. 245; *burgrabius* nie oznacza burmistrza, ale burgrabiego (244). Wyrażenie: „króla celującego wszystkich innych władarzy" (243), nie wydaje się poprawném,—mówimy bowiem: celować nad innych, wśród innych, między innemi.—Korybut Koszyrski, ów dowcipny trefniś, którego zjadliwe epigramy miał ogładzać Krzycki, nie zdaje nam się, żeby mógł być szlachcicem mazowieckim z ziemi sochaczewskiéj (223): i nazwisko i przydomek kazałyby w nim dopatrywać raczéj Wołyniaka.

Dr. Węclewski wziął także pewien udział (1) w pracy, o któréj z kolei mówić zamierzamy: jest to jedno z ostatnich pism zgasłego niedawno z wielką dla nauki szkodą Augusta Bielowskiego, poświęcone innemu naszemu poecie Szymonowi Szymonowicowi.

Krzycki i Szymonowic, obadwa pisali wiersze łacińskie; ale na tém ogranicza się całe ich podobieństwo. Krzycki z rodu Wielkopolanin, dziecię domu szlacheckiego, krewniak wysokich dygnitarzy, dworak a wkrótce i sam senator, uczestniczący w najważniejszych sprawach państwa, jest przedstawicielem epoki

(1) Wspomniał o tém Bielowski w Pam. Akad. II, 161, w nocie 1.

odrodzenia, w któréj wskrzeszone nauki klasyczne i sztuki piękne doznają opieki na dworach monarszych, szukających nowego, nieznanego przedtém rodzaju chwały i blasku w otaczaniu się gronem uczonych. Na przejściu z wieku XV do XVI, ruch naukowy interesuje, rzec można, tylko wyższe sfery społeczne; nie minęło jednak całe stulecie, a ruch ten stał się powszechniejszym, przeniknął głębiéj,—i oto znowu na przejściu z XVI do XVII wieku, w rodzinie mieszczańskiéj, pochodzącéj z Mazowsza, a osiedlonéj we Lwowie, ukazuje się poeta, oddany naukom w zaciszu domowém, wolny od żądzy wyniesienia się, stroniący od dworu, ale nieusuwający się od skromnéj a pożytecznéj pracy. Szymonowic, jako wierszopis łaciński, zyskał wiąkszą niźli Krzycki sławę: z właściwą téj epoce manierą, mówiono o nim, że jest jedynym swego wieku poetą, a wszyscy inni wierszokletami; zwano go półbożkiem, porównywano do Pindara. Polskie jego poezye, jeśli nie przyczyniły mu rozgłosu w Europie, za to zrobiły imię jego na długo popularném w kraju. Zasługi Symonidesa nie ograniczają się na tém. Z jego to ręki, jak się sam wyraża, wyszli znamienici uczeni, jak Jan Ursyn i Tomasz Drezner; pod jego kierunkiem wychowywali się zasłużeni obywatele, jak syn hetmana Tomasz Zamojski i Jakób Sobieski. W pierwotnéj organizacyi akademii w Zamościu Szymonowic przyjął najczynniejszy udział: sam dobierał profesorów, prowadził z niemi układy, urządzał drukarnią, wreszcie opatrzył znacznym funduszem. Człowiek uczciwy, skromny, uczynny dla bliższych i dalszych osób, Symonides, jest jedną z najsympatyczniejszych postaci w historyi literatury naszéj; i jeśli Krzyckiego cenić można, Szymonowic kochać się każe.

Wielu już (a między innymi Bielowski) kreśliło biografią Szymonowica; pomimo to, życie poety nie było dokładnie znaném: co do niektórych okoliczności ścierały się sprzeczne twierdzenia, z błędnych podań wyprowadzano mylne wnioski; a lubo W. A. Maciejowski uważa szczegóły życia za obojętne i niemające „żadnego wpływu na wyrozumienie dzieł poety“ (Piśmienn. polskie, I, 740), mniemamy przeciwnie, że ich lekceważyć nie wypada; że drobne na pozór fakta, mianowicie też w życiu poetów, mogą się przyczynić tak do wyjaśnienia utworów, jak do ocenienia wpływu pisarza na spółczesnych i następców. Tak się téż na ten przedmiot zapatrywał Bielowski, skoro w ciągu nieledwie lat trzydziestu zbierał zewsząd nietylko rozproszone lub całkiem nieznane pisma naszego poety, ale i różnego rodzaju materyały, mogące uzupełnić jego biografią.

Plon tych to długoletnich starań ogłoszony został w Pamiętniku Akademii (1). Mamy tu życiorys poety, przez spółczesnego, podobno przez jego siostrzeńca Kaspra Solskiego, ułożony; dalej obszerną korespondencyą, obejmującą 60 z górą listów Szymonowica do różnych osób sławnych i mniej znanych, oraz 18 listów pisanych do niego; za tém idzie ośm wierszy łacińskich i cztery utwory poetyczne popolsku. Następuje życiorys, ułożony przez Bielowskiego na podstawie zebranych materyałów; w końcu zaś dodane są dokumenta urzędowe, odnoszące się do Szymonowica i jego rodziny. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, zgromadzoném tu jest wszystko, co czas oszczędził.

Z zamieszczonych poezyj, najwięcej podobał nam się wiersz do Wacława Zamojskiego. Poeta domator, wyliczywszy jego rycerskie czyny, tak charakteryzuje żądzę sławy:

Rącze ma pióro sława, kto się puści za nią
Wszystkie przewagi, nawet i duszę ma tanią.

W innym wierszu, Św. Marya Magdalena opłakuje śmierć Chrystusa; poeta przedstawia jéj nieutuloną żałość, a potém z pełną prawdy prostotą oddaje nagłą zmianę w uczuciach Magdaleny, gdy zmartwychwstałego Jezusa w postaci ogrodnika poznała.

Ledwie Pan rzecze: Maryo! a ona
Weselem wielkiém wnet uweselona
Krzyknie: Raboni! mistrzu mój! mój Panie!
Ach me kochanie!

Rzuci się do nóg, już to i rękami,
Już, jako zwykła obfitemi łzami
Chce je ulewać; on się dotknąć broni
I rzecze do niéj:
Nie tykaj się mnie . . . .

Korespondencya Szymonowica, nie mówiąc już o tém, że zawiera nieobojętne dla dziejów wiadomości o stosunkach ogólnych ekonomicznych i obyczajowych, daje nam bliżéj poznać zacny charakter poety. Widzimy jakim był w sprawach domowych i rodzinnych, z kim żył, komu był przyjacielem. Poznajemy jakie zajmował stanowisko w ówczesnéj rzeczypospoliéj literackiéj, która

(1) Szymon Szymonowic przez Augusta Bielowskiego, II, 105—213.

łączyła jeszcze wszystkich uczonych zachodu w jedno wielkie bractwo, związane wspólnością języka, w którym utwory swe pisali, łaciną; a było to stanowisko wielce zaszczytne, o ile wnioskować można z owéj czci, któréj dowodów mu nie skąpiono. Z wielkim hetmanem Zamojskim łączyły go ściśle węzły przyjaźni, na wzajemnym szacunku opartéj. Nadmieniliśmy już wyżéj, jaką to czynną odegrał rolę Symonides przy założeniu akademii w Zamościu, jak się zasłużył, biorąc na siebie wychowanie hetmańskiego syna. Kiedy Zamojski szedł na daleką wyprawę, przyjaźń poety goniła za nim listami, w których już to wyrażał serdeczną troskę o szczęśliwy koniec wojny, już zawiadamiał o pogłoskach, biegających po kraju, a dotyczących wodza zbliska. Hetman nawzajem obsyłał listami poetę. Jeden z tych listów swym układem, stylem i lakonizmem żywo nam przypomniał sławne napoleońskie odezwy (str. 112). W korespondencyi poety godzien uwagi mianowicie list, w którym wyłuszcza Zamojskiemu swe poglądy na właściwą metodę wychowania dziecięcia znakomitego domu (132—133). Śmierć hetmana przeszyła serce Symonidesa wielką i szczerą boleścią. Jak w sprawach publicznych zrobiła ona wyraźny przełom, po którym losy rzeczypospolitéj weszły na fatalną koléj wewnętrznego nieładu, tak i w szczuplejszym zakresie stosunków prywatnych widać, że wszędy wielkiego człowieka nie stało. Ton listów Szymonowica nagle się zmienia (145). Póki żył hetman, widzieliśmy poetę pełnym otuchy, ciągle czynnie zajętym w różnorodnych kierunkach, rzec można, niezmordowanym. Teraz ogarnia go jakieś zniechęcenie; widok zgrai ludzi podejrzanéj cnoty, zbiegających się około młodziuchnego dziedzica, usposabia go do pesymizmu. Oparł się jednak zwątpieniu i nie przestawał pełnić gorliwie swych wychowawczych obowiązków. Nic piękniejszego, jak jego stosunek do młodego Tomasza, nad którym czuwał najtroskliwiéj i nieledwie zastępował zmarłego ojca. Uczeń odpłacał mistrzowi miłością, zaufaniem i szacunkiem. „Nigdy nie zapomnę, pisze Tomasz z Paryża, trudów, jakie podjąłeś wychowując mnie i od młodych lat kształcąc w naukach pięknych, nie ma bowiem nikogo, komubym z tego względu więcéj, niźli tobie zawdzięczał" (153). W korespondencyi pełnéj naturalnego wdzięku, malują się obie te piękne dusze tak ujmująco, że mocno żałować przychodzi, iż tych listów więcéj nie mamy (145—147; 153—154).

Pochwaliwszy co się nam wydało godném zalety, nie możemy zataić jednéj okoliczności, w któréj Szymonowic ukazuje się w mniéj pochlebném świetle. Mamy tu na myśli nie ów zabawny proces z Tomaszem Zamojskim, nad którego objaśnieniem zby-

tecznie podobno kłopotał się Bielowski (192-193), gdyż i upór starca i względy prawnicze łatwo nam go wytłumaczyć mogą, jeno list Szymonowica, w którym żądającemu odeń rady synowi hetmana zaleca neutralność polityczną (150-151). Opowiadając życie poety, Bielowski przytacza wyjątki z tego listu i kreśli obraz zamięszania krajowego, z powodu którego mistrz dawał takie rady uczniowi (188-189); na moralną jednak stronę tych rad czy nie zwrócił uwagi, czy nie chciał zganić zacnego zkądinąd człowieka, dosyć, że zbył ją milczeniem. Naszém zdaniem, listów wymagał poważnego rozbioru. W całym kraju rozpasała się burza, niszcząca na razie, groźniejsza niebezpieczeństwem w przyszłości. Skonfederowane wojsko, wróciwszy z Moskwy, dopuszczało się gwałtów, szerzyło spustoszenie i przywłaszczało sobie charakter jakiéjś publicznéj władzy, z którą sejm musiał wchodzić w układy, rozbijające się o nadmierne pretensye zuchwalców. A jednocześnie inna chmura zagraża z południa, bo w skutek klęski, poniesionéj przez Stefana Potockiego, Ukraina, Podole, Pokucie, stanęły otworem dla najazdu Turków i Tatarów. I w takiéj chwili, któréj rzeczywistą grozę dobrze rozumie, Szymonowic doradza neutralność i wyczekiwanie. „Sejm, powiada, „pokazał czego się lękać i obawiać mamy, Komisya ostatek wywrze i wodze temu złemu rozpuści. Wolnym, wolnym i gotowym tedy potrzeba być na wszystko". Zapewne! Bezpieczniéj trzymać się téj drogi, łatwiéj ustrzedz w ten sposób wielką fortunę hetmańską od szkody,—lubo i to zawieść mogło. Czy wszelako tę drogę wskazywał obowiązek obywatelski, czy dziedzic wielkiego imienia, pan obszernych włości, po niéj winien stawić pierwsze kroki swego publicznego zawodu,—o tém niema mowy. Inaczéj na to patrzał, inaczéj czuł, inaczéj działał Żółkiewski. Zbuntowane wojsko radził siłą pokonać, a gdy zdania tego nie przyjęto, ruszył na obronę kresów, „zwołując do swego obozu prywatne zaciągi". Młody, bo dwudziesty rok dopiéro liczył, Zamojski pyta o radę mistrza; a mistrz, zamiast niepewny umysł młodzieńca ukrzepić i do spełnienia powinności zachęcić, prowadzi go na manowce pospolitéj ostróżności i egoizmu. „Patrząc na burzą tych czasow, która w dobre obrócić się koniecznie nie może, ale abo nas do zguby, abo do odmiany, abo do krwie domowej, abo do wszystkiego tego razem popędzi, rozumiem, iż potrzeba nietylko ciężarów i obowiązków żadnych na się nie brać, ale owszem we wszystkiem jako nasposobniéj się ulżyć i w takim kroku stać, z którego by na każdą stronę *powrota* być mogła" Przemądrą tę maksymę, wprawdzie nieraz stosowaną z powodzeniem w za wikłaniach dyplomatycznych między państwami, w czasach póź-

niejszych praktykowano systematycznie, wiadomo z jakim skutkiem. Myśl, zajęta zabezpieczeniem owéj „powroty na każdą stronę", zdradza w Szymonowicu większą troskliwość o interes jednéj rodziny, aniżeli o sprawę całego państwa; pokazuje, że nie wyrobił w sobie świadomości, gdzie w ówczesnych zawikłaniach szukać należało ocalenia; że nie miał, podzisiejszemu mówiąc, żadnego programatu politycznego. Cały tedy rozum skierowany na zabezpieczenie „powroty", aby „zrazu się nie wysilając, i owszem na ostatni raz chowając się" (do lepszych czasów—jak późniejsza mądrość dodawać zwykła) „iść za inszymi i partem potiorem et tutiorem ścigać", Smutne to, zaprawdę, *credo.* Na obronę poety przytoczyć można chyba to, że rady jego były istotnie szczere: jak rozumiał, tak radził. Nie jego to może było winą, że spędziwszy większą połowę wieku w ciasném kółku życia domowego, nie przyuczył się zapatrywać z podnioślejszego stanowiska na sprawy publiczne, od których go i spokojne usposobienie i pozycya społeczna usuwały. Zresztą przykład szedł z góry; i przestajemy się dziwić niedawno nobilitowanemu mieszczaninowi, widząc jak senator, „wierna rada króla IMci", wedle urzędowego wyrażenia,— w obec klęski publicznéj, troska się o swoje „parę skrzyń", jak czyni starania, aby one skrzynie przyjęto na schówek „do skarbcu w Zamościu", jak po kilkakroć zaleca „aby to cicho sprawiono, aby nikt o tém nie wiedział" (str. 149, list Ostroroga wojewody Pozn.)

Z innych pism, zasługuje na wzmiankę długi list Stanisława Reszki z Neapolu, w którym zachęcając Symonidesa do zwiedzenia Italskiéj ziemi, wskrzesza liczne wspomnienia starożytności klasycznéj, do różnych miejsc półwyspu przywiązane, i daje mu w ten sposób przedsmak przyjemnych wrażeń, jakie ta podróż obiecuje poecie (120-126).

O wartości pożytecznéj pracy Bielowskiego czytelnik z powyższego przedstawienia powziął już wyobrażenie; zresztą, sumienność zmarłego autora powszechnie jest znaną. Pozostaje nam dodać jednę tylko uwagę. Z powodu nobilitacyi Szymonowica w r. 1590, Bielowski powiada, że poeta wpisany został „w poczet szlachty pod imieniem Szymona Simonidesa Bendońskiego", i domyśla się, że przydomek „Bendoński" uformowany został od Bendonia, łacińskiéj nazwy Będzina, gdzie właśnie zawartą w poprzednim roku ugodą uwieńczony został najświetniejszy czyn hetmana Zamojskiego, t. j. pojmanie Maksymiliana (180). W zbiorze znowu dokumentów, dyplomowi nobilitacyjnemu daje taki zagłówek: „Szymonowic wyniesiony w stan szlachty, otrzymuje herb Kościesza i przydo-

mek Bendońskiego" (199). Przeczytaliśmy cały ten przywilej, lecz nie znaleźliśmy w nim żadnéj wzmianki o nadaniu jakiegokolwiek przydomku. Nawet w późniejszym o ośm miesięcy dyplomie, w którym Zygmunt III mianuje Szymonowica poetą królewskim, nazywa go tylko „Simon Simonida Leopoliensis, a co dziwniejsza, że przyznając mu prawo zapisywania się w księgi obywatelskie każdego miasta i wyzwalając z obowiązku sprawowania funkcyj obieralnych miejskich, za jedyne motywum tego przywileju przytacza jego poetyckie zajęcia, wymagające spokojności, o szlachectwie zaś zamilcza i nie daje mu epitetu *generosus*. Sam Szymonowic podpisał się raz tylko Bendońskim i to dopiéro w r. 1614.

Nil novi sub sole. Wbrew pesymistom, którzy radzi w naszych szczególnie czasach dopatrywać rozmaitych oznak wyraźnego upadku moralności, mniemamy, że teraźniejszość nic tak dalece przestraszającego nie przedstawia, że i w bardzo odległéj starożytności napotkać można zjawiska dziwnie zbliżone do tego, co ma stanowić szczególną cechę mniemanego zepsucia dzisiejszych ludzi. Tak, naprzykład, słyszéć się dają głosy, że zawód autorski dawniéj był niby pewnego rodzaju kapłaństwem, a obecnie zniżył się do fabrykacyi rzemieślniczéj. Nie wchodząc w rozbiór drugiéj połowy tego twierdzenia, zaprzeczamy pierwszéj; widzimy bowiem, że już w klasycznéj Grecyi, w najświetniejszym okresie umysłowego jéj rozwoju, nie brak było między piszącymi plagiatorów, przekupniów i partaczów, goniących za mało godziwym zarobkiem. Uczniowie boskiego Platona, który nauczał, że chciwiec, nieuznający wyższego dobra nad pieniądze, poniża swoję duszę,—prowadzili na wielką skalę korzystny handel dziełami mistrza. Plato utrzymywał, że trudno pogodzić wielkie bogactwa ze sprawiedliwością: zysk bowiem sprawiedliwy i sumienny, o połowę jest niższy od niesprawiedliwego (Prawa V). Uczniowie jego tak mocno wzięli do serca nie naukę, lecz argument, że nie chcąc poprzestać na zysku połowicznym, wydawali własne utwory, naśladujące dzieła mistrza, pod jego imieniem; a fabrykacya tak zręcznie była prowadzona, że już uczeni aleksandryjscy mieli niemały kłopot w odróżnieniu prawdziwych dzieł Platona, od utworów podrobionych. W bieżącym stuleciu, kwestya autentyczności dyalogów platońskich nanowo została poruszona, głównie za powodem Schleiermachera. Obfita w tym względzie literatura niemiecka przedstawia najrozmaitsze zdania: dwudziestu siedmiu uczonych występowało, różnemi czasy na pole dyskusyi, walcząc z większém lub mniejszém powodzeniem. Wprawdzie Hegel, owa największa niegdyś śród filozofów powaga, oświadczył z góry, że „osądzenie autentyczności i rozkład wszyst-

kich rozmów są niepotrzebne dla filozofii i należą do zbytecznéj krytyki naszych czasów;“ ale, według słów Apostoła, spiritus flat ubi vult: głos filozofa berlińskiego przebrzmiał bez echa, a walka toczyła się daléj. Obecnie powiedziéć można, że pytanie to rozwiązane już zostało w ogólności; w szczegółach jednak, mianowicie co do dyalogów mniejszych, które nie były dokładniéj rozbierane, wiele jeszcze wątpliwości zachodzi. W ich rzędzie mieści się dyalog, noszący nazwę „Hippias większy,“ którego rozbiór znajdujemy w „Pamiętniku Akademii.“ (1) Dr. Samolewicz obrał go sobie za przedmiot rozprawy nietylko dla tego, że uczeni w ocenianiu jego nie są dotychczas z sobą w zgodzie, lecz także z tego powodu, iż bez względu na kwestyonowaną przez wielu autentyczność, nasuwa on prócz tego wiele pytań, mających ogólniejsze znaczenie w krytyce pism platońskich.

Na podstawie świadectw starożytnych nie da się nic pewnego wyrzec na poparcie lub odrzucenie autentyczności Hippiasa większego; autor więc w saméj treści dyalogu szukać musiał kryteryum do rozwiązania kwestyi. W dyalogu tym toczy się rozmowa między Sokratesem, a chełpliwym sofistą Hippiasem z Elidy. W samym jéj początku wydaje się, jakoby przeciwnicy chwilowo zamienili się na role, gdyż pierwszy walczy sofizmatami, co według naszego autora, niekoniecznie dobre sprawia na czytelniku wrażenie. Uderza również i to, że Sokrates mija się z prawdą, twierdząc, jakoby starzy mędrcowie, Pittakos, Bias i Thales, oddawali się wyłącznie nauce, a wstrzymywali od zajmowania sprawami publicznemi. Łubo usterki tego rodzaju zdarzają się niekiedy u Platona, wszelako podobna niedokładność, użyta na samym wstępie rozmowy, jako środek rozumowania, zbyt razi niezręcznością. Przedmiotem dalszéj rozmowy jest określenie piękna. Sokrates udaje, że niby pewien człowiek zapytywał go, co jest piękno, a mędrzec ateński nie umiał odpowiedziéć; prosi tedy Hippiasa, ady go w tym względzie oświecił; by zaś lepiéj mógł rzecz zrozumiéć, przyjmie na siebie rolę owego człowieka i będzie sofiście czynił zarzuty. Hippias zbyt dobrze o sobie trzyma, aby się miał usuwać od rozprawy, przyjmuje zatém wyzwanie. W dyalogu odtąd można rozróżnić dwie części: w pierwszéj Hippias daje określenia piękna, zdejmując takowe z przedmiotów zmysłowych, i widoczna, że zadanego sobie pytania nie rozumie; w drugiéj części Sokrates występuje z określenia-

(1) Studia Platońskie przez D-ra Zygm. Samolewicza. I. Hippias Większy (Pamiętn. I, 1-23).

mi oderwanemi. Autor nasz wykazuje, iż całe rozumowanie, włożone w usta Sokratesa, „jest nadzwyczaj słabe, sofistyczne i niezupełne", czego chyba tylko Hippias, prowadzony na pasku dyalektyki sokratesowskiéj, nie spostrzega; że wystawiwszy z kolei różne pojęcia piękna, skoro na nie Hippias przystaje, stary mędrzec zbija jedno po drugiém, ale niedostatecznie lub sofistycznie; że celem rozmowy zdaje się raczéj wyszydzenie zarozumiałości sofisty, a nie rzetelne poszukiwanie prawdy; i zamyka to zdaniem, ogólnie zresztą przez wszystkich uczonych przyjętém, że dyalog ten nie należy do liczby najudatniejszych „lecz owszem nasuwają się w nim co chwila .... rozmaite wątpliwości, niepewności, okazują się liczne usterki", które, stosownie do stanowiska zajętego przez badaczów, uniewinniane są albo potępiane.

Dr. Samolewicz rozbiéra następnie charakterystykę osób uczestniczących w dyalogu i utrzymuje, że tak rozgłośny i wpływowy sofista, jak Hippias, mający wykształcenie wszechstronne, choć może nie bardzo gruntowne, wystawiony jest przesadnie, bo tak naiwnym i ograniczonym, że głupota jego staje się nieprawdopodobną. Słynny sofista, dla którego publiczne mowy i wykłady były zwyczajném zajęciem, który w tym celu odbywał liczne podróże, nie mógł być w żaden sposób tak tępym. Hippias ani czuje ironii, któréj mu Sokrates nie szczędzi, ani dostrzega jawnych sofizmatów przeciwnika, owszem biernie przyzwala na wszystko; gryzący sarkazm odbija się bezskutecznie od twardéj powłoki jego niedomyślności. Przytém, charakterystyka nie jest w dyalogu przeprowadzoną konsekwentnie: sofista, którym Sokrates kierował ciągle jak maryonetką, „naraz z samodzielném twierdzeniem występuje, a odpierając śmiało przeciwnika, daje mu ostrą odprawę". Z drugiéj znów strony, rubasznie rozprawiający Sokrates nie jest wcale owym idealnym mędrcem, który w innych dyalogach, walczy wprawdzie niekiedy ironią, ale nie mija się nigdy z prawidłami delikatności towarzyskiéj, nie razi nigdy szorstkością i, pamiętny na własną godność, zachowuje względy winne tym, których uznał za przeciwników, godnych walki. Przyznać trzeba, że dyalog daje istotną podstawę tym zarzutom; mniemamy jednak, że sprzeczności wytknięte w postępowaniu Hippiasa, zarówno jak pewne rysy rażące w Sokratesie, mogą znaleść poniekąd wyjaśnienie w charakterze pierwszego, panującą cechą którego jest upojona swą rzekomą wielkością zarozumiałość. Pominąwszy pewną przesadę, jakiéj sobie autor dyologu pozwolił, iluż to podobnego gatunku Hippiasów znajdziemy żyjących, rozgłośnych, wpływowych? Samochwalstwo i pewność siebie, niemię-

szająca się niczém, nawet własną niekonsekwencyą, znająca słabe strony bliźnich i umiejąca je wyzyskiwać, po wszystkie czasy znajdowała powodzenie u tłumu, któremu pozory zawsze imponują. Czyś się zastanawiał Kalliasie, pyta Sokrates bogatego obywatela ateńskiego, nad wyborem nauczyciela dla twych synów? Gdyby ci się parę młodych koni lub bydląt urodziło, poszukałbyś dla nich człowieka, któryby je wychował jak należy, to jest jakiego woźnicę lub pasterza. Czy znasz takiego, który wié wszystko co człowiekowi i obywatelowi przystoi? Znam, odpowiada Kallias: jest nim Erenus z Paros, bierze po pięć min (500 drachm). W społeczeństwie, które wartość nauk ocenia wedle wysokości myta, płaconego nauczycielowi, Hippiasy muszą być nie rzadkiém zjawiskiem. Lubo więc, ze względów artystycznych i filozoficznych, dyalog niekorzystnie odbija od innych utworów Platona, prawdy psychologicznéj nie śmiemy Hippiasowi odmówić; owszem, w charakterze sofisty znajduje się, jak mniemamy, usprawiedliwienie owéj złośliwości i pastwienia się nad nim Sokratesa: czuć w tém pogardę, ale i nienawiść, jaka gnieździć się musiała w sercu platończyka dla nędznych moralnie Hippiasów. Wspanialej i idealniéj może wyglądałyby pogoda i umiarkowanie platońskie, ale tamte uczucia są bardziéj realnie ludzkie. Chętnie więc piszemy się na zdanie Munka, że dyalog ma na celu wykazanie praktycznéj szkodliwości kierunku sofistycznego. „Płytka znajomość wielu rzeczy, frazes zamiast treści, szukanie we wszystkiém własnego zysku i dążenie do pięknéj formy bez względu na wewnętrzną wartość; a do tego przekonanie, że jakóby szczęście prawdziwe polegało tylko na potędze, pieniądzach i używaniu roskoszy—oto były błędy społeczne, przeciw którym, według Munka, Sokrates podejmuje walkę“.

Układowi dyologu dr. Samolewicz zarzuca, że przemawianie Sokratesa w imieniu i słowy jakiegoś nieznanego człowieka—jest pomysłem chybionym, a zresztą nie wytrzymanym stale. Sokrates zapomina się chwilami i przemawia czasem wprost od siebie; w słowach jego zachodzą miejscami sprzeczności. Wszystko to przypisać należy niewprawności autora, a błędów takich nie dostrzegamy u Platona. Następnie p. Samolewicz dowodzi, że autor dyalogu wytknął sobie za jedyny cel wyszydzenie sofistów, zdania zaś uczonych, którzy wskazują inne jeszcze cele—jak wyjaśnienie idei piękna, walkę przeciw kierunkowi sofistycznemu—rozebrawszy krytycznie, odrzuca. Zdanie nasze w téj mierze wypowiedzieliśmy wyżéj. — Nietylko co do piękna, ale i w innych przedmiotach, dyalog nie wyraża żadnéj nowéj myśli, ogranicza

się powtarzaniem tylko zdań rozrzuconych po innych dyalogach. Autor skrzętnie je wybrał i zestawił przed czytelnikiem; z ich zaś mnogości, równie jak z wyrazów i zwrotów u Platona nienapotykanych, któr już dawniéj Ast wskazał, wyprowadza ten wniosek, że dyalog niebędący utworem samodzielnym, jeno zlepkiem myśli platońskich, zlewkiem bez planu i całości, jest dziełem autora, znającego wprawdzie naukę platońską, ale takiego, który ani formą dorównał mistrzowi, ani myśli jego rozwinąć potrafił. Byłżeby to utwór Platona w wieku jeszcze młodocianym pisany, jak sądzą Stallbaum i Steinhart? Autor nasz zbija to przypuszczenie: w dyalogu Hippias widać zupełnie już sformowaną doktrynę o ideach, tak jak ją znajdujemy w późniejszych pismach Platona; Hippias po nich dopiéro mógł być napisany, a gdy pod względem treści i formy niesłychanie stoi od nich niżéj, niepodobna więc przypuścić, aby był utworem pisarza, który poprzednio stworzył arcydzieła. Hippias większy przeto nie może być dziełem Platona.

Lingwistykę reprezentuje w „Pamiętniku“ wzorowa praca dra Lucyana Malinowskiego, w któréj podał tekst „Modlitw Wacława“ i gramatycznie one rozebrał. Krytyczne ocenienie téj pracy zamieściło „Ateneum“ z roku zeszłego (tom III, str. 679), tam więc ciekawego czytelnika odsyłamy.

St. L.

Cudzoziemcy w Polsce przez Ksaw. Liskego. Lwów 1876. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1876. 8-ka str. 342.

Autor zamierzył wydawać relacye i notatki z podróży po Polsce cudzoziemców, już to ukrywające się dotychczas w rękopismach, już to wyjęte z dzieł dawnych, mało dziś znanych lub zapomnianych. Zbytecznem byłoby rozszerzać się o têm, jak ważny to materyał dla historyka i badacza obyczajów, a to pomimo stronniczych poglądów i uprzedzeń, któremi w zapatrywaniu się swojém na Polskę kierowała się większość podróżników cudzoziemskich. W niniejszéj seryi pierwszéj, po któréj mają nastąpić dalsze, mieszczą się przekłady i streszczenia relacyi pięciu podróżników Niemców, którzy zwiedzali Polskę w epoce od XV do XVIII wieku. Najdawniejszym z nich, którego pracę znajdujemy na czele, był Liboryusz Naker, sekretarz wielkiego mistrza krzyżackiego Jana Tiefena, który z mocy traktatu toruńskiego, jako lennik polski, stawił się ze zbrojnym pocztem na wezwanie Jana Olbrachta, ażeby

wziąść udział w jego wyprawie przeciwko Turkom i Wołoszy r. 1497 Naker towarzyszył mistrzowi w całym jego pochodzie z Królewca aż na brzegi Dniestru, a gdy choroba zmusiła mistrza z częścią oddziału powrócić do Lwowa, gdzie wkrótce umarł, Naker zostawał przy osobie mistrza, aż do jego śmierci, i przewiózł następnie jego zwłoki do Królewca. Reszta oddziału krzyżackiego, około 140 ludzi, ucierpiała mocno w znanéj bitwie bukowińskiéj, gdyż w odwrocie wojska polskiego, krzyżacy stanowili właśnie jego straż tylną. Był to pierwszy i ostatni wypadek spółdziałania krzyżaków z wojskiem polskiém. Wprawdzie sama wyprawa szczupłego oddziału krzyżackiego nie stanowiła jeszcze wielkiego faktu dziejowego i, w oczach naszych, mało zasługuje na opis tak obszerny, znajdujemy tu jednak nieco nowych skazówek co do polityki Jana Olbrachta względem Turków i Krzyżaków. Naker z goryczą mówi o lekceważącém postępowaniu króla, który nie dawał mistrzowi wyraźnych instrukcyj, nie wezwał go do siebie i trzymał w bezczynności około miesiąca pod Haliczem; skarży się także sekretarz na niesumienność i obłudę urzędników królewskich, na niesforność szlacheckich oddziałów, z któremi w drodze Krzyżacy nieraz się waśnili, wreszcie na skąpstwo króla i wielkie wydatki przez mistrza na utrzymanie swego oddziału z własnéj kieszeni ponoszone— ale trudno do tego wszystkiego przywiązywać bezwzględną wiarę. P. Liske, jak się zdaje, we wszystkiém wierzy ślepo Nakerowi i nie poddał krytyce jego wiadomości, co może dałoby się wykonać przy pomocy innych, choć szczupłych z tego okresu, źródeł historycznych. Możemy podzielać jego sympatyą dla sędziwego mistrza, który chciał spełnić obowiązek rycerski walczenia z niewiernymi i utracił życie, choć nie na polu walki, ale śród niewygód pochodu; ale żeby postępowanie Jana Olbrachta z Tiefenem było powodem wyłamywania się jego następców od hołdu Polsce— temu na słowo, bez dowodów, uwierzyć trudno: mistrze nigdy szczerze Polsce nie służyli i wątpliwą, w dziedzinę niepewnych hipotez wkraczającą jest ta nieuzasadniona uwaga autora. Relacyą Nakera wziął p. Liske z Töppena Scriptores rerum prussicarum.

Drugim zabytkiem, jeszcze ciekawszym i daleko ważniejszym od pierwszego, jest relacya Ulryka Verduma z podróży po Polsce, odbytéj w 1670, 1671 i 1672 r. w towarzystwie księdza Paulmiers, agenta francuskiego, wysłanego w tym celu, ażeby przyprowadzić do skutku detronizacyą Michała Korybuta i osadzić na tronie polskim ks. Longueville. P. Liske wziął ten zabytek z pisma zbiororowego, wydawanego przy końcu XVIII w. przez Bernoullego p. t. Archiv zur neueren Geschichte etc. Ważny to przyczynek

do dziejów intryg francuskich, o których posiadamy jeszcze niedość dokładne wiadomości. Głównym źródłem w tym przedmiocie były dotychczas listy Sobieskiego do żony, wydane przez Helcla; fakta, podane przez Verduma, nie były znane historykom, którzy dopiéro od r. 1860 dowiedzieli się o istnieniu ks. Paulmiers: wtedy bowiem wyszły w Paryżu pamiętniki margrabiego Pomponne, w których znajduje się wzmianka o tym agencie. Wspominali więc już o nim Mosbach w czasopiśmie Bibliot. Ossol. 1864 r. i Morawski w IV t. swojéj historyi, ale i oni relacyi Verduma nie znali: dokładniéj była znaną działalność poprzedniego agenta, nazwiskiem Akakia. Mianowicie stosunek Sobieskiego do sprawy ks. Longueville dokładniéj przedstawia się w notatkach Verduma. Teraz już nie ulega wątpliwości, że detronizacya Michała była już urzędownie postanowioną w czerwcu 1672 r., i to przy czynnym udziale Sobieskiego: wyprawiono już do pretendenta potrzebne uchwały i wezwania od magnatów, rycerstwa i szlachty; wszystkiemu jednak przeszkodził niespodziewany zgon ks. Longueville, zabitego właśnie w tym samym miesiącu na wojnie w Niderlandach. Ks. Paulmiers, przebierając się rozmaicie i zmieniając nazwisko, trzy razy przejechał wzdłuż całą prawie Polskę, od Gdańska do Chocima, nieustannie intrygując na wszystkie strony, sypiąc pieniędzmi i obietnicami. Szczególniéj gonił wszędzie za Sobieskim i głównie starał się o to, ażeby wciągnąć do spisku rycerstwo, które dotychczas było wierne królowi Michałowi. Usiłowania zręcznego agenta zostały uwieńczone skutkiem, i projekt detronizacyi króla powiodło mu się przeprowadzić pod bokiem królewskim, w stolicy państwa i w czasie odbywającego się sejmu; w ostatnich czasach swego pobytu zaopatrzył się nawet w list polecający z podpisem samego króla, wydany mu, jako inżynierowi pod zmyśloném nazwiskiem. Dowiedziawszy się o śmierci pretendenta, ks. Paulmiers, wraz z Verdumem, cichaczem umknęli z Warszawy do Gdańska. Relacya Verduma jest bardzo obszerną i szczegółową, a spostrzeżenia i uwagi jego są wszechstronne, jakkolwiek zabarwione wyraźną niechęcią dla Polaków. W osobnym rozdziale, p. t. „Rząd, religia i urządzenia w Polsce“ mówi o władzy króla polskiego i przypominając słowa Batorego „rex tantum valet quantum pollet ingenio“ (król tyle znaczy, ile posiada rozumu), dowodzi, że, nawet przy ograniczonéj władzy, mądry król wiele może odnieść korzyści ze swoich prerogatyw. O religii katolickiéj, o cudach i nabożeństwie, będąc sam protestantem, mówi z szyderstwem. Uważa, że Polacy są silnie zbudowani i wysokiego wzrostu, a choć dzieci wychowują nieuważnie, jednak ułomnych pomiędzy nimi niewiele.

O charakterze polskim tak mówi: „na zręczności rozumu Polakom nie zbywa; są jednakże lekkomyślni i zmienni i różnym rozpustom zbytecznie oddani. Gdzie mają w tém interes i są słabszymi, umieją postępować bardzo pokornie i układnie; gdzie zaś natrafiają na słabą stronę i zapanują, stają się hardymi, zarozumiałymi i okrutnymi, tak że „aut humiliter serviunt aut superbe dominantur" (albo uniżenie służą albo dumnie panują).

„W zwykłém życiu i towarzyskiéj rozmowie, powiada daléj, używają tak dużo komplementów i pochlebstw, jak może żaden inny naród, a nie ma ulicznego żebraka w Polsce, któryby był tak nędzny, żeby go dzieci jego nie zwały Panem Ojcem, a żonę jego Panią Matką. Największe pieszczoty w słowach i gestach znajdziesz na Rusi, zwłaszcza u kobiet. Dla tego mówią Polacy sami, że we Lwowie mieszkają tak piękne, delikatne i zwodnicze niewiasty, jak zresztą nigdzie na kuli ziemskiéj. Spotkałem tam sam dzielną kobietę, która umiała mi powiedziéć zręczny komplement w łacińskim języku. Zresztą, mówi daléj, jest naród polski niedbały i leniwy, który tylko najniezbędniejsze grunta uprawia, a resztę odłogiem zostawia. Ztąd wynika, że większa część ich domów i kościołów zbudowana jest z drzewa, choć posiadają obficie tak łamane kamienie, jak i dobrą glinę na cegły. Chłopi po większéj części siano swe zostawiają na wiatry i słoty w kupach na łąkach, aż im go zimą potrzeba, wtedy je dopiéro już w śniegu zwożą do domu. Zaznacza daléj, że Polacy nie zasadzają ogrodów; mają tylko śliwki i inne owoce, które same rodzą się, bez żadnego starania. Podziwia obfitość jarzyn i szczegółowo opisuje buraki, widać sobie przedtém nieznane. Dziwi się obfitości jadła: obiad ma zwykle 10, 15 albo 20 potraw i każdą podają oddzielnie, jednę za drugą (za granicą zwykle dają wszystkie razem). Taniość żywności była podówczas wielką: w Mławie za 80 funtów mięsa płacono talara. Powiada daléj podróżnik, że Polacy jadają tłusto i słono i dla tego zapewne tyle piją. Utrzymuje, że pijaństwo jest rozpowszechnione i między kobietami; o wódce mówi, że najgorszy jéj gatunek pędzą z pokrzywy. O paleniu tytuniu mówi, że wówczas mało jeszcze było upowszechnioném—chyba między rzemieślnikami i żołnierzami; daleko już więcéj zażywano tabakę—niektórzy nawet ją żują. O ciekawości Polaków tak mówi autor, nie bez trafności wyprowadzając ją z próżnowania. „Ponieważ Polacy niechętnie pracują, wynika z tego, że chętnie słyszą co nowego, a gdzie spotkają podróżnego, zaczepiają go pytaniami, albo zmuszają go z sobą do karczmy i badają, czyby od niego nie mogli się dowie-

dzieć czego nowego.“ O pochopności przodków naszych do bójki tak prawi: „przy hojnéj napitce przychodzi u nich często do bójki, przyczém szabla musi walnie błyskać. Uchodzi u nich za rzecz bardzo zaszczytną być naznaczonym na twarzy bliznami i szramami, jak to już Klaudyan (poeta łaciński) zauważył u Getów przed 1000 przeszło lat.“ Mówi daléj podróżnik, że oprócz chustki do nosa, Polacy wówczas żadnego innego płótna nie używali (?). Opisując ubiór Polaków, wspomina, że futra noszą chętnie, nawet w lecie, i że szlachta używa przeważnie koloru niebieskiego. Wspominając o niewoli chłopów, mówi, że szlachcic za zabicie chłopa płaci tylko 7—8 talarów. Następnie, z wyraźnym pesymizmem, powiada, że w Polsce kwitną w najlepsze wszelkie najokropniejsze zbrodnie (które wylicza), i że za pieniądze wszystko uchodzi. „Co do klątw i przysiąg,“ dodaje, „używa ten naród tak wstrętnych i bluźnierczych, że włosy na głowie stawają.“ Chwali tylko urodzajność ziemi i zdrowy klimat polski. W szczegółowym opisie niektórych gatunków ryb polskich, podróżnik chciał nieco uchodzić i za naturalistę: powtarza baśni ludowe, jak np. o piskorzach, które wrzekomo połknięte przez kaczkę, pokilkakrotnie wydobywają się z wnętrzności tego ptaka, a ususzone palą się tak dobrze, że bywają zamiast świéc używane.

Oprócz tego specyalnego rozdziału, w saméj relacyi Verduma znajdujemy także rozrzucone tu i owdzie szczegóły obyczajowe. Tak w jedném miejscu (str. 106) przytoczono przesąd, że w dzień Wielkiéjnocy należy iść spać bez światła, gdyż inaczéj nie urodzi się zboże; gdzieindziéj z przekąsami opowiada podróżnik, że w Łowiczu o mało nie poturbowano go czynnie razem z jego panem, za to, że w sobotę jedli sér; w kilku miejscach złośliwie prześmiewa upodobanie Polaków do używania w rozmowie języka łacińskiego, i powiada, że chodzi im tylko o płynność nie zaś o składnię i sens, i przytacza przykłady takiéj kuchennéj łaciny. Marszrutę wszędzie zapisuje starannie i szczegółowo, nie pomijając żadnéj wsi, miasta, ani szlacheckiego dworu; ztąd jego relacya jest także ciekawą pod względem geograficznym, choć wiele nazwisk miejscowości jest tu przekręconych, i wydawca musiał z wielkim mozołem niektóre z tych nazw prostować. Opisuje téż skrupulatnie kościoły, przytacza ich historyą i podaje nawet w kopii napisy z kościołów i obrazów, drwiąc przytém niekiedy z cudów; tak że i pod tym względem badacz starożytności znalazłby tu niewątpliwie trochę nowego materyału. Opisuje kopalnie w Wieliczce i wszystkie główniejsze miasta. Warszawę nazywa „źle zbudowaném i słabo ufortyfikowaném miastem;“ za najpiękniejszy pałac uważa położony

na przedmieściu nad Wisłą (Kazimierowski), w którym ze swoim panem ukrywał się w czasie ostatniego pobytu. O żydach mówi niechętnie, i w postępowaniu tego plemienia widzi jednę z przyczyn zgubnych wojen kozackich, których niedawne i świeże jeszcze ślady w spustoszonych miastach i ruinach oglądał na Rusi i Ukrainie.

Trzecim podróżnikiem, którego relacyą podaje nam w skróceniu pan L., jest sam Jan Bernoulli, astronom i wydawca pisma, z którego wzięto podróż Verduma. Bernoulli zwiedzał Polskę w r. 1778, w przejeździe z Petersburga do Berlina. W opisie téj podróży, Bernoulli mało zwracał uwagi na politykę i na obyczajowe szczegóły: głównym przedmiotem zajęcia były dla niego towarzystwa naukowe, szkoły, biblioteki, zbiory i ludzie oddający się naukom. Z téj więc sfery znajdujemy tu dużo ciekawych i nowych szczegółów. Najpierwéj opisuje szkołę medyczną, pod kierunkiem Giliberta, i liczne fabryki, założone w Grodnie staraniem słynnego Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego. W Warszawie miał stosunki z uczonym Michałem Mniszchem, z Tepperem, posłem rosyjskim Stackelbergiem i Czartoryskimi. Był téż przedstawiony królowi, którego bardzo wielbi i zasługi dla oświaty podnosi. Mówi dużo o uczonych kobietach i literatkach polskich, których znaczny szereg przytacza, począwszy od Elżbiety Drużbackiéj do matki królewskiéj Konstancyi z Czartoryskich i Teresy z Roztworowskich Załuskiéj, słynnéj oratorki. Opisuje szczegółowo bibliotekę Załuskich i przytacza ciekawe szczegóły o znajdujących się w niéj wtedy obrazach historycznych polskich i rzadkich rękopismach. Mówi także o mało dotychczas znaném Towarzystwie Naukowém, założoném w roku 1777, głównie w celu popierania umiejętności przyrodniczych.

Do tego towarzystwa należeli Dubois, Mniszech, Czartoryscy i kilku innych. Opisuje zbiory Królewskie i koncert Lollego, jednego z najsławniejszych podówczas w Europie skrzypków, wydany na prośbę Bernoullego u Stackelberga. W teatrze Bernoulli nie był, gdyż ks. Radziwiłł nie chciał pozwolić sali swego pałacu, gdzie odbywały się zwykle przedstawienia przed wybudowaniem teatru Ryxa na placu Krasińskim. Trzy razy był nasz podróżnik na posiedzeniach odbywającego się właśnie wówczas sejmu: za pierwszym razem był zgorszony hałasem i wrzawą, przy obiorze marszałka; za drugim razem podziwiał wytworne grono biskupów, którzy wyglądali jak ludzie świeccy, przesadzający się wykwintnością stroju i fryzury, i był obecnym ceremonii całowania ręki królewskiej i łączenia się obu izb. Opisuje nawet najbogatszy wtedy w Warszawie sklep Hempla. Poświęca téż kilka słów Po-

wązkom, które nie były wówczas cmentarzem, lecz piękną wiejską posiadłością ks. Adamowéj Czartoryskiéj. Mówi o drukarniach w Polsce, których we wszystkich krajach Rzeczypospolitéj wylicza 33, i o szkołach pojezuickich i pijarskich. Pomiędzy profesorami wspomina zaszczytnie Bohomolca i Wyrwicza; mniema przytém, że oświata może i powinna kwitnąć w Polsce; staje nawet w obronie naukowości polskiéj i przypomina, jak wysoko stały nauki w tym kraju przed 2 i 3 wiekami. Do streszczenia podróży Bernoullego, dodaje jeszcze pan L. wyjątek o niejakim Litzenie vel Licieńskim, dziwaku i awanturniku, którego Bernoulli spotkał w drodze: jeździł ten Licieński po całéj Europie, zostawał w stosunkach z ambasadorami i dyplomatami i miał do wszystkich prawie dworów kolosalne pretensye.

Czwartym podróżnikiem, którego wprowadza p. L., jest Jan Eryk Biester, wydawca czasopisma „Berlinischer Monatsschrift" (z lat 1789—1793). Relacya o podróży po Polsce roku 1791 odbytéj, wyjętą jest z tego właśnie czasopisma, a choć tam była umieszczoną bezimiennie, z wielu jednak wskazówek wydawca domyśla się, że jéj autorem musiał być sam Biester. Rzeczą jest godną uwagi i rzadką, podówczas jak i dzisiaj, że owo czasopismo i jego redaktor byli bardzo przyjaźnie usposobieni dla Polski i Polaków. Umieszczono tam nawet wiersze łacińskie na cześć Małachowskiego, marszałka sejmu wielkiego, które wydawca przytacza. W relacyi z podróży, o któréj mowa, Biester wspomina o Koperniku, którego dom i nagrobek widział w Toruniu, i ani przez myśl mu nie przeszło uważać wielkiego astronoma za Niemca; owszem, powiada, że Kopernik miał „twarz czysto polską," i że ojciec jego musiał nazywać się Cepernik i zapewne był polskim chłopem. O kraju i narodzie polskim mówi Biester z największemi pochwałami, które i nam samym muszą wydawać się przesadzonemi; tak np. unosi się nad bezprzykładną praktycznością polaków! Losy tego kraju mocno obchodziły podróżnika: troskliwie więc rozbiera i krytykuje ogłoszoną wówczas właśnie ustawę 3-go maja i znajduje ją niedostateczną, szczególniéj względem stanu miejskiego i włościan. Za główną wadę prawa o miastach uważa tę okoliczność, że stosowało się ono tylko do miast królewskich, nie zaś do szlacheckich i że zupełnie pominęło żydów.

Chwali Biester szybkość podróżowania pocztą w Polsce, akuratność pocztmistrzów i uprzejmość pocztylionów; nie wiemy, czy i to położyć należy na karb jego optymizmu, czy też od owego czasu zmieniło się nieco na gorsze. Mówi także o niesłychanéj rzadkości kradzieży i o zupełném bezpieczeństwie podróżnych

i przewożonych bez żadnéj eskorty znacznych sum pieniężnych, co zdaje się, istotnie było tak dawniéj. Warszawę opisuje z zachwyceniem: co do piękności, tylko Wiedeń, według zdania Biestera, może porównać się z tém miastem. Ciekawym przykładem tego, jak osobiste sympatye podróżnika wpływają nawet na jego wzrok, może być porównanie tego, co mówią Verdum, a nawet bliższy czasów Biestera Bernoulli o ulicach Warszawy, z tém zdaniem, które wygłasza o nich Biester. Według Bernoullego w Warszawie wszystkie prawie ulice są nierówne i wąskie; Biester, przeciwnie, powiada, że pełno tu szerokich, prostych i pięknych ulic. Opisuje także ogród Saski, który już wtedy był prawie tém samém, czém jest dzisiaj. Ciekawym znów dowodem optymizmu autora, czy téż zmiany na gorsze, jest jego uwaga, że w Warszawie nigdzie nie widział takiego tłoczenia się i popychania w ciżbie, jakie bywa zagranicą. Obecnie, jak wiadomo, rzecz ma się przeciwnie. Mówi téż nasz podróżnik o kilku posiedzeniach sejmowych (w czerwcu r. 1791), ale głównie tylko o zewnętrznéj fizyognomii sejmu, gdyż po uchwaleniu konstytucyi nie było już zajmujących obrad, a nawet mało uczęszczano na posiedzenia. Deputowani zasypiali na laurach i zdawało się im, że już zrobili wszystko, wówczas gdy właśnie potrzeba było jaknajwiększéj energii i wytężenia dla zapewnienia trwałości dziełu. Optymistyczny swój pogląd przenosi podróżnik i na Stanisława Augusta, którego nazywa „mędrcem i przyjacielem ludzkości na tronie, monarchą bardzo wielkiego rozumu, szerokich wiadomości, najbezwzględniejszéj miłości dla kraju, najszlachetniejszéj gorliwości dla wszystkiego co dobre, który znajduje teraz w kraju odpowiednią swym zasługom cześć i miłość.“ Niefortunna ta charakterystyka daje miarę płytkości sądów Biestera i dowodzi stanowczo braku przenikliwości z jego strony. Możemy być mu wdzięczni za przychylność, ale przesadnych komplementów i kadzideł, któremi tak nieopatrznie szafował, nie możemy brać na seryo, ani téż upatrywać w nich jakiegokolwiek pożytku lub pociechy dla nas, późniejszych czytelników jego, mijających się tak często z prawdą spostrzeżeń. I tu może raz jeszcze sprawdzi się dawne przysłowie, że niekiedy rozumny nieprzyjaciel i przyganiacz bywa pożyteczniejszym, niż bezwzględny wielbiciel i pochlebca. Chwali jeszcze Biester w Polsce trzy rzeczy: chleb, wino i kawę, a w Warszawie, powozy i wodę (musiała być chyba daleko lepszą wtedy niż dzisiaj). W jedném miejscu mówi, że wprawdzie z Warszawy, którą tak uwielbia, nie można wnioskować o całym kraju, ale zawsze, wnosząc z rzeczywistości do możliwości, sądzi, że Polska mogłaby zostać kwitnącą i szczęśliwą.

Zdaje się, że nawet podróżnik *w roku 1791* wierzył, że wszystko dąży ku lepszemu i nigdzie ani słówkiem nie wspomina groźnych zapowiedzi, widocznych dla każdego, nie tak krótkowidzącego, jak nasz podróżnik. Ostatecznie płytkość jego sądów, optymistyczne i pochlebne, choć może bezinteresowne pochwały, nie sprawiają na nas przyjemnego wrażenia; przekonywamy się bowiem, że ten człowiek nie umiał czynić spostrzeżeń, a jego umysł zbyt był powierzchownym. Wolimy pozostać przy tém zdaniu o Biesterze, niż przyznać, że od epoki, którą opisywał, bardzo i we wszystkiém cofnęliśmy się zamiast postąpić.

Do skróconéj relacyi Biestera wydawca dodał wyjętą z innéj jego notatki podróżnéj powiastkę o „królu Mykicie," która maluje ciemne zabobony i nieokrzesaną dzikość osadników niemieckich, pierwszych kulturtregerów, sprowadzonych przez Józefa II do Galicyi wkrótce po zajęciu przez Austryą tego kraju. Król Mykita oznacza mniemanego upiora, z którym traktowali Niemcy, przy pomocy żydka i czarownicy, ażeby dostarczył im pieniędzy i ułatwił ucieczkę zagranicę, gdyż straciwszy całe swe mienie, powzięli wstręt do swojéj misyi cywilizacyjnéj.

Ostatnim z podróżników jest Kausch, który zwiedzał Polskę jednocześnie z Biesterem. Relacya jego, podana w krótkim wyciągu, nie odznacza się ani głębokością spostrzeżeń, ani wartością literacką. Kausch, wbrew optymiście Biesterowi, w przerażających barwach maluje upadek i nędzę kraju, bawiąc się chętnie w filantropijne i liberalne wywody. Drobiazgowo opisuje obyczaje i ubiory ludowe. Z niechęcią mówi o rzemieślnikach niemieckich w Polce, zarzucając im grubiaństwo, a ich wyrobom drogość; woli już rzemieślników krajowych.

Te są ważniejsze punkta treści ciekawéj téj książki, które przytoczyliśmy w streszczeniu w tym celu, ażeby i ci z naszych czytelników, którym nie zdarzy się czytać saméj pracy pana L., mogli powziąść wyobrażenie, w czém, o ile, w jakiéj mierze i w jakim kierunku to dzieło może zbogacić nasze wiadomości o przeszłości. Pozostaje nam jeszcze dodać słów kilka o sposobie zużytkowania przez pana L. wynalezionych przez niego materyałów. Pod tym względem pozostaje nieco do życzenia. Wspomnieliśmy już powyżéj, że wiadomości Nakera przyjmuje autor bez wszelkiéj krytyki; podobnież i resztę relacyi. Podnosząc nowość szczegółów historycznych, zawartych w relacyi Verduma, pan L. obiecuje porównać je z danemi, zawartemi w innych źródłach historycznych, ale obietnicy téj nie dotrzymuje: zaledwie parę razy przytacza znane powszechnie szczegóły z wydanych przez Helcla listów So-

bieskiego. Nadto, w przedmowie do każdéj relacyi, zamiast krytycznego poglądu, pan L. poprzestaje po większéj części na streszczeniu główniejszych punktów samych relacyj, w skutek czego jedno i to samo powtarza się w książce dwa razy, i po przeczytaniu przedmowy, czytelnik bez zajęcia czyta samę relacyą. Wielką troskliwość okazał autor tylko w prostowaniu nazw miejscowości, przez Verduma przekręconych. Co do szczegółów biograficznych o podróżnikach, te bywają niekiedy zbyt drobiazgowe i mało kogo interesować mogą, jak szczegółowa biografia Verduma albo Kauscha, osobistości wcale nieinteresującéj. Nakoniec, pod względem stylu, interpunkcyi i języka, daje się niekiedy dostrzegać znaczne zaniedbanie. Korekta, jak we wszystkich prawie wydawnictwach firmy lwowskiéj Gubrynowicza i Schmidta, nie odznacza się wielką starannością. *S.*

Archiv für slavische Philologie, unter Mitwirkung von A. Leskien und W. Nehring, herausgegeben von V. Jagić. Tom I, 1876. Berlin. Str. 644 w 8-ce w.

W tomie I-m, str. 442 i nast. „Ateneum" z r. 1876, p. L. M. zamieścił sprawozdanie z pierwszego zeszytu „Archiwum filologii słowiańskiéj." Obecnie podajemy sprawozdanie z zeszytu drugiego i trzeciego, które wraz z zeszytem pierwszym stanowią pierwszy tom „Archiwum."

Zeszyt drugi rozpoczyna obszerna praca prof. Leskiena, ucznia Schleichera, a obecnie jednego z najlepszych znawców słowiańszczyzny pomiędzy uczonymi Niemcami. Rozwodzi się on w niéj (str. 161—249) nad *Nowym Testamentem w łużyckim przekładzie z r.* 1548, znajdującym się w rękopisie w bibliotece berlińskiéj, dokonanym przez Miklawusza Jakubicę; zabytek ten, powiada, „zasługuje na staranniejsze niż dotychczas zbadanie, jest bowiem najdawniejszém źródłem językowém Łużyczan i takiém zapewne pozostanie, bo trudno przypuszczać, iżby przed reformacyą pisano coś obszerniejszego po łużycku" (str. 161).

Dawniéj już dowiedziono, że Jakubica przekładał z tłómaczenia Lutra, zazierając często do wulgaty i jednego z czeskich przekładów. Chodzi teraz p. Leskienowi głównie o rozwiązanie pytania: w jakiém narzeczu łużyckiém pisał Jakubica. Pierwszy o tém wydał zdanie nasz Andrzéj Kucharski; na kartce przyklejonéj do okładki rękopisu, datowanéj 10 Marca 1827, nazywa on mowę tę „czémś pośredniém pomiędzy górnołużycką a dolnołużycką, podobną do gwary z okolic Mużakowa (Muskau), Gródka

(Spremberg) i Złego Komorowa (Senftenberg).“ Późniejsi badacze tego zabytku podzielali mniemanie Kucharskiego. „Ale zdanie takie,“ powiada p. Leskien, „zdaje się wynikać raczéj z ogólnego wrażenia, jakie język rękopisu czyni, niżeli z dokładniejszego rozbioru brzmień i postaci; takowe bowiem okaże, iż mowa ta jest dolnołużycka i że żadna z dziś żyjących gwar miejscowych całkowicie jéj nie odpowiada“ (str. 163), co już zresztą rzekł przed kilku laty uczony Łużyczanin Hórnik.

Dochodzenie Leskiena niezmiernie utrudnia nader chwiejna i zawikłana pisownia Jakubicy, oraz niemożność sprawdzania brzmień i form jego przekładu porównywaniem z żyjącą mową, narzecze bowiem, którego używał, zdaje się, iż obecnie nigdzie w Łużycach nie istnieje.

Pomimo to autor cierpliwie i obszernie bada głosownią i odmiennią tego zabytku, stwierdzając wyżéj podane swe zdanie o jego języku, a daléj wyraża przypuszczenie, że jeżeli Miklawusz Jakubica jest istotnie tą samą osobą, co ksiądz Mikołaj Kubike, znany zkądinąd jako pastor, instalowany roku 1523 we wsi Lubanicach (Laubnitz) w okręgu Żarowskim (Sorau), to wnosićby można, iż narzecza jego używano właśnie w owéj, obecnie zniemczonéj okolicy. W końcu autor podaje całą ewangelią Św. Marka jako próbkę tłómaczenia, trzymając się wiernie pisowni manuskryptu. Dodać tu muszę, że W. Bogusławski w dziele swém „Rys dziejów Serbsko-Łużyckich“, Petérsburg, 1861, na str. 219 wspomina o tym przekładzie, lecz autora jego, idąc za Szafarzykiem, nazywa Jakóbiczem. Aby dać wyobrażenie o tłómaczeniu, podaję początek rozdziału XVI w wiernym odpisie.

KAPITOL XVI.

A gdisch ta sobota pomynula bila, Maria Magdalena a Maria Jakubowa a Salomeowa nakuppily woonnich masczy, nato aby prczysschly a iogo schalbowaly. 2. A wony welgy rano pczyschly k hrowu, ten prwny scheen po sobocze, gdisch to sluncze wyzchaschowalo. 3. A wony mesy soebu prawyly: chto nam wotwaly ten kameen wot tich drwy tego hrowu? 4. A pogczywnuly tam a zazreely, ze ten kamen byl wotwalony; pscheto asch ten welgy wiliki byl. 5. A wony vschly su nütcz do tego hrowu a wupitaly iednego mloschencza seschuczy na prawey rucze, ten meiasche dlugu beelu drastu na sebe; a wony se vliknuly. 6 Won pak rekl knym: nevlikaysche se; wie pittasche Jesussa Nazaretskego tego

gczyschowanego; won ie zgorustanul a ney tudy; hley, tu to mesto, gsesch byl poloschony.

Na str. 249—266, prof. Nehring podaje artykuł *o nowszych pracach językoznawczych w Polsce.* Czytamy tu szkic dziejów lingwistyki u nas, wraz z oceną najświeższych prac na polu téj nauki. Najciekawszą dla nas jest tu wzmianka o przygotowanych do druku zabytkach mowy polskiéj. Hr. Jan Działyński ma wydać swoim nakładem Statut Wiślicki w dwu redakcyach; a daléj ukazać się ma psałtérz z XV wieku, oraz, staraniem Akademii Krakowskiéj, dwa pomniki języka z XV w., dostarczone przez dra Kętrzyńskiego i inne zabytki z biblioteki Krasińskich; wreszcie psałtérz z XVI w., podarowany Akademii Krak. przez hrabiego Szembeka.

Daléj, na str. 267—289, prof. Jagicz podaje w streszczeniu kilkanaście serbsko-chorwackich podań ludowych, wydanych kilka lat temu przez Vojinowicza; przy każdém zamieszcza zbliżenia z pokrewnemi klechdami innych ludów, korzystając z pomocy znanego erudyty R. Köhlera; na początku téj pracy czytamy szczegółowy spis ogłoszonych dotychczas podań serbskich.

W Dalszym ciągu znajdujemy nader zajmujące studya *o Dunaju,* mianowicie (str. 290—299) list słynnego germanisty, profes. Müllenhoffa do petersburskiego akademika Kunika o nazwie téj rzeki, a daléj rozprawę p. Jagicza (str. 299—333) o Dunaju w poezyi ludowéj słowiańskiéj.

Przed laty dziesięciu, prof. Miklosich utrzymywał, że nazwa Dunaju nie jest słowiańska. W swoim słowniku wyrazów cudzoziemskich (Die Fremdwörther in den Slavischen Sprachen, Wiedeń, 1867), str. 13, powiada: „Niektórzy wywodzą Dunaj od pnia *du* dąć, szemrzeć, tak, iż rzeka nazywałaby się „szemrzącą.“ Słowiańskie pochodzenie stwierdzać chcą tém, że najprzód wyraz Dunaj używa się zamiast „woda,“ jak np. w czeskiém przysłowiu: dunaj svítá, ne bude pršeti (t. j. woda błyszczy, nie będzie deszczu)... Powtóre, że w krajach słowiańskich zdarzają się nazwy osób i miejsc mające związek z Dunajem, np. czeskie Dunaj, Dunice, Dunajovice, Dunava i t. d. Przeciwko temu zauważyć należy, iż pień *du* nie ma znaczenia „szemrzeć“; że nie ma téż przyrostka naj; że nie dowiedziono, iżby Dunaj w powyższych przykładach był imieniem rzeczownem ze znaczeniem „woda,“ bo w przytoczoném czeskiém przysłowiu wyraz Dunaj oznacza w ogóle okolice południowo-zachodnie; wreszcie, że słowiańskie pochodzenie wymienionych nazw osób i miejsc nie jest dowiedzionem... C. Zeuss (Grammatica celtica, 18, 752, 994) wyprowadza ten wyraz (Dunaj) z większą słusz-

nością... z celtyckiéj osnowy *dan*, oznaczającéj w dzisiejszym irlandzkim języku: silny, nieustraszony, zuchwały, a ztąd i *Dunaj* dla swego silnego i szybkiego biegu łatwo tak mógł być nazwany.“

Przeciwko temu zdaniu Miklosicha wystąpił szczególnie Czech Szembera w swojéj pracy: Západní Slovane v pravěku (Wiedeń, 1868), napisanéj, jak powiada Jagicz, z większą pilnością niż krytyką. Przyznać należy, że nazwa Dunaju tak często się spotyka w pieśniach słowiańskich, nawet u plemion mieszkających bardzo daleko od téj rzeki, oraz że nader często występuje w nich nie jako imię własne, ale jako pospolite, oznaczające wielką rzekę, wodę w ogóle; nie dziw przeto, że niektórzy dają się tém złudzić i nie mogą się rozstać z myślą uważania nazwiska Dunaju za czysto słowiańskie. Nasz Winc. Pol w „Pieśni o ziemi naszéj,“ strojąc nutę swych rymów na ton ludowy, zapytuje:

A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i *dunaju*?

Tu już *dunaj* nie jest imieniem własném rzeki południowo-europejskiéj, ale oznacza wielką rzekę w ogóle; mylnie więc w niektórych wydaniach „Pieśni“ piszą ten wyraz przez wielką literę. Dawniéj jeszcze Zaleski (Wacław z Oleska, Pieśni ludu galic. str. 327) tak się o tém wyraził: „Słowo *dunaj*, tylekroć tu (to jest w pieśniach) używane, nie oznacza rzeki tego nazwiska, ale, jak w ogólności w pieśniach ludu, każdą rzekę głęboką i cicho płynącą.“ Obstających za słowiańskością imienia Dunaju utwierdzał w przekonaniu ten wzgląd jeszcze, że dużo nazw miejscowych i ludzkich pochodzi u Słowian od imienia téj rzeki. Oprócz tych, które wymienił wyżéj p. Miklosich, przypomnijmy jeszcze z polskich: Dunajec (trojaki: Czarny, Biały i bezprzymiotny); Dunaj, nazwa ulicy w Warszawie, o któréj Zmorski, na str. 166 swych Podań, mówi: „Gdy jeszcze Wisła szła tuż pod zamkiem, w miejscu gdzie dziś jest ulica Dunaj, był strumień czy zdrój tegoż nazwiska, a w nim mieszkała Syrena;“ Dunaj, nazwa trzech osad w Królestwie (w gub. Kaliskiéj, Łomżyńskiéj i Płockiéj); wieś Dunajów w Galicyi; miasteczko Dunajowce na Podolu; nazwisko rodowe Dunajewski i t. d. Widać z tego, że nazwa Dunaju, choć prawdopodobnie niesłowiańskiego pochodzenia, od bardzo dawna zagnieździła się na ziemiach słowiańskich, rozrosła się w liczne po-

chodne gałęzie i do pewnego stopnia przestała być imieniem własném.

Prof. Müllenhof utrzymuje tedy, że najdawniejszą znaną nam łacińską nazwą téj rzeki jest: Dānuvius; że pochodzi od celtyckiego przymiotnika *dānu* (silny); że z domniemanéj szwabskiéj, a raczéj swewskiéj formy Dōnavia utworzyła się gotycka Dōnavi lub Dūnavi, a z niéj dopiéro Słowianie nazwy Dunaw i Dunaj wzięli. Na dowód tego, autor przytacza dotąd, jak mniema, nieuwzględnione świadectwo z zabytku przypisywanego Cezarjuszowi Nazjanzeńskiemu (bratu Grzegorza, z IV w. po Chr.), opiewające, że Gotowie za czasów autora Dunaj zwali Dūnawis. Przy téj sposobności, p. M. zwraca uwagę na ustęp tegoż pisma, zawierający *najdawniejszą, Szafarzykowi i innym nieznaną wzmiankę nazwiska Słowian;* brzmi ono tam: Sklauēnoí (Σκλαυηνοί); utrzymuje wreszcie, że zabytek ten, przypisywany Cezarjuszowi, pochodzi z początku VI w. po Chr.

Rozprawa prof. Jagicza o Dunaju w poezyi ludowéj słowiańskiéj jest może najbardziéj zajmującą dla szerszego koła czytelników. Autor charakteryzuje w niéj mimochodem pieśni ludowe różnych plemion nam pobratymczych, wyraża swe zdanie o niektórych cyklach pieśni i przytacza wiele ustępów z naszéj poezyi gminnéj. Pozwalam sobie dłużéj nad tym artykułem się zatrzymać, przytaczając gdzie niegdzie przykłady z pieśni polskich, których p. Jagicz nie wymienił.

Autor rozpoczyna swój przegląd pieśni słowiańskich od takich, w których Dunaj występuje jako imię własne prawdziwéj rzeki; oczywiście najbliżéj jego osiadli południowi Słowianie w tém rozumieniu najczęściéj go opiewają, nadając mu przydomki: *biały*, *cichy* lub *bystry*. W naszych pieśniach, jeden tego rodzaju ustęp znalazłem, w pieśni weselnéj do kolacza (Wójcicki. Pieśni, II, 64):

Przywieziono nam ziele
Od Węgier na wesele;
Przez Dunaj go wieziono,
W kołacze go zasadzono.

Co do epitetów Dunaju, w pieśniach naszych znalazłem następne: *bystry*, *bystra woda*, *głęboki* (najczęściéj), *bardzo głęboki*, *głębokośny*, *głęboczki*, *szarawa woda*, *szeroki* (często), *wysoki*.

W innych pieśniach słowiańskich, Dunaj traci swą geograficzną rzeczywistość i przechodzi w jakąś nieznaną, daleką, sze-

roką, jak morze i jak ono burzliwą a niebezpieczną wodę. Wiele też pieśni opowiada to o śmiałém przebyciu jéj przez junaków, to o śmierci ich w jéj nurtach, więc niektóre ciskają za to przekleństwem na dunajowe wody; inne łączą myśl o nich z pojęciem morza, to wystawiając odległość ich od morza jako niezmierną, to utożsamiając je i łącząc dwa wyrazy nakształt sanskryckich dwandwa: dunaj—morze, morze—dunaj. Oto przykład z naszéj pieśni (Roger, Pieśni szląskie Nr. 446); jeździec zachęca rumaka:

Koniczku siwy,
Pokaż mi dziwy,
Przepłyń bez Dunaj,
Nie zmoczaj grzywy.

Dunaj dla kochanków jest powiernikiem trosk serdecznych złowrogim wszakże, choć uwielbianym. Dziewice rzucają wianki na falę jego, prosząc aby je zaniósł to matce, to kochankowi. Często Dunaj bezpowrotnie zabiera im ten wianek, który w symbolice pieśni słowiańskich oznacza niewinność.

W nurtach Dunaju tonie lub chce nieraz utonąć napastowana, lub zrozpaczona dziewica, a czasami ginie w nich młodzieniec z różnych powodów. Samobójstwa dziewcząt nie uważa p. Jagicz za wątek czysto słowiański, sądzi, że to raczéj echo feudalnego zachodu. To samo powiada i o licznych pieśniach polskich i innych, w których uwodziciel uwozi pannę młodą z potajemnie zabranemi skarbami jéj matki, wskazując podobne pieśni niemieckie; w nich nasza Anula figuruje jako Aennchen. Takież pochodzenie, zdaniem jego, mają i pieśni o dzieciobójczyniach, które swe niemowlęta, dla uniknienia wstydu, w Dunaj rzucają. W licznych odmiankach tego cyklu pieśni polskich najczęściéj występuje Dunaj, ale czasem i stawik, zdrój, zdroiczek, morze, Wisła, Bug, Sanek. Posiadamy bardzo wiele waryantów pierwszego rodzaju ballady (np. Kolberg Pieśni ludu pols. I, str. 27—71; Wójcicki Pieśni ludu Białochrob. I, 79, 83; Kętrzyński O Mazurach, 35; Roger Pieśni ludu pols. w Górn. Szlązku Nr. 125, 139, 140; Łyskowski Pieśni gminne, 24; Wacław z Oleśka Pieśni ludu galic., 484 i t. d.). O topieniu dziecka prawie również liczne pieśni mamy (np. Kolberg tamże, 151—168; Roger Nr. 136, 137 i t. d.). Pierwszego rodzaju pieśni zaczynają się u nas najczęściéj od słów: „Jasio konia poił, Kasia wodę brała;“ drugiego od wskazania miejsca, gdzie „wywijał Jasio na koniu.“

Imię własne Dunaju w tego rodzaju pieśniach coraz to bardziéj, że tak powiem, pospolicieje, coraz więcéj przechodzi w nazwę wody w ogóle. Autor przytacza pomiędzy innemi następny przykład z polskiéj pieśni:

Kasia wleci w tę Wisłę, w ten Dunaj.

Dodaje takie jeszcze wyrażenie, w którém Dunaj ukazuje się w liczbie mnogiéj (Wójcic., II, 381):

Oj, biedaż mi nad biedami!
Mam kochankę za wodami,
Za wodami za bystremi,
Dunajami głębokiemi.

P. Jagicz przegląda potém pieśni ukraińskie, które zalicza do najpiękniejszych i najrzewniejszych pomiędzy słowiańskiemi. „Rzecz godna uwagi,“ powiada, „iż rzeka ta, tak sympatyczna wszystkim Słowianom, u Małorusinów właśnie gra tak ważną rolę, iż obok niéj inne wody Ukrainy w najobszerniejszém znaczeniu téj nazwy, jak np. Dniepr i Dniestr, Don i Desna i t. d., zupełnie w cieniu pozostają. Mimowoli przychodzą na myśl słowa ukraińskiego kronikarza: Po mnogich zaś latach siedli byli Słowianie nad Dunajem, gdzie dziś ziemia węgierska i bulgarska. Od tych Słowian rozeszli się po ziemi i przezwali się mianami swojemi, gdzie siedli na jakiém miejscu. Oczywiście już wówczas nie uszedł uwagi niewiadomego autora kroniki ścisły związek, łączący w poezyi ludowéj Ukraińca z Dunajem. Być może, iż znał on podania gminne i to go skłoniło do zamieszczenia powyższego ustępu w kronice. Nie wydaje mi się bowiem podobném do prawdy, iżby go był znalazł w jakiémkolwiek źródle greckiém, lub południowo-słowiańskiém“ (str. 311).

Kozak, w pieśniach Ukrainy, poi konia w Dunaju, przepływa go często, mieszka koło niego, pyta go się czemu mętny, a nieraz w pobliżu jego lub w nim samym ginie. Ukrainka miewa schadzki nad jego brzegami, a zrozpaczona szuka w nim śmierci; sierotę posyłają po wodę z jego łożyska. Zakochana dziewczyna spowiada mu się ze swych trosk serdecznych, zapytuje o swą dolę, puszcza na jego wody smutki swoje, myje w nich ziółka zdradliwe, posyła niemi wianek do siostry, do rodziny. Mnie się zdaje, że to posyłanie wianków, włosów, skarg lub pozdrowień odnosi się do osób zmarłych. Według wyobrażeń ludu bowiem, duchy zmarłych mieszkają *na tamtym świecie;* tamten świat zaś leży da-

leko na zachodzie; przedziela go od nas szeroka rzeka lub morze; a że każda rzeka wpada do morza, więc rzucając coś na jéj wody i prosząc je, aby zaniosły pewnéj osobie można być pewnym, że zmarli to otrzymają. Na téj zasadzie lud ukraiński w Rachmański Wełykdeń (na wielkanoc rachmańską) rzuca na fale najbliższéj rzeki skorupy jaj święconych, z życzeniem, aby dopłynęły do szczęśliwych Rachmanów, mieszkańców tamtego świata. Sądzę, że i nasz zwyczaj puszczania wianków na Św. Jan jest w związku z tém wierzeniem. Oto np. pieśń weselna, zapewne sieroty, zapisana w Wójcickiego Pieśn., II, 88:

Do Dunaju drożyna
I tam biegła dziewczyna;
Nad Dunajem stojała,
Z rosy warkocz czesała.
„Płyńcie a nie tońcie,
Do matki zapłyńcie,
Niech matula to poznaje
Za kogo mnie oddaje.“

Może ostatnie rymy zmieniono, zamiast: „Niech matula to poznają Za kogo mnie oddają.“

Tak też sobie tłómaczą rozmowy z matką dziewic ukraińskich nad Dunajem: wody jego służą niejako nicią łączącą żywych ze zmarłemi; czasami sam Dunaj odpowiada na zapytania i skargi, albo daje rady.

„Przy całém bogactwie poezyi ludowéj ukraińskiéj, przewyższającém bez porównania pieśni zachodnich Słowian, powiada pan Jagicz, prawie nigdzie w nich nie ma wzmianki o owych morderstwach, które w słowacko-morawsko-czeskich i polskich pieśniach często są wspominane i nic szczero-słowiańskiego w sobie nie zawierają (str. 317).“

Tak często w pieśniach słowiańskich powtarzany Dunaj, w niektórych gra rolę prostéj „arabeski,“ jak powiada autor, to jest służy tylko za wątek wstępny lub termin porównania, albo przenośni. Oto np. krakowiak góralski (Tygod. Illustr. ser. I, tom XII, str. 27):

Dunaju, Dunaju, ty szarawa wodo,
Bodajże się żaden nie rozkochał młodo.

Albo inny, z Sandomierskiego (Kolberg, Lud Sand., I, 196):

Na brzegu Dunaju stoi dąb wysoki,
Daléj, chłopcy, daléj, róbcie do mnie kroki.

W następnym wyjątku widać porównanie, odpowiadające temu co zwykle wyrażamy, mówiąc wpadł jak w wodę:

Ach w tę niedzielę utraciłam dukat,
Jak gdyby mi do Dunaju upadł.
(Roger, Nr. 462).

Bardzo ważnemi są wzmianki o Dunaju w pieśniach obrzędowych. Trudno nieraz, w obecnym stanie nauki i zbiorów pieśni, odgadnąć związek myśli pomiędzy obrzędem a treścią pieśni, który przecięż istnieć musiał. Tak np., gdy pieśń weselna ostrzega pannę młodą, iż może w Dunaju utonąć, p. Jagicz widzi w tém aluzyą do niebezpieczeństw grożących dziewicy opuszczającéj dom rodzicielski. Zresztą, jak w całym tonie obrzędów weselnych, tak i w pieśniach, widać chęć podniesienia osób i rzeczy do potęgi pańskiéj, królewskiéj; w naszych obrzędach występują np. marszałkowie, marszałki, starostowie, korony i t. p., więc nie dziw, że gdy o wodzie wzmianka, zaraz się ukazuje król wód słowiańskich, Dunaj.

Wyżéj nadmieniłem, jak sobie tłómaczę odwoływanie się panny młodéj do zmarłéj matki przy czesaniu warkocza na weselu; spotykamy w pieśniach takież wezwania ojca, siostr, braci i t. d.

„Naumyślnie," powiada p. Jagicz str. 324, „pomijałem dotąd poezyą wielkoruską, nie żeby nieznanym jéj był Dunaj, lecz że jak w innych względach, tak i co do zajmującego nas zadania przedstawia ona wiele nader ciekawych objawów. Pieśni wielkoruskie, jak wiadomo, znacznie się różnią od najbliżéj spokrewnionych z niemi ukraińskich: gdy te ostatnie przezwano słusznie poezyą serca i uczucia, w pierwszych przeważa poezya rozumu i zimnego wyrachowania; gdy w tamtych drgają najczulsze struny serca ludzkiego, tych główném upodobaniem są wspaniałe opisy zjawisk zewnętrznych; gdy tamte są podmiotowemi i indywidualnemi, te noszą wyraźne piętno przedmiotowości i uniwersalności. Poezya ukraińska nawet w utworach epicznych nie wyrzeka się skłonności do liryzmu, podczas gdy wielkoruska we wszystkich lirycznych produkcyach wybitnie jest epiczną. Z tego już wnosić można, że w pieśniach wielkoruskich nie znajdziemy rzewnego tego stosunku, wiążącego Ukraińca z ulubionym Dunajem, bo toby sprzeczném było z ich naturą. Istotnie też Dunaj tak rzadko się ukazuje w pie-

senkach wielkoruskich, że kilka ustępów, w których go napotykamy, z wszelkiém prawdopodobieńswem uważaćby można za reminiscencye lutni ukraińskiéj.“

O ile jednak, w lirycznéj poezyi Wielkorusinów, Dunaj małą gra rolę, tyle w epicznéj występuje często, co dowodzi, że i u tego plemienia imię wielkiéj rzeki niegdyś było głośném. Ale Dunaj występuje tam w ludzkiéj postaci junaka Dunaja Iwanowicza, cudzoziemca, który długo wędrował po różnych krajach, długo bawił na dworze „króla litewskiego,“ a potém przybył do Kijowa, wstąpił do orszaku księcia Włodzimierza i zastrzelił po pijanemu żonę, poczém sam się z rozpaczy przebił, a ze krwi jego i małżonki popłynęły rzeki Dunaj i Nastazya (porówn. „Ateneum“, 1876, tom III, str. 158—160).

Tego Dunaja Iwanowicza p. Jagicz tłómaczy jako uosobienie rzeki Dunaju, twierdząc, iż podaniowe wędrówki jego po świecie są poetycznemi alegoryami długiego biegu istotnéj rzeki przez obce ziemie, a przebywanie na dworze króla litewskiego wskazówką, iż lud wielkoruski myślał, że prawdziwa rzeka Dunaj skrapiala ziemie potężnego władcy polsko-litewskiego.

Wyznaję, że takie objaśnienie pięknego mitu wydaje mi się niemożebném; trąci ono starą szkołą symboliczno-alegoryczną i natrafia na nieprzebyte trudności. Usuwając jako tako jednę z nich, —że Dunaj miał przepływać przez kraje litewskie—wymówką, iż wielkoruscy twórcy podania mogli nie znać dokładnie obszaru państwa litewskiego, spotykamy dalsze: najprzód, że wedle tychże podań wielkoruskich, rzeki Dunaj i Nastazya (może Dniestr), „w jedno miejsce ściekają,“ to jest łączą się z sobą, spływają; powtóre, że w innych odmiankach tegoż podania wielkoruskiego zamiast Dunaju występuje Don Iwanowicz z małżonką Nieprą (Dniepr) i t. p.

Mniemam tedy, iż ostatnie twierdzenie p. Jagicza, które tak wyraża (str. 330): „zdaje się, że żaden ustęp poezyi ludowéj słowiańskiéj, wspominającéj Dunaj, zgoła nie wymaga innego tłómaczenia, jak tylko za pomocą rzeczywistéj rzeki,“ nie da się utrzymać; myślę bowiem, że posiłkowanie się geografią przy badaniu mitów jest rozminięciem się z zasadami nowszéj metody mitologii porównawczéj, oraz że mitologowie rosyjscy, pp. Stasów, Afanasjew i Miller, według téj metody objaśniając postacie mitycznych imionodawców rzek owych, w zasadzie, pewniejszéj się trzymają drogi, choć może, w zastosowaniu do obecnego zadania, w szczegółach się mylą.

Inne uwagi i domysły p. Jagicza, kończące w mowie będący jego artykuł, odznaczają się zwykłą mu trafnością i przenikliwo-

ścią. Przypuszczenie więc, że imię rzeki Nastazyi jest ludowém przekształceniem nazwy Dniestru, wydaje mi się bardzo podobném do prawdy, jak niemniéj wniosek, iż znajomość Dunaju u Słowian sięga bardzo dawnych, zapewne rzymskich jeszcze czasów. Co do nazwania jego, część Słowian południowych (Słowieńcy, Chorwaci, Słowacy), oraz Polacy i Rosyanie mianują go *Dunajem*; tylko Bulgarowie, Serbowie i niektórzy Chorwaci *Dunawem*; że zaś u niektórych Słowieńców wyrażenie *na-Dunaji* oznacza *w Wiedniu*, więc w późniejszych stosunkowo czasach nazwa rzeki saméj przybrała u nich formy: *Donava*, *Donovo* i *Dunava*.

Kończąc zbyt może długi przegląd tego zajmującego artykułu, prostuję datę wydania „Peregrynacyi dziadowskiéj,“ podaną na str. 333, z r. 1833 na 1843.

Pomijając parę mniejszych artykułów, czytamy daléj na str. 337—412 obszerną i bardzo zajmującą recenzyą 2-go tomu dzieła profesora gradeckiego *Jana Schmidta* „Zur Geschichte des indogermanischen Vocalismus,“ napisaną przez prof. *Jagicza*. Trzecią część tomu tego zapełnia rozprawa o zjawisku językowém słowiańszczyzny, które oddawna, a szczególnie w ostatnich czasach jest przedmiotem gorliwych badań językoznawców, przeważnie słowiańskich. Nie mogąc tu wchodzić w szczegółowy wykład sprawy, kilku słowami nadmienię, o co idzie. Spółgłoski r, l, tak zwane płynne drgające, znajdując się pomiędzy dwiema innemi, niememi, okazują dziwną niejednostajność w zabarwieniu się brzmieniem samogłoskowém w różnych narzeczach słowiańskich; tak np. nasz wyraz *piersi* w języku starosłowiańskim okazuje postać *prьsi* albo *prъsi*, w czeskim, słowackim, chorwackim, serbskim i słowieńskim *prsi* (tu r wymawia się samogłoskowo, niby prrr-si), w rosyjskim jak w polskim *piersi* (pisze się persi), a w niektórych gwarach słowieńskiego *persi*. W pewnym związku z powyższém zjawiskiem są zdarzenia, gdy języki rosyjski, białorusiński i ukraiński okazują tak zwany *pełnodźwięk* (połnoglasije), to jest gdy r, l znajdują się pomiędzy dwiema samogłoskami, jak np. *gorodъ*, *holodъ*, a gdy w innych językach słowiańskich widzimy postaci o jednéj samogłosce: *grad*, *hlad*,—*gród*, *chłód*,—*hrad*, *chlad* i t. d. Zachodzi tu pytanie: które z powyższych form są dawniejszemi, a które późniejszemi, czyli jaki ich jest wzajemny stosunek dziejowy i jakie powody sprawiły różnice.

Na te kwestye różni różnie odpowiadali. Dobrowski, Miklosich, Maksimowicz, Katków, Srezniewski, Ławrowski, Potebnia, Jagicz, ks. Malinowski, Kołosów i Geitler mniéj lub więcéj wy-

łącznie i obszernie zdanie swe o nich wyrażali. Gdy więc p. Schmidt ogłaszał w roku 1875 wspomniany wyżéj drugi tom swego dzieła i rozwodził się w niém obszernie nad pomienionemi pytaniami, wymagaćby od niego należało znajomości zdań poprzedników w téj materyi. Ze słów jego i z traktowania rzeczy okazuje się jednak, iż takowe w większéj części były mu obcemi. Uważał tedy siebie za pierwszego wynalazcę praw dotyczących téj kwestyi językowéj;—zresztą oznaczył je dość trafnie i po części zgodnie z kolegami, o których nie wiedział; to swoje mniemane pierwszeństwo uwydatnił wcale nieskromnemi wyrażeniami, udzielając przy téj sposobności uczonym słowiańskim rad i napomnień zgoła niewczesnych. „Prawdziwie ciekawą jest rzeczą, rzec można ciekawą ze względu etnopsychologicznego, powiada p. Jagicz (str. 346), jak różne stanowiska dwaj uczeni zajmują w obec wspólnego przedmiotu: Potebnia, czując się zupełnie bezpiecznym na gruncie pozytywności, staje się nieśmiałym, gdy mu przychodzi mieć do czynienia z przypuszczeniami; przeciwnie, Schmidt, który na każdym kroku okazuje niedokładną znajomość szczegółów dziejowego przebiegu języków słowiańskich, im bardziéj się zagłębia w „prasłowiańszczyznę,“ tém większą się ożywia śmiałością. Obfitość szczegółowéj wiedzy powstrzymywała słowiańskiego badacza od puszczania się na morze teoretycznych kombinacyj; a tamten, przyzwyczajony operować praformami wedle swych teoryj, w bujaniach po przeddziejowych przestworzach, mało zważa na krzyki, które przeciw temu wydaje dziatwa tego padołu płaczu,—istotne, dziejowe formy językowe.“ Bądź co bądź, p. Jagicz nie zaprzecza i wysokich zalet dziełu p. Schmidta i tak ostatecznie o niém wyrokuje (str. 412): „Słuszność wymaga, abyśmy wyznali (a czynimy to z wielką przyjemnością), że ustęp ten (tomu 2 dzieła Schmidta, rozbierający wyżéj podane pytania), acz niewolny od wielkich niedostatków, pięknėm jest świadectwem wielostronności wiedzy i wysokich zdolności kombinacyjnych autora. Słoworody jego prawie zawsze są trafne i za to szczególnie nauka słowiańska do wdzięczności jest mu obowiązana. Jednéj rzeczy tylko, zdaniem mojem, bardzo wyraźnie mu brakuje: poczucia historycznego rozwoju języka, a zatém i ostrożności, a ta przecież jest matką mądrości.“

Daléj czytamy uwagi p. *Jagicza* nad najnowszemi dziełami zasłużonego prof. *Miklosicha*. Cieszy się referent z ukończenia pomnikowéj pracy swojego mistrza, którą jest *Gramatyka porówna wcza języków słowiańskich*, a któréj wyszedł niedawno tom 2-gi, zawierający słowotwór i ukończył się tom 4-ty, obejmujący składnią. Zdaje mi się, iż wszyscy, dla których nauka w ogóle, a słowiań-

szczyzna w szczególności są miłemi, podzielają radość p. Jagicza. Mam też nadzieję, że krytyka nasza złoży ze swéj strony hołd prawdziwie cennéj pracy prof. wiedeńskiego; oceniając i rozbierając szczegółowo wyżéj wspomniane dzieło jego; będzie to wypełnieniem obowiązku, choć spóźnionėm, lecz tém łatwiejszém, że dziś już całość badań gramatycznych Miklosicha można umysłem ogarnąć. Przy téj ocenie uwzględnićby należało uwagi p. Jagicza, z których jednę tylko, nas bliżéj obchodzącą, tutaj podnoszę. Dotyczy ona jednego z naszych pisarzy. P. Jagicz, wyraziwszy nadzieję, że wszyscy językoznawcy słowiańscy uznają ważność dzieła p. Miklosicha, tak daléj ciągnie (str. 413): „A jednak pomiędzy tymi nawet, którzy siebie filologami słowiańskimi nazywają, nie mało jest takich, co jak najniechętniéj spoglądają na wyniki badań Miklosicha, co tak skwapliwie się zapuszczając w podrzędne zboczenia od jego poglądów przypisują im powagę zasadniczych różnic, aby tylko prawdziwéj zasłudze módz choć w części odmówić uznania. A cóż dopiéro powiedzieć o takich Mohikanach, co to cały kierunek „wzorowania się cerkiewszczyzną“ uważają za chybiony! (Wyrazy w cudzysłowach są wydrukowane po polsku). Prawdziwie, trzeba rzadkiéj mocy woli, odwagi i wytrwałości, jakie tylko u prawdziwie wielkich uczonych się napotykają, aby się nie dać sprowadzić z drogi temi lichemi zaczepkami.“

Daléj p. Jagicz rozbiera pięć jeszcze pomniejszych pism Miklosicha, które treścią swą obchodzić mogą tylko specyalistów; wymieniam tu ich tytuły, dodając, że recenzye p. Jagicza odznaczają się, jak zwykle, tonem nader umiarkowanym i zawierają wiele cennych przyczynków do pism rozbieranych. Są one następujące: Altslovenische Formenlehre in Paradigmen (zawiera spory wyjątek z ewangelii z Zografos), 1874; Beiträge zur altslovenischen Grammatik, 1875; Ueber den Ursprung einiger Casus der pronominalen Declination, 1874; Das Imperfect in den slavischen Sprachen, 1874 i Ueber die christliche Terminologie der slavischen Sprachen, 1875.

Na str. 458—460, prof. *Jagicz* zamieścił pochlebną recenzyą nowego dzieła Józefa *Jireczka* p. n. Rukovět k dějinám literatury české do konce XVIII v. ve způsobě slovníka životopisného a knihoslovného, Praga, 1874—76, 2 tomy, str. przeszło 800.

Daléj p. *Nehring* zdaje sprawę o „*Dwu zabytkach języka polskiego,*“ ogłoszonych przez dra. *Celichowskiego* w 3-m tomie Rozpraw filolog. Akad. Krak. i o artykule dra. Rymarkiewicza „Książeczka Jadwigi,“ zamieszczonym w 2-m zeszycie „Ateneum,“ z r. 1876. Czytelnicy wiedzą z recenzyj naszych czasopism o tych zabytkach i rozpra-

wach; notuję tu więc tylko, że p. Nehring z uznaniem się odzywa o pracach obu wymienionych autorów i nasuwa, pomiędzy innemi, przypuszczenia: że słowo, które p. Celichowski pisze w słowniczku *świadom* i objaśnia wyrazem *świadek*, ma formę raczéj *świadomie* i znaczy *sumienie*; daléj że wyraz *kolba*, który p. Celichowski objaśnia jako *gonitwa*, *turnieje*, oznacza raczéj, jak w czeskim języku, niemieckie Ringstechen, czyli rycerską zabawę, którą u nas wyrażano słowami „do pierścienia gonić,“ a zatém specyalnie gonitwy do pierścienia; na gonitwy lub turnieje w ogóle tenże pomnik ma wyraz *gońba*, którego przeto nie można tłumaczyć przez *gędźba*, jak to czyni pan C. Co do wyrazu *Dbacz* (str. 68 Rozpraw), myślę że może jest zamiast *Obacz*.

Obszerny *przegląd bibliograficzny* pism odnoszących się do filologii słowiańskiéj od r. 1870, z epigrafem: „zapalają światło i chowają je pod korzec,“ ułożony przez p. *Jagicza* (str. 465—607), jest prawdziwem dobrodziejstwem dla pracowników na polu rzeczy słowiańskich, gromadzi bowiem w jedno ognisko rozproszone promienie myśli naszych badaczów, daje pojęcie o różnych jéj kierunkach i ułatwia dalsze studia przyszłym pracownikom. Z jednéj strony, dowodzi on niezmiernéj skrzętności redaktora „Archiwum,“ z drugiéj zaś, daje chlubne świadectwo o postępach nauki słowiańskiéj, gdyż wykazuje przeszło 800 dzieł i rozpraw, napisanych prawie wyłącznie przez Słowian. Oczywiście i prace polskich pisarzy są tu starannie spisane, nie wyłączając nawet drobniejszych artykułów po czasopismach.

Przegląd ten nie jest suchym bibliograficznym spisem; owszem, prof. Jagicz ułożył go w porządek systematyczny i ożywił go choć treściwą oceną dzieł i artykułów. Obejmuje on następne oddziały:

I. *Pisma treści ogólnéj:* bibliografie, krytyki, życiorysy, korespondencye i encyklopedye; dzieł i artykułów w téj kategoryi 94.

II. *Językoznawstwo:* kwestye ogólne, studya gramatyczne nad oddzielnemi językami słowiańskiemi, prace porównawczo-gramatyczne, narzeczoznawcze, słownikarskie, wydania zabytków językowych (tu najwięcéj prac polskich), ogółem 255.

III. *Literatura:* dzieje piśmiennictw słowiańskich ogólne, szczegółowe, oraz monografie, numerów 217.

IV. *Badania rzeczy ludowych:* zbiory i studya nad literaturą gminną, numerów 113.

V. *Starożytnictwo:* dzieje, geografia, prawo i mitologia, ogółem numerów 133.

Szacowny ten inwentarz pracowitości słowiańskiéj z sześciu lat ostatnich niezmiernie pożądanym jest nabytkiem dla osób od-

dających się badaniom słowiańszczyzny. Zdaje mi się że którekolwiek czasopismo nasze, lub ktoś z naszych nakładców powinienby się postarać o przekład tego przeglądu: byłoby to prawdziwą usługą i pomocą dla naszych pisarzy.

Myślałbym także, iż niezmordowany w pracy prof. Jagicz oddałby równie wielką przysługę miłośnikom rzeczy słowiańskich, zamieszczając w swojem „Archiwum" oprócz tego, 1) treść naukowych i naukowo-literackich czasopism słowiańskich, w miarę ukazywania się ich, z oceną ważniejszych artykułów, odnoszących się do badań słowiańszczyzny, i 2) wskazówkę artykułów w czasopismach niesłowiańskich, dotykających téjże specyalności. Zadanie to niełatwe, ale korzyści ze spełnienia jego płynące sowicieby opłaciły trudy wykonania.

Opuściłem w przeglądzie moim pierwszego tomu „Archiwum" drobniejsze rozprawki; tu więc wymienię ważniejsze z nich:

List Niebuhra do Kopitara, udzielony przez p. Miklosicha; prof. Wesełowskiego przyczynek do badań nad legendą o Alexandrze Macedońskim; listy Dobrowskiego do Grimma; staropolski dowcip, przekręcający żartobliwie imię św. Bartłomieja na Bartodzieja (zwrócił nań uwagę najpierwéj p. Baudouin de Courtenay w swojém dziele o języku staropolskim, § 114 w odsyłaczu), wreszcie zapowiedź pana Eug. Żelichowskiego ze Stanisławowa w Galicyi, iż wyda wkrótce słownik ukraińsko-niemiecki. Na str. 155 i dal. p. Nehring prostuje twierdzenie prof. Maciejowskiego (Dod. do Piśm. 77 nr. 13), jakoby rękopis „Podręczna książka dla bractwa św. Franciszka" miał być najdawniejszym w bibliotece Kórnickiéj; napisano go, powiada, nie przed r. 1422, ale około 1523 r., i to jedną ręką. Na str. 622—624, p. Maur Grünvald podaje francuską recenzyą pracy rodaka naszego p. Fel. Michałowskiego, p. n. Vestiges dans les langues européennes des invasions orientales, St. Etienne, 1876. Pan M., jak widać z téj wzmianki, nie ma pojęcia o językoznawstwie; wywodzi np. wyrazy *bojar*, *modlić się* z języków turańskich, a w *Lodomeryi* widzi połączenie wyrazów *lud* i *mir*, znaczące niby *przymierze ludów*, nie chcąc wiedzieć, że nazwa ta Galicyi pochodzi od *Włodzimierza*. Słusznie téż w przypisku wydawca „Archiwum" powiada: „Autor (t. j. p. Michałowski) należy oczywiście do rzędu uczonych, jakich właśnie nierzadko pomiędzy Polakami spotykamy, co o postępach językoznawstwa słowiańskiego, opartych na podstawie mowy staro-słowiańskiéj, albo niewiele wiedzą, albo niewiele chcą wiedzieć." Dziwić się należy dla czego

„Archiwum,“ drukuje taką recenzyą, jak p. Grünwalda, który dziwaczne słoworody p. Michałowskiego bierze na seryo i nazywa je nowemi a zajmującemi.

Jan Karłowicz.

Le Comte de Plélo, un gentilhomme français, aux dix-huitième siècle, *guerrier, littérateur et diplomate*— d'après des papiers de famille et les archives du ministère de la guerre et des affaires étrangères. Par E. J. B. *Rathéry*. Paris, E. Plon et C-ie 1876.

Ten tylko, co przez dłuższy czas podejmując poszukiwania w porze dla dziejów ważnéj, lecz moralnie podupadłéj, wykazującéj niemal wyłącznie charaktery ujemne, w epoce obyczajowego rozprzężenia i upadku, szczęśliwém zdarzeniem odkrywa postać nieznaną a dzielną i szlachetną, przenoszącą o całą głowę ogół swych współcześników,— ten tylko mówię, pojmie w całéj rozciągłości i roskosz, jakiéj doznał sam ś. p. uczony autor monografii, któréj kilka słów zamierzamy poświęcić, i korzyść, jaką odnosi społeczeństwo, spotykając perłę najpierwszéj wody, pełną świetności i blasku, wśród brudów i śmieci epoki.

Rzec można śmiało, że kilka takich osobistości, jak Plélo, zdołałoby okupić grzechy i rozpasanie tych smutnych czasów, w jakich jmu żyć przyszło; że on niemal jeden trzymał sztandar honoru Francyi wysoko, gdy oględni i utylitarni dyplomaci bez wahania i wstydu godność narodu poświęcali niskim widokom małodusznéj praktyczności. Pełen twórczego talentu i wszechstronnéj, zdumiewającéj na owę porę nauki, poeta, fizyk, chemik, astronom i lingwista, dzielny żołnierz i biegły mąż stanu, a przedewszystkiém człowiek prawy i szlachetny, serdecznie kochający żonę i wzajem przez nią kochany, co tém jaskrawiéj odbija od zepsucia i orgii dworu Ludwika XV, gotów zawsze własną krwią stwierdzić swe słowa, ginący z całą świadomością w nierównéj walce z przeważnemi siłami przeciwnika, aby tylko zagrożoną cześć ojczyzny ocalić, takim jest hr. Plélo, którego pamięc z godną uznania troskliwością z pod gruzów zapomnienia odgrzebał Rathéry.

Na ten, lubo spóźniony, akt wdzięczności zasługuje ze wszech miar hr. Plélo. On to i Markiz Monti dokładają wszelkich sił, by swój rząd wyprowadzić ze stanu apatyi i do energiczniejszego poparcia Leszczyńskiego pobudzić; zasługa zaś pierwszego tém większa, że mniéj w tém od markiza interesowany, z większym niż on zapałem wystąpił i własnego życia nie wahał się poświęcić.

Zabiegi jego i sam zgon nie wydały żadnych owoców z winy osób, które wówczas stały u steru władzy we Francyi. Ministeryum kardynała Fleury, jak trafnie zauważył w swych pamiętnikach książe Noailles, mogło być użytecznem chyba w czasie pokoju. Wojna, mimo powodzeń francuskiego oręża, stawała się ciężarem dla starca, tęskniącego za spoczynkiem, a od czasu do czasu uczuwającego wyrzuty sumienia, że, lubo kapłan, wojuje z katolickim monarchą. Były nauczyciel króla, rządził on i teraz niepodzielnie dwudziestokilkoletnim już uczniem mimo jego uroczystéj zapowiedzi, że sam panować będzie. Marszałek Villars pragnął wprawdzie z całéj duszy pobudzić Ludwika do wysłania silnéj armii teściowi z pomocą, lecz wszystkie jego starania rozbijały się o bezmyślną apatyą króla.

Sam Leszczyński, o ile się zrazu łudził nadzieją, że pokonawszy nieprzyjaciół, spokojnie władać będzie ojczystym krajem, że mianowicie Rossya będzie musiała wycofać z Polski swe wojska, skoro ją zagrożą Turcya i Szwecya, (1) o ile na przekor obawom Maryi, „rękawiczkę łezkami zlewającą, z całą szczerością poprzysięga, że jego „położenie jest dobrem"—o tyle niezadługo zmienia zdanie i wypowiada otwarcie, że jeśli go Francya szczerzéj nie poprze, a zwłaszcza nie wyszle wojska na zajęcie Saksonii, to Rydzyński (tak siebie nazywa od miasta Rydzyny) „będzie musiał swe dziedzictwo porzucić i na przeszłą arendę wrócić", z tego też powodu może „lepiéj zawczasu się pogodzić, niż próżne koszta łożyć".

Do dziejów ówczesnéj wojny o następstwo po Fryderyku Auguście II, do stanowiska zwłaszcza, jakie w obec téj walki zajęła Francya, dzieło p. Rathéry pozostanie bez wątpienia nieobojętnym przyczynkiem, uwydatniając gnuśne niedołęstwo rządu jaskrawym kontrastem zapału i oburzenia jakiemi oddychał Plélo.
Materyał, jakiego dla historyi Polski dostarcza Rathéry jest przecięż bardzo szczupłym w porównaniu z bogactwem szczegółów do biografii samegoż bohatera, którego niejako na nowo odkrył dzięki wynalezionym w Bretanii i w archiwach paryskich źródłom. To zaś co o wypadkach z r. 1733 i 1734 mówi, o ile się nie odnosi wprost do osoby hrabiego Plélo, jest albo już znaném, albo też nie wznosi się po nad doniosłość podrzędnych szczegółów.

---

(1) Stanisław z Gdańska 3 października 1733 do Maryi. Tak ten list, jak następne, które tu przywodzimy, przeważnie popolsku pisane, a dotąd nieogłoszone drukiem, cytujemy z oryginałów, znajdujących się w archiwum ministeryum spraw wewnętrznych w Paryżu, K. 141.

O ile za wykrycie zapomnianéj postaci i zapomianych zdarzeń należy się autorowi jak najżywsze uznanie, o tyle zauważyć należy, że książka jego, pod względem układu ugrupowania faktów i artystycznego opracowania, wiele zostawia do życzenia. Brak jéj właśnie tego, co u pisarzy francuskich jest tak zwykłą zaletą, a co tutaj dzięki samemu przedmiotowi byłoby przyszło tak łatwo, t. j. zręcznego przedstawienia, werwy i obrazowości w opowiadaniu. Mając rzecz w wysokim stopniu zajmującą, Rathéry bardzo mało uczynił dla podniesienia interesu opowieści; w najciekawszych chwilach jest suchym, a od bladości broni dzieła jego tylko barwność samegoż materyału, zwłaszcza pełnych życia i dowcipu listów hr. Plélo. Wzgląd ten tłómaczy nam, dla czego z nich autor czyni tak rozległy użytek; lubo to pewna, że cytowanie *in extenso* listów tak hrabiego, jak innych osób, a nieraz obszernych wyjątków z gazet (np. str. 219), rozpychają zbytecznie text i psują organizm pracy.

K. K.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe dopełnienie do teoryi doboru naturalnego.

W pierwszym tegorocznym zeszycie „Ateneum“ podaliśmy wyjątek z mowy Wallace'a, zawierający jego poglądy na historyą pierwotnego człowieka i pierwotną cywilizacyą, dziś pomieścimy streszczenie innych części tego ciekawego odczytu.

a) Zależność ubarwienia zwierząt od warunków miejscowości, w któréj żyją.

Nadzwyczajna rozmaitość, fantastyczność i świetność barw i rysunków pokrywających ciała zwierząt, szczególniéj ptaków i owadów, zwracała na się oddawna uwagę przyrodników. Darwin szuka jéj przyczyny w doborze płciowym, stawiając hipotezę, że świetna barwa stanowi wielką ponętę dla osobników płci przeciwnéj. Jakkolwiek, na poparcie tego zdania, przytacza mnóstwo przykładów, jednak inni naturaliści, a pomiędzy nimi Wallace, widzą ważniejszą przyczynę w konieczności ukrywania się przed nieprzyjaciołmi, i przybierania w tym celu, wskutek bezwiednego doboru naturalnego, barw, które już to są podobne do przedmiotów otaczających, już też do istot opatrzonych w silne środki odporne. Oprócz tego, na ubarwienie mają silnie wpływać wprost warunki otoczenia, których sposób działania jest jeszcze dotychczas nieznany.

Na poparcie ostatniego twierdzenia, Wallace przytacza następujące przykłady, zdolne pobudzić każdego do myślenia nad postawioną przez niego kwestyą.

W Afryce zwrotnikowéj żyją dwie grupy motylów do zupełnie odmiennych rodzin należące, a odznaczające się przewagą nie-

biesko-zielonego zabarwienia, jakiego napotkać nie można u motylów innych części świata.

Tamże żyje pewna grupa motylów z rodziny *Pieridae*, ubarwiona białym i blado-żółtym kolorem, oraz szeregiem czarnych plam na skrzydłach, do której tak jest podobny pewien gatunek rodziny *Lycaenidae*, że dawniéj zaliczano go do rodzaju Pieris.

W Gujanie, gatunki trzech odrębnych rodzajów, *Ithomia*, *Mechanitis* i *Heliconius* odznaczają się tą cechą wspólną, że mają w górnych częściach skrzydeł żółte plamy; natomiast te same gatunki, lecz mieszkające w południowéj Brazylii, mają w tych miejscach plamy białe.

Na ubarwienie pewnych boliwijskich i peruwiańskich gatunków, rodzajów *Mechanitis*, *Melinaea*, *Heliconius*, a niekiedy i *Tithorea* składają się kolory: pomarańczowy i czarny, a u tychże samych gatunków w Nowéj Grenadzie napotykamy barwę pomarańczowo-żółtą i czarną.

W Ameryce południowéj, w rodzajach należących do rodziny Nympholideae, a mianowicie: *Catagramma*, *Callithea* i *Agrias*, niektóre gatunki bardzo od siebie oddalone odznaczają się jasno-niebieskiemi skrzydłami z paskami pomarańczowo-malinowego, błękitnego lub purpurowego koloru.

W Ameryce podzwrotnikowéj, rysunek niektórych gatunków *Apatura* bywa zupełnie podobny do rysunku gatunków innego rodzaju—*Heterochroa*.

Na wyspach, związek barw z miejscowością występuje jeszcze wyraźniéj. W ogóle motyle żyjące na wyspach są bledsze, czasami zaś tylko ciemniejsze i świetniejsze aniżeli lądowe; przytém odznaczają się często znaczną wielkością.

Na wyspach Moluckich i Nowéj Gwinei, motyle *Papilio euchenor*, *P. ormenus* i *P. tydeus* różnią się od lądowych bledszą barwą, a samice ich są prawie białe.

Trzy dość oddalone od siebie gatunki rodzaju Euplaea: *E. Hoppteri*, *E. euripon* i *E. assimilata*, żyjące na większych wyspach, cechują się barwami ciemnemi, pełnemi, zaś te same gatunki, żyjące na mniejszych wyspach, posiadają szerokie białe pasy lub plamy.

Trzy gatunki rodzaju *Diadema*, mieszkające na małych wyspach, posiadają daleko więcéj plam białych, niż też same gatunki z wysp większych.

Na wyspie Amboinie, motyle dwunastu gatunków należących do rozmaitych rodzajów są daleko większe od motylów na większych wyspach pobliskich.

Motyle wysp Filipińskich odznaczają się często blaskiem metalicznym. Trzy gatunki rodzaju *Euplaca* mają blask metaliczny, o wiele silniejszy od swych krewnych na innych wyspach. Wielki żółty motyl *Ornithoptera Mogellanus* ma skrzydła tylne odznaczające się silnym blaskiem opalowym, nienapotykanym wcale w innych miejscowościach. *Adolios calliphorus* jest większy i więcéj posiada blasku metalicznego niż wszystkie inne gatunki archipelagu Filipińskiego, a chrząszcz *Pachyrhynchus* tamże żyjący, pod względem świetności metalicznego ubarwienia, nie ma współzawodnika na całym świecie.

Motyle żyjące na wyspach Andamańskich są zwykle bledsze od mieszkających na pobliskim lądzie. Na Madagaskarze, gatunki do rozmaitych rodzajów należące różnią się od lądowych białą lub przynajmniéj jasną barwą.

„Kto nie jest dość obznajomiony, powiada Wallace, z ważnemi różnicami budowy wymienionych tu motylów, temu niepodobna prawie ocenić doniosłości i znaczenia przytoczonych faktów. Dla uczynienia ich zrozumialszemi dla nie-zoologa, przytoczymy kilka zmyślonych przykładów z dziedziny wyższych zwierząt. Wyobraźcie sobie naprzykład, że rozmaite antylopy południowéj Afryki są tak ubarwione i zupełnie takie same mają pasy jak zebra, albo téż, że zające, świstaki i wiewiórki europejskie odznaczają się barwą rdzawą i czarnemi nogami, a odpowiednie gatunki środkowéj Azyi wszystkie są żółte i mają czarne głowy. Gdyby podobne przykłady istniały w rzeczywistości, to z pewnością ściągnęłyby na siebie uwagę wszystkich naturalistów i pobudziłyby do starannych badań nad działaniem miejscowych warunków na ubarwienie zwierząt.“

A właśnie przykłady tego rodzaju przedstawiają nam fakta powyższe.

Z pierwszego rzutu oka mogłoby się zdawać, że mamy tu do czynienia z faktami odnoszącemi się do sfery mimetyzmu, ale bliższe zbadanie powyżéj wymienionych motylów okazuje, iż mimetyzmu nie można tu przypuszczać, gdyż jedne z owych podobnych do siebie motyli nie posiadają żadnych specyalnych narzędzi obrony, mogących odstraszyć nieprzyjaciół, inne zaś posiadają broń równą wszystkim do nich podobnym, — mimetyzm więc nie ma tu żadnego dla siebie gruntu.

Dr. Ogle podał bardzo ciekawe fakta, odnoszące się do stopnia jasności zabarwienia u zwierząt wyższych. (*) Wypada z nich, że

---

(*) Medico-Chirurgical Transactions, 1870.

obecność kolorowego lub ciemnego pigmentu w części nosa czułéj na woń jest konieczną, i że brak jego rzadko kiedy można zauważyć. Zdarza się on jednak niekiedy u zwierząt zupełnie białych, które wtedy zupełnie bywają pozbawione węchu a zarazem i smaku. Okoliczność ta, według Ogle'a, tłómaczy nam fakt, przytoczony przez Darwina, że w Wirginii białe świnie trują się pewnym korzeniem, który dla świń czarnych jest nie szkodliwy. Ponieważ nikt nie dowodzi, że i świnie czarne jedzą ten korzeń, a nawet jest rzeczą nieprawdopodobną, aby zmianie barwy towarzyszyły tak głębokie zmiany w organizmie, jakie są potrzebne do stawiania zupełnego oporu truciźnie, zabijającéj pokrewne osobniki, więc Dr. Ogle wnosi, iż świnie czarne dla tego nie trują się owym korzeniem, iż go nie jedzą, nie jedzą go zaś z tego powodu, że je od tego delikatny węch i smak ostrzegają. Podobnie rzecz się ma z białemi owcami, końmi i to w niektórych miejscowościach. Jeżeli rzeczywiście ciemny pigment ma tak ważne znaczenie, to nic dziwnego, że zupełnie białe zwierzęta tak rzadko się na świecie napotykają: gdy się urodzą, giną z powodu słabo rozwiniętych zmysłów, których bystrość koniecznym jest warunkiem znajdywania zdobyczy i unikania nieprzyjaciół. To też głowa, pysk, a przynajmniéj jego koniec, nos, są czarne, a uszy i oczy takiegoż samego bywają koloru. Są nawet przyczyny każące przyjąć, że czarny pigment jest koniecznie potrzebny dla zmysłu słuchu, podobnie jak jest niezbędny dla wzroku. Toby nam tłómaczyło znowu fakt, przytoczony przez Darwina, że koty białe z niebieskiemi oczami są głuche. Zapewne przy głuchocie nie mają one węchu i smaku, ale trudno się o tém przekonać i dlatego też tylko brak słuchu zauważono.

Biała tedy barwa, któréj towarzyszy brak ciemnego pigmentu w organach zmysłów, jest podwójnie niekorzystną dla zwierzęcia: 1-o zwierzę łatwiéj może być dostrzeżone przez nieprzyjaciela, 2-o brak czułych zmysłów nie dozwala mu odkryć niebezpieczeństwa. Przy silnéj więc walce o byt, niepodobna się utrzymać zwierzętom białym przy życiu, i dla tego też białe ubarwienie (*albinizm*) u zwierząt dzikich nie jest znane, choć w stanie domowym dość często się przytrafia—naodwrót, w stanie dzikości często się napotyka czarne ubarwienie (*melanizm*). To nam tłómaczy: dla czego w ogóle na wyspach, zwierzęta bywają jaśniejsze niż na lądach stałych; mniéj tam jest nieprzyjaciół, mniejsze współzawodnictwo.

Co się tyczy motylów, to nie zauważono, aby białéj ich barwie towarzyszyło osłabienie organów zmysłów; mniéj więc białe motyle są narażone na niebezpieczeństwo aniżeli inne zwierzęta,

i ztąd też może na nich najlepiéj się uwydatnia wpływ mieszkania na wyspach.

„Być może,“ powiada Wallace, „że i w historyi rozwoju wyższych ras ludzkich grał pewną rolę związek pomiędzy delikatnością zmysłów a barwą zewnętrzną. Jeżeli jasnéj skórze towarzyszyła zwykle pewna niedokładność zmysłów węchu, słuchu, wzroku, to biały człowiek nie mógł współzawodniczyć z ciemniejszemi rasami, dopóki był na niskim stopniu rozwoju i dopóki życie jego zależało od delikatności zmysłów. Lecz o ile jego zdolności umysłowe się rozwijały i stawały dla niego ważniejszemi od doskonałości zmysłów,—jaśniejsze barwy skóry, włosów i oczu przestawały być szkodliwemi, gdy im tylko towarzyszył wyższy rozwój umysłowy. Wówczas podobne białe odmiany człowieka mogły się utrzymać, i być może, iż tym sposobem powstała biała rasa ludzi, u któréj napotykamy wysoki stopień rozwoju umysłowego, obok niedoskonałości zmysłów, w porównaniu z ciemniejszemi rasami.“

b) *Geograficzne rozmieszczenie roślin wyspowych w związku z rozmieszczeniem owadów.*

Od czasu badań Darwina i innych uczonych nad stosunkiem kwiatów do owadów, okazało się, że związek pomiędzy temi istotami jest o wiele większy i bardziéj skomplikowany, aniżeli dawniéj przypuszczano. Poznano, że istnieją całe rodzaje a nawet rodziny roślin specyalnie usposobionych i zastosowanych do przynęcania pewnych owadów i korzystania z ich pomocy w sprawie zapłodnienia, a w wielu razach przystosowanie się rośliny do takich lub owakich owadów zadecydowało szczuplejsze lub rozleglejsze ich rozmieszczenie. Gdy roślina może być zapłodnioną tylko przez pewien gatunek owadu, a gatunku tego nie ma w danéj miejscowości, to i roślina przezeń zapładniana nie może się w niéj utrzymać.

Według Wallace'a, okoliczności te mogą objaśnić wiele właściwości flory wysp oceanicznych.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, sposoby dostawania się roślin i zwierząt na te wyspy bywają często odmienne. Co się tyczy roślin, to jedne z nich zanoszone bywają na wyspy przez prądy morskie, inne zaś przez ptaki wodne, jak albatrosy, burzyki i t. d., które gnieżdżą się często daleko od brzegów wśród bogatéj roślinności. Owady zaś przeciwnie zanoszone bywają na wyspy przez prądy powietrzne, a głównie przez silne burze. Może się więc zdarzyć, że na jednę i tę samę wyspę dostaną się rośliny i owady zupełnie dla siebie nieodpowiednie, i dla tego ro-

śliny niemogące znaleść pomocnika do zapłodnienia będą musiały w przeważnej części zginąć, nie pozostawiwszy potomstwa.

W téj okoliczności należy szukać, według Wallace'a, przyczyny dziwnie ułamkowego charakteru flor wysp, różnicy często zachodzącej pomiędzy florami jednego i tego samego oceanu, oraz przewagi na téj lub na owéj wyspie niektórych działów i rodzajów roślin. Pikkering wyliczył aż 66 naturalnych grup roślin nieistniejących na Taiti, a mających przedstawicieli, nawet niekiedy bardzo licznych, na wyspach w téjże okolicy położonych, jak np. wargowe na wyspach Sandwicz. Na tych ostatnich, znów flora, choć jest daleko bogatszą niż na Taiti, nie posiada z swojéj strony przedstawicieli roślin właściwych innym wyspom Polinezyi. Ubóstwo i dziwne rozmieszczenie roślinności na tych wyspach zależy zapewne w znacznym stopniu od tego, że owady siadające na kwiatach, jak np. motyle, pszczoły, trzmiele i t. d., stanowią rzadkość na wschodnich wyspach Oceanu Spokojnego, i, powiada Wallace, nie ulega prawie wątpliwości, że w skutek téj okoliczności, nie mogło się na nich rozplenić wiele roślin zapładnianych przez rzeczone owady. Na wyspach zachodnich, np. na Fidży, istnieje dość pokaźna liczba rozlicznych motylów i kilka gatunków błonkoskrzydłych siadających na kwiatach, a zgodnie z tém flora tych wysp jest o wiele rozmaitszą i posiada znacznie więcéj gatunków z pokaźnemi, pięknemi kwiatami.

Darwin, Pikkering i Moseley świadczą, iż na Taiti rosną przeważnie paprocie. Paproć drzewiasta *Alsophila Dahitensis* stanowi tam rodzaj lasu, niezawierający prawie żadnych innych drzew. „Nigdzie nie widziałem tak ogromnéj przewagi paproci", powiada Moseley. W ogóle przewaga paproci jest charakterystyczną dla flor na wyspach w porównaniu z lądowemi; przypisywano ją sprzyjającym tym roślinom warunkom, panującym na wyspach, a mianowicie jednostajnemu klimatowi i wilgoci powietrza. Atoli pod tym względem Tahiti niewiele się różni od innych wysp, na których przewaga paproci nie jest tak znaczną.

Podobnie kolosalny stosunek paproci do innych roślin znajdujemy na wyspie Juan Fernandes, na obu zaś zauważono niezmierne ubóstwo owadów.

Niepodobna może znaleść na całéj ziemi klimatu i gruntu tak dobrego, roślinności tak bujnéj jak na Tahiti, i takiego przytém ubóstwa co do owadów. Nietrudno połączyć przyczynowym związkiem te dwie okoliczności i wytłómaczyć przewagę paproci a ubóstwo roślin kwiatowych. Zarodniki paproci są bardzo małe, bardzo obfite i dla tego łatwiéj mogą być przenoszone przez wiatry,

aniżeli nasiona roślin kwiatowych: wynika ztąd że paprocie z tego względu więcéj mają sposobności do zajęcia miejsc wakujących od roślin kwiatowych. Z drugiéj znów strony, wszystkie rośliny potrzebujące do zapłodnienia owadów, już to zawsze, już téż od czasu do czasu, dla pokrzepienia sił swego potomstwa przez krzyżowanie, muszą bardzo cierpieć w okolicach, gdzie owady stanowią rzadkość. Właśnie dla tego flora wysp musi być ubogą, gdyż powstając z przypadkowo przybłąkanych istot, traci jeszcze z nich wszystkie te, które nie znajdują na nich potrzebnéj dla się pomocy owadów.

Prawdopodobną więc jest rzeczą, że przewaga paproci (ze względu na ilość osobników) jest głównie następstwem braku roślin kwiatowych, któreby z niemi mogły współzawodniczyć, brak zaś tych roślin zależy głównie od rzadkości owadów.

Na innych wyspach oceanicznych, np. na Nowéj Zelandyi i Galapagos, paprocie nie są tak liczne jak na Taiti, owadów zaś siadających na kwiatach jest prawie tak mało jak na niéj. Odpowiednio do tego ostatniego warunku, na wyspach tych napotykamy przewagę kwiatków drobnych, zielonych, niewpadajacych w oczy, co znaczy, że na wyspach powyższych mogły się rozwinąć tylko takie rośliny, które do zapłodnienia pomocy owadów nie potrzebują. Na Galapagos owadów jest tak mało, a kwiatki są tak drobne, że Darwin nie odrazu zauważył, iż wszystkie rośliny podczas jego pobytu były pokryte kwiatkami i ani jednego pięknego kwiatu na tych wyspach nie znalazł.

Pewien jednak fakt zdawałby się przeczyć téj obserwacyi, że na wyspach gdzie jest mało owadów, nieliczne rośliny jawnokwiatowe posiadają kwiaty niepokaźne, nieobliczone, że tak powiem, na przynętę owadów. Oto na Juan Fernandes, wyspie należącéj do najuboższych w owady, znajdujemy dosyć kwiatów pokaźnych i pięknych. Według Moseley'a, napotykamy tam obficie pewne drzewo z rodziny magnoliowych, pokryte bardzo pięknemi białemi kwiatami, i pewien krzew z familii bignoniowych, kwitnący mnóstwem kwiatów niebieskich, a pochyłości gór są ozdobione grupami pewnéj rośliny liliowatej z białemi kwiatami. Oprócz tego, Moseley znalazł na téj wyspie pewną roślinę złożoną, z wielkiemi kwiatami żółtemi, oraz gatunek mirtu z białemi kwiatami. Pomimo to wszystko fakt ten nie staje w opozycyi z rzeczonym ścisłym związkiem pomiedzy owadami a roślinami. I owszem, tylko go potwierdza. Łatwo to pojmiemy, gdy weźmiemy pod uwagę, że na téj wyspie żyje ogromne mnóstwo kolibrów, spełniających względem kwiatów tę samę funkcyą, co motyle i błonkoskrzydłe.

Moseley powiada, iż przy każdym osobniku roślinnym można widzieć jednego lub dwa kolibry, a na zabitych okazach przekonał się, iż piórka przy podstawie dzioba i na łebku są pokryte żółtym pyłkiem kwiatowym. Otóż to dla tego na wyspie Juan Fernandes korzystném jest dla roślin mieć kwiaty piękne i rzucające się w oko; brak zaś podobnych kwiatów na Galapagos tłómaczy się nietylko nadzwyczajną rzadkością owadów, ale też i zupełnym brakiem kolibrów.

Kolibry na wyspie Juan Fernandes nie stanowią wcale wyjątku. Według świadectw Wallace'a, Moseley'a, Pikkeringa i innych, nietylko kolibry, ale i inne ptaki, szukając słodkiego płynu w głębi kwiatków, przenoszą na swych piórkach pyłek z jednych na drugie. W ogóle nie ulega wątpliwości, że ptaki grają większą rolę w charakterze zapładniaczy kwiatów, aniżeli się dotąd domyślano. Być nawet może, iż się okaże, że w Ameryce podzwrotnikowéj, tak obfitującéj w kolibry, niektóre kwiaty są specyalnie usposobione do zapładniania się przy pomocy tych ptaszków, tak jak wiele kwiatów naszéj półkuli, w skutek swych specyalnych urządzeń, może uledz zapłodnieniu tylko przy pomocy niektórych rodzin i rodzajów owadów.

Należy jednak zwrócić uwagę na to, że kwiat, który osiągnął świetną barwę dla przynęcania owadów, może ją zatrzymać na czas bardzo długi po przeniesieniu się do innéj miejscowości i po zastosowaniu się do samozapładniania. Tém prawdopodobnie da się wytłómaczyć istnienie barwnych kwiatów na wyspie Ś-téj Heleny. Stanowią one zapewne szczątki flory owych czasów, kiedy wyspa ta o wiele większa niż teraz, była pokrytą bujnemi lasami i żywiła wielką liczbę ptaków i owadów.

Inny fakt, bardzo interesujący, stanowi istnienie drzewiastych form roślin złożonych, napotykanych na wielu najoddaleńszych wyspach oceanicznych. Znajdujemy je na wyspach Galapagos, Juan Fernandes, S-t. Heleny, Sandwicz i na Nowéj Zelandyi. Drzewa te nie są wcale do siebie zbliżone i owszem, na różnych wyspach, rozmaici przedstawiciele ogromnéj grupy złożonych przybrały formę drzewiastą. Wielkie rozpowszechnienie się roślin złożonych tłómaczy się kombinacyą kilku pomyślnych warunków: nasiona tych roślin z nadzwyczajną łatwością przenoszą sie w najdalsze okolice, gdyż często są opatrzone puszkiem (jak np. u naszego Taraxacum), duże ich kwiaty są bardzo ponętne dla owadów i mogą być zapładniane przy pomocy najrozmaitszych rodzajów, a szczególniéj much i drobnych chrząszczyków. Dla tego też rośliny te mogą być jednemi z pierwszych mieszkańców wysp oce-

anicznych. Co się zaś tyczy ich formy drzewiastéj, to przybrały ją prawdopodobnie dla dwóch przyczyn, raz dla tego, że drzewu łatwiéj jest prowadzić walkę o byt z paprociami, a powtóre, że w okolicach nieobfitujących w owady, bardzo jest korzystném dla rośliny być wieloletnią czyli trwałą, gdyż ma zapewnione potomstwo, nawet wtedy, gdyby jednego lub drugiego roku zapładnianie się nie udało. Dzięki więc korzyściom, jakie forma drzewiasta przedstawia, rozwinęła się ona zupełnie niezależnie w tylu miejscowościach bardzo odległych od siebie, których główną właściwość stanowi wielkie oddalenie od lądów stałych i nadzwyczajne ubóstwo w owady.

Nowe badanie nad bakteryami.

Bakterye i wibryony stały się w ostatnich czasach jednym z najulubieńszych przedmiotów badania na polu nauk biologicznych. I nic dziwnego, trudno bowiem znaleść przedmiot, któryby pod tylu co one względami zaciekawiał człowieka i tyle był obiecującym dla badacza. Z teoretycznego punktu widzenia przedstawiają one wielki interes dla biologa przez swoje stanowisko w naturze, gdyż są organizmami najprostszéj budowy, stojącemi pomiędzy światem zwierząt a roślin, a nadto odpornością swą przeciwko szkodliwemu wpływowi wysokiéj temperatury, któréj już żadne inne organizmy nie znoszą, okazują wyjątkowy charakter, którego szczegółowe poznanie nie mogłoby pozostać bez wpływu na podstawowe nasze pojęcia o substancyi istot żyjących. Dalej, w kwestyi samorodzstwa, grają one pierwszorzędną rolę, gdyż w doświadczeniach, mających na celu rozwiązanie téj kwestyi, one przeważnie na jaw występują, powstając wśród ciał organicznych, lecz śladów życia niezdradzających (patrz w zeszycie 8 z r. z. Doświadczenia Tyndalla i t. d.). Praktyczna zaś strona zbadania bakteryj, równie jak powyższa ważna dla uczonych, zajmuje w wysokim stopniu ogół inteligentnéj publiczności, albowiem od niéj oczekiwać należy wytłómaczenia zjawisk gnicia i zarazy, zjawisk z któremi losy ludzkości są ścisłym węzłem złączone. Okoliczności te tłómaczą nam: dla czego wiele umysłów tak pilnie się zajmuje temi najprostszemi formami organizmu, i dla czego w krótkim stosunkowo czasie już po raz trzeci, czy czwarty do nich powracamy. Podawszy znakomite doświadczenia Tyndalla nad ich powstawaniem i sposobami pojawiania się, chcemy się dziś podzielić z czytelnikami

krótką wiadomością o rezultatach owych badań dwóch botaników: prof. Ferdynanda Cohna z Wrocławia i Dra Eugeniusza Warminga z Kopenhagi.

Ruchy bakteryj. Powyżsi badacze dostrzegli u bakteryj włoskowate, bardzo ruchliwe przysadki, zupełnie odpowiadające istniejącym u młodocianych form wodorostów i niektórych niższych zwierząt. Biczyki te (flagella) bywają u rozmaitych form okrągławych, wydłużonych i wężownicowatych. Liczba ich jest zmienną, nawet u jednego i tego samego gatunku bywa ich 1, 2 lub 3. Są one umieszczone obok siebie na jednym z końców ciała. Gdy ma nastąpić rozmnażanie, odbywające się przez podział poprzeczny, biczyk występuje i na drugim końcu ciała macierzystego, tak, że oba jego końce stają się tylnemi częściami dwóch nowych istot. Ruch ich jest obrotowym i postępującym. Oba te ruchy widać wyraźnie u form wężownicowatych: vibrio i spirillum; śrubują się one przez wodę tak jak grajcarek przez korek. U prosto wydłużonych, jak np. u bacillus'a, ruch obrotowy można zauważyć, gdy na ciele żyjątka znajduje się jakie wgłębienie. U form okrągławych, elipsoidalnych i lekko powyginanych, ruch jest mniéj regularnym i tylko postępującym. Wężownicowate poruszają się w kierunku osi podłużnéj swego ciała, a mając przyjąć inny kierunek, muszą się obrócić; u prosto wydłużonych i okrągławych, dostrzeżono także ruch w kierunku nachylonym do długości osi. Gdy płynąc po wodzie napotkają jaką przeszkodę, to zatrzymują się przy niéj dość długo, a następnie przyjjmują inny kierunek. Podczas ruchu, koniec ciała, opatrzony biczykiem, pozostaje z tyłu, a więc można widzieć niejaką analogią pomiędzy biczykiem a szrubą statku parowego.

Porównanie to jednak należy przyjąć z wielkiém zastrzeżeniem. Warming sądzi, że biczyk nie jest właściwym organem ruchu, gdyż można widzieć indywidua zostawające w jedném miejscu, a poruszające jednak biczykiem, oraz posuwające się naprzód i ciągnące za sobą biczyk nieruchomy. Jaka więc jest przyczyna ruchu? Tego jak powiada Warming, nie wiemy. Samo ciało bakteryj nie jest zupełnie stałém, kontury jego są cokolwiek ruchliwe, ale w małym stopniu. Dotąd jest rzeczą wątpliwą, czy jest otoczone powłoczką cellulozy; Cohn wprawdzie na zasadzie prób z odczynnikami przypuszcza, iż błonka istnieje, ale dotychczas nie dostrzegł jéj wewnętrznego zarysu.

Oprócz dotychczas znanego *rozmnażania* bakteryj przez podział poprzeczny, Cohn zauważył u niektórych gatunków rodzaju Bacillos rozmnażanie się za pomocą zarodników (spor). Przed utworzeniem się zarodników bacille znacznie się wydłużają, w skutek

czego z pałeczkowatych ich ciałek powstają długie i giętkie niteczki, które skupiają się przy sobie i, jak się zdaje, zlepiają za pomocą kleistéj wydzieliny. Następnie, ukazują się na nich punkta silnie łamiące światło, a zarysy nitek powoli znikają. Punkta te są okrągłemi ciałkami, zarodnikami, które pozostają po zniknięciu zarysów nitek i z czasem zamieniają się na nowe pałeczki bacillów. Zarodniki tworzą się tylko przy swobodnym przystępie powietrza.

Co się tyczy *systematyki* bakteryj, to Cohn jeszcze w r. 1875 odróżnił wśród nich rodzaje według formy zewnętrznéj. Istoty podłużne, cylindryczne, nieprzechodzące nigdy w nitkowate, nazwał Bacterium; proste, cienkie i krótkie, Bacillus; krótkie, falisto powyginane Vibrio; krótkie, wyraźnie wężownicowato zwinięte i sztywne Spirillum; wreszcie długie, wężownicowate, giętkie Spirochaeta.

Warming nie uznaje tego podziału za słuszny. Sądzi on, że pojedyncze gatunki mogą mieć wielkie bogactwo form i dzieli je głównie według biologicznego zachowywania się, powstawania w rozmaitych płynach, przy różnych temperaturach, łącząc wszystkie powyższe rodzaje w jeden tylko: Bacterium. Co się tyczy stanowiska bakteryj w rzędzie istot organicznych, to zbliżają się one dosyć do najniższych form Nostochineów, przedstawiając następujące wspólne z niemi charaktery: brak chlorofilu, rozmnażanie przez podział poprzeczny (Schizophyta), a u niektórych form, zlewanie się nitek komórkowych za pomocą masy śluzowatéj. Rodzaje Spirulina, Beggiatoa i Sarcinula są formami pośredniczącemi pomiędzy jedną a drugą gromadą. Okrągławych, bezgębnych, sztywnych tworów, oznaczanych nazwą Monas, nie można jeszcze dotąd dokładnie oddzielić od bakteryj.

Dość znaczna ilość bakteryj zawiéra w swém wnętrzu siarkę krystaliczną, pod postacią kuleczek z ciemnemi zarysami silnie światło łamiących, które się rozpuszczają w siarku węgla. Głównie zawierają takie kuleczki formy rosnące na zgniłych częściach roślin, jak np. Monas Okenii i Bacterium sulphuratum, znajdywano na gnijących roślinach morskich, wyrzucanych na brzeg duński. Rodzaj Beggiatoa, podobny do Oscyllaryj, ale blady, niezabarwiony na zielono, zawiera także owe kuleczki i napotyka się w tychże samych miejscach. Takie siarkowe bakterye i beggiatoy żyją w wodzie nasyconéj zupełnie siarkowodorem, a więc, według wszelkiego prawdopodobieństwa, niezawierającéj rozpuszczonego tlenu.

Co się tyczy *odporności* względem szkodliwego działania wysokiéj temperatury, to Cohn pierwszy wykazał, iż rozmaite formy, podciągane przez różnych badaczy pod nazwą Bacterium lub Vibrio,

zachowują się zupełnie odmiennie. Największą odporność przedstawia długi a cienki Bacillus subtilis.

„W płynach gotowanych, powiada Cohn, nie rozwija się Bacterium termo (zaledwie dwa razy tak długi jak szeroki), ani téż, o ile dotąd wiadomo, żaden inny mikroskopijny organizm, z wyjątkiem bacillów. We wszystkich przypadkach, w których się organizmy rozwijają w cieczach gotowanych, napotykałem tylko bacille wydające zarodniki. Przy temperaturze 47—50° C., bacille rozmnażają się szybko i w normalny sposób wydają zarodniki, choć inne schizofity, znajdujące się w téj saméj nalewce siana, stają się już w téj temperaturze niezdolnemi do rozmnażania. W temperaturze pomiędzy 50 a 55°, ustaje zupełnie rozmnażanie i rozwój bacillów, rojące się i rosnące nitki zamierają, lecz zarodniki zachowują swą zdolność do kiełkowania przez czas dłuższy, przynajmniéj przez 17 godzin. Choć zwykle w nalewkach siana, wystawionych przez 24 godzin na działanie temperatury 60° i wyższéj, żaden już organizm nie powstaje, to jednak zdaje się, iż niektóre zarodniki bacillów mogą wytrzymać trzy a nawet czterodniowe działanie temperatury 70 do 80°, nie tracąc zdolności rozwoju. Pozorna więc podstawa, którą dają hipotezie samorodztwa zjawiska obserwowane w gotowanych nalewkach siana, okazuje się w skutek tych obserwacyj zupełnie nieuzasadnioną.

Natomiast Bacterium termo zachowuje się inaczéj. Według doświadczeń Dr. E. Eiclam'a, wpada on przy + 5° C. w stan odrętwienia od zimna i zaczyna się rozmnażać w temperaturach, zaczynając od + 5½°. W téj ostatniéj, rozmnażanie odbywa się jeszcze bardzo powoli i dopiéro przy 30—35° dosięga punktu kulminacyjnego. W wyższych jeszcze temperaturach, 40°, i więcéj, zdolność do rozmnażania się niknie, bakterye wpadają w odrętwienie od ciepła, z którego jednak budzą się, gdy nastąpią pomyślne warunki. Czternasto-godzinne ciągłe ogrzewanie nalewki do temperatury 45°, a trzygodzinne do 50°, wystarcza do zabicia téj bakteryi w płynie pożywnym. Gdy jednak wysuszymy bakterye, to można je trzymać przez 6 godzin w temperaturze 50° bez zabicia w nich żywotności.

Bacterium termo w tak ścisłym związku jest z procesem gnicia jak Soecharomyces (drożdże) z fermentacyą alkoholową: jest specyalnym jego sprawcą. Szybki rozkład bakteryi jest oznaką szybkiego gnicia i naodwrót. W podobny sposób i inne bakterye wzbudzają rozkłady, różne, stosownie do rozmaitości form, które je wywołują. Jedne z nich rozkładają morszczyny i trawy morskie, drugie ważną rolę odgrywają przy tworzeniu się séra, o cze-

myśmy już w zeszycie 7 „Ateneum“ z r. z. mówili. Powtórzymy tylko, że proces fermentacyi sérowéj wzbudza, według Cohna, pewien gatunek bacillus'a, prawdopodobnie identyczny z wspomnianym B. subtilis, który wytrzymuje działanie wyższych temperatur, i dla tego jest zdolny do rozwinięcia swéj fermentacyjnéj działalności nawet po ogrzaniu mléka na 50—60°, przy któréj to temperaturze giną zupełnie bakterye gnilne.

Wspomnimy jeszcze o stosunku bakteryj do *gangreny śledziony* (karbunkułu). Davaine już dawno wykazał, że w krwi zwierząt padłych na karbunkuł znajdują się bakterye, które opisano jako specyalny gatunek, Bacillus anthracis. Rozwój jego, bardzo podobny do rozwoju wyżéj wspomnianego Bacillus subtilis, został dopiéro niedawno zbadany przez lekarza okręgowego, Dra. Koch'a i jest przedmiotem poszukiwań w pracowni prof. Cohna. Za pomocą szczepień, dokonywanych głównie na myszach, przekonano się, że Bacillus anthracis nadzwyczaj szybko rozwija się we krwi i płynach tkanek zwierząt ciepłokrwistych. Rozmnażanie jego, tak jak i innych bakteryj, dokonywa się za pomocą wydłużania i podziału poprzecznego. Nadto przekonano się, że w krwi martwych zwierząt, lub w niezbyt wodnistych płynach pożywnych (np. w wodnym płynie ocznym), rozwija się najszybciéj przy temperaturze 35—40°, a powolniéj aż do 18° z jednéj, i 45° z drugiéj strony. Przy przystępie powietrza wyrasta w długie nierozgałęzione nitki, w których się tworzą liczne zarodniki, z tych zaś, przy stosownych warunkach, znowu bezpośrednio bacille powstają.

Co jest właściwą przyczyną śmierci zwierząt padłych na gangrenę śledziony—to rzecz dotychczas wątpliwa. Być może, iż zabija je nadmiar kwasu węglanego we krwi, spowodowany przez szybki rozwój bacillów, albo też, co jest podobniejszem do prawdy, trujące produkta rozkładu białka spotrzebowywanego przez te bakterye. Nie ulega jednak wątpliwości, iż tylko bacille w których się zarodniki utworzyły są zaraźliwe, gdyż przy licznych próbach szczepienia krwi, niezawierającéj bakteryj z zarodnikami, albo téż naczyń limfatycznych lub śledziony zwierząt padłych na powyższą chorobę, zarażenie doświadczalnych osobników nie następowało, choć zawsze napewno miało miejsce, gdy użyte do szczepienia substancye zawierały bacille w stadyum utworzenia się zarodników.

Nawet przy bardzo słabym przystępie powietrza i w temperaturze cokolwiek wyższéj od 18° C., zarodniki bacillów rozwijają się obok Bacterium termo i odbywa się normalne gnicie, przyczém zwykle osad masy gnijącéj bywa siedliskiem zarodników bacillów. Okoliczność taka zachodzi bezwątpienia wtedy, gdy trup zwierzę-

cia padłego w lecie na karbunkuł zostanie niezbyt głęboko zakopany w ziemię, gdy czas dłuższy leży na polu w stajni lub u czyściciela, albo też, gdy krwawe odchody podobnych zwierząt leżą na wilgotnéj ziemi. W takim razie, tworzy się niezmierna ilość zarodników, które bardzo długo zachowują swą zdolność do kiełkowania, choćby nawet przez lat kilka leżały w suchości lub w innych nieprzyjaznych dla ich życia i rozwoju warunkach; gdy wreszcie dostaną się do krwi zwierząt odpowiednich, to wywołują u nich gangrenę śledziony. Gdy jednak krew, czy inne części zwierzęcia zakażonego, zostaną natychmiast po śmierci wysuszone, to bacille nie mają już czasu do utworzenia zarodników, i dla tego téż takie części są tylko krótki czas zaraźliwe, to jest, dopóki bacille całkiem nie wymrą, czyli jak się okazało, najwyżéj przez 5 tygodni. Krew jednak powoli suszona, przez co bakteryom pozostaje czas na utworzenie zarodnikow, jest nawet po kilku latach zaraźliwą.

Zaraza rozchodzi się zapewne w taki sposób, że wysuszone części zwierząt padłych na tę chorobę, rozbite w pył, padają z kurzem na otwarte rany zwierząt i tym sposobem dostają się do ich krwi.

Zdaje się, że przez żołądek zakażenie nie może mieć miejsca, przynajmniéj u myszy i królików, gdyż choć karmiono je pokarmem zawierającym zarodniki bacillów, choroba nie pojawiała się. Jednakże zwierzęta te zawsze ulegały zarażeniu, gdy do ich krwi wprowadzono owe bacille przez małe rany zrobione w skórze.

Niektóre zwierzęta przedstawiają zupełną odporność względem téj zarazy. Kuropatwa, wróbel, pies, a głównie żaby, pozostały zdrowemi po zaszczepieniu bacillów. Są więc dla téj zarazy zupełnie nietykalnemi. Za to owce jeszcze więcéj jéj podlegają, aniżeli woły, i są głównemi siedliskami tych bacillów.

Z tego wszystkiego wypada, że zwykle praktykowany zwyczaj chowania trupów zwierząt padłych na karbunkuł, w niezbyt głębokich dołach wcale nie stanowi środka przeciwko dalszemu rozpowszechnianiu się zarazy, nawet już nie mówiąc o tém, że częstokroć takie trupy bywają wygrzebywane dla zdarcia z nich skór i t. p. W skutek takiego chowania, rozwój zarodników, a więc moment najniebezpieczniejszy, nietylko że nie doznaje przeszkód, ale i owszem znajduje wszelkie warunki przyjazne, gdyż ciało w ziemi dłużéj zachowuje potrzebną dla rozwoju zarodników wilgoć.

Chcąc skutecznie zapobiedz powstaniu zarodników i ostatecznie zabić bacille, musimy się uciec do środków wskazanych przez powyższe badania. Temi zaś środkami są: zupełne wstrzymanie przystępu powietrza, szybkie wysuszenie, lub długotrwałe wysta-

wienie na temperaturę niższą od 15° C. Pierwsze dwa środki są za trudne i za kosztowne, ostatni jednak jest bardzo łatwy do wykonania. W tym celu, p. Koch radzi pogrążać zwierzęta padłe na owę chorobę w dołach głębokich na 8—10 metrów. W téj głębokości, panuje już prawie stała temperatura, równa średniéj rocznéj, a więc w Europie środkowéj i u nas, znacznie niższa od 15°, która stanowi najniższą granicę rozwoju bacillów. Wprawdzie i tutaj nie obejdzie się bez pewnego, często dość dotkliwego wydatku, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że od 1867—1870 roku w saméj gubernii Nowogrodzkiéj padło na karbunkuł przeszło 56000 baranów, wołów i koni oraz 528 ludzi, że w jednym roku w okręgu Mansfeldskim w Saksonii zaraza ta zabiła 186000 owiec, pojmiemy, że żaden środek zapobiegawczy, nie jest za drogi. Zresztą, gdy już dowiedziono co jest przyczyną choroby, znajdzie się zapewne z biegiem czasu środek jeszcze łatwiejszy i więcéj praktyczny.

Koch w badaniach swoich zaznacza, iż kwas fenilowy działa bardzo gwałtownie na Bacillus anthracis. Potrzeba użyć bardzo małéj jego ilości, śladów niemal, do powstrzymania rozwoju bacillów i do położenia tamy ich rozpłodowi. Fakt ten, nader ważny ze względu zapobiegawczego i terapeutycznego, powinien zachęcić lekarzy do prób z tym kwasem. Doświadczenia w tym względzie są daleko łatwiejsze niż w innych razach, gdyż można je dokonywać na bydle, a wnioski z nich otrzymane dadzą się *mutatis mutandis* zastosować i do człowieka.

Nowa gwiazda w Konstelacyi Łabędzia.

Zjawiska ukazywania się nowych gwiazd na niebie są dosyć rzadkie; nic więc dziwnego, że budzą ciekawość nietylko w ludziach uczonych, ale i w pośród publiczności. Zkąd się wzięły, czém są, w co się obracają, oto pytania, które mimowolnie każdy człowiek zadać sobie musi. Odpowiedzi na nie, zupełnie pozytywnéj dotychczas jeszcze nie ma, i na tém polu dopiéro pierwsze kroki zaczynamy stawiać, dzięki potężnemu środkowi, jaki nam daje analiza spektralna.

Od czasów Cassiniego, w XVII wieku, gdy nowe gwiazdy stosunkowo dość często się pojawiały, zaczęto szukać w księgach greckich, rzymskich i chińskich pisarzy wiadomości o tego rodzaju zjawiskach. Najstarszy ślad podobnéj obserwacyi znaleziono w pewnéj księdze chińskiéj. Według jéj autora, ukazała się nowa gwiazda w konstelacyi Raka, na sto kilkadziesiąt lat przed Nar. Chr.

Zdaje się, że jest to ta sama gwiazda, którą, według świadectwa Pliniusza, obserwował Hipparch. Daléj, zauważono podobne zjawisko za czasów cezara Adryana, późniéj około r. 389, następnie, jak się dowiadujemy z kronik, w wieku IX, X i XIII. Wiadomości z czasów nowszych są dokładniejsze. W r. 1572, słynny astronom i chemik duński, Tycho Brahe, powracając wieczorem 11 Listopada do swego laboratoryum chemicznego, dostrzegł wśród konstelacyi Kassyopei nadzwyczaj jasną gwiazdę białą, któréj blask przewyższał Wegę, Jowisza a nawet Syryusza, do tego stopnia, że można było ją widzieć w biały dzień, w porze południowéj. W końcu roku, blask jéj zaczął się zmniejszać, światło stało się różowawém, które wprawdzie w kilka miesięcy potém znowu ustąpiło miejsca światłu białemu, lecz blask jéj wtedy był już równy gwiazdom drugiéj wielkości, i wreszcie ciągle się zmniejszając, gwiazda ta znikła ze sklepienia niebieskiego w 17 miesięcy po pierwszéj obserwacyi.

W r. 1600, nowa gwiazda ukazała się w konstelacyi Łabędzia. W r. 1602, obserwował ją Kepler. Świecąc przez lat 19, do roku 1621 znikła zupełnie i ukazała się na nowo dopiero 1655, a późniéj w rozmaitych epokach; można ją widzieć jeszcze teraz w szyi Łabędzia, jako gwiazdę 6-éj wielkości.

W Październiku r. 1604, odkryto nową gwiazdę w konstelacyi Wężownika. Obserwał ją i opisał Kepler. Widzialną była przez 18 miesięcy. Blaskiem swym przewyższała wszystkie gwiazdy pierwszéj wielkości, ale nie dorównywała nowéj gwieździe z r. 1572.

Następnie, w r. 1670, dostrzeżono nową gwiazdę w konstelacyi Lisa. W d. 20 Czerwca, kiedy ją po raz pierwszy zobaczono, była 3-éj wielkości, 10 Sierpnia była już 5-éj wielkości, późniéj w trzy miesiące znikła, aby znowu zabłyszczéć dnia 17 Marca 1671 roku blaskiem gwiazdy 4-éj wielkości. Cassini, który sądził, że zmiany te odbywają się w stałym peryodzie dziesięcio-miesięcznym, szukał jéj w Lutym 1672, ale napróżno, pojawiła się bowiem dopiéro przy końcu Marca, jako gwiazda 6-éj wielkości, i późniéj znikła zupełnie, tak, że dotąd ani razu więcéj się nie ukazała.

W 177 lat potém, 28 Kwietnia roku 1848, angielski astronom Hind odkrył nową gwiazdę w konstelacyi Wężownika. Blaskiem swym nie przewyższała gwiazd 5-éj wielkości, odcień miała silnie żółty, czerwonawy. Wszystkie zmiany jéj światła były obserwowane bardzo starannie. W r. 1850, zeszła na gwiazdę 11 wielkości i w takim stanie można ją widzieć obecnie.

Naturalnie, że takie nagłe pojawianie się nowych gwiazd, zmiana ich blasku, znikanie i ukrywanie się na nowo, zmiany świa-

tła i wreszcie znikanie nazawsze, nie mogły nie wywołać rozmaitych hypotez astronomicznych. Najwięcéj rozpowszechnione były dawniéj dwa poglądy. Według jednego z nich, gwiazdy owe miałyby naturę komet: zbliżają się one ku nam i następnie w tym samym kierunku oddalają. Lecz dla czego się pojawiają nagle w pełni swego blasku tak jak gwiazda z r. 1572? Dla czego blask ich nie powiększa się w czasie przypuszczalnego zbliżania w ten sam sposób, jak się zmniejsza w czasie oddalania? Powyższa gwiazda ukazała się od razu, a znikała przez 11 miesięcy. Poglądu więc tego w żaden sposób nie można pogodzić z wiadomościami, jakie mamy o ruchu ciał niebieskich. A daléj, widzieliśmy wyżéj, że gwiazdy owe w stosunkowo bardzo krótkim czasie tracą na swéj wielkości. Gdyby to zmniejszenie blasku zależało od oddalania się gwiazdy, to degradacya gwiazdy pierwszéj wielkości na drugorzędną wymagałaby lat kilku, choćby nawet gwiazda owa biegła z szybkością światła, co być nie może; a tymczasem zmiany te odbywają się w daleko krótszym czasie. Hypotezy te więc nie mają żadnéj podstawy. Daleko większém prawdopodobieństwem odznaczała się nadzwyczaj śmiała hypoteza Tycho-Brahe'go. Sądził on, że nowa gwiazda powstała jako ciało nowe, ze zgęszczenia się mgławicy; następnie spaliła się i znikła. Lecz i ten pogląd nie mógł wytrzymać krytyki i wkrótce został zarzucony.

Nie brakło téż teoryj mistycznych. Jezuita Riccioli utrzymywał, że gdy Stwórca chce dać ludzkości znak nadzwyczajny, to każe się obrócić niektórym gwiazdom mającym jedną stronę ciemną, zwróconą ku ziemi, a drugą jasną. Gdy nastąpi jéj obrót nagły, w jedném oka mgnieniu, gwiazda nagle się pojawia, a następnie traci swój blask i znika, gdy powoli dawniéj ku ziemi zwrócona jéj połowa zaczyna pierwotne przybierać położenie.

Lecz gdy zaczęto posiłkować się dokładnemi katalogami gwiazd i gdy zyskano nowy środek badania w analizie spektralnéj, kwestya gwiazd nowych weszła na inną, pozytywniejszą drogę. Przedewszystkiém przekonano się, że gwiazdy „nowe" wcale nie są nowemi. I tak np., w miejscu gdzie się ukazala gwiazda w r. 1848 w gwiazdozbiorze Wężownika, znano już przed tém gwiazdę, oznaczoną w *Atlas céleste* Fortina jako znikłą. Podobnież gwiazda, która się pojawiła w Koronie północnéj w r. 1866 i doszła do 2-ej wielkości, była podana w katalogach jako gwiazda 9-éj wielkości i taką pozostała dotychczas, po półroczném świeceniu blaskiem powiększonym. Widać więc ztąd, że nowe gwiazdy znajdują się ciągle w jedném i tém samém miejscu, i że tylko

gwałtowne powiększenie się ich światła ukazuje je naszym oczom. Chodzi więc teraz o zbadanie, co za przyczyna wywołuje taką ogromną zmianę blasku.

Analiza spektralna dała nam pierwsze naukowe podstawy do rozwiązania téj zagadki. Była już ona znaną w r. 1866, gdy się ukazała nowa a raczéj zmienna gwiazda w Koronie północnéj— więc można było zjawisko to badać metodą dotychczas nieznaną. Zadania tego podjęli się Huggins i Miller i doszli do zadziwiających rezultatów.

Okazało się, że widmo gwiazdy zmiennéj w Koronie składa się z dwóch widm nałożonych jedno na drugie; oba pochodzą z dwóch niezależnych źródeł światła. Pierwsze z nich jest złożone z czterech promieni bardzo błyszczących, drugie jest podobne do widma słońca. To ostatnie pozwalało wnieść, że gwiazda posiada fotosferę podobną do słonecznéj, z pierwszego zaś wypada, że na gwiaździe płonęła wielka masa gazu, wodoru, która ciepłem swém tak ogrzała fotosferę, że blask jéj przeszedł z 9-éj do 2-éj wielkości. W miarę spalania się wodoru, blask jéj zaczął się zmniejszać i już po dwunastu dniach doszedł do 8-éj wielkości. Widocznie więc, jak powiadają obserwatorowie, gwiazda ta była areną gwałtownego kataklizmu, przy którym uwolniła się wielka masa wodoru, zajmującego się ogniém na powierzchni. Coś podobnego, lecz w stosunkowo daleko mniejszym stopniu, przytrafia się na słońcu. Tak zwane pretuberancye, czyli wyskoki, w ostatnich czasach uznane zostały za wybuchy wodoru. Lecz przy tych spokojnych wybuchach, rozżarzenie się gwiazdy Korony jest czémś nadzwyczaj kolosalném, a gdyby katastrofa tego stopnia zdarzyła się na słońcu naszém, to ziemia w jednę chwilę zostałaby stopioną i w parę zamienioną.

Badania nad nową gwiazdą, z r. 1876, dokonane, poparły wnioski Hugginsa i Millera.

Gwiazdę tę dostrzegł J. Schmidt, dyrektor obserwatoryum w Atenach, d. 24 listopada 1876 r., o godzinie 5 minut 41 po południu, obok zenitu, w bliskości ρ Łabędzia. Świeciła wtedy blaskiem 3-éj wielkości, światło miała bardzo żółte. 20 Listopada nie była jeszcze widzialną, zaś 21, 22 i 23 Listopada niebo w Atenach było zamglone. Od 24 blask jéj ciągle się zmniejszał i 8 Grudnia zeszła na gwiazdę 6-éj wielkości. Barwa jéj światła zmieniła się na niebieskawo-zieloną.

Nowa ta gwiazda była badana za pomocą spektroskopu przez A Cornu w Paryżu. Dostrzegł on linie błyszczące, dowodzące istnienia gazu rozpalonego. Bliższe zbadanie tych linij okazało,

że bardzo są zbliżone do pewnych linij charakteryzujących koronę słoneczną i chromosferę, tak, że obserwator uważa się za upoważnionego do wypowiedzenia zdania, iż: „światło nowéj gwiazdy zdaje się mieć skład podobny do światła chromosfery słonecznéj.“

„Jakkolwiek, dodaje Cornu, bardzo ponętném byłoby wyciągnięcie z tego faktu wniosków o stanie fizycznym téj gwiazdy, o jéj temperaturze, sprawach chemicznych, których być może widownią, jednakże wstrzymam się od wszelkich komentarzy i hypotez odnoszących się do tego przedmiotu; sądzę, że brak nam dostatecznych danych do dojścia do wniosku pożytecznego, lub przynajmniéj dostępnego dla kontroli. Choć te hypotezy są bardzo ponętne, nie należy jednak zapominać, że one leżą po za dziedziną nauki, i że dalekiemi będąc od tego, aby jéj służyć mogły, grożą jéj przeciwnie wstrzymaniem jéj postępów.“

Ostrożność ta ze strony uczonego jest wielce chwalebna, ale trudno znaleść człowieka, któryby, po poznaniu koincydencyi linij nowéj gwiazdy z liniami chromosfery, mógł się wstrzymać od przypuszczenia, że skład światła obu tych źródeł jest podobny, a nawet identyczny, a więc że źródła te podobnéj lub jednakowéj są natury. Nicby w tém nie było dziwnego. Wszakże już dawne gwiazdy za słońca są uznane, a więc mogą być także widownią wybuchów wodoru i w ogóle gorenia tych samych pierwiastków. Zaznaczywszy jednak możliwy bieg myśli po przeczytaniu wniosku Cornu, nie możemy zataić, że oględność podobna jest konieczny postulatem nauk przyrodniczych, i że lepiéj jest czekać na nowe fakta, aniżeli dopełniać wyobraźnią brak danych, i na tém zupełnie już poprzestawać. Hypotezy podobne powinny nas tylko pobudzać do badania, nie zaś wyłączać jego potrzebę.

Bronisław Rejchman.

Kronika miesięczna.

Proszę sobie wyobrazić miasto idealne. Ma ono stanąć nad brzegiem morza, posiadać będzie szerokie ulice, tudzież domy trwałe, widne, suche i otoczone ogrodami. W każdym domu zamieszkiwać ma najwyżéj 5 osób, a więc jedna tylko rodzina; każda zaś z tych osób posiadać będzie dostatek światła i ciepła, świeżego powietrza do przesytu i zdrowéj wody, płynącéj z kranów pokojowych,—po uszy. Wywózka téż wszelkich nieczystości odbywać się będzie w sposób tak dokładny, że śladu po nich nie zostanie.

Zbytecznēm byłoby dodawać, że znajdą się tam i miejsca zebrań wspólnych, jakiś teatr, ze względu na wentylacyą, wcale niepodobny do warszawskich, i kąpiele morskie, o tyle różne od wiślanych, że się już po nich nie będzie potrzeby spłukiwać. Szynkownie za to i szulernie, a zapewne i domy walk kogucich stanowczo mają być usunięte; restauracye zaś znajdować się będą pod... dozorem lekarzy.

I to wszystko za cenę umiarkowaną, dla osób średniéj zamożności... Ale gdzie?.. Łatwo domyśléć się, że nie u nas i nietrudno odgadnąć, że w Anglii, w hrabstwie Sussex. Plany już są; miasto ma się nazywać *Higsa*, ten zaś, który je pobudować umyślił, nazywa się dr. Richardson. Wyobrażam sobie, że municypalność nasza zamknie rogatki i zaorze drogę, która do owego doskonałego grodu prowadzić będzie.

Kiedyśmy już poznali sanitarne warunki miasta idealnego, przejdźmy do rozpatrzenia takich samych warunków miast rzeczywistych. Mam właśnie przed sobą *Gazetę Warszawską*, a w niéj dwa listy *o tyfusie* dra St. Markiewicza, które ze wszech miar zasługują na streszczenie. P. M. należy do najznakomitszych u nas popularyzatorów nauki i, jeżeli nie mylę się, mógłby zająć podo-

bneż stanowisko w literaturach lepiéj wentylowanych i oświetlanych niż nasza.

Tyfusu trzy są gatunki: wysypkowy, powrotny i brzuszny,— ostatni najpospolitszy. Tyfus jest chorobą cywilizacyi, trwa stale w większych miastach, robi wielkie spustoszenia, lecz, z drugiéj strony, daje się też ograniczyć i zmniejszyć. Z tych powodów pan M. rzecz swoję rozpoczyna następnemi zdaniami Virchowa, które godzi się zapamiętać:

„Na każdą panującą zarazę zapatrywaćby się należało poprostu jak na zbrodnię: najobfitszém bowiem źródłem tak jednéj jak i drugiéj jest, jak wiadomo, niedbalstwo i ciemnota..." „Ileż to razy jeszcze będziemy musieli wygłaszać zapewnienie, iż tyfus należy do rzędu tych chorób, które w największéj liczbie wypadków uniknąć się dają?..."

Tyfus zależy od warunków miejscowych. Po miastach zabiera dwa razy więcéj ofiar niż po wsiach, posiada też bardzo różne natężenie w różnych miastach, a nawet różnych okręgach tego samego miasta. Szczególniéj wyraźny przyczynowy związek istnieje między tyfusem z jednéj, a zanieczyszczeniem gruntu, powietrza i wody z drugiéj strony. Na poparcie tego twierdzenia podaje autor przykłady. Jeden z nich opiewa, jako źródłem tyfusu stał się źle oczyszczany dół ustępowy, po zasypaniu którego choroba znikła. W innym wypadku, przyczyną tyfusu była zła wentylacya dołu ustępowego (w Warszawie istnieje tylko zła), po naprawieniu któréj znowu nieszczęście zostało usunięte. Jeszcze w innych wypadkach, woda zanieczyszczona odpadkami ludzkiemi stała się traktem, po którém szło zniszczenie; wody téj zaś używano do picia, do fałszowania mléka, a nawet do *popłókiwania naczyń...* tylko! Najciekawszy fakt zdarzył się w szwajcarskiéj wsi Lausen, gdzie jeden chory szóstą część ludności zaraził. Biedak ten mieszkał sobie w miejscu ustronném, nieczystości zaś swoje wlewał do strumienia, z którego woda przez różne warstwy ziemne przesączała się do źródła zasilającego wiejski wodociąg. I otóż stało się, że ci, którzy czerpali z wodociągu, „dotknięci są niemocą," któréj przyczynę późniéj dopiéro wykryto, za pomocą różnych bardzo skomplikowanych, a warszawskiemu ludowi nieznanych machinacyj.

Profanom trudno nawet domyśléć się, jak wielkie usługi, w sprawie popularyzowanania tyfusu, oddają mléczarze, już to z powodu niechlujstwa, w jakiém starają się utrzymywać naczynia swoje, już to z powodu hydraulicznych operacyj zwanych „chrzcze-

niem mléka.“ Owemu to „chrztowi“ z wody nieczystéj zawdzięczamy wielką śmiertelność niemowląt w lecie.

Przy sposobności podaje p. M. dwie zrobione w Stuttgarcie analizy mléka: dobrego, które pochodziło z zakładu mlécznego, i złego, które pochodziło z targu. Oto liczby:

	śmietanki	tłuszczu
Mléko z zakładu . . .	13%	5,2%
„ targowe . . .	6%	2,5%

reszta zapewne składała się z wody. Gdyby jednak u nas chciano zrobić podobną analizę, dowiedzielibyśmy się wówczas ze zdumieniem, że ważnemi składnikami mléka są: muł wiślany, odpadki ze szlachtuzów i t. d. Słusznie p. M. upomina, aby policya zwracała uwagę na mléko i w ogóle na produkta pokarmowe przywożone na targ, — ale głos to wołającego na puszczy. My wprawdzie od czasu do czasu czytujemy, że: w dniu tym a tym, zniszczono, czy też na cele dobroczynne oddano tyle i tyle funtów ryb zgniłych i starego masła, nic to jednak nie wpływa na poprawę ani masła, ani ryb, a tém bardziéj mléka. Jedyny radykalny środek byłby: albo zniszczyć wszystkich mléczarzy, albo pozamykać wszystkie w całym kraju studnie i przenieść gdzieindziéj koryto Wisły.

Aczkolwiek tyfus jest stałą chorobą miast wielkich, w pewnych jednak porach roku wzmaga się. Dzieje się to zwykle na jesieni, gdy deszcze z powierzchni ulic zmywają nieczystości, wtłaczają je w głąb gruntu i tym sposobem zatruwają studnie. Tyle co do czasu. Ze względu zaś na indywidua, zabija on głównie ludzi między 15 a 30 rokiem życia, oszczędza możniejszych, za to pastwi się nad uboższymi, jako też nad tymi, którzy w wielkiéj liczbie zamieszkiwać muszą szczupłe lokale. Nadmienia też autor, że tyfoidalni stanowią średnio w Europie $^1/_{20}$ część ogółu zmarłych, i sądzi, że w Warszawie na 12580 zmarłych przypada zapewne 625 tyfoidalnych. Że zaś z 10 chorych na tyfus umiera 1, wnosi więc, iż w Warszawie ulega chorobie téj rocznie 6250 osób, a prawdopodobnie i więcéj.

W tém miejscu zrobię uwagę. Ze statystyki lekarskiéj prowadzonéj u nas (o ile u nas może być mowa o „statystyce“ i o „prowadzeniu jéj)“, okazuje się, że: od połowy listopada r. z. do końca lutego r. b. czyli przez dni 105, zachorowało na tyfus dorosłych i dzieci 1010, zmarło zaś 101 (akurat $^1/_{10}$). W téj epoce tyfus był najsilniejszy; gdyby więc trwał z takiém samém natężeniem rok cały, wypadłoby 3511 chorych i 351 zmarłych rocznie, a więc prawie dwa razy mniéj niż sądzi p. M. Pomimo tak wielkiéj różnicy między cyframi „zebranemi“ przez municypalność

i przypuszczanemi przez p. M., przechylam się (jeżeli mi wolno) raczéj na stronę p. M.: wątpię bowiem, aby „zbieranie“ cyfr w naszém mieście, nawet w zakresie stosunków sanitarnych było dokładne. Zresztą mogę się mylić, coby mnie bardzo cieszyło przynajmniéj w tym wypadku.

Czytelnik, którego ośmieliłem się przyprawić o ból głowy i dreszcze streszczaniem opisu jednéj z plag nękających ród ludzki, ma prawo zawołać: ależ dosyć!... Czy p. M. nastraszywszy nas widmem tyfusu, żadnych już przeciw niemu nie podaje środków zaradczych?... Czy nazwawszy nas zbrodniarzami i producentami tyfusu, nie pokaże nam drogi, na któréj moglibyśmy się nie spotykać z dziełem naszém?...

Tak nie jest. P. Markiewicz pisze receptę na miksturę dosyć silną, którą jednak tylko zbiorowe siły przygotować mogą. Jest zaś nią: *kanalizacya.*

Hamburg zaprowadził u siebie kanalizacyą angielską. Przed wprowadzeniem jéj z 1000 śmierci 48,4 przypadało na tyfus; w ciągu zaprowadzania kanalizacyi cyfra ta zniżyła się do 39,3; w ciągu 8 lat pierwszych po urządzeniu tymczasowém spadła do 29,3—a po zupełném ukończeniu kanalizacyi—zniżyła się ostatecznie do 25,7 wypadków. W témże saměm mieście, między 1872 i 1874 r. na 1000 mieszkańców przypadało chorych na tyfus: w częściach miasta niekanalizowanych 4,6,—w częściach przeważnie kanalizowanych 3,2, w częściach zupełnie kanalizowanych 2,68.

Szanowny autor przytacza jeszcze ciekawszy argument: oto tabliczkę obejmującą wypadki śmierci na tyfus w 24 miastach angielskich przed i po zaprowadzeniu asenizacyi. Kilka tych cyfr zapiszemy dla przykładu, biorąc rozumié się bardziéj uderzające:

	Okresy czasu, w których porównywana jest śmiertelność.		Umierało rocznie na tyfus ze 100000 ludności.	
	Przed asenizacyą	Po asenizacyi	Przed asenizacyą	Po asenizacyi
Worthing . . .	1843—1852	1857—1865	75	92
Croydon	1845—1850	1857—1864	150	55
Bristol	1847—1851	1852—1861	100	65
Leicester . . .	1845—1851	1852—1864	146	75,5

W spisie tym widzimy na czele miasto, które wcale nie wygrało na kanalizacyi, a zaraz po niém inne, w którem śmiertelność z tyfusu zmniejszyła się prawie do $^{1}/_{3}$ części. W ogóle z 24 miast wyliczonych przez p. M., tylko 3 nie zyskały, zaś w 21 śmiertelność zniżyła się znakomicie.

Na tych przykładach moglibyśmy skończyć z pierwszym listem, gdyby nie spór wynikły między p. M. a jednym z członków War. Tow. Lekarskiego, który twierdził, że: „korzyści sanitarne z kanalizacyi są wątpliwe.“ Okoliczność ta zachęca nas do wypowiedzenia pewnych uwag o naturze i sile dowodów.

P. M. utrzymuje, że kanalizacya wpływa w sposób korzystny na zmniejszenie śmiertelności, jego zaś przeciwnik—że nie wpływa. Obaj panowie, opierając się na znanych *po dziś dzień* faktach, mogliby walczyć do końca świata i obaj przypisywać sobie zwycięstwo, co nawet miało miejsce, a co mąci rozwagę ogólną i szkodliwie wpłynąć może na pojęcie o użyteczności kanalizacyi. Argumenta bowiem obu, jakiekolwiek są, muszą być z natury rzeczy niewystarczające.

Jeżeli fizyk twierdzi: że wszystkie ciała (za wyjątkiem gliny) rozszerzają się od ciepła, to twierdzenie swoje poprzeć może bardzo prostym i namacalnym dowodem, bo doświadczeniem. Ogrzeje drut metalowy, wodę lub powietrze w naczyniu i rozszerzą się,— gdy je oziębi skurczą się. Dowód ten powtórzy tysiąc razy, w dzień i w nocy, w czasie pełni i nowiu księżyca, na górze i w piwnicy— i zawsze otrzyma rezultat podobny: stały związek między podwyższeniem temperatury i rozszerzeniem się ciała. To rozszerzenie wyrazi nawet w cyfrze i ostatecznie wyjaśni jeszcze powód kurczenia się gliny, słowem—dowód jego będzie zupełny.

Lecz ze zjawiskami tak powikłanemi jak społeczne, a choćby nawet z kwestyami sanitarnemi, rzecz się ma przeciwnie. Jeżeli p. M. powié, że w 24 miastach angielskich między rokiem 1843 a 1851, gdy kanalizacyi nie było, śmiertelność była większa niż między 1852, a 1865, t. j. po wprowadzeniu jéj. Prawda! odeprze ktoś np. zaciekły zwolennik astrologii, — ale w pierwszym okresie czasu Saturn stał gdzieindziej niż w drugim. Zaczekajno lat kilkadziesiąt, a gdy Saturn wróci do okolicy nieba z lat 1843 i 1851, śmiertelność w twoich miastach powiększy się znowu.

Ktoś inny pominie Saturna, lecz powié inaczéj. Anglicy między 1843 i 1852 mogli mieć mniéj lekarzy, mniéj aptek, mniéj mieszkań, mniéj oświaty, niż między 1852 a 1865 r.; nadewszystko zaś nie znali w owéj epoce boskiego Cauvina, lecz truli się Morisonem.

Dla przekonania upartego, robisz doświadczenie, kanalizujesz, np. Hamburg, i mówisz: patrz! kanalizacya w Hamburgu zmniejszyła śmiertelność z tyfusu. Nieprawda! odpowiada tamten,—to zarazek tyfoidalny zmniejszył się, słońce teraz ma mniéj plam, wiatr panujący zmienił kierunek, poziom wody w rzece podniósł się i tak daléj.

Na kuli ziemskiéj jest 130 miast, liczących przeszło po 100000 ludności,—a w saméj Europie, 150 miast mających przeszło po 50000 ludności. Otóż gdyby połowę tych miast skanalizowano i przez lat kilkadziesiąt porównywano ich śmiertelność z pozostałemi, i gdyby kanalizowane wykazywały rezultaty pomyślniejsze od tamtych, jeszcze dowód byłby nie zupełny, i jeszcze przeciwnicy znaleźliby coś do powiedzenia. Tę tylko odniesionoby korzyść, że już wówczas opinia publiczna oświadczyłaby się za kanalizacyą. Możnaż się więc dziwić, że dziś, gdy zaledwie cząsteczka owego mnóstwa miast Europy otrzymała kanalizacyą, gdy czas od zaprowadzenia jéj jest tak krótki, że dziś kwestya ta tylu znajduje przeciwników?

W sprawach zatém podobnych, cyfry niezawsze, a pojedyncze fakta prawie nigdy stanowczo nie przekonają. Naszém zdaniem, tabliczka Dra Markiewicza i fakta z Hamburga są raczéj ilustracyą i jedném z dopełnień prawdy, uznawanéj nietylko przez lekarzy, lecz i przez wszystkich ludzi oświeconych, że brudy, ścieki, złe powietrze, zły pokarm i zła woda, ciasnota, nadmierna praca i t. d. należą do przyczyn wpływających na zwiększenie śmiertelności. Ponieważ zaś kanalizacya przyczynia się do usunięcia brudów, oczyszczenia powietrza i nie pozwala na zatruwanie wody, ponieważ zatém zmniejsza pewną część przyczyn, musi więc wpłynąć na zmniejszenie skutków czyli saméj śmiertelności. Tabliczka Dra M. jest jednym więcéj dowodem téj prawdy, i w takim téż ją celu zapewne podał.

Z tych powodów, jak dawniéj tak i dziś, głosujemy za zaprowadzeniem kanalizacyi w Warszawie i poczucie jéj potrzeby radzibyśmy wszczepić we wszystkich tych, od których reforma pośrednio lub bezpośrednio zależy. A teraz—odłóżmy drugi list Dra Markiewicza do następnéj kroniki i zastanówmy się bliżéj nad dwiema sprawami, o które autor mimochodem potrącił, t. j. nad wodą i powietrzem.

I w kwestyi wody, któréj do picia używa miasto Warszawa, znajdujemy również świéży materyał w pracy Dra A. M. Weinberga, pomieszczonéj w tegorocznych numerach *Wieku*. Szanowny autor, ciekawą i pożyteczną rozprawę swoję, zaczyna od uwiado-

mienia czytelników, że każdy z nich posiada w organizmie trzy razy więcéj wody, aniżeli materyj stałych. To zaznaczenie wodnistości natury ludzkiéj musiało bardzo przypaść do gustu osobom wyznającym metodę homeopatyczną, w imię któréj ziarnko prawdy każdego rodzaju rozcieńczają w setkach wierszy frazeologii, przypominającéj wodę w nie najlepszym gatunku.

Otóż tedy 200-to funtowy np. człowiek zawdzięcza możność nasycania się pięknościami życia, przedewszystkiém 150-u funtom wody w nim zawartéj. Ponieważ zaś uniwersalny ten rozczynnik w każdéj chwili wymyka się częściowo z organizmu, braki więc ztąd pochodzące nieustannie należy zapełniać, co téż czynimy, przyjmując pokarmy i napoje. Ten ciągły przypływ i odpływ wody wynosi na dobę około $2^1/_2$ litrów, w skutek czego (jeżeli przemiana materyi jest idealnie dokładną), po upływie dni 24, nie ma w nas ani jednéj kropli wody téj, która była początkowo.

Pomijamy skład wody do picia, która, jak wiadomo, jest połączeniem chemiczném dwóch gazów: tlenu i wodoru, i która obok tego unosi w sobie pewne części mineralne, organiczne i gazy. O powstawaniu zaś wód wspomnimy krótko. Rzeki i oceany parują, para ta po skropleniu się spada na ląd stały. Tu znowu część wody paruje, część zaś jéj przesiąka przez warstwy przepuszczające, a następnie gromadzi się na pokładach nieprzepuszczających i tworzy wodę zaskórną; ta ostatnia ukazuje się następnie w studniach, źródłach, strumieniach i rzekach.

W téj kołowéj wędrówce od oceanu do rzeki, woda powstała z par jest chemicznie prawie czysta (dystylowana), lecz następnie nasyca się kwasem węglanym, a przesiąkając przez różne warstwy ziemskie, rozpuszcza w sobie wapno i magnezyą i robi się wodą *twardą* (w studniach, źródłach), Płynąc daléj ku rzece pozbywa się części soli wapiennych i magnezyowych i robi się nieco miększą (w rzekach np.), choć nie tak *miękką* jak deszczowa.

Ze względu na zastosowanie w praktyce domowéj, dzieli się woda na dwie odmiany: *wodę do użytku* i *wodę do picia*. Pierwsza, to jest *do użytku*, winna być miękką, bez cząstek organicznych, bez woni i smaku—i albo nie posiadać, albo posiadać w małych tylko ilościach sole amoniakalne i azotany. *Woda do picia* znowu musi być również bez zapachu, smaku i koloru, musi być przezroczysta i wolna od resztek organicznych, a nadewszystko zwierzątek mikroskopijnych; musi téż nie posiadać azotonów i azotanów. Przytém, powinna być twardą, t. j. zawierać sole wapienne, dla tego, że organizm potrzebuje wapna. W górach, gdzie woda zwykle

posiada dużo dwuwęglanu wapna, mieszkańcy są najzdrowsi i najlepiéj opierają się wpływom chorobliwym.

P. W. podaje przy téj sposobności spostrzeżenia Wilsona: o związku istniejącym jakoby między twardością wody, a śmiertelnością używających jéj osób; stopień twardości wody zależy od ilości centigramów soli (wapiennych i magnezyowych) rozpuszczonych w 1 litrze: tak więc np. 15^0, znaczy że w 1 litrze jest 15 centigr. soli. Otóż, przy twardości 23^0, śmiertelność wynosiła 21,9 osób na 1000; przy twar. $11{,}5^0$ śmiert. $24{,}9^0$; przy twardości $5{,}5^0$ śmiert. 26,3; przy tward. $1{,}9^0$ śmiert. 28,5. Badania te były robione w 65 miastach angielskich i zdają się dowodzić, że *im woda jest mniéj twarda, tém jest mniéj zdrowa.*

Ciekawą jest analiza wody wiślanéj, dokonana przez Dra Weinberga, do czego szan. autor brał wodę z trzech miejsc: 1) wprost z Wisły w pobliżu smoka wodociągowego (200 sążni powyżéj mostu, a 280 stóp od warszawskiego bulwaru), 2) z kranu wodociągowego, 3) i znowu z rzeki przy ulicy Czerniakowskiéj, a więc powyżéj miasta. Tablicę swoją p. W. poprzedza inną tabliczką: Reicharta, Kübela i Fiszera, którzy oznaczyli skład wody przydatnéj do picia. Ponieważ niektóre cyfry były bardzo różne, a sam p. W. mniema, że nie należy do nich przywiązywać zbyt wielkiéj wagi, ośmieliłem się więc trzy kolumny cyfr zlać w jednę.

Tak więc, woda dobra do picia może zawierać w 100 litrach (litr = 1 pols. kwarcie) następujące ilości ciał obcych:

Materyj stałych	500 gramów (100 gram. = 8 łutom)
„ organicznych .	10 — 50
Kwasu azotnego	4 — 27
Chloru	2 — 35
Wapna	2 — 100
Magnezyi	0 — 40
Amoniaku	ślady

P. Weinberg tabliczkę swoję obrachował dla 1 litra; aby jednak ułatwić porównanie, obliczymy ją dla 100 litrów, co, jak wiadomo wszystkim, którzy w klasie 2-éj studyowali transcedentalną matematykę, uskutecznia się za pomocą przenoszenia przecinka od ręki lewéj ku prawéj o dwa miejsca.

Otóż tedy matka wód naszych w 100 litrach swojéj istoty zawiera:

	Powyżéj miasta	Przy smoku	W kranie wodociągowym
Materyj stałych . . .	26,1	26,7	22,1 gramów.
Mat. zawieszonych . .	0,9	1,3	nic
Węglanu wapna . . .	16,3	14,8	11,5
,, magnezyi .	2,6	2,3	2,3
Krzemionki i glinki .	1,5	1,1	0,9
Chloru	0,71	0,65	0,69
Kwasu siarczanego .	1,29	0,89	0,92
Kw. azotowego . .	0,003	0,001	ślad
Kw. azotnego . . .	0,1	0,17	0,1
Mat. organicznych . .	1,67	2,83	1,57
Amoniaku	ślady	ślady	ślady.

Okazuje się z tego, że filtry wodociągowe wpływają wprawdzie na zmniejszenie ilości materyj stałych, zawieszonych, krzemionki i glinki, oraz materyj organicznych, lecz że zarazem zmniejszają stopień twardości wody. Godnym jest uwagi fakt zwiększenia się (w granicach miasta) ilości materyj organicznych, co przypisać należy błogiemu wpływowi ścieków z pięciu ulic, szpitala i szlachtuza.

W rezultacie p. W. sądzi, że woda wiślana nie jest roznosicielką epidemii, zaczém jakoby przemawia jéj skład, nieobecność istot mikroskopowych, a wreszcie fakt, że Stare Miasto, które prawie wyłącznie pije wodę wiślaną należy u nas do dzielnic najzdrowszych. Istotnie, w dzielnicy téj roczna śmiertelność wynosi podobno 27,60 na 1000 ludności, podczas gdy w całém mieście dosięga cyfry 48,11. Okoliczność ta jednak, o ile jest prawdziwą, mogłaby służyć nie tylko za dowód nieszkodliwości wody wiślanéj, ale nadto zachęcałaby nas poniekąd do troskliwego pielęgnowania staromiejskich brudów.

Mimo to szanowny autor sam widać nie bardzo ufa wodzie, któréj dziś dostarczają wodociągi, artykuł swój bowiem kończy propozycyami:

1-o. Aby smoka przesunięto bardziéj w górę rzeki, dla wydobycia go ze sfery dopływu nieczystości miejskich.

2-o. Aby pomyślano o zaopatrywaniu Warszawy w wodę zdrojową, któréj w okolicach miasta nie brak.

3-o. Aby na każdym wodociągu, przynajmniéj do jednego kranu (wodociągi mają ich po trzy) zakładano filtry.

4-o Aby tani a dokładny filtr, każdy w domu posiadał.

Dwie pierwsze i ostatnia propozycya przypadają nam do gustu, trzecia nie bardzo: Byłaby ona praktyczną wówczas, gdyby

każdy sam dla siebie chodził po wodę do wodociągu, dla naszych sług bowiem wszystko będzie jedno: czy z filtrem—czy bez filtru, aby prędzéj!

Równie ważną propozycyą co do wody wiślanéj podał p. Markiewicz, upominając municypalność, aby częściéj badała skład tego płynu. Istotnie, ciekawa byłaby rzecz dowiedziéć się, jaki też istnieje związek między stopniem zanieczyszczenia wody, a śmiertelnością u nas? Na to jednak trzebaby badać Wisłę przez kilka lat co miesiąc i wydać trochę pieniędzy. Zaczekajmy jednak, może zrobią to dla nas anglicy lub niemcy z łaski i przez ciekawość.

Z niecierpliwością oczekując artykułu Dra Weinberga o wodzie studziennéj Warszawskiéj, przechodzimy do powietrza.

Historya świadczy, jako ludy starożytne dostrzegły, iż słońce nie oświeca przez całą dobę tego samego poziomu, i że po dniu noc następuje. Uważałem za właściwe położyć nacisk na epokę tego istotnie ważnego odkrycia; wiadomo mi bowiem, że wiele współczesnych nam znakomitości trudzi się odkrywaniem i zastrzega sobie nawet patent wynalazku prawd tak dawno znanych, że już o nich wróble świergocą. Też same ludy starożytne, niemogąc wieczorami korzystać z dobrodziejstw słonecznego światła, wprowadziły w użycie światło sztuczne, powstające skutkiem palenia się pewnych materyj tłuszczowych.

Niezbadane wyroki natury miećchcą, aby żadne z dzieł ludzkich nie było doskonałém. Tak się też stało i ze światłem sztuczném, które nie tylko oświeca, ale i ogrzewa powietrze (co niezawsze jest pożądaném), a nadto zanieczyszcza je szkodliwemi dla płuc produktami węglowemi. Otóż z powyższych racyj, chemicy w Giesen postanowili w roku zeszłym zbadać: które z używanych przez nas materyałów oświetlających są najmniéj pod temi względami dokuczliwe? Jakoż, po stosownych doświadczeniach, przekonali się:

1-o Co do podniesienia temperatury. Najbardziéj ogrzewa powietrze gaz oświetlający; oléj i nafta mniéj, a najmniéj świece stearynowe. 2-o Co do zanieczyszczenia powietrza,—najniekorzyrzystniejszemi okazały się świece stearynowe, potém oléj, gaz i nafta jeżeli pali się w lampach dobrze urządzonych. Dodać wreszcie należy, że wszystkie wymienione materyały wytwarzały światło jednakowego natężenia.

Widzimy więc, że nauka potężnych metod i środków swoich używa nietylko do badania tajemnic wszechświata, ale téż i do rozstrzygania kwestyj natury gospodarskiéj, mających na celu wygodę i bezpieczeństwo życia ludzkiego. Prawda dopiero co wy-

powiedziana należy również do kategoryj dawniejszych, choć jeszcze nie jest zpopularyzowaną dostatecznie.

* * *

W epoce obecnéj, różne stowarzyszenia nasze obradują, ogłaszają roczne lub półroczne sprawozdania, a wreszcie wypłacają członkom swoim dywidendy i podają projekta, mające na celu rozwój, lub przynajmniéj utrzymanie ich istnienia. Sądzimy więc, że nie popełnimy grzechu, poświęcając pewną liczbę wierszy tym nowym a wielką przyszłość mającym zjawiskom ekonomicznym.

W wiekach średnich istniały cechy, czyli organizacye rzemieślników téj saméj specyalności, które miały na celu wspierać i bronić swoich członków, tudzież ułatwiać kształcenie się czeladzi. Posiadały one zatém pewne strony niewątpliwie dobre; lecz konserwatyzm, zazdrość o przywileje i monopol uczyniły je wreszcie tak nieznośnemi, że już Turgot uważał korporacye za źródło złego w przemyśle i wyjednał edykt, zabraniający we Francyi stowarzyszania się i zgromadzania majstrom, czeladzi i uczniom rzemieślniczym. Wielka rewolucya usankcyonowała i obostrzyła nawet postanowienie to, stawiając za najwyższą zasadę: wolność pracy i konkurencyi.

Z czasem jednak przekonano się, że jeżeli monopol korporacyi był szkodliwy, to z drugiéj znowu strony usiłowania pojedynczych i rozsypanych jednostek nie wydawały jeszcze tych rezultatów, do jakich zdolną jest praca ludzka. Umyślono więc połączyć siły i interesa jednostkowe i wytworzyć siły i interesa zbiorowe, czyli stowarzyszenia.

Zawiązki stowarzyszeń wolnych, do których każdy należał o tyle, o ile sam uważał to dla siebie za korzystne, w których kapitały, praca i zdolności łączyły się po to, aby więcéj wytworzyć i zyskać, i w których wszyscy odpowiadali za jednego, zawiązki tych stowarzyszeń powstały w drugiéj ćwierci bieżącego stulecia i od téj pory rozwinęły się niesłychanie szybko. Już po dziś dzień dzielą się one na następujące typy:

Stowarzyszenia kapitalizacyi i oszczędności.
„ kredytu wzajemnego, tudzież banki ludowe.
„ spożywczo-handlowe, sklepy wiktuałów i jatki.
„ spożywczo-domowe, stowarzyszenia żywności.
kuchnie i restauracye spółkowe.
„ przemysłowe.
„ rolnicze,

„ zakupu materyałów surowych i narzędzi.
„ sprzedarzy wyrobów.
„ mieszkań i budowy.
„ wychowania: wille towarzyskie, domy rodzinne, ochrony.
„ nauczania: wykłady, biblioteki.
„ zabawy: kluby, resursy, orfea.
„ wzajemnéj pomocy.
„ wzajemnych ubezbieczeń.

Tytuły te nie potrzebują wyjaśnień, przejdziemy więc do cyfr ilustrujących rozwój. W Niemczech, w r. 1865 około 1500 stowarzyszeń zajmowało się oświatą i tyleż interesami ekonomicznemi. Z tych ostatnich, 498 było zaliczkowych i te posiadały 169595 członków, roczny zaś obrót wynosił przeszło 67 milionów talarów. Można z tego mieć pojęcie o ilości członków i kapitałów pozostałych stowarzyszeń. Wzrost był coraz szybszy. W r. 1873 istniało już stowarzyszeń ekonomicznych 3963, a w r. 1874—4383 ze 1350000 członków, z kapitałem 245—354 milionów marek. Zdaje się jednak, że cyfry te obejmują spółki niemieckie i austryackie.

W Anglii znowu w r. 1865 było przeszło 600 stowarzyszeń spożywczych, z których 417 opublikowano rachunki. Otóż te ostatnie posiadały 148586 członków, sprzedały towarów za 21 milionów rs., a zyskały 1800000 rs.

Z owych 15 typów stowarzyszeń, u nas jest około 12, wszystko to jednak znajduje się dopiero w zawiązku. Tak np. mamy 467 gminnych kas wkładowo-zaliczkowych, kilka takichże kas dla urzędników i osób prywatnych, kasę pożyczkową przemysłowców warszawskich, towarzystwo wzajemnego kredytu, kilka spółek rzemieślniczych (stolarzy, ślusarzy, szewców i krawców), towarzystwo pomocy lekarskiéj w Kaliszu (nie wiemy czy jeszcze istnieje?) i wreszcie trzy stowarzyszenia spożywcze: „Merkury“ w Warszawie, „Zgoda“ w Płocku i „Oszczędność“ w Radomiu. Ma się rozumieć, że towarzystwo muzyczne, obie resursy i Harmonia należą również do stowarzyszeń, i że wymieniając je, nie wyczerpaliśmy jeszcze przedmiotu.

Kiedyś, o ile mieć będziemy materyały pod ręką, wspomnimy o każdym typie istniejących u nas spółek. Dziś, opowiemy historyą stowarzyszeń spożywczych.

Merkury, założony w r. 1869, w pierwszém półroczu istnienia miał 1212 członków; liczba ich w 2-ém pół. 1871 dosięgła 1607 osób i od téj pory, pomimo pewnych wahań, zmniejsza się tak, że obecnie jest ich 1442. Sklepów w 1-ém pol. 1870 było 3, w połowie 1872

i w 1873 było 7, a od téj pory do dziś dnia 6. Najwięcéj sprzedano towarów w 1-ém półroczu 1871 r., bo za 130000 rs. przeszło; największa zaś dywidenda 4% była w roku pierwszém istnienia. Dywidenda ta wśród ciągłych wahań zmiejszała się, w 2-ém pół. 1875 spadła do ½%, a następnie znowu się podniosła.

Stan dzisiejszy (drugie półrocze 1876 r.) przedstawia się w sposób następujący:

Sklepów z bazarem 6
Członków 1442

Sprzedano towarów ogółem za 97999 rs. 94½ kop.

Dywidenda wynosi . . . . . 2%.

Biblioteka obejmuje 150 dzieł z 239 tomów.

Ilu jednak członków szuka w niéj obroku duchowego—nie wiadomo.

Sprzedaż produktów przez „Merkurego“ dokonywa się trzema sposobami: 1-o w sklepach własnych, 2-o w pewnéj liczbie sklepów obcych, którym stowarzyszenie odstępuje rabat, 3-o w bazarze, który jest składem mebli, odzieży, naczyń i t. d. już używanych. Kupują produkta nietylko stowarzyszeni, ale i obcy; tak np. w r. b. w sklepach Merkurego sprzedano towarów stowarzyszonym za rs. 39295, a obcym za rs. 40297. Towary, któremi Merkury handluje są: cukier, masło, pieczywo, mąka i kasza, kawa, świece stearynowe, wódka i wino. Interesa towarzystwa poprawiły się, współcześnie z przejściem pod kierunek p. Aleksandra Makowieckiego.

Zgoda w Płocku, stowarzyszenie spożywczo-pożyczkowe, założone w r. 1870. W pierwszym roku istnienia miała 224 członków, która to liczba, wśród wahań, zmieniła się na 335 w 1-ém półroczu 1873, następnie, znowu wśród wahań, spadła do 163. Posiada 2 sklepy, lecz miała ich 3, między 1873 i 1875. Sprzedawano towarów w ciągu półrocza najwyżéj za rs. 26766 (1-e półr. r. 1873), najmniéj za rs. 12800 (11-e półr. 1876). Stowarzyszenie to w ciągu istnienia trzy razy nie wypłacało członkom swoim żadnych dywidend, najwyższa zaś suma, jaką można było na ten cel obrócić, nie przechodziła 548 rs. Stan obecny przedstawia się w następujący sposób: członków 163, sprzedaż towarów 12800 rs., czysty zysk około 700 rs., kapitał przeznaczony na pożyczki 3659 rs. (1 półr. 1876), sklepów 2.

Oszczędność w Radomiu, założoną w r. 1870, posiada jeden sklep własny, w obcych zaś wyprzedaje towary sposobem rabatowym. Liczba członków w pierwszym roku wynosząca 178, od téj chwili w bardzo prawidłowy sposób zmniejszą się i dosięgła obec-

nie cyfry 139 osób. Najwięcéj sprzedano towarów w r. 1872, bo za 16754 rs., od téj pory jednak cyfra ta maleje. Najwyższe dywidendy 3% płacono w latach 1871-72 i 76, najmniejszą—1% w r. 1875. Stan obecny: 1 sklep, członków 139, ogólna sprzedaż towarów 12945 rs., dywidenda 3%.

Wypada teraz poddać krytyce sposób istnienia naszych stowarzyszeń spożywczych.

I. Ilość i jakość członków. Z cyfr, któreśmy przytoczyli o stowarzyszeniach angielskich i niemieckich wypada, że każde z nich posiadało średnio członków:

angielskie spożywcze (1865) . .	356 osób
niemieckie zaliczkowe (1865) .	340 „
niemieckie w ogóle (1874) . .	309 „

Z liczb tych, opartych na setkach stowarzyszeń wziętych z dwu różnych społeczeństw i epok, brać musimy naukę, że zasadniczą organiczną właściwością stowarzyszeń funkcyonujących pomyślnie, jest: niewielka liczba członków, bo nieprzechodząca 300—350 osób. Wprawdzie stowarzyszenie w Rochdale (utworzone przez 28 ludzi, którzy początkowo zobowiązali się płacić po 10 gr. na tydzień i założyli sklep wartujący niecałe 100 rs.), po dwudziestu latach doszło do 4600 członków. Spółka ta jednak olbrzymio rozwinęła sferę swojéj działalności: miała bowiem nietylko wiktuały, ale jeszcze młyn, warsztat tkacki i przędzalnią. Z tego powodu, nasz Merkury ze swoją cyfrą członków jest anomalią, która jednak może istnieć i rozwijać się dla tego tylko, że Warszawa potrzebowałaby przynajmniéj kilkudziesięciu stowarzyszeń, ma zaś jedno.

Z tém wszystkiém zarówno Merkury, który przekroczył średnią cyfrę, jak Zgoda i Oszczędność, które jéj nie dosięgły—chorują: widzimy bowiem ciągły ubytek stowarzyszonych. Każde z nich zaczynało świetnie, doszło do pewnego kulminacyjnego punktu, następnie zaś poczęło słabnąć. W skutek tego jesteśmy świadkami szczególnego widowiska: gdzieindziéj drobne początki wydają wielkie rezultaty, u nas zaś rzecz się ma odwrotnie.

Zobaczmy teraz: jacy są członkowie naszych stowarzyszeń spożywczych? Merkury na to nie odpowiada, wyręcza go jednak do pewnego stopnia Oszczędność radomska. Tam w r. 1875 w liczbie 149 członów, było:

urzędników	83
lekarzy	2
geometra	1
wojskowych	6
przemysłowców	7

kupców	14
obywateli wiejskich . . .	14
obywateli miejskich . . .	6
różnych zajęć	9

Główny więc kontyngens stanowią ludzie mający dochody skromne, lecz stałe. I czyby kto uwierzył, że fakt ten jest przyczyną boleści odnośnych zarządów, które płaczą, że klasa najbardziéj potrzebująca stowarzyszeń (respect. oszczędności) nie garnie się pod ich skrzydła!... Na jakąż *klasę* oczekujecie panowie?... A na robotników! Jest to jedno ze złudzeń, dla których zaniedbuje się niekiedy rzeczywistość. Ponieważ gdzieindziéj robotnicy ciągną korzyści ze stowarzyszeń, więc i u nas powinniby je ciągnąć,—oto twierdzenie fałszywe o tyle, o ile byt naszych robotników nie podobny jest do innych.

Gdzieindziéj bowiem robotnicy są oświeceńsi, dbalsi o jutro i oszczędniejsi; gdzieindziéj wreszcie robotnicy muszą się mieć lepiéj niż u nas, nasi bowiem są biedakami. Pierwszym warunkiem pociągnięcia ich do spółki byłoby: spłacenie długów sklepikarskich,—a kto to zrobi? Powtóre, sklepów np. Merkurego jest w mieście 6, dla większości zatém są one zbyt odległe. Potrzecie, robotnik u nas potrzebuje zazwyczaj kredytu, którego spółka udzielać nie może. Poczwarte, robotnik w zwykłym kramiku dostanie wszystkiego za małe pieniądze, począwszy od cukru za kilka groszy, od kawałka śledzia za grosz, od igły, od nitki,—a skończywszy na chlebie i słoninie. Drą ich, dają towar lichy, ale kredytują i ryzykują. Z tych to powodów robotnik dla jakiéjś skromnéj dywidendy, mającéj się wypłacić przy końcu roku, ze sklepikarzem nie może zerwać i nie zerwie. Dobrze on to rozumie, że kramarz zarabia na nim lichwiarskie procenta, lecz nie mając gotówki, woli żyć płacąc lichwę, aniżeli umrzéć z widokami oszczędzenia kilku rubli na rok.

Dajmy więc chyba pokój robotnikom. Gdy między nimi wzrośnie oświata, stateczność i dobrobyt, potrafią sami zakładać stowarzyszenia spożywcze. Dziś widocznie stoją oni niżéj poziomu współek; na poziomie zaś jéj znajdują się: urzędnicy, lekarze, kupcy, rzemieślnicy posiadający własne warsztaty i t. p. Smutno to jest przyznać się do niemożności ulżenia losu klasie pracowitéj, ubogiéj i uczciwéj, lecz jak dziś przyznać się do tego musimy. Nasze dobre chęci i siły nie odpowiadają potędze faktów.

Z tego cośmy powiedzieli, wypada: 1) Że tak Merkury, jak Zgoda, jak Oszczędność, ze względu na liczbę członków, są nie dość normalnemi spółkami. 2) Że mimo to rozwijaćby się mogły

ponieważ jest ich nie wiele, lecz—nie rozwijają się. 3) Że na szerszy udział robotników w stowarzyszeniach spożywczych, przedewszystkiém z powodu ubóstwa i nieopatrzności téj klasy, dziś przynajmniéj liczyć nie można. 4) Że zatém należy starać się o pomyślność tych członków jacy są, bo oni właśnie najwięcéj są przygotowani do korzystania ze współek i podtrzymywania ich.

II. Przyczyny nierozwijania się spółek istniejących. W organizacyi spółki odróżnić należy trzy czynniki: ustawę, stowarzyszonych i zarząd. Ustawa jest wadliwą wtedy, jeżeli nie pozwala spółce rozszerzać sfery działalności, lub nie zabezpiecza jéj przeciw nadużyciom, zdaje się jednak, że u nas wypadki takie miejsca nie mają. Stowarzyszeni znowu winni są złemu stanowi spólki w dwu wypadkach: 1) jeżeli jest ich nie wielu, 2) jeżeli nie są dość dbałymi. Otóż nasza publiczność dla idei stowarzyszeń obojętną nie jest: ile razy bowiem powstanie z nich które, członków zyskuje dosyć; o dbałości jednak powiedzieć tak nie można, czego między innemi dowodzą zebrania ogólne, na których nie zgromadza się nawet wymagana przez ustawę mniejszość stowarzyszonych.

Najgłówniejsza jednak wina złego stanu spółek ciąży na zarządach. Do stowarzyszeń spożywczych bowiem pociągać może ludzi, albo dobry towar, albo wysoka dywidenda, albo agitacya, czego u nas nie robią. 1) Kiedy Merkury przez pierwsze 4 półrocza sprzedawał stopniowo coraz więcéj towarów (musiał mieć zatém dobre), liczba członków wzrastała i po najwyższéj cyfrze sprzedaży (za 130 tys. rs. w 1-ém półr. 1871), mieliśmy zaraz najwyższą cyfrę stowarzyszonych (1607 w 2-ém półroczu 1871). W témże samém jednak półroczu zmniejszył się odbyt towarów o 22 tys. rs., a w następném zaraz półroczu liczba członków zmniejszyła się o 200. Gdy znowu sprzedaż towarów wzrosła o 11 tysięcy rs., liczba członków w półroczu następném wzrosła o 33. Nie uważamy faktu tego za jakieś prawo ekonomiczne, w saméj bowiem historyi Merkurego są wyjątki od powyższego prawidła, zawsze jednak stanowi on dość poważną i namacalną wskazówkę, że dla zwiększenia liczby stowarzyszonych, trzeba mieć dobre towary.

2) W epoce największych dywidend, z sumy na nie przeznaczonéj każdy członek mógł był dostać niecałe 2 rs., a były czasy, że na każdego wypadało średnio po 25 kop. Zyski zatém, jakie Merkury ofiarowuje swoim owieczkom, są bardzo skromne. Tymczasem jakże różném jest położenie np. kasy pożyczkowéj przemysłowców, która daje duże dywidendy, za to co roku zyskuje setki członków i dziś liczy ich około 5000.

Aby wskazać, jakie gdzieindziéj ludzie ze stowarzyszeń zyski odnoszą, przytoczymy rachunek oszczędności porobionych w ciągu roku przez członków stowarzyszenia orleańskiego (około r. 1865). Oszczędzono zatém:

Na drzewie	45%	
— węglu drzewnym . .	64%	
— węglu kamiennym . .	43%	
— gałęziach	74%	
(średnio na opale		57%
Na śledziach wędzonych .	100%	
— szynce	127%	
— kartoflach	60%	
— mięsie soloném	66%	
— soli	115%	
— occie	62%	
— winie	33%	
(średnio na artykułach żywności .		38%
Na kołdrach baweln. . .	55%	
— przędzy bawełnianéj .	50%	
— kaftanikach wełnianych	47%	
— bluzach	30%	
— spodniach aksamitnych	31%	
(średnio na odzieży, okryciach i t. d.		34%

I jestże to podobne do naszych ½, 1% a nawet 4%-wych dywidend?

Nam się zdaje, że stowarzyszenia nasze mogłyby powiększyć zyski przy pomocy trzech następnych operacyj: 1) Sprzedając nie tylko artykuły spożywcze, ale odzież i opał. 2) Sprzedając przeważnie te, na których zyskuje się większy rabat. 3) Kupując do sklepów swoich towary hurtem i o ile można z pierwszéj ręki.

III. O agitacyi, prowadzonéj w celu powiększenia liczby stowarzyszonych, powiém niewiele. Wymownym dowodem jéj potęgi jest filantropijne Towarzystwo Osad Rolnych, które liczy obecnie z górą 2000 członków pozyskanych dzięki mnóstwu odczytów, licznym sprawozdaniom i całéj armii tak zwanych członków korespondentów na prowincyi. Wprawdzie, przynajmniéj połowa dobrodziejów Towarzystwa zalega w opłacie składek, tłómaczy się to jednak ciężkiemi czasami. Sądzę więc, że nasze towarzystwa spożywcze mogłyby naśladować ten przykład i przypominać się jak najczęściéj publiczności sposobami, jakie uznają za najwłaściwsze.

W końcu zwrócić musimy uwagę na jeden jęszcze fakt wielkiego znaczenia dla spółek. Każde przedsiębierstwo większe kierowane być powinno przez ludzi, nietylko wysoko ukształconych w danym fachu, ale też i niepospolicie zdolnych; ludzie ci zaś, którzy cały czas przedsiębierstwu poświęcać muszą, powinni też być doskonale wynagradzani. Otóż zobaczmy, w jaki sposób nasze stowarzyszenia płacą swoim kierownikom. W „Oszczędności," nie ma nawet rubryki na wynagrodzenie zarządu. W „Zgodzie," zarząd dostał najwyżéj 352 rs. za półrocze, a przez dwa półrocza nic nie dostawał. W „Merkurym," w pierwszém półroczu nie dano zarządowi nic, najwyżéj zapłacono mu 973 rs. z kopiejkami, a najniżéj 138 rs. Takie wynagradzanie sterników nawy publicznéj nie doprowadzi do niczego; kto zaś chce mieć administracyą dobrą i robić duże oszczędności, ten powinien przeznaczyć przedewszystkiém kilka tysięcy rubli rocznie na zapłacenie fachowego kierownika, przy którym dopiéro mogłaby funkcyonować jakaś izba kontrolerów honorowych.

Czy uwagi nasze wypowiedziane w sprawie stowarzyszeń spożywczych są słuszne, niech na to ich członkowie i zarządy odpowiedzą; że jednak pewne reformy są tam potrzebne, na to chyba zgodzi się każdy.

* * *

Nie dawniéj jak przed miesiącem, czytelnicy naszych pism peryodycznych spotykali się tam z następną sensacyjną wiadomością. Oto, że niejaki pan Ferdynand Roemer wydał geologiczną mapę Królestwa, na podstawie badań, na które rząd niemiecki poświęcił 80 tysięcy talarów, i że od téj chwili szczęśliwi obywatele liberalnego Cesarstwa Niemieckiego zwrócili chciwe łupu oko na południową część naszéj ubogiéj krainy, gdzie się znajduje żelazo, węgiel, siarka i inne szacowne mineralne płody.

Nie wiem, jak kto przyjął tę wieść, na mnie skóra pocierpła, naturalnie z radości; znany to bowiem fakt, że w oczach pewnych twórców szkół ekonomicznych i ich przywiązanych uczniów, jestem germanofilem, którybym pragnął, aby na każdéj piędzi ziemi naszéj, siedział choć jeden płowowłosy posiadacz niebieskiego barchanowego kaftanika, wzmacniał jéj wartość za pomocą nadreńskich kartofli i wypłaszał resztki naszego barbarzyństwa dymem ojczystego knastru.

Jakkolwiekbądź jest, zaniepokoiła mnie wieść o zrobionéj przez niemców mapie geologicznéj Królestwa; wiadomo mi bowiem, że niemcy, wydając na nią 80000 talarów, myśleli o arcylichwiarskim procencie. Szczęściem los pozwolił mi dotrzéć do źródła pogłoski, którém jest odbitka z „Przyrody i Przemysłu"—p. t. „Uwagi nad poszukiwaniem pożytecznych ciał kopalnych w Królestwie Polskiém," przez Dra Jana Trejdosiewicza, prof. Geologii w Uniwersytecie Warszawskim. Z broszury téj dowiedziałem się, że F. Roemer istotnie wydał geognostyczną mapę: „Szląska Górnego i przyległéj mu części Królestwa", i że po wyjściu jéj, niemcy rzeczywiście zaczęli wykupywać grunta w powiatach: Będzińskim, Częstochowskim i Olkuskim. Dowiedziałem się téż, że po ogłoszeniu nowego prawa górniczego nasi także wzięli się do poszukiwania użytecznych ciał kopalnych i, dzięki brakowi najelementarniejszych zasad nauki, wyszli na ochocie swojéj, jak Wielki Teatr na operze włoskiéj.

Okoliczność ta prawdopodobnie zniechęci wielu i stanie się szczeliną, przez którą wciśnie się znowu kilka kropel germańskiego likworu. Z tego powodu, uważamy za potrzebne dać parę objaśnień w sprawie poszukiwań górniczych i przytoczyć zakończenie broszury prof. Trejdosiewicza, którego koledzy nasi nie dostrzegli.

Wiadomo, że każdy, kto pragnie być choćby dyletantem w sztuce myśliwskiéj, dowiaduje się najprzód, w jakich okolicach mieszkają jakie zwierzęta,—powtóre, uczy się władać bronią,—a potrzecie, bierze do pomocy wytrawnego myśliwca. Kto tego rodzaju przygotowaniami pogardza, ten strwoni pieniądze na broń, którą się jeszcze zabić może,—daléj, szukać będzie zajęcy na drzewach, wiewiórek w wodzie, a bekasów między zbożem,—ten w końcu choćby trafił na okolicę posiadającą pewne zwierzęta może się nie spotkać z niemi, nie znając ich śladów i legowisk.

Z poszukiwaniami górniczemi rzecz się ma podobnie. Przy nich przedewszystkiém trzeba się zapoznać z Geologią, która wskaże: w jakich okolicach, czyli w jakich *formacyach*, gnieżdżą się pewne minerały? Powtóre zaś, trzeba mieć do pomocy fachowego górnika, który, wśród tak obszernego pola jakiém jest formacya, potrafi się zoryentować i znaleść ślady poszukiwanych przez nas ciał kopalnych. Otóż broszurka prof. Trejdosiewicza rozwiązuje pierwszą część zadania i w dwóch tablicach, które tu przytaczamy, podaje naukowe wskazówki co do formacyj, w jakich ukrywają się zazwyczaj użyteczne minerały.

Tablica A.

Znalezione ciała kopalne		W formacyach:
U nas:	W różnych krajach:	
	Sól kamienna, rudy żelaźne, cynkowe, ołowiane i antracyt.	sylurycznéj
Rudy żelazne, ołowiane i miedziane.	Rudy żelazne, cynkowe, ołowiane, antracyt, węgiel kamienny i oléj skalny.	dewońskiéj
Rudy żelazne i węgiel kamienny.	Sól kamienna, gips, rudy żelazne, cynkowe, ołowiane, antracyt, węgiel kamienny i asfalt.	węglowéj
	Sól kamienna, gips, rudy żelazne, ołowiane i miedziane, srebro rodzime i węgiel kamienny.	permskiéj
Rudy żelazne, cynkowe, ołowiane, srebrodajne i węgiel brunatny ilasty (węgiel kajprowy).	Sól kamienna, gips, rudy żelazne, cynkowe, ołowiane, miedziane, węgiel kamienny i węgiel brunatny ilasty (węgiel kajprowy).	tryjasowéj
Rudy żelazne.	Kamień litograficzny (łupkowy margiel wapienny), rudy żelazne, węgiel kamienny i asfalt.	jurajskiéj
	Rudy żelazne, cynkowe, ołowiane, węgiel kamienny i asfalt.	kredowéj
Węgiel brunatny i bursztyn.	Węgiel brunatny i bursztyn.	oligocenicznéj
Siarka i gips.	Siarka, sól kamienna i gips.	miocenicznéj
	Torf (węgiel łupkowy).	diluwialnéj
Torf.	Złoto i torf.	aluwialnéj

Tablica B.

Ciała kopalne, których stale poszukiwać należy.		Ciała kopalne, których teraz poszukiwać można, lecz z bardzo małém prawdopodobieństwem ich znalezienia:	W formacyach:
Obecnie wydobywane:	Obecnie już niewydobywane, albo jeszcze nieznalezione:		
			sylurycznéj
	Rudy żelazne, ołowiane i miedziane.		dewońskiéj
Rudy żelazne i węgiel kamienny.	Antracyt.		węglowéj
		Sól kamienna, rudy żelazne i węgiel kamienny.	permskiéj
Rudy żelazne, cynkowe i węgiel brunatny ilasty.	Rudy ołowiane srebrodajne.	Sól kamienna, gips i węgiel kamienny.	tryjasowéj
Rudy żelaźne.	Kamień litograficzny.	Asfalt.	jurajskiéj
		Rudy żelazne.	kredowéj
Bursztyn.	Węgiel brunatny.		oligocenicznéj
Siarka i gips.	Sól kamienna.		miocenicznéj
	Torf.		diluwialnéj
Torf.			aluwialnej

Widzimy więc, że tablice powyższe uczą: w jakich formacyach szukać należy pewnych użytecznych ciał kopalnych? Na nieszczęście jedna zagadka doprowadziła nas do innéj, a mianowicie: do tajemniczego wyrazu *formacya.* Otóż formacyą nazywa się grupa skał posiadających jednakowe własności petrograficzne, to jest jednakowy skład mineralogiczny, złożenie i ułożenie,—albo też zawierających w sobie skamieniałe szczątki roślin lub zwierząt jednakowych gatunków. Bliższe zaś określenia tych własności i szczątków, znaleść można w wykładach Geologii, z których najtreściwszym, bo niecałe 90 stronic obejmującym wykładem, jest Geologia, pomieszczona w „Encyklopedyi Rolnictwa" i również napisana przez prof. Trejdosiewicza. Do tejże Encyklopedyi dołączona jest geologiczna karta Królestwa Polskiego, ułożona przez W. Kosińskiego.

Dla chcących zatém zająć się tą, tak bardzo zaniedbaną gałęzią gospodarstwa krajowego, wskazówek nie brak,—na zawody jednak przygotować się należy. Jakkolwiek bowiem doświadczenie uczy, że np. nafta znajduje się w formacyi dewońskiéj, nie idzie jednak zatém, ażeby każdy, kto na formacyi dewońskiéj posiada domek i ogródek, miał zaraz obstalowywać oksefty na naftę i brać szampana od Judki na rachunek przyszłych bogactw. Nafta nie z każdego wyskakuje ogródka, tak jak nie z każdéj bruzdy wyskakuje zając: jednego i drugiego w rozmaitych zakątkach właściwych okolic poszukiwać należy.

Aleksander Głowacki.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

Sprostowanie omyłek dostrzeżonych w tomie 1-ym.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być:*
34	1 od dołu	Schweinitzowi	Schwerinowi
50	5 „	Maldera	Muldera
51	4 „	Barthosa	Barthesa
52	23 „	Husztera	Huntera
59	4 „	użyteczném	wyłączném
60	16 „	środkach	ośrodkach
„	12 „	nasze	nam
62	21 „	dyetetycznych	dyalitycznych
„	19 „	swéj własnéj	wymiany
64	4 od góry	kościomoczowego	koniomoczowego
135	17 „	pierwszśm	pierwszém
194	14 od dołu	zamiłonie	zamiłowanie
195	w tytule	1) Władza i układ państwa.—2) Zarysy polityki i porównawczego prawa konstytucyi	Władza i układ państwa zarysy Polityki i porównawczego Prawa Konstytucyj
271	19 od góry	plemionam	plemionami
277	6 i 5 od dołu	bobośniackich	bośniackich
278	10 „	niemiéj	niemniéj
279	9 „	te	to
294	19 od góry	okopu	okupu
295	21 „	taıarów	talarów
„	7 od dołu	słę	się
298	16 od góry	Görzke	Görcke
463	7 od góry	z niczem	z mieczem
519	2 od dołu w przypis.	sdarlasse	darlasse
527	15 od dołu	Kalkseina	Kalksteina
529	19 od góry	Kalkseina	Kalksteina
562	3 „ w prz.	eonfer	confer
634	10 „	Powiślu	powiśla
658	12 od dołu	rządzę	żądzę

Sprostowanie omyłek dostrzeżonych w tomie I-ym.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku 1877

JAK DOTĄD W ZESZYTACH MIESIĘCZNYCH,

12 — 15 ark. druku zawierających.

Prenumerata w Warszawie i w Guberniach Cesarstwa i Królestwa, z przesyłką pocztową i odnoszeniem do domu wynosi

Rocznie	Rs.	12.
Półrocznie	„	6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„	3.

Prenumerować można *głównie*

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

PP. Prenumeratorowie z prowincyi proszeni są o zgłaszanie się z prenumeratą *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Ценз. г. Варшава 8 Марта 1877г. — Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka 11.